



Przełożyła: Lidia Bazańska

Część pierwsza

Wyrwany kamień

Rozdział pierwszy

Zgniła wiosna

Nigdy jeszcze Florencja nie widziała czegoś podobnego. Od straszliwej Niedzieli Wielkanocnej - 16 kwietnia 1478 roku - kiedy to słońce bezlitośnie oświetliło sceny świętokradztwa i masakry, której świadkiem, a następnie rozszalałym uczestnikiem stało się miasto, niebo opatulone czarnymi niskimi chmurami, gnającymi z jednego krańca horyzontu na drugi, zdawało się nieodwołalnie wyzute z błękitu.

Cały Wielki Tydzień był szary, smutny i mokry. Było to wszelako zjawiskiem zbyt częstym, by się przejmować. Wystarczyło jednak, że nazajutrz po Zmartwychwstaniu pogoda pozostała okropna, a Florentczycy dostrzegli w tym oznakę gniewu bożego... Ustawicznie padający deszcz nie był bowiem zwykłym wiosennym deszczem, ciepłym i drobnym, który łatwo wnika w ziemię, sprawiając, że nasiona nabrzmiewają, pastwiska porastają mocnymi i żywotnymi źdźbłami smakowitej trawy, na polach pojawiają się delikatne kielki pszenicy i żyta, na drzewach młode listki, a w srebrzystych koronacji drzew oliwnych mikroskopijne zielone owocki. Była to potworna ulewa niesiona wściekłymi podmuchami przeraźliwego wiatru, mimo kamiennych murków zrywająca ziemię ze zbocz wzgórz i niosąca ją w formie żółtych strumieni w kierunku miasta i rzeki, której poziom wciąż się podnosił.

Arno występowała z brzegów. Jej nurt stawał się gwałtowny, agresywny i unosił w stronę morza wszystko, co mógł porwać po drodze: niedbale zakotwiczone łodzie, sieci rybackie, beczułki, kawałki drewna wyrwane z brzegów, truchła zwierząt i różnorakie odpady zbierane z przybrzeżnych tawern lub z piwnic kramików na mostach. Pałace wzniesione na pozbawionych okien kamiennych murach wyglądały jak groble czy wręcz latarnie morskie. Woda otaczała je i wciskała się w ulice, coraz dalej, coraz wyżej. W kościołach zaczynało wznosić modły, w szczególności oczywiście w Duomo oczyszczonym z przelanej krwi przy użyciu dużej ilości kadzideł i wody święconej. Jeśli ktoś musiał udać się do niżej położonej części miasta, robił to, jadąc konno lub na grzbiecie osła czy muła, jeśli było go na to stać, ale najczęściej brodząc w wodzie.

Tego dnia Fiora opuściła Fiesole mimo wysiłków Demetriososa, który starał się ją zatrzymać. Ciężko jej ściśle odosobnienie spowodowane ostrożnością greckiego lekarza i mroczna namiętność Lorenza Medyceusza. Mineły trzy tygodnie, odkąd cios sztyletu wymierzył sprawiedliwość Hieronimie. Trzy długie tygodnie patrzenia od rana do wieczora na deszcz splukujący pejzaż i zalewający tarasy ogrodu! Przecież w wielkim mieście rozciągającym się u jej stóp życie toczyło się dalej, a ona musiała tkwić tutaj w oczekiwaniu na noc, która miała sprowadzić - lub nie sprowadzić! - kochanka przygniecionej brzemieniem trosk i odpowiedzialności. Zredukowana do roli bezczynnej, wręcz biernej, kobiety z haremu, Fiora uznała w końcu, że ma tego dosyć i że musi się ruszyć z miejsca, jeśli nie chce zwariować. Poza tym już od dawna pragnęła pomodlić się przy grobie ojca. Ta powinność serca nie mogła być dłużej odwlekana. I tak około południa ruszyła w drogę eskortowana przez Estebana. Musiała jednak obiecać, że nie wróci późno, gdyż od czasu zabójstwa Giuliana Medyceusza w czasie mszy wielkanocnej Florencja nie była bezpieczna i w wyniku najdrobniejszego nieostrożnego gestu mogły ją ogarnąć zamieszki.

Kościół Orsanmichele, gdzie Francesco Beltrami spoczywał wśród innych znakomitych przedstawicieli sztuk wyższych, przypominałby raczej średniowieczny zamek, gdyby nie ustawione w niszach zachwycające posągi świętych, dzieła między innymi Donatella i Lorenza Ghibertiego, które zdobiły wszystkie jego zewnętrzne ściany. Zbudowany w XIV wieku na miejscu dawnej kaplicy Santa Maria in Orto i targowiska zbożem, był jedynym florenckim sanktuarium posiadającym nad podwójną nawą strych. Być może był także najwspanialej ozdobionym, gdyż najznakomitsi mistrzowie czterech wielkich korporacji przyczynili się swymi pieniędzmi do jego upiększenia.

Wnętrze Orsanmichele byłoby bardzo ciemne, bowiem okna były nieliczne i wąskie, gdyby gąszcz zapalonych świec nie oświetlał złocistymi płomykami jego cudownego wystroju. Wszystko mieniło się barwami, lśniło i jak aureola otaczało istne cudo: gotyckie tabernakulum będące dziełem Andrei Orcagna, inkrustowane mozaiką i ozdobione płaskorzeźbami.

Płyta, pod którą spoczywał Francesco Beltrami, znajdowała się nieopodal tabernakulum i płonącej u jego podstawy czerwonej lampki. Fiora z głębokim wzruszeniem opadła na kolana. Po raz pierwszy oto mogła modlić się w tym miejscu, gdyż nawet nie miała możliwości uczestniczyć w pogrzebie ojca. Uwięziona, później ukrywająca się, w końcu porwana daleko od Florencji przez burzę, która omal jej nie unicestwiła, często myślała ze ściśniętym gardłem o

sprofanowanym przez zabobonną nienawiść Hieronimy grobie, w którym spoczywało ciało szlachetnego człowieka.

Pochylając się tak, że jej usta dotknęły zimnego kamienia, młoda kobieta przez długą chwilę trwała w tej pozycji, spowita w czarny welon (całe miasto nosiło żałobę po Giulianie Medyceuszu), który nabierał w tej sytuacji podwójnego znaczenia.

- Ojcze - wyszeptała - mój ojciec! Kochałam cię, wiesz o tym, i nadal cię kocham... Kocham cię, kocham, kocham... Gdybyż moje łzy mogły przywrócić ci życie! Gdybym tylko mogła oddać ci połowę mego! Och, ojciec, dlaczego nas rozdzielono? Tak dobrze było nam razem!...

Wstrząsana szlochaniem być może dotrwałaby do zmierzchu pogrążona w nowo obudzonym bólu, gdyby nie dłonie, który spoczęły na jej ramionach i pomogły jej powstać.

- Rozchorujesz się, Fioro! - szepnął łagodny głos. - Nie możesz tu zostać! Chodź ze mną!

Fiora, nieco zdrętwiała od długiego klęczenia, wyprostowała się, ocierając rękawem płynące nadal łzy i uśmiechnęła się do nowo przybyłej.

- Chiara! To ty? To naprawdę ty?

Rzuciła się w ramiona odnalezioną przyjaciółkę i obie uściskały się z entuzjazmem, który zawsze wynika z długiej rozłąki. Stojąca nieco na uboczu gruba Colomba, niegdyś piastunka Chiary Albizzi, a obecnie jej dama do towarzystwa, płakała z rozczulenia, z właściwą sobie elokwencją dziękując niebiosom za tę radość, której świadkiem miała szczęście być. Fiora uściskała również ją, po czym wzięwszy obie kobiety pod ramię, jakby obawiała się, że znikną, powiodła je w kierunku jednej z ławek ustawionych wzdłuż murów kościoła.

- Cóż za radość znów was widzieć! - westchnęła. - Jak dowiedziałyście się, że jestem tutaj? Czy to przypadek was tu sprowadził?

- Nie - powiedziała Chiara. - Cała Florencja wie, że wróciłaś. Mówi się o tobie prawie tyle, co o Pazzich.

- A ja miałam nadzieję, że nikt mnie nie zauważy!

- Ty... czy Lorenzo?

- Ach!... Więc o tym też wiesz!

Chiara roześmiała się, a Colomba, która usiłowała wyglądać na rozmodloną, uśmiechnęła się kącikiem ust:

- Jak cała Florencja! Moje naiwne kochanie! Zapomniałaś, że kiedy nasz książę kicha, całe miasto zastanawia się, gdzie był przeciąg? Wszyscy wiedzą, że jesteś w Fiesole.

- Dlaczego więc do mnie nie przyjechałyście?

- Przez dyskrecję, a także... przez ostrożność. Lorenzo po śmierci brata jest innym człowiekiem, a ty stanowisz część jego sekretnego życia, którego zazdrośnie strzeże. Łatwo to zresztą zrozumieć: kiedy dwoje ludzi się kocha...

- Ależ ja nie jestem wcale pewna, że się kochamy! Padliśmy sobie w ramiona wieczorem w dniu morderstwa i zostaliśmy tak do dzisiaj. Ale sytuacja ta wynika z tego, że on potrzebuje mnie tak, jak ja jego. To jednak nie może trwać.

- A to dlaczego?

- Bo wkrótce muszę wyjechać. Mam we Francji dziewięciomiesięcznego synka.

- Masz synka? O mój Boże! Ale masz szczęście! Dziecko! Tak bardzo chciałabym mieć dziecko!

- Więc... nie wyszłaś za mąż?

- Nie. Bernardo Davanzati, którego miałam poślubić, umarł na dżumę w Rzymie w ubiegłym roku.

- Och! Tak mi przykro!

- Nie ma powodu! Nie kochałam go. Jednakże był moją ostatnią szansą na uniknięcie staropanieństwa, gdyż mój posag jest niewielki.

Mimo iż ton był pogodny, Fiora przysięgłaby, że przez uroczą twarz przyjaciółki przebiegł cień. Leciutko pocałowała ją w policzek.

- Wybacz mi! - powiedziała.

- Zapomnijmy o tym! Pewnie masz mi wiele do opowiedzenia? Może przyjechałabyś do nas na kilka dni? Mój wuj byłby szczęśliwy, mogąc znów cię zobaczyć. Poza tym... prawdę mówiąc, to właśnie w tym celu kazałam cię śledzić - dokończyła Chiara z uśmiechem.

- Śledzić?

- Nie bój się! To zupełnie niewinne. Byłam pewna, że wcześniej czy później przyjdiesz pomodlić się tutaj i kiedy tylko dowiedziałam się o twoim powrocie wypytałam kościelnego, ale jeszcze cię nie widział. Zapłaciłam mu więc, żeby zawiadomił mnie, jak tylko się pokażesz... co zrobił. A teraz powiedz mi: co cię sprowadza?

Fiora przyjęła zaproszenie bez wahania. Ten krótki pobyt u Chiary przypomniał jej dawne szczęśliwe dni. Poza tym w głębi ducha była zachwycona, mogąc okazać pewną niezależność od Lorenza. Ostatniej nocy był rozkojarzony i w związku z tym nieco mniej namiętny. Rozstając się z Fiorą, wyjaśnił zresztą to lekkie roztargnienie, zapowiadając, że następnego wieczora nie przyjedzie: nieustanne deszcze spowodowały osunięcie się gruntu w dolinie Mugello.

Ziemia odsłoniła białe marmurowe ramię należące bez wątpienia do jakiegoś antycznego posagu.

- Poinformowano mnie o tym wczoraj wieczorem - powiedział Lorenzo, którego ciemne oczy błyszcząły gorączkowo - i obiecałem, że dziś rano się tam udam. Rozumiesz chyba, że nie wrócę, dopóki nie zostanie odsłonięta całość.

Czy rozumie? Trzeba by nie znać Lorenza, jego nieustannej pogoni za rzeczami pięknymi, rzadkimi, jego miłości do starożytnych zabytków, żeby nie rozumieć. Demetrios miał całkowitą rację, porównując Fiorę do cennego kwiatu, skradzionego Wspaniałemu z ogrodu, nim zdążył poznać jego zapach, i jakimś cudem odzyskanego. To nie miłość łączyła kochanków, lecz gwałtowne żądza rozpalana jeszcze dumą z posiadania: u niego - kobiety wyjątkowej urody, od dawna pożądanej, u niej - mężczyzny nadzwyczajnego pod każdym względem, którego nawet królowa z radością ujrzałaby u swych stóp. Oboje lubili się kochać, a ich splecione ciała osiągały niemal doskonałość poematu. Serce Fiory nie biło jednak mocniej na widok Wspaniałego, choć jej ciało poddawało się pieszczotom w cudownym oczekiwaniu na spełnienie pozwalające wspiać się na szczyty rozkoszy. Jeśli zaś chodzi o Lorenza - jak poznać myśli kłębiące się pod jego wysokim, pooranym zmarszczkami czołem?

Pisał dla Fiory wiersze, obsypywał ją prezentami i z upodobaniem stroił w klejnoty, jednak rzadko był zadowolony z tych wspaniałych kosztowności, w które starał się oprawić jej urodę, gdyż ta zawsze nad nimi triumfowała. Pewnego wieczoru nie przyjechał sam - towarzyszył mu Sandro Botticelli z pudłem pod pachą. Zmieszana Fiora musiała pozować młodemu malarzowi, stojąc nago na niskim taborecie, wokół którego Lorenzo zapalił pochodnie, aby światło złociło i ożywiało jej skórę. Później, kiedy malarz wyszedł, kochał ją z nienasyconą żarliwością, która nieco zatrwożyła młodą kobietę. A kiedy mu to łagodnie wypomniała, westchnął:

- Jakiż mężczyzna nigdy nie marzył, by posiąść boginię, w niedorzecznej nadziei na dotarcie do źródła jej piękna i skradzenie jego cząstki? Niestety, Wenus nie jest szczodra i zachowuje wszystko dla siebie.

- Nie mów, że tego żałujesz? Ty nie potrzebujesz urody. To, co masz, działa znacznie silniej. Nie brak takich, które pragną przyciągnąć twoje spojrzenie, prawda?

- Czy nie dlatego, że jestem władcą? Gdybym był tragarzem albo przewoźnikiem na Arno, ile z nich zwróciłoby na mnie uwagę?

- Znacznie więcej, niż sądzisz. Musiałyby nie być kobietami.

Podziękował jej pocałunkiem, a później dodał:

- Jednak wiem, że tkwiące we mnie pragnienie piękna nigdy nie ustanie.

Teraz to nieustanne dążenie popychało go w kierunku odkrytego posagu i choć Fiora nie była tym zaskoczona, to czuła się nieco urażona. Zaproszenie Chiary wypadło w najlepszym momencie. Lorenzowi dobrze zrobi kilka dni oczekiwania. Ona sama zaczynała odczuwać potrzebę nabrania pewnego dystansu do tej miłosnej przygody, która ją pochłaniała i nieco za bardzo zajmowała jej umysł, a wkrótce może miała wziąć w posiadanie jej serce. Fiora nie chciała przywiązywać się do Lorenza: wiedziała, że oznacza to skazanie się na cierpienie, które nadejdzie wcześniej czy później. Poza tym życie, prawdziwe życie, czekało na nią gdzie indziej - przy małym Filipie, z którego miała obowiązek uczynić mężczyznę. A to było nie do pogodzenia z egzystencją oficjalnej faworyty.

Trzymając się pod ramię, przyjaciółki wyszły z kościoła, a Colomba podążyła za nimi. Fiora poszukała wzrokiem Estebana, który oddalił się nieco, by coś kupić, a po powrocie miał na nią czekać. Nie dostrzegłszy go, pomyślała z odrobiną rozdrażnienia, że pewnie utknął w jednej ze swych ulubionych tawern. Nie mógł być daleko, gdyż oba muły stały pod okapem, gdzie je przywiązał. Fiora nie miała najmniejszej ochoty szukać go na ulicy, ale przecież musiała go powiadomić, że nie wraca do Fiesole, tylko udaje się do Albizzich.

Deszcz ustał, ale chmury płynące nad wąską ulicą zapowiadały kolejne ulewy i szkoda byłoby nie wykorzystać tego przejaśnienia na powrót.

- Może mogłybyśmy zostawić wiadomość u tych chłopców? - wysepleniała Colomba, wskazując dom położony naprzeciwko kościoła, w którym przez otwarte okno widać było pilnie pochylonych nad grubymi rejestrami skrybów. Był to budynek w kształcie wieży, siedziba cechu arte delia lana ~ sztuki wełny - którego przełożony, messer Buonaccorsi, był przyjacielem Albizzich.

Młode kobiety zamierzały wejść po kilku stopniach prowadzących do drzwi, nad którymi górował herb cechu, kiedy ujrzały nadbiegającego Estebana. Przybywał ze składów farbiarzy znajdujących się w pobliżu Orsanmichele. Rozdzielała ich wąziutka uliczka z wydrążonym pośrodku rynsztokiem, do którego spływała farba ociekająca z przedzdy zawieszanej na poprzecznych belkach w jakby zadaszonych klatkach. Z tego powodu rynsztok przybierał barwę fioletową, szkarłatną lub ciemnoniebieską, w zależności od tego, czy pracownicy użyli lakmusu, marzanny czy urzetu. Tego dnia był rubinowoczerwony, kiedy Kastylijczyk go przeskoczył, by podejść do dam.

- Wybacz mi! - powiedział, a jego kredowoblada twarz wyrażała wzburzenie. - Przykro mi, że kazałem na siebie czekać.

- Co się dzieje, Estebanie? - spytała Fiora. - Źle się czujesz?

- Nie... nie, ale widziałem właśnie rzecz tak okropną, że zrobiło mi się niedobrze. Słyszycie te krzyki?

Rzeczywiście sponad dachów i z sąsiednich uliczek dobiegały wrzaski, niezrozumiałe, lecz straszne: nienawiść połączona z dziką radością wyrażającą się obłąkańczym śmiechem. Trzy kobiety przeżegnały się żywo.

- Mam wrażenie, że ta wrzawa dobiega z okolic Signorii - powiedziała Chiara. - Czyżby znalazł się jeszcze ktoś do powieszenia?

- Nie. Wymyślili coś lepszego.

I Esteban opowiedział, jak banda mężczyzn i kobiet, w większości przybyłych ze wsi, otworzyła w kościele Santa Croce grób Jacopa Pazziego i wydobyła z niego zwłoki starca, o którym opowiadano, że zanim został powieszony, bluźnił i zaprzedał duszę diabłu. Ludzie ci przypisywali świętokradztwu, polegającemu na pochowaniu w poświęconej ziemi ciała wysłannika szatana, gwałtowne ulewę, z powodu których cierpiała Florencja i jej okolice.

- Co chcą z nim zrobić? - wyszeptała Fiora z obrzydzeniem.

- Nie wiem. Na razie ciągną tego okropnego, cuchnącego trupa po ulicach, przed siedzibę priorów. Wybacz, że cię poganiam, ale myślę, że w tej sytuacji lepiej byłoby wracać.

- Jedź beze mnie! Spędzę kilka dni z donną Chiara w pałacu Albizzich. Powiedz Demetriosowi, żeby się nie niepokoił, a jeśli zgodzisz się przyjechać jutro, powiedz również Samii, żeby przygotowała dla mnie trochę ubrań.

Esteban uśmiechnął się z aprobatą.

- Dobrze ci zrobi, jak pomieszkasz trochę z kobietami - stwierdził. - Ale na wszelki wypadek odprowadzę was do pałacu Albizzich. Będę spokojniejszy.

- Och! Spójrzcie! - zwołała Colomba, wskazując niebo palcem drżącym z ekscytacji. - Słońce! Słońce wychodzi!

Istotnie, chmury rozstały się, jakby rozdarte nagłym porywem wiatru, i świetlista strzała promienia zapaliła błyski na dnie rynsztoka farbiarzy. Od strony Signorii dobiegł okrzyk, tym razem tryumfu, witający to nieoczekiwane zjawisko.

- Uznają to przejaśnienie za znak z nieba i zachętę - warknął Kastylijczyk. - Teraz niewiele brakuje, żeby wykopali kolejnych...

Kiedy zmierzając w kierunku domostwa Chiary, dotarli na Borgo degli Albizzi, którego jedną z największych ozdób był pałac Pazzich, Fiora nie mogła powstrzymać odruchu litości. Wspaniała budowla, rozpoczęta w połowie wieku przez Brunelleschiego i zakończona przez Giuliana da Maiano, srodze ucierpiała w wyniku gniewu ludu. Szybki w oknach były potłuczone, herb nad

wyważonymi drzwiami rozbito młotkiem, a wszędzie widniały ślady pożaru, który strawił wnętrze. W wysokiej czworokątnej wieży leżały sterty szczątków niegdyś cennych przedmiotów, które rozbito, nie znając ich wartości. Była to już tylko pusta skorupa, z której uciekły wdowy i dzieci, szukając schronienia na wsi lub pod dachem miłosiernych ludzi.

- Nie rozczulaj się! - powiedziała Chiara, która odgadła myśli przyjaciółki. - Ci ludzie kazali zburzyć twój dom, który dziś jest jeszcze bardziej zniszczony niż ten. Poza tym ich kobiety nie będą tak prześladowane jak ty. Z wyjątkiem jednakże. .. w każdym razie taką mam nadzieję... tej okropnej Hieronimy, która podobno wróciła.

- Ona nie żyje - powiedziała Fiora. - Została zasztyletowana w domu Marina Bettiego przez jednego z moich przyjaciół, kiedy próbowała mnie udusić.

- A to ci dopiero nowina! - zawołała Colomba, która nadal dzierżyła palmę pierwszeństwa wśród florenckich plotkarek. - Dlaczego więc nie mówi się o tym na targu?

- Ponieważ monsignore Lorenzo tak chciał - odpowiedziała Fiora. - Na jego rozkaz kilku ludzi Savaglia zburzyło dom, grzebiąc jej zwłoki na zawsze. Ciało pozostało przybite do podłogi sztyłem, który zadał jej śmierć i którego właściciel nie chciał zabrać. Podobno na ruinach zatknęto tabliczkę.

- A co jest napisane na tej tabliczce? - zapytała Colomba z wielkim zainteresowaniem.

- „Tu uderzyła florencka sprawiedliwość. Przechodniu, odejdz!”

- To niemal zbyt piękne dla tej wstrętnej kreatury - zauważyła Chiara. Po czym, jakby wygłaszała mowę pogrzebową, zakończyła: - W każdym razie dobrze się stało, że nie żyje.

- Lepiej niż myślisz! - powiedziała jej przyjaciółka.

* * *

Znalezienie się u Albizzich, w znajomym otoczeniu, w którym przeżyła same dobre chwile, dało Fiorze rozkoszne wrażenie, że czas nie istnieje i że przeszłość powraca. Nic się tu nie zmieniło, przedmioty pozostały na miejscu, a zapach wosku i żywicy sosnowej był dokładnie taki jak zawsze. Smażone w cukrze śliwki, arcydzieło Colomby, podane jej zaraz po przekroczeniu progu, były tak samo pyszne. Nawet wuj Chiary, stary messire Lodovico, nie zmienił się ani o włos. Wróciwszy na wieczorny posiłek, uściskał Fiorę tak, jakby widział ją w przeddzień, wygłosił komplement na temat jej pięknego wyglądu i zniknął w swoim studiolu z pośpiechem człowieka, którego czas jest bezcenny. Był bowiem zapalonym przyrodnikiem, który czas niepoświęcony botanice, minerałom i różnym gatunkom motyli uważał za stracony. Dobry i

prostoduszny, naiwny jak dziecko, zawsze przed zabraniem się do pracy prosił Boga, by dał mu siłę i rozum. Lorenzo bardzo go lubił, podobnie jak lubili go jego ojciec i dziadek, i to w dużej części dzięki niemu pozostali członkowie klanu Albizzich, niegdyś skazani na wygnanie mogli wrócić do Florencji.

Był również niewiarygodnie roztargniony, a wydarzenia zewnętrzne toczyły się jakby poza jego świadomością. I tak podczas kolacji, na którą Colomba podała swoje popisowe danie - faszerowane gołębie - wyraził bezbrzeżne zdumienie, że wracając od swego przyjaciela Toscanello, natknął się na zwłoki starego Pazziego, które grupa ludzi wlokła po bruku.

- Z trudem go rozpoznałem, bo trup był w bardzo złym stanie. Zresztą nie rozumiem, co ten Pazzi tam robił, bo nawet nie wiedziałem, że nie żyje.

- Drogi wuju - powiedziała Chiara ze śmiechem - jakież kataklizm byłby na tyle straszny, byś oderwał się od swych badań i zainteresował życiem miasta? Po zabójstwie brata, Lorenzo Medyceusz i Signoria postanowili wytepić Pazzich. Nie pamiętasz, że ich pałac spłonął dwa tygodnie temu?

- Prawda! Przypominam sobie. W każdym razie dziarski Petrucci zaczął wrzeszczeć, że trzeba przerwać ten odrażający przemarsz, jako że słońce wróciło, i wtedy już przestałem cokolwiek rozumieć. Co ma do tego słońce? Słońce przecież świeci we Florencji codziennie?

- Od miesiąca już nie, ale najwyraźniej tego nie zauważyłeś. Ci nieszczęśnicy myślą, iż nieustające deszcze wzięły się stąd, że Pazziego, wyznawcę szatana, pogrzebano w kościele. Mam nadzieję, że mimo wszystko gdzieś go pochowają?

- A tak!... Pochówek! Zdaje się, że Petrucci coś na ten temat powiedział. Zakopie się starego łotra przy murach obronnych, obok bramy San Ambrogio, jak mi się zdaje. Colombo! Zjadłbym jeszcze pół gołębia...

Po zakończeniu posiłku poszedł po grubego czarno-białego kota drzemiącego przed kominkiem, wsadził go sobie pod pachę i udał się do swego gabinetu, życzywszy obu dziewczynom dobrej nocy.

One zaś, jak niegdyś, dzieliły tej nocy łóżce Chiary. Zawsze miały sobie tyle do powiedzenia, a teraz, rzecz jasna, jeszcze więcej niż w przeszłości. To była piękna, spokojna noc, pierwsza taka od wielu tygodni, i blask księżyca, ledwie przysłoniętego lekką mgłą, spowijał pokój nieco tajemniczą poświatą. Przez otwarte okno do wnętrza pokoju wciskała się biała gałąź akacji, rozsiewając na dywanie płatki o delikatnym zapachu. W tej atmosferze, pełnej dawnej słodyczy, Fiora mogła otworzyć serce przed przyjaciółką z większą szczerością, niż robiła to kiedykolwiek wcześniej, nawet rozmawiając z

Demetriosem. Chiara jako kobieta mogła lepiej zrozumieć skryte porywy kobiecej duszy.

Tak jak grecki medyk, Chiara zachęcała przyjaciółkę do zachowania w tajemnicy nieszczęsnego małżeństwa z Carlem Pazzim.

- Zbliża się wojna i Rzym znajdzie się wkrótce znacznie dalej od Florencji niż w rzeczywistości. Istnieją wszelkie szanse, że nigdy więcej nie zobaczysz tego biednego chłopca.

- Co nie zmienia faktu, że jestem jego żoną, a on zachował się jak przyjaciel. Wiem też, że jest nieszczęśliwy z dala od ulubionego domu w Trespiano. Gdybym mogła sprawić, że go odzyska!

- Rozumiem to pragnienie, ale poczekaj jeszcze trochę. Lorenzo od czasu zbrodni robi wrażenie rozdrażnionego. Dajesz mu ukojenie, na pewno cenne, ale trzeba mieć się na baczności przed jego reakcjami. Z drugiej strony... jakie masz plany? Nie możesz trwać w tej dwuznacznej sytuacji, w jakiej się znalazłaś z powodu... miłości władcy.

- Chciałaś powiedzieć: kaprysu? Myślę, że to właściwe słowo. Kto był kochanką Lorenza przed moim powrotem? Jestem pewna, że jakąś miał.

- Tak. Bartolommea dei Nasi. Piękna dziewczyna, niezbyt rozgarnięta, ale rodzina myśli za nią. Krewni mogliby uznać za przykrość fakt, że twoja obecność osuszyła ten róg obfitości. Być może nawet narażasz się na niebezpieczeństwo.

- Popełniliby błąd, plamiąc swe sumienia zbrodnią. Odejdę od Lorenza wcześniej czy później, tylko nie chcę go ranić.

- Bądź szczerą! Nie chcesz wyrzec się tego, co ci daje!

- To prawda. Chciałabym przeciągnąć tę sytuację jeszcze trochę. Zresztą z tego, co mówi Lorenzo, wynika, że chciałby, by trwała ona długo. Zaproponował, że pośle do Plessis po mojego syna i Leonardę, ale jeszcze się nie zdecydowałam, czy tego chcę. Zresztą nie wiem dlaczego, bo przecież byłoby to w interesie dziecka. Gdyby wychowywał się tutaj, to naturalną kolejną rzeczą otrzymałby wykształcenie konieczne dla przejęcia interesów mojego ojca.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Ależ tak. Odkąd się urodził, pragnęłam wychować go na takiego człowieka, jak mój ojciec: dzielnego, wykształconego, dobrego, szlachetnego i otwartego na piękno. Czy to wydaje ci się aż tak nieprawdopodobne?

- Moja kolej na szczerą: tak.

- Ale dlaczego?

- Przecież to nie ja poślubiłam messire de Selongeya! Zapominasz, że twój syn jest również jego dzieckiem i nosi znaczące w jego kraju nazwisko, choćby było to nazwisko człowieka, który na szafocie zapłacił za wierność przegranej sprawie. Nie możesz z niego zrobić florenckiego mieszczanina...

- Nie widzę, co miałby na tym stracić.

- Możliwe, że ty tego nie widzisz, ale on pewnego dnia to dostrzeże. Kiedy dorośnie, zacznie zadawać pytania, na które będziesz musiała odpowiedzieć. Kto ci powiedział, że nie będzie wolał życia banity, nędznego, lecz zgodnego z tym, co wybrał jego ojciec, od życia w przepychu, o którym dla niego marzysz, a w którym się nie odnajdzie? Ty sama zostałam oderwana od swoich korzeni i wiesz, jaka jest tego cena. Nie poddawaj swojego dziecka tej samej próbie! Wychowaj je w miłości i pamięci o twoim małżonku...

- Czy jest to naprawdę nie do pogodzenia z byciem jedną z najważniejszych osobistości naszego miasta?

- Może jest, ale pod warunkiem, że nie będziesz, i to już od dawna, kochanką Lorenza. Wiem - dodała Chiara z uśmiechem. - Wygląda na to, że zachęcam cię do powściągliwości, nieleżącej w twojej naturze, ale myślę, że gdybym miała dziecko, to bym się na nią zdecydowała z radością...

Fiora, nie odpowiedziawszy, otoczyła ramieniem szyję przyjaciółki, pocałowała ją, a potem przytknęła twarz do jej twarzy, nie zdając sobie sprawy, że po policzkach spływają jej łzy.

- Nie płacz - powiedziała Chiara. - Jestem pewna, że czekają cię jeszcze piękne chwile... A teraz może byśmy już zasnęły? Niedługo zacznie świtać.

Nie obudziło ich światło dnia, lecz przeraźliwy ryk Colomby. W okamgnieniu, bosy i w koszulach nocnych, znalazły się na marmurowych schodach, biegnąc ku szeroko otwartym drzwiom pałacu, w których leżała zemdlona gruba Colomba. Służąca bez przekonania poklepywała ją po policzkach, a na zewnątrz lokaj wygrażał komuś, przeklinając. Jakiś szalenie elegancki mężczyzna wtórował mu wraz z Lodovikiem Albizzim, który w szlafroku i z kotem pod pachą tupął i wydawał nieartykułowane okrzyki.

Podbiegając do nich, młode kobiety dostrzegły grupkę dzieci, która oddalała się, tańcząc i ciągnąc coś za sobą na sznurku.

- Co to jest, wuju? - zapytała Chiara zaniepokojona widokiem czerwonego z wściekłości starca.

- To ciągle ten stary diabeł Jacopo Pazzi! Wciąż jeszcze ciągną go po ulicach! Nigdy nie widziałem tak ruchliwego nieboszczyka...

Fiora podała biednej Colombie kilka kropel nalewki i dowiedziała się od niej, co zaszło. Dawna piastunka Chiary nadzorowała właśnie przygotowanie

porannego posiłku, kiedy usłyszała dobiegający z ulicy śpiew dzieci. Chwilę później ktoś mocno załomotał kołatką do drzwi. Colomba poszła otworzyć i wtedy właśnie wydała ten okrzyk, który obudził domowników: na wpół rozłożone zwłoki przyczepione do framugi kiwały się bezwładnie, a wokół nich śmiały się i krzyczały dzieciaki.

- Zapukaj do drzwi, messire Jacopo! Zapukaj do drzwi! Otwórzcie panu Jacopo dei Pazzi!

Splószło je nagłe przybycie siedzącego na koniu eleganckiego młodego mężczyzny. Spiesznie odczepiły swoje ohydne trofeum i powlokły je dalej, lecz obrzydliwy odór zdawał się przyklejony do kamiennego progu i teraz z kolei Fiora poczuła, że robi jej się słabo.

- Czy nie można by zabrać donny Colomby do domu? - spytała, podczas gdy Chiara starała się wprowadzić do środka wuja, który zawzięcie gestykułował, wzywając milicję.

- Oczywiście! - zawołał młody człowiek, chwytając lokaja za ramię. - Wnieśmy ją!

Fiora się odsunęła i dwaj mężczyźni przenieśli Colombę, której drżące nogi odmówiły posłuszeństwa. Nagle spojrzenie młodzieńca napotkało wzrok Fiory i omal nie upuścił on chorej:

- Madonna santissima! To ty?... Słyszałem, że wróciłaś, ale nie mogłem w to uwierzyć.

- Dlaczego? Bo sądziłeś, że nie żyję? To było rzecz jasna wygodniejsze, zapewniało spokój umysłu.

Ironiczne spojrzenie Fiory raczej z rozbawieniem niż z urazą mierzyło dawnego wielbiciela. Luca Tornabuoni wciąż był tak przystojny, jak wówczas, gdy żarliwie ubiegał się o rękę Fiory. Może był nawet przystojniejszy, gdyż w ciągu tych trzech lat utracił pewną delikatność wieku młodzieńczego, a zarazem to, co w nim jest rozczulającego. Fiora wiedziała jednak, jaką tchórzliwość skrywała ta twarz o profilu godnym wybicia w brązie. W dniu katastrofy, kiedy rozpadło się całe jej życie, Luca pospiesznie wmieszał się w tłum, nie próbując nawet udzielić pomocy tej, w której, jak twierdził, był tak nieprzytomnie zakochany.

- No, na co czekacie? - zawołał Albizzi, który postanowił wreszcie wrócić do środka. - Trochę zwawiej, do diabła! Upuście tę biedną kobietę. A wy, dziewczęta, co tam robicie? - dodał pod adresem Fiory i Chiary. - Może jestem roztargniony, ale nie na tyle, by nie zauważyć, że jesteście w koszulach! W koszulach! Na ulicy! No już! Do środka!

Trzymając się za ręce, młode kobiety wbiegły ze śmiechem po schodach, a Luca zawołał za nimi:

- Pozwól mi się z tobą zobaczyć, Fioro! Musimy porozmawiać! Powiedz, że mogę przyjść!

Przechylając się przez poręcz, Fiora rzuciła:

- Nie jestem u siebie. A poza tym ja nie mam ochoty cię widzieć!

To jednoznaczne oświadczenie nie zniechęciło Luki do ponownego przyjścia w ciągu dnia, lecz Fiora odmówiła przyjęcia go, zresztą podobnie uczyniła nazajutrz. Usiłowała zrozumieć, dlaczego temu chłopcu, niegdyś jej wielbicielowi, którego hołdy przyjmowała, gdyż był przystojny i szykowny, lecz którego uczuć nie odwzajemniała, tak bardzo teraz zależało na spotkaniu. Tym bardziej że według Chiary był żonaty i miał dziecko.

- Jeśli zacznę utrzymywać stosunki ze wszystkimi żonatymi mężczyznami w mieście, to moja reputacja szybko legnie w gruzach - wyznała Chiarze. - Zresztą zupełnie nie mam ochoty z nim rozmawiać.

* * *

Tym razem piękna pogoda powróciła i utrzymywała się ku ogólnemu zadowoleniu, choć osoby poważne odrzucały jakikolwiek związek między kapryсами nieba a doczesnymi szczątkami Jacopa Pazzięgo; te zresztą ostatecznie opuściły Florencję, spływając rzeką, do której gonfalonier kazał je zrzucić z mostu Rubaconte.

Tęgo dnia dwie przyjaciółki, które chętnie spacerowały po Florencji, wreszcie znów spokojnej, postanowiły wejść na wzgórze San Miniato. Minął czas kwitnienia glogów i fiołków, ale Fiora i Chiara zawsze lubiły to urocze miejsce, z którego roztaczał się piękny widok na Florencję i cały region. Niedawne ulewy nie spowodowały większych szkód wokół starego kościoła i pałacu biskupów. Wyniosłe cyprysy czerniły się na szczycie wzgórza i jak bariera chroniły przed naporem roślinności, bujnie rosnącej po trzech słonecznych dniach.

Stojąc na niewielkim tarasie przed kościołem, młode kobiety przez chwilę przyglądały się miastu rozciągającemu się u ich stóp i spowitemu tęczową mgiełką zapowiadającą upał. Zapach traw, melisy, mięty i kopru unosił się z położonych poniżej warzywników. Powietrze było cudownie ciepłe, a na bezchmurnym, błękitnym niebie śmigwały jaskółki jak cienkie, czarne strzały.

Siedząc na trawie pod sosną, której suchą igłę pogryzała, Fiora rozkoszowała się tą chwilą powrotu do ukochanego miasta, w którym mogła być sobą. Ani Chiara, ani ona sama nie odczuwały potrzeby rozmowy, przekonane o

spokojnym porozumieniu, w którym pławiły się ich umysły. Nieco na uboczu, oparta o drzewo, spała Colomba, z nosem wtulonym w pokaźny tors.

Fiora miała zamiar pójść w jej ślady, kiedy między nią a widokiem miasta pojawił się jakiś cień. Drgnęła, rozpoznając Lucę Tornabuoniego, który właśnie przyklęknął, aby być na jej poziomie. W jednej chwili poczuła irytację, a jej reakcja była natychmiastowa:

- Idź stąd! Powiedziała, że nie chcę cię więcej widzieć!

- Chwileczkę, Fioro! Tylko chwileczkę! Wiem, że masz do mnie żal...

- Żal? Zapomniałam wręcz o twoim istnieniu. Przypominanie mi o nim nie jest dobrym pomysłem!

- Nie bądź taka zawzięta! Wiem, że zachowałem się wobec ciebie niewłaściwie, ale później tak bardzo cierpiałem z tego powodu...

- Cierpiałeś? Nawet nie wiesz, co to znaczy. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby zobaczyć, jakiej szkody doznałeś przez te ostatnie lata: wyglądasz wspaniale, dostatnio, masz młodą małżonkę i syna, jak mi mówiono. Rzeczywiście, nic tylko się i płakać.

- Pozwól mi przynajmniej powiedzieć coś na swoją obronę! Chiaro, proszę, zostaw nas na chwilę samych.

Ta jednak, zamiast odejść, wyciągnęła się na trawie jak długa.

- Nie ma mowy! Za dobrze mi tutaj. Poza tym ona nie ma ochoty cię słuchać. Nie lubi tchórzy.

- Nie jestem tchórzem i dobrze o tym obie wiecie! Na turniejach jestem nieustraszony.

- Byle gamonia na to stać, jeśli tylko ma mięśnie, dobrą broń i wytrenowanego konia - ucięła Fiora. - Nie na tym polega odwaga.

- Co zatem miałem zrobić? Przeciwstawić się samotnie rozjuszonemu tłumowi? To było przerażające...

- Sądzisz, że tego nie wiem? Co miałeś zrobić? Podejść do mnie, podać mi pomocną dłoń, której tak potrzebowałam. Pozostać u mego boku. Ale ty uciekłeś jak ścigany zając. Gdyby nie Lorenzo...

- Cóż tak niezwykłego ma w sobie mój kuzyn? Mógł cię uratować, a nic nie zrobił - powiedział Luca cierpko.

- Zrobił znacznie więcej, niż sądzisz, i to, że żyję, zawdzięczam jemu.

- Płacisz mu za to bardzo szczerze, jeśli wierzyć pogłoskom. Zostałaś jego kochanką?

- To prawda, ale nie wiem, dlaczego cię to obchodzi.

- Ależ ja cię kocham! Nigdy nie przestałem cię kochać, tęsknić za tobą. Chciałem ruszyć ci z pomocą, ale ojciec mnie zamknął i...

- I uznałeś, że wygodniej będzie pozostać w zamknięciu. Po czym popędziłeś ślubować innej. A może mojemu przyjacielowi, Demetriosowi, śniło się, że widział cię z ładną, rudowłosą dziewczyną? Skończmy z tym, Luco! Kiedyś słuchałam cię z przyjemnością, ale cię nie kochałam. Nigdy cię nie kochałam. Dlaczego miałabym teraz się tobą zainteresować?

Wstała, by się od niego odsunąć. Wyciągnął błagalnie ręce, aby ją zatrzymać, ale czarny jedwab sukni prześliznął mu się między palcami. Chiara także wstała i znalazła się pomiędzy nimi. Uspokajająco położyła rękę na ramieniu młodego mężczyzny.

- Zapomnij o niej, Luco! Poczujesz na nowo dawną napiętność, kiedy znów ją ujrzysz, ale jesteś podobny do dziecka, które domaga się dawniej wzgardzonej zabawki, gdy dano ją jego bratu, i które tupie, by ją odzyskać. Nie można do niczego zmusić serca kobiety...

- Tak? A czy kiedyś kochała Lorenza? A przecież teraz jest jego!

- Nie jestem niczyja! - zawołała Fiora, tracąc cierpliwość. - Może istotnie jestem coś winna twemu kuzynowi, ale nie tobie! Przestań więc zawracać mi głowę i idź sobie! Wracaj do rodziny! Nie chcę cię więcej widzieć ani słyszeć.

Gwałtowny poryw gniewu zabarwił na purpurowo piękną twarz Luki i roziskrzył jego czarne oczy.

- Nigdy się mnie nie pozbędziesz, Fioro! I na świętego Łukasza, mojego patrona, będę umiał zaprowadzić cię tam, gdzie chcę!

- Twój święty patron był lekarzem. Błagaj go, by cię uzdrowił, gdyż tracisz rozum. To będzie rozsądniejsze!

Biorąc Chiare za rękę, ruszyła w stronę Colomby, którą podniesione głosy już dawno obudziły i która śledziła scenę z zachłannością napiętej miłośniczki romansów. Pojawszy, że uporem nic nie wskóra, Luca Tornabuoni podszedł do konia przywiązanego do jednego z odlanych z brązu pierścieni przy pałacu episkopalnym. Gest, którym pożegnał trzy kobiety, mógł równie dobrze oznaczać pożegnanie, jak groźbę.

- Możesz mi powiedzieć, co mu się stało? - spytała Fiora, wzruszywszy ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może jest szczery, mówiąc, że nigdy cię nie zapomniał, choć Cecilia, jego żona, jest czarująca. Sądzę, że jego obecne zachowanie można wyjaśnić w trzech punktach: znów cię zobaczył, wie, że Lorenzo jest twoim kochankiem... i nudzi mu się, jak to się zdarza osobom bogatym, niezbyt wykształconym i nie bardzo wiedzącym, co robić z czasem. Jednakże strzeż się: miłość rozpieszzonego dziecka może stać się źródłem kłopotów. Zwłaszcza jeśli postanowisz zamieszkać tutaj.

- Zobaczymy! Zawsze mogę wyjechać do Francji.

Po powrocie do pałacu Albizzich Fiora zastała bilecik, który przyniesiono dla niej po południu. Zawierał tylko kilka słów. Zaczerwieniła się trochę, czytając je, i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Tęsknię za Tobą! Wróć! Posąg jest znacznie mniej piękny niż Ty. Jutro musisz być w moich ramionach, w przeciwnym wypadku sam po Ciebie przyjadę. L.

Złożyła bilecik i wsunęła go za gorset troszkę nerwowym gestem. Chiara wybuchnęła śmiechem.

- Wzywa cię?

- Tak.

- A ty... ty nie chcesz, żeby czekał? - Nie...

- Sprawa została rozpatrzona pozytywnie! Jutro odprowadzę cię z Colomba do murów obronnych i dam ci dwóch służących na resztę drogi.

- A może teraz ty przyjedziesz na kilka dni do Fiesole?

- Może później... Lorenzo nie byłby zadowolony z mojej obecności, a ja nie chcę mu się narażać.

Nazajutrz Fiora, Chiara i Colomba, zakupiwszy lekkie materie w przewidywaniu letnich upałów, wychodziły ze sklepu na via Calzaiuoli i podchodziły do mułów pilnowanych przez dwóch służących, kiedy ulica wypełniła się rozkrzyczanym i gestykującym tłumem uzbrojonym w kije, noże i inne przedmioty, który wrzeszczał: „Śmierć Pazzim!... Sprawiedliwości!... Wolności!... Śmierć dla Pazzich i żółtej dziewczyny!”.

- Boże! - jęknęła Chiara. - Znowu zaczynają! Wygląda na to, że znaleźli jeszcze jednego!

Skutek tych krzyków był magiczny. W okamgnieniu zniknęły stragany, trzasnęły okiennice i ulica opustoszała.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy też stąd poszły? - zaproponowała Colomba, której sługa pomagał dosiąść muła. Jednak Fiora, już w siodle, nie słuchała jej. Wręcz przeciwnie - ruszyła w kierunku tłumy.

- Wracaj! - zawołała zaniepokojona Chiara. - Zadepczą cię!

- Popatrz tylko, kto prowadzi tę horde! - powiedziała, wskazując jeźdźca jadącego na czele i odwracającego się, by czegoś pilnować.

Chiara podjechała do przyjaciółki.

- Ależ to Luca! - szepnęła zdumiona. - Co mu przyszło do głowy, żeby bawić się w prowodyra? I to prowodyra szczególnie zajadłego!

Rzeczywiście głos Luki Tornabuoniego zdawał się rozkazywać:

- Nie teraz! Nie wolno ich teraz zabijać! Poderżniemy im gardła na grobie Giuliana i zaniemiemy ich głowy mojemu kuzynowi Lorenzowi!

Burzliwa aprobata była odpowiedzią na te straszliwe słowa, które w duszy Fiory wzbudziły odrazę. Nigdy nie przypuszczałyby, że jej dawny wielbiciel może skrywać za obliczem greckiego boga mroczną duszę i skłonności godne tych Pazzich, którym chciał podrzynać gardła. Śmiało ruszyła mu naprzeciw i ustawiła swego muła w poprzek ulicy. Chiara i dwaj służący zrobili to samo, porzucając zalewającą się łzami biedną Colombę przekonaną, że młode kobiety zostaną zmasakrowane, i wzywającą na pomoc wszystkich świętych.

- To zapewne jedna z postaci twojej odwagi? - rzuciła Fiora z pogardą, gdy znalazła się wystarczająco blisko, by ją usłyszał. - Komu chcesz poderżnąć gardło?

- Cóż to, Fioro? Sądziłem, że zamierzałaś więcej się do mnie nie odzywać ani słowem - powiedział Luca z uśmiechem, który uznała za upiorny.

- Nie do ciebie mówię, lecz do mordercy, który...

Nagle zbladła jak ściana, gdyż rozpoznała dwoje nieszczęśników, mężczyznę i kobietę, wleczonych siłą, choć ledwie trzymali się na nogach. Byli pokryci kurzem, obdarci, a na ich twarzach widniały ślady krwi. Byli to jednak niezaprzeczalnie Carlo Pazzi i Khatoun. Z okrzykiem zgrozy Fiora popędziła swojego muła w tłum, nie przejmując się tym, że kopyta zwierzęcia mogą kogoś stratować. Jako że Chiara i służący ruszyli za nią, ludzie się rozstąpili, tym bardziej, że na jej widok rozległy się szepty: „To ta Fiora!... przyjaciółeczka monsignore Lorenza...”.

Dotarłszy do dwóch ofiar, które padły na kolana z wyczerpania, zeskoczyła na ziemię i pochwyciła Khatoun w ramiona. Osobnikowi, który próbował jej w tym przeszkodzić, rzuciła prosto w twarz:

- Tylko mnie dotknij, a zostaniesz powieszony! Ta młoda kobieta nigdy nie należała do Pazzich. Nazywa się Khatoun, jest Tatarką i moją niewolnicą.

Po czym, z furią odwracając się do zbliżającego się Luki, dodała:

- Nie mów tylko, że jej nie poznałeś? Ze sto razy widziałeś ją u mojego ojca!

- Och, to możliwe! - warknął - Ale co robi z tym tutaj? Nie powiesz mi, że to nie jeden z Pazzich? To ten żaloszny Carlo, wyskrobek, którego rodzina tak starannie ukrywała. Od razu go rozpoznałem, kiedy zobaczyłem, jak razem z dziewczyną przechodzi po moście.

- To znaczy, że to wszystko to twoja zasługa?

- Oczywiście! Żaden z Pazzich nie może pozostać żywy na tej ziemi, którą zbrukali - rzucił górnolotnym tonem. - Przyznaję, że mogłem się pomylić co do

twojej niewolnicy, więc ci ją zwracam. Zabierz ją sobie i pozwól nam zakończyć sprawę z tym drugim!

Chiara już zajęła się biedną Khatoun, a jej służący zanieśli ją do aptekarza, który otworzył dla niej swój sklepik. Nieszczęsny Carlo był w opłakanym stanie. Jego długie, wątle nogi uginały się pod nim, oczy były zamknięte, a twarz miała kolor popiołu. Z trudem oddychał i tylko silny uchwyt oprawców powstrzymywał go od upadku. Fiora zrozumiała, że walka się nie skończyła:

- Nie ma mowy, żebyś ty z twoimi... przyjaciółmi decydował sam o jego życiu. Tego nieszczęśnika należy zaprowadzić do monsignore Lorenza.

- Już powiedziałem, że zaniosę mu jego głowę.

- A ja nie jestem pewna, czy sprawi mu to przyjemność. Zakazał zbyt spieszego wymierzania sprawiedliwości, a lepiej nie narażać się na jego gniew.

- Gniew? Z powodu tego wyrzutka społeczeństwa? Zapominasz o jednym: to jego majątek posłużył do opłacenia morderców Giuliana.

- Majątek, którym nie on dysponował. Był zakładnikiem Francesca Pazziego, dlatego też mówię, że tylko Wspaniały może decydować o jego losie. Słyszycie, wy tam? - dodała, podnosząc głos. - Wszyscy razem zaprowadzimy Carla Pazziego do pałacu przy via Larga! Bądźcie pewni, że nasz książę będzie znacznie bardziej wdzięczny za taki hołd, niż za przyniesienie mu zwłok.

Okrzyki niezadowolenia, które rozległy się, kiedy wkroczyła do akcji, wyraźnie cichły. Mówiła w imieniu władcy, a ci ludzie sądzili, że ma do tego prawo. Zyskała nawet kilka przychylnych pomruków, kiedy dodała, że z pewnością Lorenzo będzie umiał ich wynagrodzić. Jednakże sytuacja omal ponownie nie wymknęła się spod kontroli, kiedy poprosiła, by Carlo został umieszczony na jej mule.

- Wytrzymał dotąd, to wytrzyma aż do pałacu! - wrzasnął jakiś olbrzym, na którego nagich ramionach widniały skórzane bransolety i którego poplamiona zaschlą krwią tunika świadczyła o przynależności do w cechu rzeźników.

Fiora wzruszyła ramionami.

- No to go nieś! Jesteś wystarczająco silny. Nie widzisz, że jest na wpół żywy? Za trupa nie dostaniesz ani szeląga.

Ten argument zadziałał: Carlo został wrzucony jak worek na grzbiet muła, którego Fiora sama wzięła za uzdę. Wiedziała, że rozgrywka będzie trudna, ale za nic na świecie, nawet gdyby miała utracić miłość Lorenza, nie porzuciłaby na pastwę tłuszczu tego dziwnego chłopca, który okazał jej przyjaźń w chwili, gdy wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej. W tej samej chwili Chiara wyszła

od aptekarza i natychmiast zorientowała się w sytuacji, ale Fiora nie dała jej czasu na wyrażenie zdania.

- Zabierz Khatoun do siebie! - poprosiła cicho. - Dołączę do was niedługo.
- Nie wracasz do Fiesole?
- Nie, muszę zobaczyć się z Lorenzem wcześniej.

I ruszyła w drogę na czele tłumu, który teraz kierował się raczej ciekawością niż wściekłością. Luca Tornabuoni szedł obok niej z naburmuszoną miną, a rzeźnik ubezpieczał muła z drugiej strony. Nikt nie odezwał się ani słowem aż do chwili, gdy za zakrętem ulicy pojawiła się znajoma potężna sylwetka pałacu Medyceuszy z jego ogromnymi kamieniami i łukowato sklepionymi oknami. Niegdyś każdy mógł przekroczyć jego próg i wejść przynajmniej na wielki kwadratowy dziedziniec, ale teraz zbrojne straże strzegły bramy. Z powodu zamordowania Giuliana szlachetne domostwo straciło ten przyjazny i gościnny charakter, który sprawiał, że było tak ujmujące. Zyskało natomiast na surowej wyniosłości, którą Fiora widziała w rzymskich pałacach. Florencja naprawdę bardzo się zmieniła!

Oczywiście straże skrzyżowały włócznie na widok tego ponurego i dziwnie zatrważającego tłumu. Nie opuściły ich, nawet rozpoznawszy Lucę Tornabuoniego, ale Fiora poprosiła o wezwanie Savaglia. Dowódca straży pojawił się, jak zwykle rozsierdzony:

- Co się znowu dzieje?! - wrzasnął. - Mówiłem już, że nie chcę tu więcej żadnych zgromadzeń. Rozejść się!

- Pozwól mi chociaż wejść z mułem i tymi dwoma ludźmi - powiedziała Fiora. - Chcę się widzieć z monsignore Lorenzo.

Żywe i świdrujące spojrzenie Savaglia zatrzymało się kolejno na trzech twarzach, a potem na nieruchomym ciełe.

- Ser Luca nie potrzebuje pozwolenia, by zobaczyć się ze swoim kuzynem, ty także nie, donno Fioro, ale dwaj pozostali nie wydają mi się jego znajomymi. A poza tym, co z tą całą resztą?

- Oni grzecznie poczekają, ale ja muszę się z nim widzieć osobiście - nalegała młoda kobieta. - Jest w domu?

- W swoim gabinecie. Zaprowadzę cię...

- Ja też chcę wejść! - zawołał Tornabuoni. - I nie rozumiem, dlaczego...

- Damy mają pierwszeństwo! - odrzekł szef straży, którego wilczy uśmiech wyrażał niewielki szacunek, jaki żywił dla młodego mężczyzny. - Jestem pewien, że donnie Fiorze nie zajmie to dużo czasu. Przecież możesz chwilę poczekać...

Mówiąc to, okrążył muła, starając się dostrzec twarz leżącego na nim mężczyzny.

- Nie żyje?

- Po prostu zemdłał, jak sędzę, ale może trzeba by mu udzielić jakiejś pomocy? To Carlo Pazzi, messer Savaglio. Właśnie przybył z Rzymu, kiedy został zaatakowany...

- Udzielić pomocy jednemu z Pazzich! Zdajesz sobie sprawę, Savaglio?

Fiora podeszła do Luki tak blisko, że mógł poczuć jej oddech:

- Wszyscy tutaj wiedzą, że jest niewinny - wycodziła przez zęby. - Przypomnij sobie może, że jedna z sióstr Lorenza wyszła za Pazzięgo... i że nie był on niepokojony. Lorenzo sam osądzi tego tutaj... a ja podporządkuję się jego decyzji.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła szybkim krokiem w kierunku stromych schodów prowadzących na piętra, poprzedzana przez służącego, który miał ją zaanonsować, jako że Savaglio wołał mieć na oku tę zgraję, najwyraźniej nie budzącą w nim najmniejszego zaufania.

Idąc za krocącym z namaszczeniem służącym, Fiora przemierzyła pomieszczenia, których przepych był jej tak znajomy. Pamiętała te wielkie tapiserie przetykane złotem, te kosztowne meble ustawione w celowym nieładzie na grubych dywanach pochodzących z Persji czy z odległego Kataju, te kredensy wypełnione po brzegi inkrustowanymi drogimi kamieniami przedmiotami ze złota i srebra, cały ten zbytek, na otaczanie się którym pozwala majątek i nienaganny gust. Weszła w końcu do pomieszczenia, w którym w wielkich malowanych szafach, sięgających aż do złoczonego i zdobnego w herby sufitu, można było zobaczyć mnóstwo ksiąg oprawnych w skórę, pergamin, aksamit, a nawet w cyzelowane srebro. W chwili gdy przekraczała próg, Lorenzo Medyceusz opuszczał to pomieszczenie z takim impetem, że omal jej nie przewrócił. Przytrzymał ją i na chwilę przytulił.

- Fiora! Jaka miła niespodzianka!... Poczekaj na mnie chwilę, muszę tylko zobaczyć, co to za tumult...

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. To trochę moja wina. Chodź zobaczyć!

Pociągnęła go na krużganek biegnący nad podwórcem i wskazała grupkę złożoną z Luki, muła, którego Savaglio bez zbytnich ceregieli uwalniał od jego ładunku, oraz rzeźnika.

- Wymogłam na twoim kuzynie i na zgrai, którą zebrał, by poderżnąć gardło temu nieszczęśnikowi na grobie Giuliana, żeby najpierw doprowadzono go przed twoje oblicze.

- Mam wrażenie, że go poznaję - powiedział Lorenzo, mrużąc krótkowzroczne oczy, by lepiej widzieć. - To chyba Carlo Pazzi, biedaczysko?

- Tak, to on. Przybył z Rzymu z Khatoun, moją dawną tatarską niewolnicą, zwróconą mi przez Catarinę Sforzę. Twój kuzyn i banda bydlaków zamierzała ich zamęczyć, ale interweniowałam z Chiarą i dwoma jej służącymi. Khatoun jest teraz w pałacu Albizzich, gdzie się nią troskliwie zajęto. Musisz jeszcze tylko postanowić, co z Carlem, chcę cię jednak uprzedzić, że nie zniosę, by stała mu się krzywda.

Lorenzo nie odpowiedziawszy, przechylił się nad balustradą i rozkazał dowódcy straży, by przyprowadzono więźnia. Później wziął Fiorę za rękę i zaprowadził do biblioteki, gdzie usadził ją obok wielkiej wazy z wysadzanego perłami ametystu, najcenniejszego przedmiotu w tym pomieszczeniu.

- Skąd znasz Carla Pazziego? - spytał wreszcie, a jego ostry głos miał to metaliczne brzmienie, przed którym Fiora nauczyła się mieć na baczności.

- Z Rzymu. Wraz z hrabiną Riario pomógł mi w ucieczce. Muszę ci przypominać o liście, który ci przekazałam? Oboje rozpaczliwie pragnęli, aby zamach się nie powiódł.

- Donna Catarina miała powód - powiedział Wspaniały, wzruszając ramionami. - Kochała mojego brata. Ale jaki on mógł mieć motyw?

- Byłeś dla niego dobry, chciałeś nawet, by Demetrios go leczył. Był przekonany, że byłeś jego jedynym przyjacielem w tym mieście.

Przerwało jej wejście Savaglia z dwoma strażnikami niosącymi Carla. Nieszczęśnik miał zamknięte oczy i z trudem oddychał, a na jego szczupłej twarzy wysychająca krew znaczyła czarne smugi. Położono go na wymoszczonej poduszkami ławie. Z wykręconą szyją, co zmuszało go do przekrzywiania głowy, oraz z pozbawionymi życia cienkimi kończynami przypominał bezwładną marionetkę. Pełna litości Fiora uklękła przy nim, żądając chłodnej wody, bandażu, soli trzeźwiących i kordiału. Sługa przyniósł to, o co prosiła, i przyłączył się do młodej kobiety próbującej ocucić Carla. Przyglądał się temu stojący za nimi z pochmurną miną Lorenzo. Wreszcie, kiedy już zaczynało tracić nadzieję, ranny wydał głębokie westchnienie i z trudem otworzył oczy. Coś błysnęło w ich błękitnej głębi, kiedy rozpoznał pochyloną nad nim twarz.

- Fiora! - szepnął. - To jakiś cud! Czy... dobrze się czujesz?

To pytanie, zadane dziecinnym, lecz wzruszającym głosem, wywołało jej uśmiech. Nawet gdy był na wpół żywy, pierwszą myślą tego dziwnego chłopca była troska o jej zdrowie.

- Bardzo dobrze, Carlo... i to dzięki tobie. To istotnie cud, że się spotkaliśmy, ale po co tu przyjechałeś? Nie wiedziałeś, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz?

- Wiedziałem, ale nie mogłem dłużej pozostać w Rzymie. Papież jest wściekły na Medyceuszy... i na ciebie. Wciąż mówi o wojnie! Ja zaś stałem się jedynie śladem jego dawnych nadziei i zostałem zgładzony, gdyby donna Catarina mnie nie ukryła. Ona także umożliwiła nam opuszczenie Rzymu, Khatoun i mnie. Khatoun chciała odnaleźć ciebie...

- A ty? Czy ty także chciałeś mnie odszukać? Zapadła chwila ciszy, a na twarzy rannego pojawił się cień nieśmiałego uśmiechu.

- Nie. Wiedziałem, że spotkanie ze mną nie będzie dla ciebie przyjemne. Miałem tylko nadzieję... na powrót do mojego ogrodu w Trespiano. Przeżyłem tam jedyne jasne dni mego życia. Jeśli zaś chodzi o komedię, do odegrania której nas zmuszono, chciałbym, żebyś o niej zapomniała i żebyś żyła tak, jakbym nie istniał...

- O jaką komedię chodzi?

Pytanie to zadał Lorenzo, a ton jego głosu był ostry i agresywny. Podniósłszy głowę, Fiora ujrzała jego sarkastycznie wykrzywione usta i niepokojący błysk gniewu w czarnych oczach. Znała go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że nie zadowoli się półprawdą. Nie puszczając dłoni wyczerpanego rozmową Carla, powiedziała tak cicho, iż tylko Wspaniały mógł to dosłyszeć:

- W dniu poprzedzającym moją ucieczkę z Rzymu papież udzielił nam ślubu w swojej prywatnej kaplicy...

W tej właśnie chwili, jakby niebiosa tylko czekały na te słowa, by okazać swą dezaprobatę, nad miastem przetoczył się grzmot i lunął ulewny deszcz, a zaraz potem rozległy się krzyki:

- Śmierć Pazzim! Wydajcie go nam!

Przerażona Fiora mocniej ścisnęła chudą dłoń, którą trzymała, i wyszeptwała:

- Jeśli go wydasz, Lorenzo, to i mnie będziesz musiał wydać...

Rozdział drugi

Gość w Sant-Jean

Następne chwile były straszliwe. Lorenzo, którego czarna szata czyniła jeszcze wyższym, wznosił się niczym złowróbnym cień nad rannym i klęczącą przy nim młodą kobietą. Jego zaciśnięte pięści i spięta twarz wyrażały niemy gniew, który być może budził w nim nawet mordercze instynkty. Fiora, przywołując całą swą odwagę, podniosła się powoli i stanęła naprzeciw niego, świadoma, że rzuca w ten sposób wyzwanie żadnemu zemsty władcy, a nie mężczyźnie, który czasem z miłości tracił rozum w jej ramionach.

- Decyduj! - powiedziała. - Ale decyduj szybko! Słyszysz ich?

Wrzaski stawały się coraz głośniejsze. Ulewa nie rozproszyła tłumu, który wręcz stawał się coraz liczniejszy, ale Lorenzo zdawał się nie słyszeć wrzawy. Jego oczy sondowały spojrzenie kochanki, jakby starał się wydobyć z niego jakąś ukrytą prawdę.

- Jedna z Pazzich! - powiedział wreszcie. - Jesteś jedną z Pazzich, a do tego żoną tego nędznego wyskrobka...

Wzburzenie, które odczuwała, zabarwiło się gorzkim rozczarowaniem. Jakaż to prymitywna, samcza zazdrość - najbardziej haniebna, gdyż nieznajdująca wytłumaczenia w miłości - kierowała tym umysłem, tak na ogół światłym, aby podsunąć mu tak płaską zniewagę?

- Małżeństwo zawarte pod przymusem nie może być ważne w oczach Boga, nawet jeśli pobłogosławił! Je sam papież - powiedziała. - Poza tym Carlo nawet mnie nie dotknął. - Po czym dodała z pogardą, która sprawiła, że policzki Lorenza oblały się purpurą: - Powinieneś lepiej mnie znać, a stwierdzam, że jestem dla ciebie tylko ciałem dającym przyjemność, czymś niewiele więcej niż kurtyzana. Możesz mnie więc wydać bez żalu, gdyż nie ulegnę już twoim żądom.

- To znaczy? - warknął.

- Że jutro wyjadę do Francji... oczywiście pod warunkiem, że w ciągu godziny nie zostanę zmasakrowana razem z Carlem.

- Nie występuj przeciwko mnie, Fioro! Nic na tym nie zyskasz.

- Znów ukazujesz oblicze bankiera. Czy kiedykolwiek starałam się uzyskać od ciebie jakąś korzyść? Nie zabiorę ze sobą tego, co mi dałeś, nie obawiaj się! Wszystko zostawię Demetriosowi. Jednak jeśli jesteś niezdolny do rozpoznania przyjaciół, jeśli na zawsze straciłeś uczucie litości, to moje miejsce nie jest już przy tobie.

Władczym gestem odsunęła go z przejścia i skierowała się ku drzwiom. Przytrzymała ją.

- Dokąd idziesz?

- Powiedzieć prawdę Luce Tornabuoniemu. Poinformować go, że Carlo jest moim małżonkiem i że jeśli chce go zabić, to zabije i mnie.

- Właściwie dlaczego tak ci zależy na jego życiu, skoro, jak twierdzisz, zostałam mu poślubiona siłą? Jego śmierć cię wyzwoli, dobrze o tym wiesz.

- Wyzwoli? To on zwrócił mi wolność, zawożąc mnie do pałacu Riario i wracając do domu z Khatoun ubraną w moje suknie. A podawanie w wątpliwość moich stów to niegodziwość! Przypomnij sobie, jakim człowiekiem był Filip de Selongey. Kochałam go, nadal go kocham, a ty śmiesz twierdzić, że pozwoliłam się wydać za mąż z własnej woli?

- Och, nie zapomniałem go!

Chwyciwszy Fiorę za ramię, pociągnął ją raczej, niż zaprowadził w stronę kunsztownego weneckiego zwierciadła umieszczonego obok okna i odbijającego spokój i harmonię wewnętrznego ogrodu. Teraz ukazały się w nim ich sylwetki.

- Spójrz! Przyjrzyj się dobrze! Jestem brzydki, Fioro, nawet okropny, a Carlo wcale nie wygląda lepiej ode mnie. Mimo to oddawałaś mi się raz po raz! Co więcej - to ty pierwszego wieczora wyszłaś z inicjatywą. Przypomnij sobie! Zaprowadziłaś mnie do swojej komnaty, rozwiązałaś wstążki swojej koszuli. Czy to z miłości do zmarłego męża obnażyłaś się przede mną, skusiłaś mnie swoim ciałem?

- Pragnęłam cię... i to pragnienie nie zostało zaspokojone, w przeciwnym wypadku odeszłabym...

- Lubisz miłość, którą ci daję, ale to o nim myślisz, choć nie żyje, o tym hardym Burgundczyku. A sądziłem, że udało mi się zdjąć z ciebie urok wspomnienia o nim.

- Są wspomnienia, których nie można zatrzeć, Lorenzo!

- Naprawdę? Czyżbyśmy byli do tego stopnia do siebie podobni, że przyjmujesz moje pieszczoty... a nawet je prowokujesz w tym samym pokoju, w którym on uczynił cię kobietą? To o nim myślisz, jęcząc pode mną? A przecież to moje imię wypowiedasz w chwili największej rozkoszy...

- Więc to dlatego przyjechałeś do mnie w nocy po morderstwie? - wyszeptała Fiora z goryczą. - Dla radości rewanżu, aby zatryumfować nad zmarłym? A ja myślałam, że potrzebowałeś mnie tak, jak ja potrzebowałam ciebie. Dowodzi to tylko, że połączyło nas nieporozumienie... Ale czego zamierzałeś mi dowieść, twierdząc, że Carlo jest równie brzydki jak ty? Że

wystarczy, żebym zamknęła oczy, a zaakceptuję każdego mężczyznę, byle naprawdę nim był?

Przerwał jej słaby głos, który zdawał się dobiegać spod parkietu z kosztownego drewna:

- Lorenzo, Lorenzo! Kiedy wdychasz zapach róży, zastanawiasz się, czy pamięta ona dłonie ogrodnika, dzięki którym rozkwitła? Gdzie się podziało twoje filozoficzne podejście do życia? Żyć chwilą, czyż nie tak? Zdaje mi się, że daleko ci do tego!

Lorenzo ze szczerym zdumieniem spojrział na rannego. Oparłszy się na łokciu, uniósł się on i patrzył na kochanków z ironicznym błyskiem w głębi niebieskich oczu.

- Carlo! - szepnął. - Uważałem cię za przygłupa.

- Wiem. A ja sądziłem, że jesteś inteligentny. Czyż trzeba być takim wyrzutkiem jak ja, by umieć docenić cudowny prezent od życia? Fiora i ja jesteśmy przyjaciółmi i daje mi to wystarczająco dużo radości, bym z ochotą zgodził się na wydanie tym wrzeszczącym w deszczu ludziom, podczas gdy ty, najbardziej uprzywilejowany ze wszystkich, najszcześniejszy ze wszystkich, bo to tobie się oddała, zastanawiasz się jeszcze, co może kryć się za twoimi nocami szczęścia...

Czyniąc gwałtowny wysiłek, od którego jeszcze trochę bardziej pobladł, zdołał usiąść.

- Gdybym był na twoim miejscu, zastanawiałbym się raczej nad tym, co mógłbym zrobić, by ją zatrzymać. Jednak może ciebie to w gruncie rzeczy wcale nie interesuje.

Poszukał oparcia, by wstać. Fiora szybko usiadła przy nim i unieruchomiła, otoczywszy jego plecy ramieniem. Wytarła chusteczką perlący się mu na czole pot.

- Dokąd się wybierasz w takim stanie?

- Dostarczyć żeru tym krzykliwym krukowi - odpowiedział z uśmiechem. - Nie będą się musieli specjalnie zmęczyć, jestem na wpół żywy. W pewnym sensie wyświadczą mi przysługę.

- Pójdziemy razem, Carlo. Monsignore Lorenzo nigdy nie był w stanie narzucić swego prawa, kiedy Florencja zaczynała wrzeć. To jego sposób, równie dobry jak każdy inny, by uwierzyła w to, że nadal jest republiką...

Wzgarda wibrująca w głosie młodej kobiety była dla Lorenza jak smagnięcie.

- Daruj sobie ten sarkazm, Fioro! Siedźcie tu oboje spokojnie! W istocie nadszedł czas, by pokazać, kto tu rządzi!

Dziesięć minut później via Larga odzyskała zwyczajny wygląd. Deszcz przestał padać tak nagle jak zaczął, a straż pałacu powróciły do powolnego obchodu murów. Niemal wszędzie na szerokiej ulicy zamykano okiennice sklepików. Kupcy wychodzili z domów, podobnie jak inni mężczyźni, gdyż była to święta pora spaceru. Podczas gdy ich żony zajmowały się przygotowaniem wieczornego posiłku, florentczycy spotykali się przed Duomo, Signorią lub na Mercato Vecchio, aby rozprawiać o wydarzeniach dnia lub dyskutować o polityce. Młodzi eleganci wybierali raczej most Santa Trinita, na którym zawsze o zachodzie słońca panowało wielkie ożywienie. Paradoksalnie była to także pora, kiedy mury miasta zdawały się emanować dziwną melancholią, tą morbidez, która miała pewien urok i której niczym niebiańskie głosy towarzyszyły dzwony na Anioł Pański. Głosy ludzi stawały się przytłumione i nad miastem unosił się cichy szmer.

Oparta o jedną ze zdobionych markieterią szaf zwiększających głębokość wnęk okiennych, Fiora błędziła wzrokiem wśród grup spacerowiczów w szatach i kaftanach o ciemnych barwach, którzy powolnym krokiem zmierzali na wieczorne spotkania, gawędząc kurtuazyjnie. To miasto naprawdę było niepojęte - wynosiło sztukę życia i światłe zasady filozofii na wyżyny cywilizacji, a za chwilę, żądne krwi i zdolne do wypełnienia swych ulic ludzkim śmieciem, wyrzucało ze swych wnętrzności wyjąca hałas.

Carlo, ponownie położony na ławce, zamknął oczy. Widać było, że cierpi i najwyraźniej jego stan wymagał pomocy lekarza... Kiedy Lorenzo wrócił, zastał Fiorę stojącą przy rannym i trzymającą go za rękę.

- Wygląda na to, że udało ci się ich rozgonić - stwierdziła młoda kobieta. - Co im powiedziałaś?

- Że umarł - odpowiedział, wskazując brodą na leżącego. Fiora uśmiechnęła się lekko, a jej uśmiech był na tyle pogardliwy, że lepiej niż słowa wyrażał to, co myślała. Lorenzo ze złością wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie jesteś zadowolona, tak? Co oznacza ten uśmiech?

- Nic... nic takiego! Zastanawiam się tylko, czy kiedyś, chociaż raz, ośmielisz się przeciwstawić wzburzonemu tłumowi. Dziwne zresztą, że nie domagali się ciała, żeby rozszarpać je na kawałki na grobie Giuliana.

- Domagali się. Zwłaszcza ten zadufany w sobie osioł Luca. Odesłałem go do domu, uprzedziwszy, że jeśli zobaczę, że znów bawi się w prowodyra, to wyląduje w Stinche* jako buntownik.

* **Florenckie więzienie.**

- I co dalej?

- Nie rób takiej miny jak przewodniczący trybunału, Fioro! Działasz mi na nerwy! Przypomniałem mój zakaz zbliżania się do jakiegokolwiek grobowca i powiedziałem, że Pazzi zostanie pochowany potajemnie w miejscu, które uznam za właściwe... Teraz każę go przenieść do jakiejś komnaty.

- Żeby służba dowiedziała się, że skłamałeś? Świetny pomysł! A pomyślałeś o swojej matce i żonie?

- Żadnej z nich tu nie ma. Jak tylko pogoda się poprawiła, wysłałem je do willi w Castello, żeby odzyskały spokój i odpoczęły. Jeśli zaś chodzi o służących...

- Zapomnij o nich! Albo raczej rozkaż najbardziej zaufanym, by przygotowali szczelnie zamykany powóz i niewielką eskortę dowodzoną przez Savaglia. Zabieram Carla do Fiesole. Nikt tak się nim nie zajmie, jak Demetrios.

- Chcesz dziś wyjechać? To szaleństwo! Widząc tak strzeżony powóz, ludzie zaczną sobie zadawać pytania!

- Nikt sobie nie zacznie zadawać pytań z tego prostego powodu, że wszyscy już tu wiedzą, że jestem aktualną faworytą. Nie będą zaskoczeni, że okazujesz mi pewne względy.

Zastanowił się przez chwilę, po czym podszedł do młodej kobiety, wziął ją w ramiona, zdając się nie zauważać lekkiego oporu, i wtulił twarz w jej szyję.

- Zrobmy więc jeszcze inaczej! - wyszeptał. - Savaglio zostanie tutaj, a ja sam będę cię eskortować.

- Chcesz?...

- Dlaczego nie? Skoro wszyscy już wiedzą, to nie ma żadnego powodu, by nie działać otwarcie. Wszystko, co ryzykuję, to usłyszenie w czasie drogi jakichś lubieżnych uwag na temat rozkoszy czekających mnie tej nocy. Nie, nic nie mów! Przypomnij sobie mój list: nie chcę na ciebie czekać jeszcze jedną noc...

Tymczasem tej nocy Fiora nie czuła się tak beztrosko szczęśliwa, jak w ciągu ostatnich tygodni. Pozwoliła się kochać, nie odpowiadając na żarliwość kochanka taką samą namiętnością. Może dlatego, że nie czuła się naprawdę swobodnie. W sąsiednim pokoju, do tego wieczora pustym, spoczywał Carlo, głęboko uśpiony dzięki lekowi podanemu przez Demetriosą dla uśmierzenia bólu spowodowanego kilkoma złamanymi żebrami. Jednak sama jego obecność z drugiej strony ściany krępowała Fiorę i cały miłosny kunszt Lorenza nie mógł temu zaradzić...

On, po zaspokojeniu pierwszego głodu, zauważył to i po kilku próbach obudzenia w ciele kochanki namiętności równej własnej, opadł w końcu na

łóżko, wbijając wzrok w baldachim, którego zasłony spowijały ich bielą lekko zabarwioną na różowo od światła lampki nocnej.

- Powinnaś była mi powiedzieć prawdę - westchnął. - Już mnie nie kochasz?

- Nigdy nie mówiłam, że cię kocham - szepnęła Fiora. - Zresztą ty też nie...

- Przecież chyba ci to udowadniam?

- Nie. Udowadniasz mi, że mnie pożadasz, ale twoje serce nie bierze w tym udziału.

- Przecież jestem zazdrosny i dziś z chęcią udusiłbym tego nieszczęśnika, by się go pozbyć.

- Czy to naprawdę była zazdrość? Wiesz, że nic między nami nie było i nigdy nie będzie. Czy nie chodzi raczej o to, że to Pazzi?

- Być może również... choć raczej budzi we mnie litość. A ty, Fioro, co do mnie czujesz?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Podoba mi się miłość, którą mi dajesz, a moje ciało pragnie twojego, gdy się zbliżasz...

- Nie tej nocy!

- To prawda... ale nie powinieneś mieć mi tego za złe: miałam ciężki dzień.

- A poza tym nie możesz znieść świadomości, że tamten jest tak blisko?

- To także prawda. Czuję dziwne skrępowanie... zupełnie, jakbyśmy naprawdę byli małżeństwem.

Nagle usłyszała jego śmiech.

- Jeśli tylko o to chodzi!

Wyskoczywszy z łóżka, wciągnął spodnie i buty, mimo protestów zawinął Fiorę w prześcieradło, narzucając na nią kilka poduszek, po czym schwycił to wszystko w ramiona, wybiegł z pokoju, zszedł po schodach, przeciął westybul i popędził przez ogród, jeszcze mokry po niedawnym deszczu, do niewielkiej sztucznej grotty z kamieni i muszli, w której niegdyś Francesco Beltrami lubił chronić się przed letnimi upałami. Pośrodku niej znajdował się zbiornik i fontanna z głową lwa, a szum wody koił przeciążony pracą umysł wielkiego kupca.

Lorenzo postawił Fiorę na ziemi, rozrzucił poduszki i opadł na nie wraz z młodą kobietą, odwinąwszy ją z prześcieradła.

- No i już! - oświadczył wesoło. - Żadnych kłopotliwych sąsiadów! Odtąd tutaj będziemy się kochać.

Fiora nie mogła mu się oprzeć. Porwana szaloną sarabandą pieśczęt dała się pokonać potrzebie miłości i swojej młodości.

Nazajutrz, za sprawą Wspaniałego, mała grotta przystrojona w lilie wodne, mieniające się satyny, turkusowe kryształki i jedwabisty dywan podobny do

błękitnej trawy, przybrała wygląd zaczarowanej kryjówki z orientalnych baśni. Miłość nabrała tam nowego smaku, gdyż wyzwalała się z ograniczeń narzucanych przez wielką wille i dawała kochankom cudowne wrażenie, że są sami w sercu pierwszego na świecie ogrodu.

Pewnej nocy, gdy po kąpieli i kochaniu się w zbiorniku fontanny Lorenzo z nabożną starannością wycierał ciało kochanki, Fiora podała mu kielich cypryjskiego wina, z którego wcześniej upiła kilka łyków, i westchnęła:

- Wstydzę się samej siebie, Lorenzo... Nigdy nie zdołam od ciebie odejść...
- Mam nadzieję. Dlaczego mielibyśmy się rozstawać?
- Zapominasz, że mam dziecko, którego nie widziałam od miesiący ... i że tęsknię za nim.

- Wkrótce po nie poślę. Wiesz, często myślę o nas i nie brak mi pomysłów na przyszłość. Wydałem nawet rozkaz wyremontowania dla ciebie dawnego pałacu Grazzinich. Będiesz tam mieszkać ze swoim synem i domownikami pod nazwiskiem de Selongey. Nie... nic nie mów! Uczynię z twego syna jednego z najważniejszych ludzi we Florencji. Będzie bogaty, możny i nic nie stanie na przeszkodzie, by w stosownym czasie służył pod sztandarem władcy, którego wybierze... My zaś będziemy razem, moja cudna, i będę mógł nadal otaczać cię troską... i miłością.

- Miłością?

- Ależ tak. Jeśli nawet to, co nas łączy, nią nie jest, to jest do niej ogromnie podobne. Florencję czekają mroczne dni, Fiore. Będę potrzebował, bardziej niż kiedykolwiek, tych niezwykłych godzin, które mi dajesz. Ty zaś zajmiesz w sercach mych poddanych miejsce należące kiedyś do Simonetty, gdyż pociąg do piękna doskonałego jest istotą ich natury. Zdaje im się, że Florencja może błyszczeć tylko, jeśli jej inkarnacją jest olśniewająca kobieta... Niczym się nie przejmuj! Pozwól mi działać! Razem wygramy batalię z tym nikczemnym papieżem, który chce nas unicestwić.

* * *

Istotnie, Sykstus IV rozpoczął nieprzyjazne działania. Brewe z dnia 1 czerwca 1478 roku nakładało ekskomunikę zarówno na Lorenza, którego największą winą w oczach papieża był fakt, że jeszcze żyje, jak i na priorów z Signorii, „opętanych przez diabelskie podszepty, rozszalałych jak wściekłe psy”, za to, że śmieli powiesić arcybiskupa-zabójcę przed swoimi oknami.

Lorenzo przyjął tę wiadomość bez mrugnięcia okiem. Nie interesowały go gromy ciskane przez tak niewiele wartego papieża. Ograniczył się do odesłania do Sieny młodego kardynała Rafaela Riario, który od czasu popełnionego w katedrze morderstwa żył w stanie głębokiego szoku. W niczym jednak nie

zmniejszyło to gniewu papieża. Florentyńczycy otrzymali polecenie wydania Lorenza Medyceusza sądowi kościelnemu, przed którym odpowiadać miał za swe zbrodnie. Nakaz ten nie odniósł żadnego skutku. Lud sprzeciwił się temu wezwaniu do buntu: nie przyjmował żadnych poleceń od papieża w odniesieniu do spraw ziemskich. Jednomyślnie i jednogłośnie skupił się wokół władcy, którego wybrał, dzieląc jego smutek po śmierci brata, w którym każdy florentczyk widział najdoskonalszy wyraz czaru i sztuki życia swego miasta.

Papież rozpoczął wówczas przygotowania do „świętej wojny”. Rekrutując kondotierów i zacieśniając sojusz z Neapolem i Sieną, wysłał jednocześnie listy do wszystkich chrześcijańskich książąt Europy, wzywając ich do wzięcia udziału w tej krucjacie.

Rezultat tej pełnej gniewu korespondencji znacznie odbiegał od nadziei pokładanych w niej przez autora. Europejscy władcy nie widzieli żadnego powodu, by ruszać do ataku na Florencję w celu przypodobania się papieżowi pragnącemu ukarać świętokradczy zamach w kościele poprzez unicestwienie miasta. Odpowiedzi przesłane do Watykanu, pełne rewerencji i gładkich formułek, charakteryzowały się zniechęcającą banalnością. Tylko jeden z adresatów nie odpowiedział: król Francji. Postanowił on przedstawić swoją opinię na własny sposób.

Pewnego wieczoru w połowie czerwca Fiore, wiedząc, że Lorenzo zajęty jakimiś sprawami nie spędzi z nią najbliższej nocy, spacerowała w ogrodzie z Demetriosem i Carlem, którego każde z nich podtrzymywało z jednej strony. Wspaniale leczony przez Greka, uwolniony od okrutnego przymusu udawania, który narzucił sobie od dzieciństwa, aby przeżyć, młody mężczyzna dał się porwać zwykłej radości istnienia. W otoczeniu zbliżonym do tego, które kochał, Carlo poddawał się troskliwym zabiegom leczniczym, rozkoszował się przyjazną atmosferą i spędzał całe dni w towarzystwie mężczyzny o szerokich horyzontach i wielkiej wiedzy oraz zachwycającej kobiety okazującej mu siostrzane przywiązanie. Dokładnie wiedział, oczywiście, co działo się nocami w małej grocie, lecz nie czuł się nigdy małżonkiem Fiory, więc tylko się uśmiechał, szczęśliwy, że po tylu trudnych przeżyciach jego przyjaciółka znalazła coś w rodzaju szczęścia. Był jednakże zbyt wrażliwy, by nie zdawać sobie sprawy z nietrwałego charakteru tej miłosnej przygody.

- Dwoje rozbitków, którzy znaleźli się na tej samej tratwie! - powiedział pewnego dnia do Demetriososa. - Znaleźli na niej prowiant, a ponieważ morze się uspokoiło, ponieważ niebo jest błękitne, myślą, że dotrą do jakiegoś zaczarowanego brzegu, gdzie zaznają wiecznej miłości i wiecznej młodości.

- Naprawdę myślisz, że ich miłość jest zagrożona?

- Nie może być inaczej: są zbyt różni. Fiora jest zbyt szlachetna, zbyt dumna, by zaakceptować rolę oficjalnej faworyty, którą narzuca jej Lorenzo. A poza tym... ona go tak naprawdę nie kocha. Jej oczy nie błyszczą, kiedy słyszy jego imię, bo nie rozbrzmiewa ono w jej sercu.

- Może pewnego dnia będzie inaczej? Zdarza się, że namiętność fizyczna przekradza się w głębokie uczucie.

- Wypełnij piaskiem bęben i uderz weń! Nigdy nie zadudni. Serce Fiory jest jak ten bęben i wspomnienie innego zajmuje w nim całe miejsce.

- Ten inny nie żyje.

- To nic nie zmienia. Lorenzo, nawet tego nie podejrzewając, pomaga tylko Fiorze spędzać przyjemnie kolejne dni życia, u kresu którego odnajdzie ona dłoń tego, którego wybrała...

Od tamtej chwili Demetrios darzył młodego kalekę głęboką przyjaźnią. Kiedy zablizniły się rany, nie mógł już nic więcej zrobić dla jego zniekształconego ciała, ale obiecał sobie wspierać rozwój umysłu, który zyskał jego szacunek.

Rozmyślał o tej rozmowie, kiedy w trójkę schodzili powoli po szerokich, łagodnych schodach łączących poszczególne tarasy ogrodów. Fiora sprawiała wrażenie szczęśliwej. Podtrzymując Carla pod lewe ramię, rozprawiała wesoło o zmianach w urządzeniu domu i w jego otoczeniu, które zamierzała wprowadzić. Jej delikatny profil obramowany lekkim jasnoniebieskim woalem odcinał się wyraziście, niczym na starej rycinie, od fiołkoworóżowego tła odległych wzgórz, i Grek zadał sobie pytanie: czyżby Carlo miał rację, sądząc, że nadal żyje w niej dawna miłość? Młoda kobieta zdawała się tak bardzo pochłonięta chwilą obecną! Zupełnie jakby zapomniała o tym, co utraciła z oczu wiele miesięcy temu: o domu w Turenii, starej Leonardzie, a przede wszystkim o swoim dziecku. Czyżby naprawdę ta, którą w myślach lubił nazywać córką, stała się tak powierzchowną istotą, skupioną wyłącznie na namiętnych nocach z Lorenzem i nieoczekującą niczego więcej od życia?

Starzeję się, pomyślał Demetrios ze smutkiem. Nie potrafię już zgłębić jej serca, a co gorsza mój umysł utracił zdolność przeniknięcia zasłony przyszłości. A przecież...

Odgłos szybkich kroków na żwirowej alejce wyrwał go z zamyślenia. Wśród donic z drzewkami pomarańczowymi, niedawno wystawionymi z willi, w której spędziły zimę, oraz oleandrów wystrzeliwujących z dzbanów z czerwonej gliny nadbiegał pędem Esteban.

- Mam wieści! - zawołał z daleka, gdy tylko ujrzał spacerowiczów. - Król Francji przysłał posła do monsignore Lorenza!

Był zasapany i ostatnie słowa częściowo zginęły w wieczornym wietrze, ale Fiora usłyszała to, co najważniejsze.

- To źle czy dobrze? - zapytała, nawet nie starając się ukryć niepokoju.

- Z pewnością bardzo dobrze! Tym lepiej, że to jeden z twoich przyjaciół!

- Jeden z przyjaciół? Który? Mów, Estebanie, bo mnie wykończysz!

- Messire Filip de Commynes, donno Fioro! Nie powiesz, że nie jesteście przyjaciółmi! Będzie tu na świętego Jana. Monsignore Lorenzo, z którym widziałem się godzinę temu w Badii, został o tym poinformowany przez umyślnego wczesnym popołudniem.

- Kim jest ten Filip de Commynes? - zapytał Carlo, z każdym dniem bardziej zainteresowany wszystkim, co działo się dookoła.

- Najbliższym doradcą króla Ludwika mimo młodego wieku, nie ma bowiem jeszcze trzydziestu lat. Długo służył zmarłemu księciu Burgundii, ale opuścił go, zrozumiałwszy, jak bezkompromisową politykę książę zamierzał prowadzić. Istotnie dobrze go znam i sądzę, że mogę uznać, iż jest moim wielkim przyjacielem.

- Tak więc jego wizyta sprawi ci przyjemność?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że przywiezie mi świeże wieści o moim synu...

- Nie chciałbym pomniejszać twej radości, Fioro - przerwał Demetrios - ale jak pan de Commynes mógłby przywieźć ci jakieś wiadomości? Z pewnością nie ma pojęcia, że jesteś tutaj.

Demetrios miał rację i spojrzenie młodej kobiety spochmurniało. Ostatnie wieści na jej temat, które mogły dotrzeć do Francji, musiały pochodzić od Douglasa Mortimera. Mortimera, który był świadkiem, jak w papieskiej kaplicy brała ślub z Carlem Pazzim...

Demetrios śledził bieg myśli na wyrazistej twarzy młodej kobiety. Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

- Nie bądź smutna! Staram się jedynie uchronić cię przed rozczarowaniem. Jednakże twoje porwanie z Plessis-les-Tours musiało narobić szumu i nasz przyjaciel Commynes będzie mógł przynajmniej opowiedzieć ci, co działo się później.

- Nie jestem tego taka pewna. Przebywał wówczas na wygnaniu w Poitou, gdyż ośmielił się krytykować napady gniewu zdarzające się królowi Ludwikowi. Jednak fakt, że przybywa w charakterze posła, jest sam w sobie dobrą nowiną. Dowodzi to, że odzyskał zaufanie władcy. A to, że przybywa na świętego Jana, nasze wielkie święto, jest dobrą wróżbą.

Znalazłszy się w swej komnacie, gdzie pogryzając pistacje, czekała na nią Khatoun, która wyzdrowiała po ciężkich przejściach, Fiora czuła się dziwnie

podeksycytowana. Cieszyła się na myśl, że ujrzy Commynes'a - wszak był jedną z najbliższych jej osób spośród tych, które pozostawiła po tamtej stronie Alp. Dzięki niemu będzie mogła poznać obecne nastawienie króla. Ludwik wiele uczynił, by ją wydobyć z tarapatów, w których znalazła się z powodu chciwości Riaria i Hieronimy, to rzecz pewna, ale wiedziała, jak jest zmienny, a zwłaszcza wymagający. Jak przyjął wieść o jej ślubie z Carlem?

Tak czy inaczej, dla Florencji ta wizyta była dobrą nowiną. Ludwik XI, od zawsze wierny sojuszowi z Medyceuszami i niezbyt skłonny do pobłażliwości względem nieustannie obrażającego go papieża, z pewnością starał się podnieść na duchu florenckich przyjaciół, wysyłając swego najbliższego doradcę...

Podczas gdy Khatoun pomagała jej się rozebrać, Fiora myślała o tym, że Lorenzo nie będzie miał czasu przyjechać do niej przed świętym Janem. Przygotowania do najważniejszej uroczystości roku - chodziło bowiem o święto patrona miasta, któremu ofiarowało ono Baptysterium, najcenniejszy swój klejnot - musiały całkowicie pochłaniać Wspaniałego, szczególnie że dołączała się do nich perspektywa przyjęcia zaprzyjaźnionego posła. Nie czuła z tego powodu najmniejszego smutku. Przeciwnie, poczuła nawet dziwną ulgę i tej nocy, sama pod śnieżnobiałym baldachimem łoża, przyrzekła sobie, że z samego rana prześle Lorenzowi liścik z prośbą, by nie przyjeżdżał aż do święta. Chciała odzyskać spokój wewnętrzny, gdyż męczyła ją myśl, że miałyby stawić czoło przenikliwemu spojrzeniu Commynes'a jeszcze ciepła od pocałunków kochanka. Pozycja oficjalnej faworyty, którą do tej pory piastowała z niejaką dumą, zaczynała ją zawstydzać mimo prześwieczonego precedensu, jaki stanowiły amory Simonetty Vespucci z Giulianem, zresztą na oczach jej męża.

Toteż z wielką radością przyjęła rano liścik od Chiary zapraszającej ją na dzień świętego Jana do siebie. Przy wsparciu przyjaciółki poczuje się na siłach spotkać z posłem. Tym staranniej zaczęła się przygotowywać do święta: w tym dniu chciała być najpiękniejsza, choć nie wiedziała dlaczego...

* * *

Dzień, który wstał nad Florencją, opiewał doskonałość kunsztu Stwórcy. Po jutrzence, zdającej się odbijać barwę róż z wszystkich ogrodów w najróżniejszych acz zestrojonych odcieniach, niebo przybrało wygląd mieniającej się płachty jedwabiu, której niewysłowiony lazur pieściło słońce letniego przesilenia. Pod tym bajecznym baldachimem Florencja, świeżo splukana deszczem, przystrojona jak panna młoda, w zielonym obramowaniu wzgórz usianych białymi willami, czarnymi cyprysami i srebrzystą pianą drzew oliwnych, przypominała otwarty skarbiec cesarza.

Od samego rana miasto świętowało. Nie było domu, nawet najuboższego, który nie zostałby ozdobiony możliwie najpiękniej, choćby zwykłymi bukietami gałęzi czy girlandą z kwiatów dzikiej róży otaczającą wizerunek świętego.

W pałacu Albizzich Chiara zadbała o wszystko: z okien na najwyższym piętrze opadały wielkie płachty czerwonego i białego jedwabiu rozdzielone szerokimi złotymi galonami, a na parterze obrazy o tematyce religijnej, ukazujące pełne dumy postacie i przepych godny dworu królewskiego, choć były to sceny z życia świętego Jana, sąsiadowały ze statuetkami z kości słoniowej przedstawiającymi świętych opiekujących się rodziną, które miały oddawać hołd bohaterowi dnia. Całość spowijały girlandy róż i jaśminu, które rozstaczały cudowną woń i pięły się aż na płaski dach, gdzie nad bladoporóżowymi, okrągłymi dachówkami powiewała chorągiew Albizzich. Wyglądało to wspaniale.

Toteż Chiara, która o świcie wyszła na ulicę, by po raz ostatni rzucić okiem na całość, z pewnym zaskoczeniem spojrzała na wuja, ubranego w fartuch z grubego, zielonego płótna i stary kapelusz, gdy zaopatrzone w siatkę na motyle przekraczał bramę domu, ciągnąc za sobą muła. Dosłownie rzuciła się na niego.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Mugello. Spójrz na niebo! To idealny dzień na motyle. Jestem pewien, że mnóstwo ich dziś złapię i...

Wziąwszy go za ramię, odwróciła i pokazała fasadę domu.

- Spójrz tylko! Nic ci to nie mówi?

- Ależ tak, moje dziecko, bardzo to ładne... Czyżbyś spodziewała się gości?

- Wuju, przecież dziś dzień świętego Jana i musisz wziąć udział w obchodach, stosownie do twojej pozycji!

- Tak myślisz? Świętego Jana? - Nagle dotarło do niego. - No tak! Dzień świętego Jana! Gdzie ja mam głowę, mój Boże! To prawda, muszę... Jesteś pewna, że muszę tam iść?

- Absolutnie pewna, wuju Lodovico! Jesteś jedną z najważniejszych osób w tym mieście. Czy nie mógłbyś sobie o tym przypomnieć od czasu do czasu?

- Tak... tak, oczywiście! Szkoda tylko poświęcić tak piękny dzień dla jakiegoś święta! No to chodźmy się wystroić!

Wszedł do pałacu, a za nim Chiara, która z obawy, że wuj umknie kuchennym wyjściem, uznała, że przezornie będzie odprowadzić go do jego pokojów. Nie mogła jednak powstrzymać się od śmiechu, wchodząc do komnaty, gdzie Khatoun kończyła ubierać Fiozę. Śmiech zamarł jej na ustach, kiedy ujrzała przyjaciółkę.

- Na wszystkich świętych! Jak pięknie wyglądasz!

A przecież trudno byłoby wyobrazić sobie strój prostszy od tej sukni z mięsistej tafty w kolorze pięknej głębokiej czerwieni, która szeleściła przy każdym ruchu i która, gdyby nie dekolot podkreślający szczupłą, długą szyję młodej kobiety, przywodziłaby na myśl kardynalską symarę. Nie było żadnych haftów, żadnych ornamentów na tej sukni o czystych liniach, której jedyną ozdobę stanowiły szerokie, bufiaste rękawy kończące się na krągłości na wpeł odsloniętych ramion. Także żadnej biżuterii, poza jednym klejnotem: rubinem umieszczonym w przepasce pośrodku czoła. Masa czarnych, lśniących włosów ujęta była w długą, złotą siatkę i opadała poniżej talii młodej kobiety.

Khatoun, klęcząca na dywanie pomiędzy pudełkiem ze szpilkami i przybornikiem do szycia, podziwiała to, co w części było również jej dziełem.

- Czerwona Lilia Florencji! - oświadczyła z zachwytem.

- Masz rację - westchnęła Chiara - lud pomyśli tak samo. Czego chcesz dowieść, Fioro? Ze miasto należy do Lorenza, podobnie jak należysz do niego ty sama?

- Tak i nie. Chcę raczej zaskoczyć francuskiego posła. Ma zbyt przenikliwy umysł, by nie zrozumieć, co oznacza ta czerwona suknia: jestem córką Florencji i zamierzam nią pozostać.

- Aha!... A więc podjęłaś decyzję?

- Tak. Commynes jest człowiekiem zdolnym do przekazania królowi moich racji. Z nim będę mogła rozważyć sposoby sprowadzenia mojego syna i Leonardy na jak najlepszych warunkach. Powiem o tym dziś wieczór Lorenzowi. .. w czasie balu, gdyż nie ma mowy, byśmy mogli spotkać się gdzie indziej.

- Przemyślałaś to dobrze?

- Tak. Widzisz, Chiaro, należę do tego miasta. Do dnia śmierci mego ojca byłam jednym z jego kamieni. Huragan wyrwał mnie i potoczył daleko stąd. Jeśli Bóg zechce, by kamień wrócił na swoje miejsce, nie widzę żadnego powodu, by sprzeciwić się jego woli...

- Po co więc okłamujesz samą siebie? Kochasz Lorenza i tyle.

- Nie, nic się nie zmieniło od czasu naszej rozmowy. Powtarzam: to moje ciało go kocha i dobrze mi z nim, ale nie widzę żadnego powodu, by odwrócić się plecami do życia, do kultury, którą kocham, i zwrócić się ku innej, na pewno również pięknej, lecz nie tak bliskiej memu sercu.

- Czy twój syn nie należy do tej kultury?

- Nie bardziej, niż ja do niej należałam, kiedy mój ojciec przywiózł mnie z Burgundii z Leonardą i Żanetą. Jest jeszcze niemowlęciem i pokocha Florencję tak, jak ja ją Kocham.

Chiara bez słowa uściskała przyjaciółkę. Jej oczy błyszczały z radości.

- To wspaniała wiadomość - powiedziała wreszcie. - Wiesz, dużo mnie kosztowało występowanie w roli adwokata diabła, ale to, że zostajesz, wypełnia mnie radością. Zatrzymasz Carla przy sobie?

- Oczywiście! Jest szczęśliwy we Fiesole i wspaniale dogaduje się z Demetriosem. Ponieważ uchodzi za zmarłego, jest to najlepsze rozwiązanie. Może poszłabyś się przygotować? Zbliża się pora procesji.

- I za żadne skarby nie chciałabym się na nią spóźnić. Mam ogromną ochotę zobaczyć, jak wygląda francuski poseł.

* * *

Podczas gdy Chiara pospiesznie przeglądała swoje odświętne suknie, Florencja obchodziła dzień świętego Jana. Wszystko zaczęło się we wczesnych godzinach porannych od pochodu z darami, które poszczególne cechy zanosili świętemu patronowi miasta. Każdy ofiarowywał produkty własnej produkcji: cech calimala cienkie i jedwabiste materie, prawdziwie luksusowe wyroby pochodzące z jego warsztatów; cech wełny swe najpiękniejsze barchany i miękkie filce; cech jedwabiu sandale, satyny i mieniące się tafty; złotnicy srebrne tace i dzbany, i tak dalej, aż do złocistych chlebów i lekkich ciast od skromnych piekarzy. Pochód trwał aż do południa, kiedy to przekształcił się w wielką procesję: do cechów dołączył florencki kler, delegacje przysłane przez podległe miasteczka i grupy młodych chłopców i dziewcząt, przebranych za anioły i zaopatrzonych w wielkie białe skrzydła, których wykonanie kosztowało wiele trudu Sandra Botticellego, i niosących na ramionach złocene relikwiarze zawierające szczątki świętego. Wszyscy następnie weszli do Duomo, by wysłuchać mszy.

Była to pierwsza wielka uroczystość celebrowana w katedrze sprofanowanej zabójstwem Giuliana. Dwa dni wcześniej arcybiskup Florencji z całym ceremoniałem dokonał oczyszczenia wnętrza kościoła za pomocą dużej ilości wody święconej i kadzideł.

Po mszy wszyscy udali się do domów, by nabrać sił przed ceremoniami popołudniowymi i wielkim biegiem, który miał się odbyć pod wieczór. Tym, którzy nie mogli pozwolić sobie na posiłek godny dnia tak uroczystego, rozdawano ze straganów pod gołym niebem pasztety i ciastka. A z fontann w mieście zamiast wody lalo się wino z Chianti, dopełniające ucztę. Aby podsyć atmosferę radości, grupki muzykantów grających na skrzypkach, piszczałkach i

bębenkach przemierzały ulice, robiąc postoje na skrzyżowaniach... jak najbliżej fontann.

Z trybuny dla dam, gdzie zasiadły, by podziwiać procesję i śledzić, nie bez trudu, przebieg nabożeństwa przez szeroko otwarte odrzwia, Fiora dostrzegła Lorenza, jak zwykle ostatnio ubranego w czerń, ale noszącego na szyi złoty łańcuch z rubinami wart fortunę. Podobny klejnot lśnił na jego czapce. Obok szedł jasnowłosy mężczyzna, a przy jego nakryciu głowy błyszczała złota lilia. Fiora nie miała najmniejszego problemu z rozpoznaniem Filipa de Commynes'a. Kroczył z godnością, jaka przystała francuskiemu posłowi. Za nim ujrzała płynącą ponad tłumem czapkę z czaplim piórem, co przyspieszyło bicie jej serca. Czy to możliwe, że Douglas Mortimer także przyjechał? Właściwie dlaczego nie? Ludwikowi XI za bardzo zależało na młodym doradcy, by posyłać go do niespokojnej Italii bez solidnej ochrony. A kto, jak nie sierżant Zawierucha, mógł mu zapewnić solidną i skuteczną ochronę?

Nagle poczuła ochotę, by podejść do przyjaciół, ale nie mogła zakłócać ściśle ustalonego przebiegu uroczystości. Trzeba było wrócić do pałacu Albizzich na południowy posiłek w towarzystwie wuja Lodovica, który nieustannie zrzedził, jak bezsensowne są światowe uroczystości, przez które marnuje się dzień najwyraźniej przeznaczony przez Stwórcę na proste radości nauki; był tym bardziej marudny, że musiał zamienić wygodny fartuch z zielonego płótna na strojną szatę z grubego szkarłatnego jedwabiu obszywaną czarną kuną i na nakrycie głowy z tej samej materii.

Ciężki łańcuch zakończony chimera uzupełniał ten strój, którego najwyraźniej nienawidził.

- Zimą jeszcze można wytrzymać, ale dziś wieczorem będę tak spocony, że moja koszula i skóra będą tak samo czerwone, jak ta przeklęta szata!

- Będiesz mógł ją zdjąć na czas sjesty. Poleciałam też Colombie, żeby schłodziła twoje ulubione wino - powiedziała Chiara pocieszająco. - Poza tym nikogo nie oszukasz, wuju Lodovico. Jesteś zanadto Albizzim, by pojawić się odziany niestosownie do twojej pozycji.

Mimo upału ser Lodovico z zapalem zasiadł do posiłku złożonego z melonów ifegatelli, kielbasek z wątróbki z ziołami, które podał kilkoma kielichami wina. Uczta zmusiła go do odpoczynku w chłodnej sypialni przed ponownym uczestnictwem w uroczystościach - miał zasiąść na jednej z trybun, z których notable miasta będą podziwiać Corsa del Palio.

Po poranku, przeznaczonym dla cechów, które były dla Florencji źródłem bogactwa, popołudnie należało do poszczególnych dzielnic miasta, których reprezentanci rywalizowali na wcześniej przygotowanej trasie wyścigu,

dosiadając koni bez siodeł i strzemion. Nagrodą był palio - wspaniały kupon najpiękniejszej w całym mieście materii, który Wspaniały wręczał zwycięzcy.

Każda z dzielnic wystawiała cztery chorągwie, pod których barwami w gonitwie uczestniczyło czterech jeźdźców. Na sztandarach dzielnicy San Giovanni (Świętego Jana) widniał Czarny Lew, Smok, Klucze i Popielica; na sztandarach Santa Croce Rydwan, Wół, Złoty Lew i Koła; na sztandarach Santa Maria Novella Żmija, Czerwony Lew, Biały Lew i Jednorożec; wreszcie na sztandarach San Spirito, dzielnicy leżącej po drugiej stronie Arno, Drabina, Muszla, Bicz i Chimera. Niosący wszystkie te różnobarwne chorągwie tworzyli procesję sięgającą Baptysterium.

Ludzie gromadzili się przed odświętnie przystrojoną Signorią. Stary szary budynek lśnił od sztandarów i jedwabnych materii. Pomiedzy jego krenelami wznosiły się ku błękitnemu niebu maszty z herbami wasalnych miast, a herb Florencji, jak przystało na królową, zajmował szczyt wieży. Wokół placu, na którym wzniesiono wieże ze złoconego drewna symbolizujące miasta wasalne lub sprzymierzone, z okien spływały potoki brokatów lub tapiserie. Brukowany plac, pokryty pstrokacizną paradnych strojów i sztandarów, przypominał wiosenną łąkę. Przecinała go wydzielona jedwabnymi sznurami pusta przestrzeń: droga, którą wkrótce mieli galopować jeźdźcy.

Panowała radosna, pełna podniecenia atmosfera. Wokół ogromnych sztandarów, tańczących na wietrze mimo swego ciężaru, zawierano zakłady.

Odmienne wyglądał plac przed Duomo, gdzie otwarte odrzwia Baptysterium pozwalały dostrzec las oświetlających jego wnętrze świec. Rozstawiono na nim różnobarwne namioty właścicieli koni, które miały wziąć udział w gonitwie, a wokół nich na masztach dorównujących wysokością domom, powiewały na zmianę białe chorągwie z czerwoną Lilią Florencji i niebieskie sztandary ze złotą Lilią króla Francji.

Dźwięk organów, wioli, fletów, obojów i tamburynów dobiegający z katedry wraz ze śpiewem chóru, wypełniał cały plac, a po obu stronach arcybiskupa, którego złocistą kapę rozpościerali dwaj diakoni, akolici kołysali srebrnymi kadzielnicami. Musiały być one wypełnione po brzegi, gdyż grube spirale wydobywającego się z nich dymu docierały aż do głównej czerwonej trybuny, gdzie zajęła miejsce Fiora i rodzina Albizzich. Ich siedziska znajdowały się dziwnie blisko foteli, na których zasiedli Wspaniały i jego honorowy gość.

Wuj Lodovico znowu pomstował. Kadzidla przyprawiły go o kaszel - i nie tylko jego - co sprawiało, że jeszcze bardziej cknęło mu się za rzeską doliną Mugello. Chiara wreszcie udzieliła mu reprimendy:

- Przestań w końcu zrędzić, wuju Lodovico! Masz szczęście dotrzymywać towarzystwa najpiękniejszej kobiecie w mieście, a utyskujesz z powodu motyli! Wszyscy na was patrzą.

To prawda. Wszystkie spojrzenia ogniskowały się na Fiorze, naprawdę wspaniałej w purpurowych jedwabiach. Gdy przechodziła, zerwały się oklaski i entuzjastyczne okrzyki: „Niech żyje najpiękniejsza!”, „Mieliśmy gwiazdę Genui, a teraz gwiazda Florencji lśni równie mocno!”, „Szczęśliwy mężczyzna, do którego należysz!”.

Odpowiadała uśmiechem lub wdzięcznym skinieniem dłoni, szczęśliwa, że tak dobrze czuje się pośród tego ludu, którego zmienność odczuła bardziej niż ktokolwiek inny. Jednak chmury się rozpięchły przegnane miłością Lorenza i teraz całe miasto gotowe było paść jej do stóp, jak niegdyś padało do stóp Simonetty. Została wybrana przez ukochanego władcę i to wystarczało, by ją koronować.

- Mogę się założyć - powiedziała Chiara z satysfakcją - że to ty wręczysz dziś zwycięzcy palio.

- Myślisz?

- Jestem pewna. W przeciwnym razie dlaczego umieszczono by nas w pierwszym rzędzie, a ciebie w tak bliskiej odległości od Lorenza? A dziś wieczorem będziesz królową balu!

- Mniejsza o popołudnie, ale wieczorem, w pałacu Medyceuszy, a więc u żony i matki Lorenza, sytuacja może stać się niezręczna.

- A to dopiero pomysł! Od śmierci Giuliana kobiety z rodziny nie uczestniczą w żadnych uroczystościach. Dziś rano wysłuchały mszy w prywatnej kaplicy, gdyż madonna Lucrezia nie chce wchodzić do Duomo, gdzie zamordowano jej syna... Patrz! Jest twój książę!

Rzeczywiście rozbrzmiały długie srebrne trąbki ozdobione jedwabnymi proporczykami z herbem Medyceuszy i Lorenzo ze swoim francuskim gościem, w otoczeniu wspaniałej świty, zmierzali w kierunku trybuny, na której wszyscy powstali, by ich oklaskiwać. Trzymali się pod ramię, by wyraźniej podkreślić doskonałe stosunki między dwoma krajami, i pozdrawiali tłumy ruchem dłoni. Za Commynes'em Fiora dostrzegła Mortimera, którego wysoka postać górowała nad większością obecnych mężczyzn. Towarzyszyło mu kilku łuczników gwardii szkockiej i dość liczna świta. Najwyraźniej królowi Ludwikowi zależało na tym, by poseł dawał świadectwo jego potęgi. Mówiło się, że każdy z przybyłych przywiózł bajeczne prezenty dla florenckich przyjaciół.

Dotarłszy do stóp trybuny, zatrzymali się, by pozdrowić zgromadzonych. Kiedy się odwrócili, by zasiąść na swoich miejscach, Fiora zobaczyła, że ich wzrok kieruje się ku niej i wyraża zachwyt, który sprawił, że zadrżała z radości. Oczy Lorenza płonęły znaną jej żarliwą namiętnością, ale do niebieskich oczu Commynes'a, które zdawały się wyrażać melancholię, nie dotarł uśmiech...

- Pewnie myśli - szepnęła Chiara - że to szkoda, iż Francja traci tak piękną damę.

- Jesteśmy przyjaciółmi i nigdy nie straci mojej przyjaźni. Bardzo lubię pana de Commynes, wiesz?

- On niewątpliwie ciebie też. Może nawet bardziej, niż myślisz.

- Wariatka! Masz zbyt bujną wyobraźnię... Podczas tej rozmowy dwaj mężczyźni pokonali stopnie wyścielone czerwonym dywanem, ale zamiast usiąść, podeszli do Fiory, która natychmiast pochyliła się w głębokim ukłonie. Głos Lorenza zabrzmiał dziwnie metalicznie:

- Powiedziałeś mi, panie pośle, o przyjaźni łączącej cię z najpiękniejszą z naszych dam i sądzę, że wyprzedziłem twoje pragnienie, prowadząc cię bezzwłocznie do niej.

- To prawda, monsignore, i jestem ci za to wdzięczny. Pani hrabino de Selongey - dodał po francusku - z głęboką radością widzę cię znowu i składam pokłon w imieniu własnym i mego pana, króla.

Zapadła cisza. Fiora, poruszona słysząc nazwisko, które już do niej nie należało, na chwilę oniemiała i zacisnęła mocno drżące dłonie. Nawet nie pomyślała, by odwzajemnić ukłon.

- Panie Filipie - szepnęła - widzę za tobą messire Mortimera. Musiał ci powiedzieć, że nie mam już prawa do tego nazwiska...

- Oczywiście, oczywiście - odrzekł Commynes. - Jednakże. .. byś nie była małżonką hrabiego de Selongeya, musiałby on nie żyć. A tymczasem... jest inaczej.

- Co mówisz?

- Prawdę. Z tego, co mi wiadomo na dzień dzisiejszy, pan Filip żyje. Opanuj się, droga przyjaciółko! Powiedziałem to może zbyt brutalnie, ale byłem pewien, że się bardzo ucieszysz...

- Mam nadzieję, że w to nie wątpisz? Och!... Zdaje mi się, że tracę zmysły. Ta egzekucja...

- ..nie została doprowadzona do krwawego finału. Gubernator Dijon miał rozkaz ją wstrzymać w ostatniej chwili. Miecz kata nawet nie drasnął twego małżonka.

Nie przejmując się protokołem, Fiora opadła na fotel, walcząc z chęcią jednoczesnego płaczu i śmiechu. Żyje! Filip żyje! Oddycha gdzieś pod tym bezkresnym niebem! Znów go zobaczy, dotknie, ujrzy jego oczy, uśmiech, poczuje ciepło jego dłoni! Pełnymi łez oczami spojrzała na Filipa de Commines, który pochylał się nad nią z niepokojem:

- Madonnal Jesteś bardzo blada... i płaczesz!

- Z radości! Ach, mój przyjacielu, byłeś bardzo nieostrożny! Nie wiesz, że wielkie szczęście może zabić?

- Wybaczysz mi zatem? Porozmawiamy później, gdyż mam ci wiele do powiedzenia...

Pozostawiwszy Fiorę przyjaciółce, która podała jej chusteczkę nasączoną perfumowaną wodą, dołączył do Lorenza już siedzącego na swoim miejscu. Ponownie rozległ się dźwięk trąbek.

- Ale nie zemdlejesz, co? - spytała Chiara z niepokojem. - Wiesz, że wszyscy na ciebie patrzą?

- No to niech sobie patrzą! Przynajmniej raz mają okazję zobaczyć kobietę szczęśliwą, szaleńczo szczęśliwą!

- Jak dotąd nie wydawałaś się szczególnie nieszczęśliwa.

- To prawda. Czułam się dobrze i czułam rodzaj radości, w dużej części wynikającej z dumy, jak sądzę... ale to zupełnie co innego! Jak ci to wyjaśnić? Czuję się tak, jakby coś we mnie eksplodowało...

Chiara nie odpowiedziała. Odszukała wzrokiem Lorenza, a kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, miała wrażenie, że w oczach władcy widzi jakby ból. Fiora zaś nie zauważyła Lorenza, już go nie widziała... jej myśli były teraz daleko, setki mil od tego miasta, które przecież kochała i gdzie jeszcze parę chwil wcześniej chciała zostać na zawsze. Ale Fiora wyruszyła na spotkanie mężczyzny, którego nie mogła przestać kochać.

Tego wieczora nie pojawiła się na balu w pałacu Medyceuszy. Po gonitwie kazała się odwieźć do Fiesole dwóm służącym Albizzich.

- Powiedz panu de Commines, że oczekuję jego wizyty - poprosiła przyjaciółkę.

- Przecież moglibyście porozmawiać dziś wieczorem!

- Nie. Nie na balu! Potrzebuję spokoju, Chiaro. Muszę wrócić do siebie.

- Coś mi mówi, że już tam wróciłaś...

Rozdział trzeci

Nigdy nie mów „żegnaj”...

Gdzie on jest?

Filip de Commynes rozkrzyżował długie nogi i oparłszy się o poręcz fotela, połączył palce obu dłoni, tworząc rodzaj piramidy, na której oparł nos, jak człowiek, który głęboko się zastanawia.

- Nie mam pojęcia - westchnął wreszcie.

Jego niebieskie oczy, szukając spojrzenia siedzącej po drugiej stronie stołu Fiory, zdawały się prosić o wybaczenie, ale młoda kobieta nie dała się nabrać na tę dyplomatyczną prostolinijność. Istotnie, Commynes usiłował opóźnić atak gniewu, którego nadejście przeczuwał.

- To niemożliwe! - powiedziała chłodno. - Jak ty, zawsze wszystko wiedzący, mógłbyś tego nie wiedzieć!

- Nie rób ze mnie kogoś sprytniejszego czy lepiej poinformowanego, niż jestem, droga przyjaciółko. I pamiętaj, że przez wiele miesięcy przebywałem na wygnaniu. Mogę ci powiedzieć tylko to, że król upoważnił mnie, bym cię poinformował, iż twój małżonek został przez niego ułaskawiony w chwili, gdy miał umrzeć.

Demetrius wstał od stołu, podszedł do kredensu i wyjął z niego karafkę małmazji, którą napełnił kielich.

- Koniec kropka - powiedział z półuśmiechem, podając kielich gościowi.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jak zszedł z szafotu, to po prostu poproszono go, by poszedł do diabła i pozwolono wmieszać się w tłum? Zupełnie to niepodobne do króla Ludwika.

- Nie. Oczywiście, że nie. Zawieziono go z powrotem do więzienia w Dijon, a stamtąd przeniesiono dalej, ale nie pytaj dokąd, bo nie wiem. Nasz Sire zastrzegł sobie prawo, by powiedzieć ci to osobiście, kiedy się spotkacie. Rzecz jasna oczekuje cię.

Ciepły uśmiech rozjaśnił twarz młodej kobiety. Skończyły się jej wahania i rozterki. Siła wyższa zdecydowała za nią i wzywała tam, gdzie mogło czekać tylko odzyskane wielkie szczęście.

- Podróż z tobą będzie wielką przyjemnością. Bardzo lubię z tobą rozmawiać.

Douglas Mortimer, który plądrował jednocześnie koszyk z migdałami, misę z miodem i czarę z rodzynkami, roześmiał się.

- Będziesz musiała zadowolić się rozmową ze mną, donno Fioro. To ja mam za zadanie cię odwiedzić. Właściwie tylko po to tu jestem. Pan de Commynes jedzie dalej, do Rzymu.

- Do Rzymu? A co tam będziesz robił?... Oczywiście, jeśli nie jestem niedyskretna.

- Wcale. To, że cię tu spotkałem, było dla mnie wielką radością, lecz także wielką ulgą, gdyż moja misja stała się dzięki temu prostsza. Miałem bowiem rozkaz odszukać cię w Rzymie i umieścić na pierwszym statku odpływającym z Civita Vecchia, niezależnie od ceny. Wyjaśnia to obecność tego oddziału wojska, który mi towarzyszy.

- Chcesz powiedzieć - rzekł Demetrios - że miałeś zamiar wezwać papieża, by wydał ci Fiorę?

- Dokładnie. Król nie lubi, gdy jego posłańcy znikają bez śladu lub stają się ofiarami niezdrowego klimatu. Tak więc wszystko dobre, co się dobrze kończy, ale jeszcze nie skończyłem z Jego Świątobliwością.

- Czyżby król Francji zaoferował swe usługi w celu stłumienia konfliktu między Rzymem i Florencją? - nie mógł powstrzymać pytania Demetrios, którego polityczne rozgrywki pasjonowały od czasu, który spędził w otoczeniu Ludwika XI.

- W żadnym razie. Moja misja w Italii ma podwójny aspekt polityczny: zapewnić Florencję o poparciu i pomocy Francji oraz dać odczuć papieżowi gniew króla. Mam dla niego list, który powinien go skłonić do bardziej roztropnej oceny sytuacji. Król wyjaśnia w nim, że w związku z postawą papieża zamierza zwołać w przyszłym miesiącu w Orleanie zwierzchników Kościoła francuskiego, by przywrócić sankcję pragmatyczną* uchwaloną w Bourges za panowania Karola VII, oraz domagać się zwołania soboru, który mógłby doprowadzić do destytucji Sykstusa IV.

* Sankcja pragmatyczna, będąca pierwszym przejawem galicyzmu, praktycznie uwalniała Kościół francuski od zwierzchnictwa Rzymu. Papież tracił prawo do mianowania biskupów i opatów, a przede wszystkim do czerpania związanych z tym korzyści. Ludwik XI zniósł tę uchwałę na początku swego panowania.

Na koniec król wyraża pragnienie, by zaślepiony nienawiścią do Florencji papież nie zapominał o Turkach! To oni stanowią największe zagrożenie!

Demetrios cicho gwizdnął.

- No no! Mam nadzieję, że wyjdiesz z tego cało!

- Nie mam najmniejszych obaw. Gdyby coś mi się stało, nasz władca zamierza ponowić roszczenia do królestwa Neapolu i wysłać wojsko, by odbić je od Aragonii. A wojska te, rzecz jasna, przejdą przez Rzym.

- Można by stwierdzić - powiedziała Fiora - że jak na władcę, który nie lubi wojny, król dziwnie się zachowuje.

- To tylko groźby, madonna. Król jest zbyt rozważny, by porywać się na wojenne przygody. Italia interesuje go tylko ze względu na dobre stosunki z Florencją i Wenecją. Teraz najważniejsza jest dla niego wiedza, czy Signoria i ludność... oraz kler Florencji są zdecydowane stanąć za monsignore Lorenzem w obliczu zagrożenia ze strony Sykstusa.

- Florenczycy nie są tchórzami! - zawołała Fiora głosem, w którym wibrowała cała miłość, jaką nosiła w sobie od dzieciństwa. - Ekskomunika Lorenza i priorów tylko zwiększyła ich oburzenie. Co się zaś tyczy wojny, to wszyscy tu wiedzą, że nadejdzie, i przygotowują się do niej. Niech cię nie zmyli wesołość naszych uroczystości.

- Wojna, tak... ale interdykt*?

* Ze względu na miejsce, jakie zajmował Kościół w średniowieczu, interdykt oznaczał duchową śmierć państwa, a często także prawdziwą katastrofę: zamknięcie kościołów, milczące dzwony, brak sakramentów, niemożność zawierania małżeństw i odprawiania pogrzebów (zmarli nie byli chowani), a ponieważ przytułki dla chorych były pod kontrolą kościelną - brak opieki nad chorymi.

- Chyba papież nie posunie się tak daleko? - rzekł Demetrios.

- Nasi szpiedzy w Rzymie podejrzewają, że myśli o tym poważnie. Pamiętaj, że ten człowiek, choć naprawdę pobożny, jest gotów na wszystko, by pognębić Florencję, obalić Medyceuszy i umocnić bogactwo i potęgę swoich bratanków. Co robi miasto w takiej sytuacji? Podda się?

- Z pewnością nie! - powiedział Demetrios. - Gród przeniknięty grecką filozofią nie umiałby ugiąć się przed anachronicznymi pogroźkami rodem z minionych wieków. Mogę nawet pokusić się o przepowiednię, co zrobi Florencja, jeśli kler zacznie wykonywać polecenia papieża: przegna go, wyrzuci księży poza mur, jako darmozjadów. Wyleczy rannych i pochowa zabitych. Tak czy inaczej, byłbym bardzo zaskoczony, gdyby arcybiskup był posłuszny...

- Rozmowa z tobą jest przyjemnością, Demetriosie! - rzekł Commynes ze śmiechem. - Tak, sądzę, że arcybiskup pokłada nadzieję w soborze, którego zwołania pragnie król Francji. Myślę, że ta wojna, jeśli rzeczywiście wybuchnie, nie potrwa długo i że monsignore Lorenzo, władca rozważny i

zręczny, ma przed sobą długie lata pokoju... Ale dosyć rozmowy o polityce! To pożałowania godne po tak pysznym posiłku.

- O czym zatem chcesz rozmawiać? - spytała Fiora z uśmiechem. - Polityka pochłania trzy czwarte twego życia.

- Pomówmy o twoim życiu i o twojej przyszłości. Powiedziałem już, że w Domu w Barwinkach wszystko w najlepszym porządku i że jesteś tam oczekiwana z niecierpliwością. Przypuszczam, że spieszno ci do powrotu?

- Bardzo spieszno! Tyle o nich myślałam przez wszystkie te miesiące. Mój syn nawet mnie nie zna, bo przecież zostałam porwana wkrótce po jego narodzinach. Może mu się nie spodobam!

- Musiałby mieć bardzo zły gust - westchnął Mortimer, który za dużo zjadł i, powstawszy od stołu, zaczął chodzić po chłodnej komnacie. - Nie niepokoję się jednak o to, a ty sama z pewnością oszalejesz na jego punkcie: to śliczny chłopaczek i sam król z upodobaniem go odwiedza. Często zatrzymuje się w dworze, wracając z polowania.

- Naprawdę? Odwiedza mojego małego Filipa?

- No tak! Wiesz, z jaką troską odnosi się do następcy tronu, który jest wątły i słabego zdrowia, toteż ten pozbawiony rodziców chłopczyk głęboko go wzrusza. Gra wobec niego rolę jakby dziadka.

- Kto by pomyślał, że jest taki wrażliwy i uważny? - szepnęła wzruszona Fiora. - Nie wiem, czy zasługuję na tyle troski. Jego też chciałabym znów zobaczyć...

- To świetnie! Zatem kiedy ruszamy? - podsumował wesoło Szkot.

Postanowiono, że wyjazd nastąpi w następnym tygodniu, by dać Fiorze czas na uporządkowanie spraw i pożegnanie. .. które nie mogło odbyć się z nietaktownym wobec Wspaniałego pośpiechem. Fiora i Commynes mieli opuścić Florencję tego samego dnia, udając się jednak w przeciwnych kierunkach. On miał tu jeszcze wrócić, gdyż król pragnął, by w nadchodzących trudnych miesiącach trwał u boku Medyceuszy, a ona... nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś zobaczy Florencję - decyzja należeć miała do Filipa.

Gdy goście wyruszyli z powrotem do miasta, Fiora wzięła Demetriosą pod ramię i pociągnęła do ogrodu, który o tej porze roku - na początku lata - był w pełni rozkwitu. Pieszcząc wzrokiem krzewy róż i wielkie kępy obsypanych kwiatami wawrzynów, młoda kobieta czuła, jak jej serce się ścisza. To miejsce, jak i sam dom, wydało jej się nagle czymś ulotnym i kruchym, jak wszystko, co trzeba zostawić. Widząc łzy na jej rzęsach, obserwujący ją ukradkiem Demetrios mocniej ścisnął rękę spoczywającą na jego ramieniu.

- Żałujesz, że wyjeżdżasz?

- Trochę tak... Ale nie masz pojęcia, jak spieszno mi do spotkania z Filipem. Mamy do nadrobienia tyle głupio utraconych szczęśliwych dni. Coraz trudniej mi zrozumieć samą siebie. Czuję się tak, jakby były we mnie dwie kobiety.

- Nie „jakby”. To najzupełniej pewne. Jesteś wrosnięta we Florencję korzeniami szczęśliwego dzieciństwa i wczesnej młodości, a z mężem łączy cię zauroczenie i namiętna miłość. Cierpisz, wyjeżdżając stąd, gdyż trochę obawiasz się tego, co czeka cię gdzie indziej. Czy nie mam racji?

- Zawsze masz rację. Filip i ja znamy się tak słabo, a tak doskonale potrafimy sprawiać sobie ból!

- Chcesz powiedzieć, że gdyby nie dziecko, wahałabyś się, czy wrócić?

- Nie, nawet przez chwilę! Moje życie to Filip i niezależnie od trudnych chwil, które nas czekają, nigdy się go nie wyrzeknę.

Ścieżka zawiodła spacerowiczów do dolnej części ogrodu, w pobliże grotty, którą Demetrios wskazał podbródkiem.

- A... on?

- Zapomni o mnie. Tym bardziej że będzie musiał bronić miasta. Poza tym nie brak florentynek marzących o nim. Bartolommea dei Nasi... i tyle innych.

- Może masz rację. Ale czy ty zapomnisz jego?

- Nigdy... choć już go zapominam.

- A to interesująca odpowiedź, ale może nieco trudna do zrozumienia! Nawet dla człowieka, który sądził, że zna kobiety!

- Pewnie tak, bo ciężko to wyjaśnić. Lorenzo pozwolił mi mniej cierpieć z powodu rany, którą uważałam za nieuleczalną. Po prostu przywrócił mi radość życia, a ja pomogłam mu ukoić ból po śmierci brata.

- A... gdyby wbrew wszystkim i wszystkiemu zapragnął cię zatrzymać?

- Chcesz powiedzieć... siłą?

- Dlaczego nie?

- Nie. Nie on. Wiesz, że lubi powtarzać, że ze szczęściem trzeba się spieszyć, gdyż nikt nie jest pewny jutra. Umie chwycić chwilę i intensywnie z niej korzystać. Jednak jestem pewna, iż zrozumiał, że... jutro nadeszło.

Demetrios nie odpowiedział. Przez kilka minut szli z Fiorą w milczeniu aż do sadu oliwnego rozciągającego się na skraju ogrodu i wyznaczającego jego granicę. Kroczyli przez chwilę pod srebrzystym listowiem, po czym Grek zatrzymał się przy sękatym pniu, ułamał gałązkę, z której zwisał zielony owoc, i przez chwilę patrzył na nią, po czym podał młodej kobiecie.

- Zachowaj tę gałązkę troskliwie: będzie pamiątką ode mnie.

- Czy... pozwolisz mi wyjechać samej? - spytała z nagłym bólem. - Miałam nadzieję, że ty i Esteban wróćcie do Francji.

- Nie, Fioro. Skończyłem z wędrówkami. Jestem już na to za stary i jeśli pozwolisz mi nadal mieszkać w tym domu z moim wiernym Estebanem, nie będę się domagać od życia niczego więcej. Poza tym... nie jestem pewien, czy pani Leonarda byłaby skłonna przyjąć mnie z otwartymi ramionami.

- Będzie taka szczęśliwa na mój widok, że cię uściska. Sądzę, że w głębi serca cię lubiła.

- Przestań w końcu przypisywać ludziom emocje, które sama odczuwasz! Leonarda nigdy mnie nie lubiła, a nawet obawiała się mnie. Może nie bez powodu, ale nie w tym problem. Chcę pozostać tutaj, gdyż ten piękny kraj najbardziej przypomina moją ojczyznę... i tu wreszcie znalazłem spokój.

Fiora pogładziła czubkami palców gałązkę i uśmiechnęła się.

- I to symbol tego spokoju właśnie mi ofiarowałeś?

- Tak, i mówię poważniej, niż sądzisz. Czy możesz mi coś obiecać, Fioro?

- Jeśli ci na tym zależy...

- Bardzo mi zależy. Przede wszystkim nie mów Lorenzowi tego, co mi powiedziałaś. Być może kocha cię bardziej, niż myślisz, a poza tym jest zbyt dumny, by pogodzić się z tym, że był tylko tymczasową namiastką miłości.

- Nigdy nic takiego nie powiedziałam! - zawołała Fiora z oburzeniem.

- Być może, ale taki byt z grubsza sens twoich słów. Ponadto...

- Zatem to podwójna obietnica?

- Właściwie nie, gdyż sprowadza się do jednego: milczenia. Nigdy nie mów Filipowi de Selongey, że Medyceusz był twoim kochankiem. Chcę chronić w ten sposób nie tyle twój spokój, co twoje życie. Byłby zdolny cię zabić.

- Czyż nie wybaczył mi romansu z Campobassem?

- Nie wierzę w to przebaczenie i nie założyłbym, że nigdy więcej nie będzie do tego wracać. Tak więc proszę cię: żadnych nieostrożnych zwierzeń do poduszki, do których wy, kobiety, macie dziwną skłonność! Dobrze znam twego małżonka: kocha cię do szaleństwa. Mógł pogodzić się z... wojennym przypadkiem, ale nie wybaczy matce swego syna, że szukała pocieszenia w ramionach Wspaniałego. Nawet jeśli uważała się za wdowę. Obiecujesz?

- Obiecuję jedno i drugie. Jesteś mądrzejszy ode mnie.

- Jeszcze jedno: jesteś pewna, że nie spodziewasz się dziecka?

Fiora pozieleniała. Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy w czasie namiętnych godzin spędzanych z kochankiem, że to może się zdarzyć.

- Nie... nie sądzę. Nie.

- Wystarczy zobaczyć twoją minę, by zrozumieć, że nie jesteś tego pewna. Posłuchaj mnie więc uważnie: zaraz dam ci pewną miksturę. Przy pierwszych oznakach ciąży wypijesz ją z odrobiną miodu. Ciężko przechorujesz następne

dwa dni, ale później będziesz mogła bez obaw spojrzeć w oczy twemu małżonkowi!

- Jednak... czy to nie zbrodnia?

Z wysokości swego wzrostu Grek spojrział na młodą kobietę, której cudowne szare oczy wznosiły się ku niemu wypełnione niepewnością, a nawet obawą. Nigdy nie wyglądała tak pięknie. Ubrana w prostą suknię z cienkiego białego płótna haftowanego w drobne kwiatki, z włosami upiętymi wysoko i splecionymi w ciężki warkocz opadający na ramię, była uosobieniem wiosny. Jej twarz, której ledwie zaróżowioną bladość chroniła jedwabna parasolka, miała delikatność kwiatu kamelii, a giętka, długa szyja nieskończoną gracją. Dzięki odpoczynkowi, trosce i względom Lorenza szczupłe i jędrne ciało zdawało się wygładzone, pełniejsze i emanowało taką niezamierzoną zmysłowością, jaką w połączeniu z wyjątkową urodą widzi się u tych wyjątkowych kobiet zdolnych do zmiany oblicza całego królestwa. Demetrios pomyślał, że Wspaniały, o którym marzy tyle pięknych dam, będzie miał może pewien problem z zapomnieniem tej jednej. Zresztą później się to potwierdziło w trakcie licznych rozmów z Lorenzem.

- Posiąć Fiorę, to posiąć całe piękno świata. Starożytni Grecy wykuliby jej postać w kamieniu, ale trzeba trzymać ją w ramionach, by wiedzieć, jaki cudowny blask osiąga w miłości. Żadna kobieta nie dała mi tego, co dostałem od niej...

Milczenie przyjaciela zaniepokoiło młodą kobietę.

- No i? Nie odpowiesz mi? Czy to nie zbrodnia przeciwko naturze: usunąć dziecko ze swego łona?

- Tak. To zbrodnia, ale ten, kto zabiłby cię z zazdrości, popełniłby jeszcze straszliwszą... i złamałby mi serce. Tak więc zachowaj dla siebie to, o czym twój mąż naprawdę nie musi wiedzieć.

Wchodząc pod górę w kierunku jednego z tarasów usytuowanych przy samej ścianie willi, Demetrios i Fiora napotkali Carla bardzo zaabsorbowanego ustawianiem uli przy pomocy ogrodnika. Miody człowiek lubił pszczoły i od zawsze interesował się ich życiem i hodowlą. Lubiał powtarzać, że pszczoły z Trespiano dają miód, który nie ma sobie równego w całej Toskanii. W płóciennym fartuchu i sabotach, z podwiniętymi rękawami, włosami w nieładzie i zaczerwienioną twarzą kończył ustawiać czwarty ul i wydawał się w pełni szczęśliwy.

Żadna ludzka siła nie zdołała go przekonać do wzięcia udziału w obiedzie, którym Fiora podjęła swych przyjaciół - Commynes'a i Mortimera.

- Wystarczy, że Szkot wie, jak wyglądam - powiedział Fiorze na usprawiedliwienie. - Nie chcę, by poseł zobaczył mnie przy tobie. Byłbym z tego powodu... bardzo nieszczęśliwy.

- Dlaczego? Nasze małżeństwo jest nieważne, wiesz już o tym, ale nadal łączy nas głębokie uczucie. Nie mam brata, Carlo, i chciałabym, byś zaakceptował tę rolę!

- Boże mój, czym sobie zasłużyłem na taką radość? Nigdy żadna kobieta nie będzie miała bardziej czułego i oddanego brata. Nie prosź mnie jednak, bym uczestniczył w tym posiłku.

Widząc nadchodzących spacerowiczów, odgarnął ramieniem wilgotne kosmyki przyklejone do czoła i pomachał wesoło. Odkąd wrócił do wiejskiego trybu życia, wydawał się mniej wątły, a jego pociągła blada twarz nabierała stopniowo zdrowych barw.

- Nie możesz go zabrać do Francji, prawda? - szepnął Grek.

- A tymczasem byłoby to najlepsze rozwiązanie. Nie zapominaj, że uchodzi za nieżyjącego...

- Nikt nie przyjedzie go tu szukać, póki Lorenzo i ja będziemy żyć. Tam byłby jak wyrzucona na brzeg ryba. Tylko przyroda tego kraju może dać mu te zwyczajne radości, których tak potrzebuje. Ponadto łaknie wiedzy, a ja, jak sądzę, będę umiał częściowo zaspokoić to pragnienie.

- Innymi słowy, musząc dokonać wyboru, wybrałaś jego? - powiedziała Fiora z uśmiechem. - Będę zazdrosna.

- Bardzo by mi to pochlebiało. Ale mówiąc poważnie: lepiej, żebyśmy z Estebanem zostali tutaj, bo nikt, nawet ja, nie może przewidzieć, co cię tam czeka. Może będzie to wielkie szczęście, i tego życzę ci z całego serca, a może kolejne ciężkie przejścia, gdyż czasy, w których żyjemy, są bezlitosne. Wiedz, że masz tu swój dom i jego opiekunów: jakby rodzinę, zawsze gotową cię przyjąć... A teraz chodźmy zobaczyć, co działał!

Nagle z miasta, tak jeszcze przed chwilą spokojnego, wzniosło się gwałtowne bicie największego dzwonu, któremu natychmiast zawtórowały dźwięki z dzwonnicy wszystkich kościołów. Potem dobiegł ich stłumiony z powodu odległości ten rodzaj pomruku, którego Fiora i Demetrios nie mogliby nigdy zapomnieć, gdyż usłyszeli go po raz pierwszy pewnej nocy, gdy Florencja powstała, by domagać się ich śmierci. Mimo ciepłych promieni słonecznych i uroku bezkresnego krajobrazu rozciągającego się u ich stóp nie mogli powstrzymać dreszczy. Coś się działo i to coś poważnego, ale co?

Oboje, zapominając o Carlu, który już zresztą o nich nie myślał, rzucili się w kierunku starej wieży, pozostałości

po starożytnych fortyfikacjach etruskich, na której szczycie grecki lekarz zainstalował urządzenia umożliwiające obserwację nieba. Tym razem jednak skierował lunetę na miasto, a przede wszystkim na jego południowe bramy, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem do Florencji nie zbliżają się jakieś wojska. Nie dostrzegł jednak nic niepokojącego.

- Trzeba poczekać na powrót Estebana - westchnął Demetrios. - Przywiezie nam najświeższe wiadomości.

Kastylijczyk towarzyszył Francuzom w powrotnej drodze do pałacu Medyceuszy pod pretekstem konieczności uzupełnienia zapasu świec. W rzeczywistości zamierzał spotkać się z pewną ładniutką praczką z dzielnicy San Spirito, którą uratował w trakcie zamieszek od startowania. Od tamtej pory nogi często prowadziły go do uroczej Costenzy, do której zaczynał się szczerze przywiązywać, co budziło troskę Demetriososa, przekonanego, że oficjalne zajęcie praczki stanowiło tylko sprytną fasadę innego zgoła rzemiosła, starego jak świat i znacznie bardziej lukratywnego.

Toteż mieszkańcy willi Beltrami nie byli szczególnie zaskoczeni, że Esteban nie wrócił, kiedy trąbki obwieściły zamknięcie bram. Najwyraźniej postanowił spędzić noc u swojej przyjaciółki. Demetrios, wzruszywszy ramionami z rozdrażnieniem, zadowolił się wyrażeniem pragnienia, by ta eskapada nie okazała się dla jego wiernego sługi zbyt kosztowna.

- Ale my nie dowiemy się niczego aż do jutra - powiedziała z żalem Fiora.

Zamilknięcie dzwonów wcale jej nie uspokoiło, gdyż z doliny nadal dobiegał głuchy ryk, teraz nawet wyraźniejszy, bowiem nie zagłuszał go odgłos dzwonów.

Fiora się myliła. Około północy, kiedy wszyscy przygotowywali się do udania na spoczynek, nocną ciszę zakłócił galop konia, który ucichł przed bramą willi. Fiora od razu wiedziała, że późnym gościem jest Lorenzo.

Kiedy podszedł do niej, białej i świetlistej w blasku lampy, zobaczyła go takiego, jaki był wieczorem po zabójstwie

Giuliana: w czarnym kaftanie rozpiętym aż do pasa, z włosami potarganymi przez wiatr w trakcie jazdy, z potem na czole i każdą bruzdą na twarzy uwydatnioną przez kurz. Ale wyraz tej twarzy był inny. Tej nocy Lorenzo nie przybył, by szukać azylu, nie miał nadziei na chwilę zapomnienia w jej ramionach. Wyglądał na człowieka zdeterminowanego, który właśnie podjął jakąś decyzję.

- Przyjechałem się z tobą pożegnać - powiedział po prostu.

- Już? Przecież wyjeżdżam dopiero za kilka dni!

- Wiem, ale to ja opuszczam Florencję. Zresztą może przezornie byłoby przyspieszyć twoją podróż.

- Ale dlaczego? Nie ma pośpiechu, a Commynes...

- Commynes wyjeżdża jutro do Rzymu. Zamierzam mu towarzyszyć.

W kilku zwięzłych zdaniach Lorenzo opowiedział, co się wydarzyło i dlaczego nagle w mieście zapanowało wzburzenie. Papieski wysłannik przywiózł pod wieczór deklarację wojny wraz z listem do priorów, w którym Sykstus IV oświadcza, że nie żywi żadnej urazy do nich, lecz tylko do Lorenza Medyceusza, mordercy i świętokradcy. Niech Florencja przegna nikczemnego tyrana, a nie poniesie żadnych konsekwencji! Odzyska względy Ojca Świętego, który odtąd będzie ją darzył szczególnym afektem.

- Zaproponowałem więc, że oddam się w jego ręce - podsumował Wspaniały - aby oszczędzić drogiemu mi miastu okropieństw wojny. Priorzy nie zgodzili się na moją propozycję, ale poprosiłem, by zastanowili się do jutra, by skonsultowali się z poszczególnymi dzielnicami, swoimi rodzinami i mistrzami wszystkich cechów.

- Wygląda na to, że już udzielili ci odpowiedzi? - powiedział Demetrios. - Słyszeliśmy dzwony i wrzawę...

- Taka była rzeczywiście ich pierwsza reakcja i napawa mnie to wielką radością. Jednakże wiele może się zmienić w nocy, kiedy ciemności przyniosą ciszę... i strach.

- Nie możesz się poddać! - zawołała Fiora z oburzeniem. - Miałbyś się znaleźć w rękach tego niegodziwca, papieża, który kazał zabić twego brata w samym środku wielkanocnego nabożeństwa? Bez wahania wyda cię katu... i Commynes nic na to nie poradzi.

- Daleki jestem od zamiaru stawiania go w trudnej sytuacji. I bez tego jego misja jest wystarczająco skomplikowana..

- A myślisz, że twoja śmierć wystarczy, by poskromić wściekłość Sykstusa? On sam może nic nie zrobić, ale wyśle swego ukochanego bratanka, a Riario wypompowawszy z Florencji całe złoto, wytoczy z niej krew, jeśli miasto nie będzie się czołgać u jego stóp. Czy tego właśnie chcesz dla swojego miasta? Czy sądzisz, że ten nędznik oszczędzi twoje dzieci, żonę, matkę i całą rodzinę? Jesteś szalony!

- Nie, Fioro. To jedyne, co mogę zrobić. Powiedziałem to, do czego zmuszało mnie sumienie. Teraz to Florencja musi odpowiedzieć i dokonać wyboru swego losu.

- Zgodzić się na władzę Riaria, czy walczyć razem z tobą? - powiedział Demetrios. - Wydaje mi się, że gdybym miał jakiś autorytet, nie zastanawiałbym się ani przez chwilę. A tym bardziej przez całą noc...

- Jednak stawka jest poważna. Jeśli się nie oddam w ręce papieża, miasto zostanie obłożone interdyktem

- I co z tego? Jeśli Signoria odrzuci propozycję papieża, tak jak na to zasługuje, co ją obchodzić będą jego decyzje? Czy Commynes nie poinformował cię o planach króla Francji?

- O soborze? Tak, wiem... ale aby zwołać sobór, trzeba czasu. Czy wytrzymamy tak długo?

- Czy nie masz dość złota, by nająć kondotierów? Czyż Florencja nie ma broni, murów obronnych, a o jej potęgę stanowią tylko kupcy? Miasto będzie walczyć, w przeciwnym razie nigdy już nie będzie Florencją!

Namiętna żarliwość Fiory wywołała uśmiech na twarzy Lorenza, który czule przyciągnął ją do siebie:

- Mówisz jak moja matka - powiedział, składając na jej czole lekki pocałunek - ale...

- I jak wszystkie kobiety w mieście, mam nadzieję?

- Kto to może wiedzieć? Ale ty jesteś jedną z nich i to sprawia, że jeszcze trudniej mi znieść myśl o naszym rozstaniu. Tak ciężko powiedzieć ci: żegnaj, Fiore...

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, a jedynym, co ich łączyło, były spojrzenia.

- I ciężko tobie powiedzieć: żegnaj, Lorenzo... Chociaż nie należy nigdy mówić „żegnaj” ...

Cichy odgłos kroków Demetriososa odchodzącego w głąb domu nie zmącił czaru, w którego władzy się znaleźli. Grek zabrał ze sobą lampę oliwną i zostali sami w ciemnościach, sami w pogrążonym we śnie świecie, który spowijał ich w swoje zapachy, delikatne powiewy i drżenia. Fiore wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Lorenza.

- Jest tylko jeden sposób rozstania, który może złagodzić jego gorycz - wyszeptała. - Bądźmy razem ten ostatni raz...

Poczuła, jak zadrżał, ale zrobił krok do tyłu.

- Nie przyjechałem, by prosić cię o litość - burknął. - Nie jesteś już wolna...

- Wiem...

- Gdzieś tam na północy, jest ktoś, kto cię kocha... i kogo ty kochasz.

- Wiem.

- Jeśli teraz mi się oddasz, popełnisz cudzołóstwo, jak ja sam.

- To także wiem, ale tak jak pierwszego wieczora, dam ci siebie, bo tego chcę. Być może nigdy więcej się nie zobaczymy, Lorenzo, a więc ta noc może należeć tylko do ciebie. Jeśli tego pragniesz, oczywiście...

- Tego chcesz?

Wziął jej dłoń, odwrócił i pocałował od wewnątrz, a później poprowadził Fiore przez ogród do ich miłosnej groty. Światło gwiazd nadające niebu barwę mlecznego błękitu oświetlało im drogę w labiryncie alejek i schodków łączących tarasy. Przed wejściem do kryjówki zatrzymali się i przytulili do siebie pod ogromnym krzakiem jaśminu, który spowił ich swym zapachem i obsypał śniegiem drobnych białych płatków.

- Jakie piękne jest dziś niebo! - wyszeptał Lorenzo z ustami przy ustach Fiory. - Chcę, by tej nocy było nad nami tylko ono...

Rozebrali się i nago padli na dywan jeszcze zielonej trawy, osłonięty kępami jasnych piwonii.

Pianie pierwszych kogutów wyгнаło Lorenza. Z rozpaczliwą namiętnością przytulił Fiore ostatni raz i pocałował.

- Niech Bóg ma cię w opiece, moje śliczne kochanie!... Po raz pierwszy wymówił to słowo i Fiore, poruszona, chciała go zatrzymać, ale już się oddalił. Jego wysoka postać, zwinna jak u dzikiego zwierzęcia, skierowała się w kierunku groty, sprzed której zabrał ubranie. Fiore, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, siedziała oplatając ramionami kolana, i patrzyła, jak znika w unoszącej się nad doliną mgiełce. Coś ścisnęło ją za gardło i wybuchnęła szlochami. Miała okropne wrażenie, że na szczęście, jakie czuła na myśl, że wkrótce zobaczy Filipa, pojawiła się rysa... i że trudno jej będzie zapomnieć Loren - i za, o ile w ogóle kiedyś będzie to możliwe...

Jedną rzeczą była jednak pewna: choćby Wspaniała nie był zmuszony poświęcić się dla spokoju Florencji, ona więcej go nie zobaczy. Nawet jeśli, jak powiedziała, nie należy nigdy mówić „żegnaj”.

To właśnie chciała wyjaśnić Demetriosowi, kiedy chwilę później ujrzała go przemierzającego alejkę przed wejściem do domu, z dłońmi schowanymi w szerokich rękawach. Uciszył ją jednak natychmiast:

- Nie musisz się tłumaczyć, Fiore! Nikomu!

- Nie potępiasz mnie?

- Z jakiej racji? Nie mam ani ochoty, ani prawa.

- On może zginie, rozumiesz?

- Nie zginie. Florencja nie pozwoli mu wyjechać i będzie o niego walczyć. A ty nie zniżaj się do usprawiedliwień i przestań oszukiwać samą siebie.

Pragnęłaś go, a on pragnął ciebie... i tym lepiej, że zostawisz tu część swego serca. Może któregoś dnia zapragniesz po nią wrócić.

Demetrios miał rację. Esteban wróciwszy koło południa, przywiózł nowe wieści. Signoria jednogłośnie postanowiła odpowiedzieć papieżowi, że nie ma prawa wydawać jej żadnych poleceń w kwestiach świeckich. Lorenzo nie popełnił błędu, a lud go kochał - był mu wdzięczny za obronę przed tymi, którzy chcieli ograniczyć jego swobody... Kler toskański zaś, z prałatami na czele, oświadczył, że w przypadku, gdyby został nałożony interdykt, zamierza nie zastosować się do niego i zażądać zwołania soboru.

Co więcej, Lorenzowi została przyznana dodatkowa ochrona, która miała wszędzie mu towarzyszyć, a Savaglio miał kroczyć przed nim z obnażonym mieczem, gdyż wiadano, jakie sidła zastawić może pełen nienawiści Sykstus IV. Wszyscy zaczęli się przygotowywać do wojny, złoto przeznaczone na wojska najemne płynęło szerokim strumieniem.

- Tylko ja nic nie zrobię - westchnęła Fiora - bo przecież wyjeżdżam...

- Będiesz się za nas modlić - powiedziała Chiara. Przybyła z Colomba z ostatnią wizytą, gdyż Fiora nie zamierzała jechać do miasta. Tak postanowił Lorenzo ostatniej nocy - miało ją to uchronić przed natrafieniem na zamieszki.

- Wiesz, że nie mam zwyczaju się modlić?

- Leonarda cię nauczy: ona robi to bardzo dobrze. Będę za tobą tęsknić. Miałam wrażenie, że wróciłam do dawnych czasów.

- Po co patrzeć wstecz? Jesteśmy młode i mamy przed sobą, mam nadzieję, piękne lata. Może odwiedzisz mnie we Francji? To wspaniały kraj, oczywiście inny niż Italia, ale spodoba ci się. A poza tym będziesz tam na pewno miała wielkie powodzenie!

- Nie mówię: nie. Będę musiała jednak najpierw przekonać wuja Lodovico, że francuskie motyle są interesujące!

Trzymając się pod ramię, z podążającą za nimi Colomba, która popłakiwała w chusteczkę, młode kobiety szły długą cyprysową aleją prowadzącą do willi i osłaniającą ją zarazem przed obcymi spojrzeniami. Służący prowadził za uzdy muły gości. Nagle Fiora zauważyła leżący w trawie kamień. Pochodził niewątpliwie z murku biegnącego wzdłuż podwójnego szeregu wysokich drzew. Podniosła go i przez chwilę trzymała w dłoni, nagle zamyślona.

- Pamiętasz to, co ci powiedziałam rankiem w dniu świętego Jana?

- Wyrwany kamień?

- Tak. Wiesz, wtedy myślałam, że wrócił on na swoje miejsce w murze. Myliłam się. Ten kamień jest znakiem...

- Nie całkiem. Spójrz! Widać, skąd wypadł... Wystarczy, że go włożysz na miejsce.

- Nie. Znowu wypadnie. Trzeba by trochę zaprawy, żeby go umocować, a ja jej nie mam. Chyba zabiorę go ze sobą, na pamiątkę.

- Więc miejsce po nim zostanie puste, jak po tobie? Mam nadzieję, że i ty, i on wrócić je wypełnią.

I Chiara ze łzami w oczach uściskała przyjaciółkę, wskoczyła na muła i odjechała pędem, jakby się paliło, ścigana krzykami Colomby, która potrzebowała więcej czasu, by dosiąść zwierzęcia. Fiora została sama na końcu alei.

I tak, po wielkich rozdarciach i drobnych rozterkach, więzy łączące ją z ukochaną Florencją pękały jeden po drugim, a ona nie wiedziała, czy kiedykolwiek znów się zadzierzgną. Musiała zrezygnować z ponownego odwiedzenia grobu ojca - decyzja ta była dla niej rozdzierająca, ale Chiara obiecała, że będzie się na nim modlić co tydzień w jej imieniu. Jednakże najtrudniejsze było ostatnie rozstanie, pożegnanie z domem i z tym, którzy mieli w nim zostać.

Wyjazd ten miał miejsce czternastego dnia lipca, w dniu świętego Bonawentury, Ojca Kościoła i towarzysza Franciszka z Asyżu. Z tej okazji odprawiono nabożeństwo w małym klasztorze w Fiesole, w którym pewnej zimowej nocy

Filip de Selongey i Fiora zawarli małżeństwo. Zanim wyruszyła w drogę, mającą doprowadzić ją do męża, Fiora - sama zresztą nie wiedząc dlaczego - zapragnęła wziąć udział w nabożeństwie. Wydawało jej się, że w ten sposób, w miejscu złożenia przysięgi małżeńskiej, naprawi więzy, które uważała za zerwane przez śmierć. Wczesnym rankiem, kiedy dzień dopiero wstawał, uklękła przed konfesjonałem w chłodnym półmroku kaplicy, by wyspowiadać się z cudzołóstwa. Szczerze pragnęła oczyścić swą duszę, wiedząc zarazem, że nie zdoła żałować tego grzechu i że jej skrucha jest tylko pozorna. Jednakże uświęcone słowa rozgrzeszenia podziałały na jej umysł tak, jak oczekiwała i przywróciły ją samej sobie. Kochanka Lorenza ustąpiła miejsca hrabinie de Selongey, która zdecydowanym krokiem dołączyła do Douglasa Mortimera czekającego na nią w willi wraz z trzema ludźmi eskorty.

Z wilgotnymi oczami i zachrypniętym głosem kolejno uściskała tych, których opuszczała.

Do Estebana powiedziała:

- Powierzam ci ich, Estebanie, ponieważ jesteś najsilniejszy. Czuwaj nad nimi, nie zapominając troszczyć się o siebie, bym nie straciła dobrego przyjaciela.

Do Carla:

- Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, by się poznać, mój bracie, ale ten krótki okres wystarczył, byś stał mi się bliski na zawsze. Z całego serca mam nadzieję, że kiedyś znów się zobaczymy.

Wreszcie do Demetriosa:

- Byłeś dla mnie jak ojciec i taki pozostajesz. Trudno cię opuszczać. Błagam, powiedz, że to nie na zawsze i że nie minie wiele czasu, a znów się spotkamy!

Wziąwszy ją w ramiona, przytulił do siebie mocno, nie mogąc powstrzymać napływających łez.

- Moje oczy zasnuwa mgła, mata Fioro, a księga Przeznaczenia coraz rzadziej się przede mną otwiera, ale wiem, że nigdy nie rozstaniemy się całkiem. A teraz ruszaj w drogę! Grecki filozof powinien pozostać niewzruszony we wszystkich okolicznościach, a ja w tej chwili zupełnie nie czuję się filozofem...

Odwróciwszy się na pięcie, pobiegł zamknąć się w starej wieży służącej mu jako obserwatorium. Fiora podeszła do stojącego przy koniach Mortimera. Przytrzymał jej strzemień, a ona dosiadła wierzchowca. Następnie Szkot pomógł również Khatoun, w nieco inny jednak sposób: pochwycił ją w talii, uniósł z ziemi i posadził na grzbiecie zwierzęcia z wysiłkiem nie większym, niż gdyby była pakunkiem, a czynności tej towarzyszył uśmiech tak rozanielony, że młoda Tatarka splonęła rumieńcem. Rozbawiona Fiora pomyślała, że srogi sierżant Zawierucha najwyraźniej interesował się tym kruchym i słodkim stworzonkiem, które zdawało się pochodzić z zupełnie innej niż on sam planety. Starannie rozpostarł jej pelerynę na zadzie konia, znowu się uśmiechnął i dosiadł swego wierzchowca, nie zauważywszy, że Fiora kryje uśmiech pod welonem spowijającym jej głowę. To, że podróż zaczynała się tak miło, wydało jej się dobrą wróżbą.

Opuściwszy Fiesole, grupka podróżnych spokojnie zjechała ze wzgórza i dotarła do doliny Mugnone, którą miała podążać aż do szlaku wiodącego do Pizy i Livorno. Pogoda była piękna, a docierająca znad morza bryza pozwalała mieć nadzieję, że nie będzie zbyt gorąco. Fiora jadąc u boku Mortimera, patrzyła prosto przed siebie i mimo nękającej ją pokusy wstrzymywała się od spoglądania wstecz, aby żal nie zakłócił świeżo odzyskanej równowagi ducha.

Nagle, gdy zbliżali się do osady Barco, zadrżała. Dzwony Florencji, Florencji ekskomunikowanej, Florencji obłożonej interdyktem, wszystkie

jednocześnie, jakby na rozkaz, zaczęły się kołysać i wybijać wesoły rytm w błękitnym świetle poranka. Khatoun podeszła do Fiory, która tym razem zatrzymała się, by posłuchać.

- To on cię żegna - szepnęła.

- Może... ale jest jeszcze coś. Te dzwony nie wygrywają pożegnania, lecz nadzieję. Florencja mówi nam, że nie boi się przyszłości, że wciąż jest silna i wolna, i że nic nigdy jej nie zmieni... A teraz ruszajmy, trzeba jechać dalej.

Pogrążona w emocjach nie zauważyła śledzącego ją mężczyzny schowanego za pnem drzewa oliwnego. Mężczyzną tym był Luca Tornabuoni...

* * *

Dwa dni później, w chwili, gdy w porcie rybackim w Livorno wciągano żagle na maszty karaweli mającej zawieźć grupkę podróżnych do Marsylii, w Rzymie Filip de Comynes kroczył, stukając obcasami po marmurowej posadzce Sali Papugi. W głębi, przyczajony na tronie jak szykujące się do skoku zwierzę, Sykstus IV patrzył na niego spod współprzymkniętych powiek. Obok francuskiego posła bezszelestnie przesuwiała się purpurowa postać kardynała kamerlinga Guillaume'a d'Estouteville... Przed nimi dreptał mistrz ceremoniarz Patrizi, bardziej niż kiedykolwiek podobny do przerażonej myszy.

Po uroczystym rytuale protokolarnych powitań papież, nie przerywając złowróżbnego milczenia, które zachowywał od wkroczenia wysłannika Ludwika XI, przyglądał się przez chwilę pełnej i spokojnej twarzy Flamanda, którego niebieskie oczy śledziły go z niejakim zaciekawieniem. Filip pomyślał, że ten mężczyzna wygląda tak, jak sobie go wyobrażał - był otyły i zgrzybiały.

Wreszcie z głębi potrójnego podbródka papież burknął:

- Czego chce od nas król Francji?

Comynes wyjął z rękawa list zapieczętowany Wielką Pieczęcią, zbliżył się o dwa kroki i przyklękawszy, podał go Sykstusowi. Jednak jego ręce nie zostały widać uznane za wystarczająco godne, by bezpośrednio przekazać pismo, bowiem d'Estouteville wziął je od niego i przekazał papieżowi.

- Otwórz, nasz bracie, i przeczytaj! - polecił Sykstus. Zorientowawszy się, co ma w dłoniach, kardynał stał się równie czerwony, jak jego szata. Łaciński tekst króla Ludwika był tak zapalczywy, że potwierdzał wszelkie obawy. Rozwijając królewski list, d'Estouteville zastanawiał się, czy poseł nie zapłaci za niego głową.

Oby Niebo sprawiło, by Wasza Świątobliwość uświadomił sobie, co czyni - pisał król - i żeby, jeśli nie chce konfliktu z Turkami, zrezygnował chociaż z działania na czyjąkolwiek szkodę tak, by nie uchybić swemu posłannictwu. Wiem, że Wasza Świątobliwość zdaje sobie sprawę, iż skandale

przepowiedziane przez Apokalipsę dotyczą dziś Kościoła i że sprawcy tych skandali nie przeżyją, lecz doczekają najstraszniejszego końca tak na tym, jak na tamym świecie. Oby Wasza Świątobliwość nie był winien tych plugawstw.

Przy tych ostatnich słowach głos prałata przycichł zduszony, ale mimo to były one zrozumiałe. Wściekły Sykstus zerwał się ze swego tronu i wydał z siebie wściekły ryk i stek złorzeczeń:

- Nikczemnik! Dowie się, czym jest mój gniew! Jak śmie tak nas obrażać? Ekskomunikujemy go, nałożymy na jego królestwo interdykt...

Commynes mu przerwał:

- Król nie zrobił nic, co by na to zasługiwało, Ojczy Świątobliwość! Obowiązkiem chrześcijańskich władców jest ukazywanie zasiadającym na Tronie Piotrowym ich odpowiedzialności. Podczas gdy żagle tureckie zbliżają się powoli do wybrzeży adriatyckich, Wasza Świątobliwość zamiast starać się zjednoczyć Italię pod swym dostojnym przywództwem, aby przeciwstawić niewiernym zwarte i silne wojska, myśli tylko o zniszczeniu Florencji...

- Albowiem Florencja zasługuje na zniszczenie. Ośmielić się powiesić arcybiskupa Pizy, ośmielić się przetrzymywać jako zakładnika naszego kardynała legata z Perugii...

- Lorenzo Medyceusz nie przetrzymuje kardynała Riario, przeciwnie: zaoferował mu schronienie w swoim pałacu, by nie spotkał go los arcybiskupa Salviatego. Florencja jest miastem pobożnym i wiernym swojej wierze, ale nie może się zgodzić, by w trakcie mszy wielkanocnej, w świętej chwili Podniesienia, mordowano jej książąt. Królowi Francji wcale nie podobał się ten... nazwijmy to „incydent” w Santa Maria del Fiore. I nie jest jedynym w Europie.

- A co on nas obchodzi!

- Doprawdy? Niech Wasza Świątobliwość się zastanowi! Król nie żywi żadnych wrogich zamiarów wobec papieżstwa. Co więcej, polecił mi zaproponować swoją pomoc w walce z Turkami, pomoc niebagatelna. Jednakże jeśli Wasza Świątobliwość upiera się przy zamiarze zniszczenia Florencji... lub przy ofiarowaniu jej z użyciem siły swemu bratankowi, hrabiemu Girolamo Riario, to pomoc tę otrzyma Florencja. Ponadto niech Wasza Świątobliwość zechce przypomnieć sobie o prawach rodzinnych, jakie ma Francja do Królestwa Neapolu, które znalazło się w posiadaniu Alfonsa Aragońskiego. Gdyby król był łaskaw przypomnieć sobie o tym małym państwie i zapragnął je odzyskać, Rzym znalazłby się w nieprzyjemnym położeniu. Na koniec proszę Waszą Świątobliwość o rozważenie kwestii... jego finansów.

- Naszych finansów? A cóż to znaczy?

- Ze w chwili obecnej król musiał już opublikować dekret zakazujący pod karą wysokiej grzywny przedstawicielom kleru wyjazdów do Rzymu... czy wysyłania tu jakichkolwiek pieniędzy.

- Co mówisz?

- Zaskoczenie Waszej Świątobliwości mnie dziwi. Przecież musi Wasza Świątobliwość wiedzieć, że król, który niegdyś zniósł sankcję pragmatyczną z Bourges, bardzo poważnie zastanawia się nad jej przywróceniem. Ten dekret jest dopiero początkiem.

- I ośmieliłeś się przybyć tu i powiedzieć mi to prosto w oczy?

- A komu innemu mógłbym to powiedzieć? Ojciec Święty, mój król, król „bardzo chrześcijański”, nie bez powodu ma taki tytuł. Trudno znaleźć kogoś bardziej pobożnego, bardziej oddanego sprawom Boga i Matki Przenajświętszej. Jego ostrzeżenie jest nacechowane synowskim oddaniem i głębokim pragnieniem, by majestat Tronu Piotrowego promieniował, jak w czasach Innocentego, na tych wszystkich, którzy kochają Chrystusa i Mu służą. Zagrożenie tureckie jest realne, naglące i zamiast odpowiadać anatema, należałoby je przeanalizować w sposób chłodny i świadomy.

- Tak jak król Francji?

- Oczywiście, gdyż Ludwik jest przede wszystkim władcą, a dopiero potem człowiekiem, ojcem czy kimkolwiek innym, a chwałą Boga jest mu droższa niż jego własna.

Stwierdziwszy, że nie ma nic więcej do dodania, poseł znów przyklęknął i, jak chciał zwyczaj zakazujący odwracania się do papieża plecami, wycofał się tyłem w kierunku drzwi. Zamiast go odprowadzić, kardynał d'Estouteville zajął swe miejsce u stóp tronu, zdając się nie zauważać burzowych chmur zbierających się pod czcigodnymi powiekami.

- Masz coś do dodania? - spytał papież.

- Istotnie, i z góry proszę o wybaczenie, ale Wasza Świątobliwość zbyt ceni sobie sprawiedliwość i zbyt troszczy się o dobro chrześcijan, bym nie poinformował go o pewnym fakcie, niewątpliwie drobnym, lecz jak sądzę dla niego istotnym.

- Jakim?

- Chodzi o... donnę Fiorę Beltrami, którą Wasza Świątobliwość trzy miesiące temu poślubił młodemu Carlowi dei Pazzi.

Twarz Sykstusa IV ponownie przybrała ceglastą barwę.

- To temat, na który niezbyt lubimy rozmawiać i powinieneś o tym wiedzieć, bracie w Chrystusie. Ta kobieta odpowiedziała najczarniejszą niewdzięcznością i haniebną ucieczką na dobra, którymi chcieliśmy ją hojnie obdarować, nie

tylko z litości, lecz także dlatego, iż zdawała się godna naszej życzliwości. O co znów się ją obwinia?

- O nic, Ojciec Święty, o nic zupełnie... jednak przezornie byłoby powiadomić Kancelarię, że będzie musiała unieważnić to małżeństwo, a nawet... całkowicie usunąć je ze swoich rejestrów.

- Usunąć? A to dlaczego? Małżeństwo, którego sami udzieliliśmy, w naszej prywatnej kaplicy... w twojej obecności, kardynale? Jeśliby istniały jakieś przeszkody dla tego związku, dlaczego wówczas ich nie zgłosiłeś, jak tego wymaga rytuał ceremonii ślubnej?

- Byłem ich nieświadomy, Ojciec Święty. Wasza Świątobliwość ze zgrozą odrzuciłby myśl o pobłogosławieniu takiego związku, gdyby...

- Gdyby co? Skończ z tymi wstęпами, na wszystkich świętych!

- Gdyby wiedział, że ta młoda kobieta nie jest wdową, jak wszyscy sądziliśmy... i jak uważała ona sama.

- Co?

Commynes wziął na siebie zadanie ostatniego ciosu, wykorzystując całe swe dyplomatyczne doświadczenie, by nie ujawnić wewnętrznej satysfakcji.

- Dokładnie tak, Ojciec Święty. Hrabia Filip de Selongey, skazany na śmierć, rzeczywiście został wprowadzony na szafot w Dijon... ale zszedł z niego cały i zdrowy, gdyż na rozkaz króla dosłownie w ostatniej chwili został ułaskawiony.

Zapanowała ciężka cisza zakłócana jedynie świergotem ptaków zajmujących wielką złoconą wolierę w sąsiednim pomieszczeniu. Papież westchnął głęboko.

- A... ona? Gdzie się teraz znajduje?

- Według tego, co mi wiadomo, żegluje w kierunku Francji, Ojciec Święty...

I Commynes, po raz ostatni głęboko się skłoniwszy, opuścił Salę Papugi.

Część druga

Drogi bez wyjścia

Rozdział czwarty

Rozmowa pod czereśnią

Zbliżał się zmierzch, gdy kilka tygodni później 'Douglas Mortimer pozostawił Fiorę z Khatoun przy wjeździe na starą, ocienioną przez wiekowe dęby aleję prowadzącą do Domu w Barwinkach.

- Dotarliśmy do portu! - powiedział, skłoniwszy się. - Nie potrzebujesz świadków spotkania z bliskimi...

- Może wejdiesz i się odświeżysz? Dzisiejszy etap był długi, a dzień gorący.

- Zrobię to w Plessis. Jeśli pozwolisz, złożę ci wizytę jutro, przywitam się z panią Leonardą i zobaczę, czy twój syn bardzo urósł.

Serce Fiory biło szybciej niż zwykle, kiedy jechała konno drogą wiodącą wśród porastających pobocza traw. Pamiętała swoje dziecko jako maleńką, wymachującą rączkami istotę, którą z rozczuleniem trzymała w ramionach. Teraz zbliżało się ono do swych pierwszych urodzin, a jego matka nic o nim nie wiedziała. Nie widziała jego pierwszych uśmiechów. To nie ona pochylała się nad kołyską i spędzała przy nim noce, gdy je coś bolało. Z pewnością będzie na nią patrzyło jak na obcą osobę i w chwili wkroczenia w jego świat Fiora nie mogła powstrzymać obaw.

Kiedy rozstąpiła się zasłona drzew i pojawił się dom, różowo-biały na zielonym tle, zachwycona tym widokiem Khatoun zaklaskała w dłonie. Ogród był jednym wielkim bukietem kwiatów, a wspinające się na taras barwinki wylewały się z lasku i rozpościerały jak królewski dywan. W głębi lśniła Loara, odbijając czerwony blask przepięknego zachodu słońca zdającego się otaczać płomieniami jasne zabudowania opactwa Świętego Kośmy. Powietrze pachniało rozgrzanymi kwiatami, sosnami, świeżo ściętą trawą z lekką nutą wilgoci dobiegającą od strony rzeki.

- Jak tu ładnie! - westchnęła Khatoun. - Ale... Nikogo nie ma?

W tej chwili z głębi ogrodu dotarło wesole, zbliżające się ku nim pogwizdywanie. Wreszcie zza bujnych krzewów wyszedł młody mężczyzna niosący na ramionach małe dziecko, które śmiało się i wczepiało rączkami w jego jasne włosy. Jeden z koni zarżał, co sprawiło, że mężczyzna odwrócił

głowę. Stał jak wryty, a jego niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Jednocześnie machinalnie zdjął chłopczyka z ramion i posadził sobie na rękę.

- No i co, Florencie? - powiedziała Fiora z uśmiechem. - Czyżbyś mnie nie poznawał?

Zaskoczenie minęło i nagle źrenice młodzieńca zapłonęły, a z gardła wydobył się istny ryk radości:

- Pani Leonardo! Petronelo! Stefanie!... Szybko! Chodźcie szybko! Wszyscy! Nasza pani wróciła!

A ponieważ najwyraźniej nikt go nie usłyszał, wcisnął dziecko w ramiona Fiory i rzucił się biegiem w kierunku domu wrzeszcząc z całych sił:

- Nasza pani wróciła! Nasza pani wróciła!

Ta nagła zmiana nie spodobała się małemu Filipowi, który energicznie zaprotestował. Jego buzia otworzyła się szeroko z donośnym „Ueeeeeeeeee... ue...ue!” połączonym z potokiem łez.

- Mój Boże! - jęknęła Fiora. - On się mnie boi!

Zrozpaczona, nie śmiała przytulić go do siebie i obsypać pocałunkami brązowych, jedwabistych loczków pokrywających jego główkę, choć umierała z chęci, by to zrobić.

- Ależ nie, nie boi się ciebie - powiedziała Khatoun. - To ten durny chłopak za mocno nim potrząsnął. Poczekaj!

Zaczęła wymachiwać rękami i robić miny, które zdały się dziwić dziecko. Przestało płakać, po czym nagle, prawie bez fazy przejściowej, wybuchnęło śmiechem.

- Widzisz? Przestał płakać i szybko zrozumie, że jesteś jego mamą.

Maluch przyglądał się teraz tym dwóm tak różnym twarzom, które się do niego uśmiechały. Fiora czule go przytuliła i zaczęła delikatnie kołysać w ramionach.

- Moje maleństwo!... Mój syneczek! Jaki jesteś śliczny!

Próbowała dotknąć w locie ustami różowych paluszków poruszających się przed jej twarzą i usiłujących pochwycić brzeg białego welonu lub pasemko włosów. Wreszcie Filip zdecydował się na nos matki i szarpnął go z zapalem.

- Ależ on już jest silny! - zawołała, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. - Och, Khatoun, jak mogłam tak długo być z dala od niego?

Młoda Tatarka nie miała czasu udzielić odpowiedzi na to pytanie, które zresztą odpowiedzi nie wymagało, bo niczym chmara wróbli na spotkanie im wybiegli mieszkańcy domu. Nogi Leonardy nie dorównywały nogom pozostałych, ale nikt nie ośmieliłby się wyprzedzić jej w tym biegu. Przeciwnie - Florent i Marcelina, mamka dziecka, podtrzymywali ją i to ona jako pierwsza

padła w ramiona Fiory, której Khatoun skwapliwie odebrała syna, zachwycona, że wreszcie może poznać małego Filipa.

Przez chwilę trwały uściski, pocałunki, wesołe okrzyki i serdeczne słowa powitania. Leonarda w przekrzywionym czepcu wylewała potoki łez, przyciskając swoje jagniątko do serca, obejmowała Khatoun niemal równie czule, co Fiorę, co zdziwiło Tatarkę, zupełnie nienawykłą do takich przejawów uczuć u pani Leonardy, którą zawsze uważała za nieco oschłą.

- Bóg pozwolił, byście się odnalazły - oświadczyła Leonarda. - Niech Jego imię będzie błogosławione, i niech ten dom, w którym odtąd będziesz mieszkać, stanie się dla ciebie azylem. Wraz z tobą wraca tu coś z dawnych, dobrych dni!

I ponownie ją uściskała, by pokazać radość, którą czuła, widząc ją znowu. Stefan Le Puellier i jego żona Petronela, czyli zarządca i kucharka w niewielkiej posiadłości, także mieli łzy w oczach widząc młodą panią, którą darzyli serdecznym przywiązaniem. Zaś młody Florent, niegdyś terminator u bankiera Angola Nardiego w Paryżu, a obecnie ogrodnik i prawa ręka Stefana, patrzył na Fiorę ze złożonymi dłońmi i zachwytem w oczach, nawet nie myśląc o otarciu strumieni łez spływających na niebieski płócienny fartuch. Uczucia, które wobec niej żywił, nie stanowiły dla nikogo tajemnicy i jego ekstaza nie miała w sobie nic zaskakującego.

Tylko Marcelina, mamka, która nie zdążyła poznać matki swego mlecznego syna, okazała pewną rezerwę. Oświadczyła, że jest bardzo zadowolona, że pani hrabina wróciła, ale pospiesznie zabrała małego Filipa z ramion Khatoun, usiłując spiorunować ją wzrokiem. Widząc rozczarowanie na twarzy swej byłej niewolnicy, Fiora pomyślała, że trzeba spodziewać się kłopotów z tej strony i aby wszystkich pogodzić zawołała:

- Daj mi go na trochę, Marcelino! Pomyśl, że nie widziałam go od miesiący...

- Kiedy on jest ciężki, pani hrabino! A po tej długiej podróży...

- Jestem jeszcze zdolna dźwigać to brzemie - odpowiedziała Fiora żartobliwie. - Od tak dawna o tym marzę!

I trzymając z dumą w ramionach syna, ruszyła w kierunku domu, w którym zniknęła już Petronela, wołając, że przygotuje najlepszą kolację na świecie. Leonarda i Khatoun otoczyły Fiorę, a za nimi szli Stefan i Florent, prowadząc konie, które zamierzali umieścić w stajni po wcześniejszym uwolnieniu ich od bagaży i rozsiodłaniu. Marcelina postanowiła dołączyć do Petroneli i pomóc jej w kuchni.

Leonarda nie mogła napatrzeć się na Fiorę, zupełnie jakby się obawiała, że dawna podopieczna zniknie, rozplynie się jak sen w ostatnich promieniach słońca. Najwyraźniej zżerała ją ciekawość i nie mogła długo opierać się chęci zadania pierwszego pytania:

- Skąd się tu wzięłaś, moje jagniątko?

- Zaskoczę cię, Leonardo: przybywam z Florencji, gdzie widziałam się z naszym przyjacielem, Commynes'em. A przywiózł nas tutaj Douglas Mortimer...

- Z Florencji? Ale... jak to się stało, że się tam znalazłaś? Czy nie była to wielka nieostrożność?

- Nie, zaszły tam wielkie zmiany! Och, moja droga, mam ci tyle do opowiedzenia, że nie bardzo wiem, od czego zacząć!

- Czy najprościej nie byłoby od początku? Na przykład od porwania...

- Oczywiście, ale - Fiora ściszyła głos - o tym, co przeżyłam przez te miesiące, nie wszyscy powinni się dowiedzieć. Toteż proszę cię o nieco cierpliwości. Poczekajmy, aż będziemy same wieczorem. Tymczasem musisz mi odpowiedzieć na pytanie, które mnie prześladowuje od czasu wyjazdu z Italii: czy wiesz, gdzie jest Filip?

- Filip? Ależ... przecież trzymasz go na rękach. Przykładając policzek do główki dziecka, Fiora pocałowała ją z czułością.

- Nie on, Leonardo... jego ojciec.

Źrenice starej panny rozszerzyły się pod wpływem nagiego zdumienia zmieszanego z niepokojem, który Fiora bez problemu rozszyfrowała: Leonarda zastanawiała się, czy jej przybrana córka wróciła w pełni władz umysłowych.

- Nie martw się, nie zwariowałam! Widzę jednak, że jesteś równie nieświadoma, jak ja przed spotkaniem z Commynes'em. To on powiedział mi prawdę.

- Jaką prawdę?

- Jedyną obowiązującą, myślę: egzekucja mego małżonka nie została doprowadzona do końca i Filip uniknął śmierci... ale dokąd pojechał? Tego Commynes nie mógł mi powiedzieć.

Leonarda zmarszczyła brwi i położyła dłoń na ręce Fiory, jakby chcąc zatrzymać ją w obliczu niebezpieczeństwa:

- Albo nie chciał. Strzeż się, moje dziecko! Może chodzić o tajemnicę państwową, do której tylko król posiada klucz! Może lepiej rozmawiać o tym tylko za zamkniętymi drzwiami? Niektórych słów nie należy wypowiadać głośno.

- Masz rację! Porozmawiamy później!

I przytulając mocno do siebie gaworzące niemowlę, Fiora przekroczyła wreszcie próg Domu w Barwinkach, po którym rozchodził się zapach pieczonego kurczaka.

* * *

Tego wieczora Fiora postanowiła, że wszyscy razem zjedzą w kuchni, mimo pełnych zgorszenia protestów Petroneli, która uważała, że pani na włościach to nie przystoi. Fiora nie chciała o niczym słyszeć.

- Od miesiący marzyłam o powrocie do domu - powiedziała - ale bez was wszystkich byłby on tylko pustą skorupką. Potrzebuję was tuż obok. Poza tym znam sale pałacowe, które nie umywają się do twojej kuchni, Petronelo.

I w ten oto sposób wszyscy spotkali się przy długim stole z woskowanego dębu, na którym Leonarda rozpostarła cienki, płócienny obrus, a Florent na cześć Fiory porozstawia! bukieciki drobnych różowych różyczek i barwinków. Domownicy radośnie zasiedli wokół specjałów Petroneli, począwszy od pasztetów z łososia, z węgorza i z jarzątka, cienkich kielbasek i soczystej pieczeni z warchlaka z czerwonymi porzeczkami, a skończywszy na smakowitych pączkach z kwiatem akacji, różnorodnych konfiturach i galaretkie z karmelem i migdałami, poprzez świeże serki podane na liściach winorośli z przyprawami. Naturalnie Stefan wydobyl z piwnicy kilka butli swoich najlepszych win z Orleanu i Vouvray.

Fiora oczywiście mówiła znacznie więcej niż pozostali biesiadnicy, choć nie omieszkała zadawać pytań o to, co działo się w trakcie jej nieobecności. Wszyscy chciwie słuchali relacji o jej losach od chwili, gdy Montesecco porwał ją na rozkaz papieża, by zawieźć do Rzymu. Jednakże opowiadanie sprawiało narratorce pewne problemy. Nie mogła przecież urazić uczuć religijnych tych dobrych ludzi ani opowiedzieć im o szczegółach swego życia w tym okresie. Trzeba było jedno przyciąć i ociosać, a co innego upiększyć, na przykład bardziej szczegółowo opowiedzieć o pobycie w klasztorze San Sisto niż w pałacu Borgii oraz przemilczeć małżeństwo z Carlem, a zwłaszcza namiętny romans z Lorenzem. Oczywiście nie można było pominąć zabójstwa Giuliana w katedrze we Florencji - Fiora dostrzegła wówczas, że twarze słuchaczy spochmurniały, a ręce pospiesznie nakreśliły znak krzyża.

- To naszemu królowi - zakończyła - zawdzięczam, że mogłam do was wrócić bez przeszkód. Spotkanie z jego posłem we Florencji umożliwiło mi wreszcie podróż do Francji.

Wzniesiono zatem toast za zdrowie króla Ludwika, po czym Fiora, Leonarda i Khatoun, której posłano obok pokoju młodej pani, wróciły do swych komnat, gdzie pod opieką niańki spał już mały Filip.

Przybywając do Turenii Fiora żywiła pewne obawy, co domownicy pomyśla o Khatoun, ale szybko się uspokoiła. Układność i wesołość młodej Tatarki sprawiła, że zapomniano o jej nieco egzotycznym wyglądzie. Petronela dostrzegła nawet pewne jej podobieństwo do posążka świętej Cecylii z opactwa Świętego Kośmy. Jednakże dobrej kobiecie zależało na wyjaśnieniu pewnego drobiazgu, który bardzo leżał jej na sercu.

- Czy ona... jest chrześcijanką?

- Oczywiście - odpowiedziała Fiora. - Została ochrzczona w kościele Świętej Trójcy we Florencji i nadano jej imię Donaty, świętej patronki szóstego dnia lutego... ale zawsze mówiliśmy na nią Khatoun. Mój ojciec uważał, że to imię do niej pasuje, gdyż podobna jest do kotka.

- To prawda - przytaknął Florent. - Do bardzo ładnego małego kotka!

W ten oto sposób Khatoun wkroczyła do Domu w Barwinkach, gdzie zainstalowała się w sposób tak bezproblemowy i naturalny, jakby zawsze tam żyła: zadziwiające zdolności adaptacyjne znacznie ułatwiały jej życie, odkąd została rozdzielona z Fiorą i wyrwana z błogiej krainy dzieciństwa.

Tego wieczora Leonarda odesłała ją do łóżka, gdyż nikogo nie dopuściłaby do pomocy swojemu „jagniątku” w wieczornej toalecie.

- Od tak dawna nie miałam okazji tego robić! - oświadczyła z mocą, wlewając wodę z wiadra do miednicy.

Zmywszy dokładnie gąbką z ciała Fiory kurz wielodniowej podróży, wytarła ją miękkim ręcznikiem, po czym posadziła młodą kobietę przed toaletką i rozpuściwszy jej włosy, zaczęła je energicznie szczotkować.

- Khatoun, twój syn i Marcelina śpią jak zabici - oświadczyła spokojnie. - Jesteśmy teraz same, więc może mogłabyś powiedzieć mi prawdę?

- Prawdę?

- Tak. No wiesz, przeciwieństwo nieścistości i fikcji... czyli tego, co zaprezentowałaś domownikom w trakcie dzisiejszej kolacji. Ja chciałabym wiedzieć, co zdarzyło się naprawdę.

- Myślisz, że kłamałam?

- Nie myślę, jestem tego pewna.

- Co mogło sprawić, że tak sądzisz? - spytała Fiora z rozbawieniem.

- Zawsze na swoje nieszczęście czerwieniłaś się, kłamiąc, a dziś wieczorem byłaś nieustannie czerwona. Być może wino odegrało tu pewną rolę, ale głowę bym dała, że między pobytem w klasztorze, długą walką z tym niesamowitym papieżem, przyjaźnią z hrabiną Catariną i podróżą do Florencji na ratunek Medyceuszom zdarzyło się... to i owo. Zresztą zdaje mi się, że twój pobyt we Florencji nieco się przeciągnął?

- Przyznam, że tak. Widząc, że mogę tam normalnie żyć, aż do przybycia Commynes'a żywiłam zamiar, by posłać po ciebie i małego Filipa i wieść tam egzystencję taką, jak niegdyś, ponieważ... Lorenzo ocalił większość mego majątku.

Niedostrzegalne wahanie przed wymówieniem imienia Wspaniałego nie umknęło uwagi Leonardy. Fiora zauważyła to, napotykając w lustrze jej spojrzenie... i stwierdzając z odrobiną rozdrażnienia, że znowu się zaczerwieniła.

- Lorenzo? - szepnęła stara panna, zaczesując do góry masę czarnych jedwabistych włosów. - Czy mi się wydaje, czy twój głos trochę drży, gdy wymawiasz jego imię?

Fiora zerwała się i ściskając przy piersiach spowijającą ją materię, zaczęła przemierzać nerwowo komnatę. Leonarda pozwoliła jej na to, nie odzywając się ani słowem. Po dłuższej chwili młoda kobieta zatrzymała się przed nią.

- Tak czy inaczej zamierzałam wszystko ci powiedzieć. Zwlekałam z powrotem i ma to duży związek z Lorenzem. Tego wieczora, gdy miało miejsce morderstwo w katedrze, został moim kochankiem... i nawet, gdy dowiedziałam się, że Filip żyje, niełatwo było mi się z nim rozstać. Podaj mi coś wygodniejszego do ubrania, Leonardo, i usiądź przy mnie na łóżku: o wszystkim dokładnie ci opowiem.

- A nie jesteś zbyt zmęczona?

- Ależ z ciebie hipokrytka! - powiedziała Fiora ze śmiechem. - Od godziny próbujesz coś ze mnie wyciągnąć. Nie mów, że nagle zmieniłaś zdanie.

- Przyznaję, że nie - odrzekła Leonarda pogodnie. - Obiecuję jednak, że zaraz przygotuję ci napar z lipy, żeby ci się dobrze spało.

Była prawie północ, kiedy Fiora otrzymała obiecane ziółka i wślizgnęła się do pachnącej miętą i sosną pościeli.

Kiedy piła, jej oczy znad filiżanki śledziły wyraz twarzy Leonardy, która stała przy łóżku z założonymi rękami.

- Nie wzbudziłam w tobie wstrętu?

- Dlaczego? Bo uważając się za wdowę, posłuchałaś głosu natury i znalazłaś się w ramionach mężczyzny... o którym marzyć może niejedna kobieta? Zresztą ten stary wariat Demetrios pewnie ci powiedział, co o tym myśli?

- Oczywiście. Zdawał się rozumieć, że mogę być szczęśliwa z Lorenzem, nie kochając go...

- Zdziwiłabym się, gdyby wzywał cię do umartwiania się i pokuty w klasztorze! Grecy mają specyficzną moralność, ale w tym wypadku miał rację: wykazałaś się odwagą godną mężczyzny i zasługiwałaś na nagrodę. Śpij teraz i

nie myśl o tym więcej. Jutro będzie nowy dzień... i początek nowego życia. I tak trzeba do tego podchodzić.

Leonarda pochyliła się, by pocałować Fiorę, po czym oświadczywszy, że nie zapala lampki nocnej z powodu szczególnie żarłocznych tego lata komarów, wyszła z pokoju i udała się do siebie. Tam, zanim się położyła, długo klęczała przed figurką Matki Boskiej z Clery, którą podarował jej Ludwik XI, by do niej zwracała się ze swymi modlitwami i nadziejami w trakcie przedłużającej się nieobecności Fiory. Teraz dziękowała za jej powrót, ale nie mogła się powstrzymać od wyrażenia prośby, by dziecięciu jej serca zaoszczędzone zostały kolejne problemy...

Schodząc następnego ranka do kuchni, Fiora zastała tam Douglasa Mortimera. Rozsiadłszy się wygodnie przy stole, Szkot pochłaniał pasztet z zająca, którego szczodre porcje podawała mu Petronela. Rozsmarowywał je na wielkich pajdach chleba, a każdemu kęsowi towarzyszyła marynowana cebulka, którą czubkiem noża wyławiał z kamionkowego garnka. Popijał to wszystko zawartością sporego dzbana z winem.

Widząc wchodzącą młodą kobietę, podniósł się i uklonił, nie odkładając jednak kanapki i noża.

- Król przysłał mnie do ciebie, donno Fioro - wyjaśnił - a w oczekiwaniu, aż wstaniesz, Petronela dała mi coś do przegryzienia.

- Dobrze zrobiła, dotrzymam ci towarzystwa. Jestem głodna, a ten pasztet bardzo ładnie pachnie... Dlaczego jednak nasz Sire przysłał cię tak wcześnie rano? Czyżbyś przywoził jakieś ważne wieści?

- Tak i nie. Król zaprasza cię dziś na kolację, a to ranny ptaszek, lubiący zorganizować sobie dzień, gdy tylko otworzy oczy. A poza tym myśl o spędzeniu paru chwil w twojej kuchni nie była mi niemiła - zakończył żartobliwie.

- Król czyni mi wielki honor - powiedziała Fiora, przysuwając sobie rynienkę z pasztetem. - Będą tam jednak również obecne inne osoby, a ja chciałabym z nim porozmawiać sam na sam.

- On także. Dlatego też prosił, byś przyszła około czwartej, w porze jego pieszego lub konnego spaceru. Dziś będzie pieszo. Przejdziecie się po warzywniku lub po sadzie, albo odwiedzicie stajnie czy pawilon myśliwski...

O ustalonej porze Fiora w towarzystwie Florenta, dumnego z powrotu do roli jej pazia, wkroczyła na dziedziniec zamku w Plessis i zsiadła z konia obok starej studni. Miała pewne problemy z wyborem toalety. Wiedziała, jak bardzo król ceni prostotę, zwłaszcza w czasie spaceru wśród pól, ale z drugiej strony zależą mu na zachowaniu pewnych zasad etykiety, a więc wymaga pewnej

wykwintności od osób, którym czyni zaszczyt swym towarzystwem. Toteż po głębokim zastanowieniu i zasięgnięciu opinii Leonardy Fiora zdecydowała się na suknię z matowego jedwabiu w czarno-biały wzór, ściśniętą pod biustem wąską zieloną wstążką. Na głowie miała niski stożkowy czepiec w tym samym wesołym kolorze młodych listków ozdobiony obłokiem białego, usztywnionego muślinu. Jej dekolt ozdabiał pojedynczy klejnot: złota chimera o oczach ze szmaragdów, który nosiła w czasie ślubu z Filipem i który Leonarda zdołała ocalić podczas plądrowania pałacu Beltrami.

Nie zdążyła nawet dojść do bramy zamku, bo wyszedł z niego król. Na jej widok wydał radosny okrzyk i żwawym krokiem ruszył jej na spotkanie, podczas gdy ona skłoniła się głęboko, by go powitać, a jednocześnie ukryć chęć śmiechu. Ludwik XI nosił bowiem, prócz takiej jak zwykle krótkiej tuniki z szarego sukna, sięgającej kolan i ściśniętej skórzanym pasem, najbardziej zadziwiający nakrycie głowy, jakie Fiora kiedykolwiek widziała. Na czerwoną jedwabną czapkę zasłaniającą jego królewskie uszy nasunął coś w rodzaju czarnego kapelusza kardynalskiego, którego bardzo szerokie i grube na palec rondo całkowicie osłaniało mu ramiona i ocieniało go całego. Jego podobieństwo do grzyba było nieodparte i Fiora uśmiechnęła się do niego z taką wesołością, że od razu wiedział, o co chodzi.

- Czy to mój kapelusz cię bawi, donno Fioro? Wiedz zatem, że bardzo go sobie cenię, gdyż w upał daje mi cień, a w czasie deszczu chroni lepiej, niż moje zwykłe kapelusze, które wówczas zmieniają się w rynny... Pomysł na niego zaczerpnąłem od biskupa Walencji.

- To naprawdę dobry pomysł, Sire. Ubolewam jedynie, że obyczaj nie pozwala nam, kobietom, na noszenie podobnych.

- Mogłabyś taki nosić, gdybyś była przeoryszą. Ale właściwie przecież nic nie stoi na przeszkodzie, byś wprowadziła taką modę. Czyż ładna kobieta nie może pozwolić sobie na pewną fantazję?

Fiora nie zdążyła odpowiedzieć. Duży biały chart, wyrwawszy się z rąk pазia, podbiegł do króla, okrążył go w podskokach, a potem przylgnął do jego nóg, wznosząc ku niemu delikatny łeb. Nawet gdyby nie nosił kosztownej obroży wybijanej złotymi ćwiekami i drogimi kamieniami, Fiora rozpoznałaby ulubionego psa Ludwika, który pomógł mu kiedyś w szczególnie dramatycznych okolicznościach. Król roześmiał się:

- No, Drogi Przyjacielu! Chcesz się z nami przejść? Ale idziemy do ogrodu i będziesz musiał iść grzecznie przy nodze. Nie wolno tratować grządek! Pamiętaj go, donno Fioro?

- Oczywiście, Sire - odpowiedziała, głaszcząc jedwabisty grzbiet zwierzęcia.
- Nie zapomina się o towarzyszu broni... szczególnie tak pięknym jak on.

- To prawda. Oboje wykonaliście dobrą robotę, kiedy zaatakował mnie ten nikczemny mnich. Czy wiesz, że nie żyje?

- Słyszałam o tym, Sire. Zachorował?

- Nie. Myślę, że umarł ze złości. Wściekł się i rozwalił sobie głowę o pręty swojej klatki. Został godnie pochowany, a za jego podłą duszę odprawiono trzy msze.

Co rzekłszy, Ludwik XI przeżegnał się pobożnie, dał smakołyk Drogiemu Przyjacielowi i ruszył przed siebie. Widoku od strony części mieszkalnej nie ograniczał żaden mur - znajdowała się tu zwykła furтка prowadząca do ogrodu i warzywnika, którą król sam otworzył.

Idąc po piaszczystych alejkach, Fiora pomyślała, że zamkowy ogrodnik jest swego rodzaju artystą. Klomby kwiatowe i grządki z warzywami, równiutko obramowane bukszpanem, miały najróżniejsze kształty. Tworzące je rośliny zostały dobrane kolorystycznie. W ogrodzie ozdobnym niepodważalnie królowały róże i lilie, zaś w warzywnym jarzyny i zioła uporządkowane były według barwy, tak by stanowić obraz przyjemny dla oka. Podlewanie zostało udoskonalone dzięki doprowadzeniu wody ze źródła Carre połączonego z zamkiem rurami ołowianymi lub ceramicznymi. Kilku ogrodników zajętych było pracą, której nadejście króla nie przerwało. Widząc go, zdejmowali czapki, by się mu ukłonić, po czym wracali do swego zajęcia. Ludwik XI chętnie zatrzymywał się przy tych ludziach, których sam wybierał i bardzo lubił chwilę porozmawiać albo zrobić jakąś uwagę, zawsze miłą i trafną. Fiora zaczęła się w końcu zastanawiać, co tu robi: jej towarzysz zdawał się całkiem o niej zapominać. Między jednym a drugim ogrodnikiem przemawiał głównie do swojego psa.... Wreszcie przekroczyli ogrodzenie wielkiego sadu, w którym śliwy dosłownie ugiwały się pod ciężarem owoców o najróżniejszych kolorach. Ludwik XI zerwał kilka i poczęstował Fiorę, po czym, wypluwając pestki, wskazał jej kamienną ławkę ustawioną pod czereśnią. Już dawno zebrano z niej owoce, ale gęste listowie dawało chłodny cień. Ludwik usiadł na ławce, gestem zachęcił swą towarzyszkę, by zajęła miejsce obok, i zdjął kapelusz, upuszczając go na trawę, po czym westchnął:

- No to, pani de Selongey, powiedz mi co nieco o tym, co się dzieje w Rzymie i co tam robiłaś.

- Obawiam się, że niewiele, Sire. Staralam się przede wszystkim pozostać przy życiu.

- Niewątpliwie, niewątpliwie! Chciałbym jednak, żebyś opowiedziała mi o papieżu. Ty, w przeciwieństwie do mnie, widziałas go z bliska. Przedstaw mi jego najdokładniejszy portret.

Fiora zrobiła, co mogła, starając się zachować obiektywizm, co nie było łatwe. Jako że знаła gorące uczucia religijne Ludwika, nie chciała źle go usposobić, ujawniając, jak bardzo nie cierpi papieża. Niemożliwe było przemilczenie korupcji, brutalności i nienasyconej chciwości Sykstusa IV, kiedy jednak poczuła, że ponosi ją uraza, przerwała, odwracając nawet wzrok, by uniknąć przenikliwego spojrzenia króla.

- Nie wiem, co więcej mogłabym powiedzieć Waszej Wysokości - zakończyła, schylając się, by zerwać listek mięty, który zaczęła żuć.

Ludwik XI pozwolił, by na chwilę zapadła między nimi cisza. Słysząc było jedynie ptaki...

- Mortimer był bardziej rozmowny od ciebie, moja droga - powiedział król z westchnieniem. - Dlaczego nic nie mówisz o tym zadziwiającym małżeństwie, do którego cię zmuszono?

- Pan de Comynnes poinformował mnie, że jest ono nieważne. Ale właściwie zawsze takie było, prawda, Sire.

- Jak to?

- Sam to przed chwilą powiedziałeś: zostałam do niego zmuszona groźbą. Poza tym nie zostało ono skonsumowane.

- Nie wierz w to! Wiele małżeństw przetrwało mimo podobnych okoliczności. To, co je unieważnia... i o tym Comynnes miał powiadomić papieża, to fakt, że nie jesteś wdową. W każdym razie nie tak, jak myślisz.

Fiora poczuła, że blednie, a jej dłonie stają się zimne. Spojrzała z przestachem na swego towarzysza, który jednak patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Jeśli mogę zapytać... co Wasza Wysokość ma na myśli?

- Że moje rozkazy zostały wykonane. Zresztą pan de Craon nie pozwoliłby sobie na ich zlekceważenie. Poleciałem, by dano odczuć temu upartemu Burgundczykowi udręki śmierci, lecz oszczędzić go w chwili, gdy położy głowę na pniu.

- Och, Sire! Co za okrucieństwo!

- Tak uważasz? Czy zapominasz, moja droga, że na twoją prośbę już raz go ułaskawiłem? Ten człowiek zdaje się niezdolny do usiedzenia na miejscu.

- Czy można mu czynić wyrzuty, że pragnął pozostać wierny swej rycerskiej przysiędze?

- Śmierć Zuchwałego uczyniła ją nieważną i miałem nadzieję, że skłoni go to do poważniejszego potraktowania przysięgi małżeńskiej, którą ci złożył.

- To nie tylko jego wina, Sire. Może gdybym była cierpliwsza... mniej popędliwa...

Powiedziawszy tyle, Fiora musiała opowiedzieć królowi o tym, co zdarzyło się w Nancy. Oczekiwała surowej reprimendy, tymczasem Ludwik po prostu wybuchnął śmiechem, co ją uraziło.

- Och, Sire! Czy to takie zabawne?

- Owszem. Twoja koncepcja małżeństwa jest tak oryginalna, że aż rozbijająca. Musisz jednak wiedzieć, że mężczyzna godny tego miana nie pozwoli się tak prowadzić na pasku. Mimo to nie żałuj! Nawet gdybyś okazała cnotę małżeńskiego posłuszeństwa, niczego byś nie zmieniła. Messire Filip równie szybko popędziłby wypełnić swoją powinność, a jako że zbiry papieża znalazłyby cię równie łatwo w Selongey jak tutaj, nie bardzo widzę, jak mógłby ci pomóc. Niczego zatem nie żałuj! Zresztą... nie należy nigdy niczego żałować, gdyż to najprostszy sposób na osłabienie największego nawet hartu ducha. Co zamierzasz teraz zrobić?

- Ależ... chcę dołączyć do mojego małżonka, jeśli tylko Wasza Wysokość zechce mi powiedzieć, gdzie on jest.

Ludwik XI wstał, kilka razy z lekkim trzaskiem ugiął nogi w kolanach, by je rozruszać, i zaczął chodzić tam i z powrotem, założywszy ręce za plecami.

- Z radością bym to zrobił... gdybym tylko wiedział!

- Gdybyś... Wybacz, Sire, ale pan de Commynes powiedział, że po opuszczeniu szafotu Filip został odwieziony do więzienia w Dijon, a potem został przeniesiony... gdzie indziej.

- Do Lyonu, a dokładnie do zamku Pierre-Scize, porządnej fortecy, ściśle chronionej i wyposażonej w doskonałe więzienie. Tylko że długo tam nie pozostał.

- Ale... dlaczego?

- Z prostego powodu: uciekł.

- Uciekł? I nie został odnaleziony?

- No nie!

- Ależ, Sire, masz najlepszą w Europie policję, najlepszy system posłańców, najpotężniejszą armię...

- Istotnie, mam to wszystko, lecz także komendantów więzień posiadających córki na tyle głupie, żeby pomóc w ucieczce przystojnemu więźniowi. Twój małżonek, moja droga, zbiegł, posługując się pilnikiem i liną dostarczonymi mu w koszu z serem i owocami. I tyle! Wiesz wszystko!

Fiora przez chwilę milczała. W jej duszy starły się ze sobą najbardziej sprzeczne uczucia. Rzecz jasna poczuła wielką radość na wieść, że Filip jest wolny, lecz jako kobieta nie odczuwała szczególnej przyjemności, słysząc o epizodzie z córką komendanta, choć jej własne sumienie, mimo spowiedzi we Fiesole, nie było zupełnie czyste.

- Nie szukano go? - zapytała wreszcie.

- Oczywiście, że szukano. Ponieważ zamek zbudowany jest na skale wznoszącej się nad Rodanem, początkowo myśleliśmy, że mógł utonąć, ale zauważyliśmy, że skradziono jedną z rybackich łodzi. Później nakazałem nadzorowanie okolic Selongey, sądząc, że może wpadnie na pomysł, żeby tam wrócić. Bez rezultatu, zresztą podobnie było w Brugii, u księżnej Marii! Utrzymuję tam, rzecz jasna, pewne... układy - powiedział król uczciwie - ale zdaje się, że nikt go nie widział.

- Mój Boże!... A jeśli coś mu się stało? Jest sam, bez broni, może ktoś go napadł, zabił?

- Och! Nie zaczynaj znów płakać! Pomyślawszy o takiej ewentualności, kazałem rozpowszechnić jego rysopis na wszystkich rozdrożach królestwa, obiecując znaczną nagrodę temu, kto doprowadzi go żywego, i drugą... dużo niższą dla tego, kto dostarczy go martwego! I nic. Zrobiłem jeszcze coś: jego stajenny, Mateusz de... Prame, czy tak?

- Tak. Ostatnim razem, gdy go widziałam, znajdował się niedaleko stąd w okratowanym wozie wiozącym go do zamku Loches - powiedziała Fiora z przyganą.

- Właśnie. No więc został zwolniony, po czym dyskretnie go śledzono. Pognał prosto do Brugii... i więcej o nim nie słyszałem... zresztą o dwóch ludziach, którzy mieli go pilnować, również nie, ale wiadomo, że u pani Marii i jej małżonka Francuzi nie są szczególnie mile widziani. W każdym razie nikt nie zgłosił się po nagrodę, lecz mimo to twój małżonek, moje drogie dziecko, dużo kosztuje mój skarb...

- Przykro mi, Sire, ale jeśliby dostarczono ci Filipa, jaki byłby jego los? Czy... czy zostałby...

- Stracony? Uważasz mnie za durnia? Nie zmieniam tak łatwo zdania! Ponownie kazałbym go uwięzić, ale tym razem w klatce i to tutaj, w lochach mojego zamku, do czasu, aż zostaniesz odnaleziona. A teraz chodź! Czuje potrzebę spaceru!

Fiora nawet nie drgnęła. Stała z wzrokiem wbitym w czubki butów wystających spod rąbka jej sukni i z mocno splecionymi dłońmi, jak zwykle, gdy ogarniały ją silne emocje.

- Co się dzieje? - zniecierpliwiał się król. - Co robisz? Podniosła na niego wielkie, pełne rozpaczy oczy.

- A... jeśliby schronił się tutaj?

- Kto? Selongey? Taka myśl przyszła mi do głowy. Jednak, gdyby tak się stało, to ktoś z twoich domowników by go zobaczył i powiedział ci chyba o tym? No już, odwagi! Jestem pewny, że żyje.

- Zatem zapewne jest daleko... może zbyt daleko! Wiem, że rozważał oddanie swego miecza w służbę Wenecji, aby walczyć z Turkami. Jeśli tak się stało, to nigdy nie wróci i niczego się o nim nie dowiem.

- Wenecja, mówisz? Możemy chociaż dowiedzieć się, czy tam pojechał! Napiszę do doży zaraz po kolacji. Jest to, jak może wiesz, najlepiej strzeżone miasto świata i żaden cudzoziemiec nie może do niego wjechać, nie zwracając uwagi zbirów Rady Dziesięciu. Szybko otrzymamy jakieś wieści, a teraz rozchmurz się i wracajmy. Wkrótce podadzą do stołu.

Rozmawiając nie więcej, niż kiedy szli w przeciwnym kierunku, król i jego młoda towarzyszka dotarli na główny dziedziniec, gdzie teraz tłoczyła się służba, konie i pojazdy zaprzęgowe. Z zaskoczeniem nie wolnym od niepokoju Fiora zauważyła duży purpurowy powóz o drzwiczkach ozdobionych herbem zwieńczonym kardynalskim kapeluszem, który wydał jej się jakby znajomy. Ośmieliła się położyć dłoń na ramieniu władcy, by go zatrzymać.

- Sirel Proszę mi wybaczyć, lecz jeśli Jego Wysokość przyjmuje dziś wieczór jednego z książąt Kościoła, lepiej będzie, jak wrócę do domu.

- A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Szczerze mówiąc, Sire, jestem trochę... zmęczona kardynałami i obawiam się, że będę się czuła skrępowana. Poza tym mój strój...

- Co ty opowiadasz? Wyglądasz wspaniale, a skrępowana nie możesz być, gdyż specjalnie zaprosiłem cię dzisiaj, by kardynał delia Rovere zobaczył, jak się z tobą liczę.

Czując na sobie błyszczące z zadowolenia oczy Ludwika XI, Fiora poczuła, że blednie.

- Kardynał... delia Rovere? - szepnęła z przerażeniem.

- Czy on jest...

- Krewnym papieża? Oczywiście, i na pewno przynajmniej słyszałaś o nim w Rzymie. Jest jednym z jego bratanków, zdecydowanie najinteligentniejszym. I w związku z tym również najbardziej niebezpiecznym. Powinien ci się spodobać! A teraz cię opuszczę: muszę się przebrać. Widzę tu panią de Linieres, która zaprowadzi cię do księżniczki Joanny, mojej córki. Znasz ją. Ciesz się bardzo, że cię zobaczy.

Wśród kłaniających się aż do ziemi zgromadzonych na dziedzińcu ludzi, król poprowadził Fiorę ku dostojnej damie oczekującej u stóp schodów i zgiętej w niskim ukłonie. Widząc zbliżającego się króla, skłoniła ona z szacunkiem głowę, co sprawiło, że Ludwik nieomal wpadł na wysoki, spiczasty hennin, który miała na głowie. Władca odsunął przeszkodę, niemal powodując upadek konstrukcji.

- Za wysoki, pani de Linieres, zdecydowanie za wysoki! - zawołał na wpół żartem, na wpół gniewnie. - Co za wariactwo ogarnia kobiety, że chcą wyglądać jak dzwonnice kościołów? Dziwi mnie, że w królestwie nie rośnie liczba jednookich.

- Proszę Waszą Wysokość o wybaczenie - odpowiedziała dama ze spokojem, a nawet z uśmiechem, dowodzącym, że zupełnie się nie przejęła. - Zawsze uważałam, że zaszczyt towarzyszenia księżnej Orleanu wymaga pewnej wytworności w stroju. To wyraz szacunku.

- Proszę zatem nosić mniej spiczasty szacunek.

I pogwizdując wesoło jakąś melodię, Ludwik XI zniknął na spiralnych schodach pozostawiając dwie kobiety tete-a-tete.

- Chodź, pani - powiedziała dama dworu, wyciągając rękę do Fiory, która nie mogła powstrzymać śmiechu. - Księżnej spieszno, by cię zobaczyć, a przed kolacją będziesz mogła się odświeżyć.

Przyzwyczajona do tego, że Ludwik XI prowadzi bardzo niewyszukane życie, Fiora była zaskoczona przepychem, z jakim przygotowano tę kolację, oraz wspaniałością sali, w której się odbywała. To wielkie pomieszczenie stanowiło część królewskich apartamentów na pierwszym piętrze, otwieranych jedynie na przybycie znamienitych cudzoziemców i w niektórych innych okolicznościach. Wychodziło się z niego na taras oparty na krytym krużganku parteru. Jego prawdziwie królewska wytworność różniła się od uderzającego przepychu otaczającego ostatnich książąt Burgundii. Obite aksamitem meble i wielkie tapiserie nadawały całości nieco surowy charakter, podkreślony przez kolorowe witraże w wysokich oknach utrzymujące wewnątrz jakby półcień. Złoto kasetonowego sufitu i boazerii było z tego powodu nieco przyćmione, chyba że, jak tego wieczora, oświetlały je pełne świec wielkie świeczniki.

Rozstawiono trzy stoły: stół króla, zajmujący właściwą jadalnię, stół rycerzy i wysokich urzędników domu królewskiego, przy którym zasiadali ważni goście, wreszcie stół jałmużników i stajennych. Czwarty stół, znajdujący się poza apartamentami królewskimi, gromadził niższych rangą dworzan i pielgrzymów oraz przypadkowych podróżnych, którzy prosili o gościnę. Przy stole króla, najpiękniej nakrytym i najlepiej obsługiwanym, kobiety zasiadały

rzadko, chyba że królowa, Szarlota Sabaudzka, składała wizytę swemu małżonkowi. Tym razem były dwie i Fiora z odrobiną dumy zajęła miejsce po lewej stronie władcy. Księżniczka Joanna, urocza mimo choroby zniekształcającej ciało, w wysokim, bladoniebieskim i złoto nakrapianym nakryciu głowy dopasowanym do sukni, siedziała obok honorowego gościa, który zajmował miejsce po prawej ręce króla.

W wieku trzydziestu siedmiu lat Giuliano delia Rovere był niewątpliwie najbardziej udanym z bratanków Sykstusa IV. Wysoki i dobrze zbudowany, wyglądał raczej jak kondotier niż jak duchowny - miał mocno zarysowaną zuchwę, a głęboko osadzone oczy łowcy często mrużył, aby wyostrzyć wzrok. Purpura dobrze komponowała się z jego ciemną karnacją i czarnymi włosami, krótko ostrzyżonymi zgodnie z zarysem zwieńczającej je piuski. Dokładnie wygolona, koścista twarz była surowa, ale potrafiła uśmiechać się z nutką ironii, niepozabawionej wdzięku, a władczy profil zdawał się stworzony do tego, by go wybijać na medalach*.

*** W 1503 r. zostanie papieżem Juliuszem II.**

Był papieskim legatem w Awignonie i biskupem tytularnym między innymi Lozanny, Messyny i Carpentras, a w dodatku 3 lipca tego roku - 1478 - otrzymał godność biskupa Mendę, w związku z czym przybył po aprobatę Ludwika XI. Uzyskał ją bez problemu: nie pierwszy raz się spotykali, a król miał słabość do tego eleganckiego mężczyzny, szorstkiego w obejściu i uważanego za gwałtownika, ale obdarzonego żywą inteligencją i umiejącego posługiwać się podstępem równie dobrze, jak on sam. Na tym kończyło się podobieństwo, gdyż kardynał delia Rovere, miłośnik literatury i sztuki, prowadził pełną przepychu egzystencję dzięki znacznemu majątkowi, który zawdzięczał wujowi. Była to egzystencja bardzo odległa od życia wiejskiego szlachcica, które zazwyczaj wiodł król Francji.

Kiedy przed zajęciem miejsc przy stole przedstawiona przez władcę Fiora przyklęła, by ucałować duszpasterski pierścień - z bajecznym szafirem gwiaździstym - legat obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem:

- Wydaje mi się, że niedawno przebywałaś w Rzymie, pani?
- W istocie, Ekscelencjo.
- Wielka szkoda, że nie mogłaś w pełni nacieszyć się jego pięknem...
- Nie dano mi okazji, byłam tylko przenoszona z jednego więzienia do drugiego.
- Więzienia bywają różne. Ponadto, kiedy wyjechałaś do Florencji, Ojciec Święty bardzo nad tym ubolewał, gdyż był... nadal jest bardzo ci przychylny. Jego przyjaźń mogła ci zapewnić przyjemne spędzenie czasu.

- Proszę mu podziękować za te życzliwe uczucia, jednak ma on zbyt błyskotliwy umysł, by nie rozumieć moich. Jestem florentynką, Ekscelencjo, i mogę jedynie ubolewać nad dramatycznymi wydarzeniami mającymi miejsce w mojej ojczyźnie.

- Wydarzeniami, które niestety stają się coraz bardziej dramatyczne. Może porozmawiamy o tym któregoś dnia?

- Rozmowa o polityce ze mną? Ależ, Ekscelencjo, zupełnie się na niej nie znam.

- Nie doceniasz siebie, pani. Ojciec Święty uważa cię za osobę niezwykle inteligentną, a przyjaźń łącząca cię z królem Francji tylko umacnia tę opinię. Razem, we dwoje, moglibyśmy wykonać dobrą robotę...

Della Rovere oddalił się, pozdrowiwszy Fiore lekkim skinieniem głowy. Srebrne trąbki obwieściły kolację i wszyscy zajęli miejsca przy stole. Król, który po przedstawieniu Fiory oddalił się i rozmawiał z arcybiskupem Tours, wrócił, by osobiście poprowadzić kardynała legata do jego fotela.

Posiłek był doskonały, lecz długi, i gdyby nie zabawna dysputa, w której jak zwykle starli się królewski lekarz Coictier i szef kuchni Jean Pastourelt, byłby nudny. Stojąc za plecami króla, wymieniali wściekłe spojrzenia i słodko-kąśliwe uwagi na temat zawartości talerza władcy. Kiedy lekarz twierdził, że biała kiszka z kapłona jest zabójcza dla zdrowia króla, kucharz ripostował, że medykamenty jego adwersarza są znacznie dla niego szkodliwsze, gdyż sztuka kucharska polega na obróbce najlepszych produktów w taki sposób, by nie wywoływały żadnych niedyspozycji. Od czasu do czasu podnosili głos i Ludwik XI musiał interweniować. W końcu odesłał Coictiera na jego miejsce przy stole, dodając, że posiłek zjedzony w towarzystwie księcia Kościoła nie może nikomu zaszkodzić. Nawet jemu.

Coictier odszedł, burcząc pod nosem - był to zresztą osobnik wyjątkowo niesympatyczny - i od tej chwili Fiora się nudziła. Król poświęcał uwagę swemu gościowi, a drugi jej sąsiad, gruby czerwony człeczyna, będący osobistym kapelanem rzymskiego prałata, po próbie pogładzenia jej kolana pod stołem, w odpowiedzi na co energicznie go uszczypnęła, skupił się na serwowanych potrawach. Po kwadransie był purpurowy, a na końcu posiłku kompletnie pijany.

Po osobistym odprowadzeniu do powozów kardynała i arcybiskupa, którzy wracali do Tours, Ludwik XI wrócił do Fiory, która stojąc pomiędzy księżniczką Joanną i panią de Linieres, asystowała przy odjeździe dostojnych gości.

- No i, moje panie, co sądzicie o bratanku Jego Świątobliwości?

- Kardynałowie nie zawsze są księżmi, Sire - powiedziała Joanna. - Czy ten nim jest?

- Tak. Dlaczego pytasz? Masz wątpliwości?

- Trochę, przyznaję. Dużo mówi o polityce, polowaniu, dziełach sztuki i literaturze greckiej... a o Bogu wcale!

- Czyżbyś pragnęła, by wygłaszał kazanie? - spytał król z kpiącym uśmiechem, który wygładził rysy jego twarzy. - To nie był odpowiedni moment.

- Nie... jednak niepokoi mnie, gdy duchowny mówi o wojnie, podbijaniu, obleganiu i innych gwałtach, nie poświęcając ani słowa tym, którzy cierpią z powodu tych tragedii: zwykłym ludziom, tym z miast i tym ze wsi, o których ty, choć nie jesteś księdzem, troszczysz się zawsze tak bardzo!

Ludwik XI spoważniał i wzięwszy delikatną dłoń córki w swoje dłonie, przez chwilę patrzył w jej piękne, łagodne i błyszczące oczy, z dziwnym wyrazem twarzy - podziwem nie wolnym od wyrzutów sumienia.

- Masz duszę pełną światła, Joanno, nie powinnaś nic wiedzieć o brzydocie życia. Ja zaś w dniu mszy koronacyjnej zostałem namaszczoney Krzyżmem świętym, co uczyniło ze mnie pomazańca bożego i uleczyłem skrofuły*, których dotknąłem.

* Skrofuloza inaczej skrofuły lub zołzy - dawne określenie gruźlicy węzłów chłonnych. Zwana również „chorobą królewską”, ze względu na fakt, że uważano kiedyś, iż królowie chrześcijańscy posiadali moc uzdrawiania z niej (przez dotknięcie chorego swoimi dłońmi), (przyp. tłum.)

Wydaje mi się, że jest to warte tonsury. Poza tym złożyłem przysięgę, że będę chronił mój lud i służył Francji... Francji, której wielkości poświęciłem ciebie! Podobnie, jak poświęcam dla niej czasem pewne skrupuły.

- Czy córki królów są naprawdę stworzone do szczęścia? Umieściłeś mnie tam, gdzie być powinnam.

- Niewątpliwie, niewątpliwie! Kiedy twój małżonek ostatnio cię odwiedził?

- To pytanie jest okrutne, Sire - przerwała pani de Linieres. - Księżę Orleanu nigdy nie przyjeżdża i...

- Dosyć! Porozmawiam z nim. - Po czym zmienił gwałtownie ton, a wszelki ślad emocji zniknął z jego głosu: - Wracając do kardynała delia Rovere, jego rodziny, a nawet papieża, jeśli chcesz lepiej ich poznać, zwróć się do pani de Selongey! Wie na ten temat znacznie więcej niż ja. Problem polega na tym, że ryzykujesz utratę wiary!

- Nie, mój ojczu! Nic ani nikt nie może sprawić, że stracę wiarę!

- A ja miałabym sobie za złe, Sire - nieśmiało przerwała Fiora - gdybym wypowiedziała choć jedno słówko mogące wstrząsnąć tak prawą duszą.

Szybkim i nieoczekiwanym gestem Ludwik XI uszczypnął policzek młodej kobiety.

- Jestem o tym całkowicie przekonany! Dobranoc, moje panie! Wracam do moich zajęć. Dziś wieczór muszę napisać do doży Wenecji!

Podczas gdy trzy kobiety skłoniły mu się na pożegnanie, odszedł na kilka kroków, po czym odwrócił się i zawołał:

- Sierżant Mortimer odprowadzi cię do Rabaudiere, donno Fioro!

- Ale ja nie przyjechałam sama, Sire.

- Wiem, ale w razie jakiegoś niebezpiecznego spotkania twój służący nie zdoła cię ochronić. Zresztą Mortimer bardzo lubi cię eskortować. Obok mojej córki Joanny jesteś jedyną kobietą, dla której żywi szacunek.

Ruszył znów w kierunku schodów, u stóp których czekał na niego jakiś mężczyzna. Jego czarna sylwetka odcinała się na tle jasno oświetlonego wnętrza. Fiora miała wrażenie, że rozpoznaje osobnika, którego spotkała w Senlis, w sypialni króla. Kiedy odwróciła się, by zapytać o niego swoje towarzyszki, zobaczyła, że oddaliły się i zacierają do kaplicy. Zamiast nich, jak za sprawą czarów, pojawił się Mortimer.

- Do usług, donno Fioro!

- Przykro mi, że zakłócono ci spokój, drogi Douglasie, ale zanim ruszymy, zechciej zaspokoić moją ciekawość: kim jest ten człowiek obok schodów? Wydaje mi się, że już go gdzieś widziałam!

Szkot wzruszył barczystymi ramionami okrytymi błękitnym jedwabnym tabardem ozdobionym liliami burbońskimi.

- Oczywiście! To cyrulik króla, ten łajdak Oliwer le Daim!

- Wygląda na to, że niezbyt go lubisz? - powiedziała Fiora ze śmiechem.

Mortimer nawet się nie uśmiechnął:

- Nikt go nie lubi! To łotr, którego król, niestety, darzy zbyt wielkim zaufaniem! A przecież żałował tego, gdy na wiosnę wysłał go do Gandawy w roli posła.

- Posła? To chyba niemożliwe?

- Niestety, tak! Nasz Sire, tak mądry i rozważny, miewa czasem dziwne pomysły. Mieszkańcy miasta właściwie wyrzucili go za bramy. Wierz mi, donno Fioro, lepiej mieć się na baczności przed tym człowiekiem! Jego chciwość jest nienasycona mimo tego, co udaje mu się wyciągnąć od króla.

- Dlaczego miałabym się mieć na baczności? Nie mamy ze sobą nic wspólnego, a nasze drogi się nie przecinają.

- Cóż za naiwność! Zrozum, że le Daim uważa za osobistą zniewagę każdy prezent, który nasz Sire daje komuś innemu niż on sam.

- Król jest bardzo dobry, ale nie obsypuje mnie prezentami.

- Nie? A Rabaudiere? Wiem, że podczas twojej długiej nieobecności mistrz Oliwer starał się przekonać króla, że nie wrócisz i że w związku z tym roztropniej byłoby przenieść twojego syna i domowników tutaj.

- Do zamku? A to dlaczego?

- Aby zwolnić dom, do licha! Ten człowiek od dawna czyha na Dom w Barwinkach, a kiedy dowiedział się, że chcesz go zwrócić królowi, miał wielkie nadzieje. Na nieszczęście dla niego znalazłaś się i wróciłaś. Musi być bardzo rozczarowany.

- No cóż - powiedziała Fiora pogardliwie - istnieje bardzo prosty sposób, by to zmienić.

- Jaki?

- Niech mi pomoże w odnalezieniu męża. W dniu, w którym go odszukam, bez żalu opuszczę ten dom, choć go kocham, i pojedę z nim do naszego majątku... lub wszędzie tam, gdzie zechce nas zabrać.

Mortimer roześmiał się i unosząc ozdobioną pióropuszem czapkę, podrapał się po głowie z komicznym grymasem.

- Nie jestem pewien, czy nie wolałby metody prostszej i... szybszej! W każdym razie już dawno ostrzegałem twoich bliskich... i postaram się szepnąć słówko na ten temat królowi.

- Jeśli ma takie zaufanie do tego człowieka, byłby to błąd! Nic mu nie mów, Douglasie! Będę czujna. Dziękuję, że mnie ostrzegłeś!

Fiora i Mortimer odnaleźli Florenta, który po kolacji u zaprzyjaźnionego ogrodnika spał oparty rękami na stole, po czym pieszo ruszyli drogą do dworu, rozmawiając na zupełnie inne tematy. Noc była jasna, ciepła, pełna gwiazd i wszystkich zapachów lata. Szkoda byłoby zakłócić jej piękno przywoływaniem ludzkich występków. Oboje znali wartość takich chwil i nauczyli się je doceniać...

Rozdział piąty

Las w Loches

Wenecja, Wenecja! - burczała Leonarda, energicznie wyciągając prześcieradło, które składała przy pomocy Fiory. - Dlaczego Wenecja? A dlaczego nie Konstantynopol albo królestwo księdza Jana... albo Bóg wie co?

- Mówiłam ci, Leonardo: ponieważ wiem, że o tym myślał. Kiedy zamierzałam anulować nasze małżeństwo, chciał, żeby księżę Karol przekazał mi wszystkie jego dobra, splacając w ten sposób posag, którego zażądał od mojego ojca. I dodał, że kiedy między Francją a Burgundią zapanuje pokój, będzie zawsze mógł wstąpić na służbę do doży i postarać się odtworzyć swój majątek.

- Ale od tego czasu minęły wieki, a ty ciągle jesteś jego żoną!

- Nic o tym w gruncie rzeczy nie wie. Zakładając, że po ucieczce Filip przyjechał tutaj, żeby się dowiedzieć, co u mnie, i usłyszał, że zniknęłam, a może nawet, że zabrano mnie do Rzymu, mógł pomyśleć, że tak jak groziłam, pojechałam prosić papieża o unieważnienie małżeństwa...

Leonarda wzięła od niej prześcieradło, złożyła je i umieściła na stosie bielizny czekającej na przecignięcie żelazkiem przed ułożeniem w szafie z saszetkami pachnącej mięty i sosny. Wzięła kolejne z wielkiego kosza i rzuciła Fiorze drugi koniec.

- Przestań sobie tyle wyobrazać, moje jagniątko. Gdyby messire Filip przyjechał tutaj, dowiedzielibyśmy się o tym. Ma zbyt wielkopańskie maniere, by pozostać niedostrzeżonym, a dowiedziawszy się o narodzinach syna, nie mógłby nie chcieć go zobaczyć.

- To zbiegły więzień, Leonardo! Być może śmiertelnie zmęczony. Bez pieniędzy, bez schronienia... a poza tym tak dumny! Nie wyobrażam sobie, żeby przyszedł tu w poszukiwaniu pomocy.

- A ja nie wyobrażam sobie, by krążył wokół Plessis! - powiedziała Leonarda, przedrzeźniając Fiorę. - Jedyne sensownym wyjściem byłaby dla niego próba przedostania się do Flandrii, na dwór księżnej Marii. Tak czy inaczej żałuję, że nie byłam obecna przy twojej rozmowie z królem. Wydaje mi się, że zadałabym mu bardziej trafne pytania niż ty. Ciągnij no mocniej! To prześcieradło będzie wyglądać jak ścierka!

- To nie byłoby trudne! Byłam tak wzburzona, że straciłam głowę! Ale... jakie pytania byś zadała?

- No cóż, może starałabym się dowiedzieć, co stało się z zamkiem w Selongey? Czy pan de Craon położył na nim łapę po wyroku, czy też król dołożył starań, by zachować go dla ciebie?

- Istotnie, nic o nim nie wiem. Powiedział mi tylko, że kazał obserwować okolice miasteczka, by sprawdzić, czy Filip się w nim nie schronił.

- Dobrze. Stanowi to częściową odpowiedź. Gdyby gubernator Dijon przejął zamek, nie trzeba byłoby węszyć w okolicach w celu odnalezienia legalnego właściciela.

- Słusznie! W każdym razie już za późno, by zadać pytanie królowi...

Fiora miała dużo szczęścia, że mogła spotkać się z Ludwikiem XI zaraz po powrocie z Florencji. Król wrócił do Plessis tylko na kilka dni i nazajutrz po wspólnej kolacji

wyjechał do Artois, którego pacyfikacja nie została jeszcze zakończona. Ponadto chciał osobiście zająć się warunkami zawieszenia broni, które miał podpisać z Maksymilianem, małżonkiem Marii Burgundzkiej. Jego nieobecność nie miała trwać długo, ale tymczasem Plessis-les-Tours ponownie pograżyło się w letargu chronione przez ledwie jeden oddział gwardii szkockiej.

Skończywszy składanie prześcieradeł, Leonarda przeniosła je do kufra stojącego w niewielkim pomieszczeniu obok kuchni. Później dołączyła do Fiory, która usadowiła się przy palenisku i chrupała jabłko - godzinę wcześniej Stefan postawił cały kosz owoców na stole.

Leonarda też wzięła jabłko, potarła o fartuch, aż skórka stała się lśniąca, i wgrzyła się w nie, nie mogąc powstrzymać grymasu: jej zęby nie były już wystarczająco mocne na takie eksperymenty. Poszła więc po nożyk i pokroiła owoc. Fiora oparła łokcie na kolanach i siedziała, patrząc w ogień...

W kuchni panował spokój, ale cisza nie była zupełna. Petronela w towarzystwie Khatoun i Florenta pojechała na targ w Notre-Dame-la-Riche. Ale na piętrze Marcelina próbowała uśmierzyć rozdrażnienie małego Filipa, najwyraźniej nieusatysfakcjonowanego ostatnim karmieniem. Leonarda pomyślała, że wkrótce trzeba będzie zacząć dawać mu papki, bo inaczej będzie zawodził dniami i nocami. Ta myśl doprowadzała mamkę do rozpacz. Kiedy przestanie karmić, będzie musiała wrócić na swoją fermę, a ta perspektywa wcale jej nie zachwycała, gdyż życie w dworze było nieporównanie przyjemniejsze.

Takie myśli krążyły po głowie Leonardy, odrywając ją nieco od poważnych problemów. Wkrótce jednak musiała do nich powrócić.

- Ciekawe, kiedy będziemy mieć wieści od doży - rzekła Fiora, wrzucając ogryzek do cło ognia.

- Nie mam pojęcia. Wenecja jest daleko.

- Ale ja muszę wiedzieć! Nie mogę siedzieć tu, nic nie robiąc i nie mając żadnych wieści o moim małżonku.

- A co chcesz robić? Ruszyć przed siebie, jak tyle już razy wcześniej, i starać się do niego dotrzeć? Fioro, to byłoby szaleństwo. Lato zmierza ku końcowi, nadchodzą chłody. Daj sobie czas na odpoczynek i zastanowienie.

- Jeśli tu zostanę, nigdy go nie odnajdę, gdyż on nigdy nie przyjedzie na ziemię władcy, którego nienawidzi...

- A którego ty bardzo lubisz i który zresztą, jeśli się nie mylę, odpłaca ci tym samym. Musi darzyć cię prawdziwą przyjaźnią, skoro tak cierpliwie szuka buntownika, kontynuuje te poszukiwania, mimo że ten człowiek w ogóle nie powinien go obchodzić.

- Nie powinien obchodzić? - zawołała Fiora z oburzeniem.

- Zejdź na ziemię! Kim jest Filip de Selongey dla króla Francji? Dzieli ich ogromna przepaść, nie uważasz?

- Wygląda na to, że nisko sobie cenisz mojego małżonka.

- Staram się po prostu uzmysłwić ci realia. Król odzyskał Burgundie i chce z niej uczynić francuską prowincję, podczas gdy aktualna księżna próbuje przyłączyć ją do cesarstwa niemieckiego. Najwyraźniej twój małżonek stanął po jej stronie. Dla Ludwika XI jest on rebeliantem, tym bardziej że nie tak dawno usiłował go zamordować. A król nie tylko drugi raz go ułaskawia, choć zamyka w więzieniu, ale także próbuje odnaleźć, kiedy Filip ucieka.

- Każdy dozorca więzienny by tak zrobił - powiedziała Fiora z półuśmiechem.

- Ale każdy dozorca po schwytaniu uciekiniera skwapliwie wysłałby go na tamten świat, by mieć pewność, że więcej nie będzie mieć z nim problemów! Tymczasem, jeśli dobrze zrozumiałam, nasz Sire zamierzał go zamknąć... w oczekiwaniu na twój powrót?

- Tak powiedział!

- A dlaczego nie miałabyś mu wierzyć? Zdaj się na Boga, chociaż raz, i pomyśl trochę o swoim synu! Nie mając ojca, ma prawo mieć matkę taką jak inne!

Fiora wiedziała, że przez Leonardę przemawia mądrość, nie mogła jednak znieść myśli, że nie wie, gdzie jest Filip. Wobec jej wiele mówiącego milczenia Leonarda kontynuowała:

- Nie jesteś jeszcze przekonana, prawda? Zatem pójdę dalej: nie masz pojęcia, gdzie przebywa messire de Selongey, ale on doskonale wie, gdzie ty jesteś, ponieważ w Nancy zadbałaś, by go o tym poinformować. Już raz pokonał swą dumę, żeby do ciebie wrócić. Dlaczego miałby tego nie zrobić jeszcze raz? Chyba że już cię nie kocha!

To stwierdzenie uderzyło w najczulszy punkt Fiory, która podniosła na starą przyjaciółkę pełne rozpaczy oczy.

- Ze już mnie nie kocha? Być może tak jest... ale, Leonardo, nie mogę w to uwierzyć!

- A jednak masz wszelkie przesłanki, by w to uwierzyć - powiedziała Leonarda bezlitośnie. - Czyżbyś myślała o nim w ramionach Lorenza Medyceusza?

Zapadła cisza, a Fiora odwróciła głowę, być może po to, by ukryć napływające do oczu łzy.

- Jesteś okrutna, Leonardo - westchnęła. - Nigdy bym cię o to nie podejrzewała...

Chwilę później Leonarda siedziała przy niej na obudowie paleniska i przytulała do siebie.

- Wiem, że sprawiłam ci ból, moje jagniątko, ale to dlatego, że chciałam cię uchronić przed kolejnymi cierpieniami. To małżeństwo, jak do tej pory, dało ci bardzo niewiele szczęścia. Pozostaw teraz inicjatywę swemu małżonkowi, gdziekolwiek by był. Zażądałaś od niego, by dowiódł ci swej miłości, decydując się na życie u twego boku? No to poczekaj na jego przyjazd!

- A jeśli jest na drugim końcu świata?

- To niczego nie zmienia. Poczekaj, aż wróci z drugiego końca świata! O, słyszę muły, to nasi wracają z targu. Idź się otrzepać z tego popiołu i trochę się ogarnij! Jesteś wystarczająco młoda, by dać sobie parę tygodni spokoju. Poczekaj na wieści od króla... jeśli uda mu się czegoś dowiedzieć.

- Zgoda. Mogę poczekać, droga Leonardo, byle nie za długo!

- I co zrobisz, jak będziesz mieć dosyć czekania?

- Myślę, że najpierw... pojedę do Selongey. Może Filip się tam ukrywa, a ludzie króla go nie wytropili. Później, jeśli naprawdę tam go nie będzie... pojedę do księżnej Marii. Nie sądzę, by szpiedzy Ludwika mieli możliwość zadania jej jakichś pytań. Ale ja jestem żoną Filipa i mnie odpowie.

- Innymi słowy: król cię nie przekonał?

- O skrupulatności swoich poszukiwań? Absolutnie! Poza tym przyznasz, że ja, jako żona Filipa, mam większe szanse na wyciągnięcie go z kryjówki...

Leonarda zadowolila się wymamrotaniem czegoś, co ostatecznie mogło uchodzić za aprobatę. Wyjęła z kieszeni napoczęte jabłko i ponownie spróbowała wbić w nie zęby. Ponieważ czynność ta okazała się równie bolesna, jak za pierwszym razem, z niechęcią wrzuciła nadgryziony owoc do kominka, z którego natychmiast wydobył się delikatny zapach pieczonego jabłka i karmelu. W tym czasie kuchnia wypełniała się gwarem i wesołością: Petronela, Khatoun i Florent wrócili z targu.

* * *

Tego samego dnia po południu, kiedy Fiora szykowała się do wyjazdu do opactwa Świętego Kośmy ze swoim synem, Leonardą i Khatoun, aleja starych dębów wypełniła się grupą jeźdźców otaczających powóz, który rozpoznała na pierwszy rzut oka, lecz bez najmniejszej przyjemności. Po co przyjechał tu kardynał delia Rovere?

Jednak był tutaj i należało uprzejmie go przyjąć. Toteż włożywszy niemowlę w skwapliwie wyciągnięte ramiona Khatoun, Fiora podeszła do ciężkiego pojazdu, który kreślił na żwirze alei majestatyczną krzywą, zanim zatrzymał się przed wejściem do domu. Przyklękła, kiedy prałat postawił stopy na ziemi i przyłożyła usta do podsuniętego jej szafiru.

- Ta wizyta to wielki zaszczyt dla mojego skromnego domu, Ekscelencjo!

- Ten dom jest uroczy, a ja przybywam po prostu jako sąsiad. Porzućmy więc te protokolarne ceregiele - powiedział z prostotą. - Naraz zauważył przygotowane do drogi muły, przy których czekał Florent. - Przeszkadzam ci może? Wybierałaś się gdzieś?

- Zamierzaliśmy po prostu pojechać do opactwa, którego kościelną wieżę widać w oddali. Skoro jednak Kościół przyjeżdża do nas... Zechciej wejść, Ekscelencjo.

Podczas gdy Fiora prowadziła niespodziewanego gościa do salonu, Petronela szykowała poczęstunek dla kardynała, a jej mąż rozlokowywał eskortę w cieniu drzew i zapowiadał, że zaraz poda coś do picia, co zostało przyjęte z zadowoleniem.

W odpowiedzi na zaproszenie gospodyni delia Rovere zajął miejsce przy kominku, w którym zarówno zimą, jak i latem, z wyjątkiem okresu upałów, Petronela podtrzymywała choćby niewielki ogień, by pokonać wilgoć, typową dla domostw wybudowanych w pobliżu Loary. Jednak szeroko otwarte okna ukazywały bujnie kwitnący ogród, którego część w postaci wielkiego bukietu lilii i róż przetykanych liśćmi wieńczyła kredens i wypełniała komnatę pięknym zapachem.

Bystre oczy kardynała zdążyły już obieć pomieszczenie, począwszy od tapiserii w drobny, kwiatowy wzór, a na przedmiotach ustawionych na szafkach skończywszy, kiedy Fiora podała na powitanie kielich zimnego wina i marcepanowe ciastka z migdałami, które Petronela piekła tak, że nie miały sobie równych. Dopiero kiedy kardynał został sam z gospodynią, zdecydował się na rozmowę. Wyraził zresztą takie pragnienie, więc Leonarda, z wielkim żalem, musiała opuścić komnatę wraz z innymi.

Po ich wyjściu zapadła cisza. Kardynał oglądał pod światło przebłycki dogasającego ognia poprzez blade wino w swoim kielichu, a Fiora sączyła chłodny napój, nic nie mówiąc i czekając, aż gość się odezwie. Wydawało się, że mu się nie spieszy, aż nagle zapytał:

- Czy myślałaś o tym, co powiedziałem ci wczoraj, donno Fioro?
- Byłeś łaskaw powiedzieć, Ekscelencjo, kilka pochlebnych słów na mój temat. Takich rzeczy się nie zapomina.
- Niewątpliwie, niewątpliwie, ale to był tylko wstęp i powiedziałem także, że moim zdaniem moglibyśmy zrobić razem coś dobrego.
- Istotnie, przypominam sobie, ale wyznam, że nie bardzo pojęłam, co Ekscelencja miał na myśli.
- Chodziło mi... nadal chodzi mi o to, że moglibyśmy połączyć nasze wysiłki tak, by zrobić coś użytecznego. Ty dla twego miasta rodzinnego, ja dla interesu Kościoła...
- To bez wątplenia ciekawa rola, ale jak mogłabym ją odegrać?
- Cieszysz się zaufaniem króla Ludwika i jego przyjaźnią. Pokój między narodami jest celem godnym osiągnięcia, a ty mogłabyś skłonić tego nieprzystępnego człowieka do większego szacunku, większego zrozumienia dla Ojca Świętego, którego traktuje wysoce niewłaściwie.
- Chyba znacznie mniej niewłaściwie, niż papież traktuje Florencję. Jego cele polityczne zdają się bardzo jasne nawet takiej ignorantce jak ja: zamierza dokończyć w drodze wojny dzieło, które jego siepacze wykonali tylko w połowie. Chyba nie sądzisz, że mogłabym pomóc mu w zniszczeniu miasta mego dzieciństwa?
- Zniszczeniu? Nigdy! Jego Świątobliwość nie chce żadnej krzywdy dla Florencji, a tym bardziej dla jej ludności. Ta... nieszczęsna konspiracja, uknuta przez wygnanych Pazzich...
- Być może nigdy niczego by nie uknuli, Ekscelencjo, bez życzliwej pomocy twego kuzyna, hrabiego Riario. W każdym razie między papieżem i Medyceuszami jest teraz krew Giuliana przelana w czasie mszy wielkanocnej!

- Pazzi zostali wybici aż do ostatniego. Ponad dwieście osób, prawda? Czy taka rzeka krwi nie wystarczy, by zmyć krew tego młodego człowieka?

- Tak może by było, gdyby papież nie wezwał do świętej wojny i nie obłożył Florencji ekskomuniką, a nawet interdyktem. Monsignore Lorenzo tylko się broni.

- Rzeczywiście, broni się... broni siebie samego, za nic mając pomyślność ludu, który rzekomo kocha. Dlaczego się nie poświęci? W końcu nie jest pomazańcem bożym.

- Nie poświęca się, bo to właśnie lud mu tego zakazuje. Florentczycy kochają Lorenza i są gotowi dla niego umrzeć.

- Wszyscy? Nie byłbym tego taki pewien. A zamiast niego miasto Czerwonej Lilii mogłoby mieć władczynię ujmującą, wykształconą, błyskotliwą... którą, jak sądzę, cenisz.

- Władczynię? Kogóż to?

- Hrabinę Catarinę. Czyż nie jest twoją przyjaciółką?

- Rzeczywiście, żywię dla niej wiele sympatii i szacunku. i - Może zatem mogłabyś ją wspomóc?

Fiora spojrzała na swego rozmówcę ze szczerym zdumieniem, mocno zabarwionym nieufnością. Nie udało jej się jednak wyczytać z tej wyniosłej twarzy i ciemnych, głęboko osadzonych oczu niczego poza wielkim smutkiem.

- Ma władzę nad Rzymem i nad papieżem. Jakiej to pomocy potrzebuje?

- Może właśnie twojej. Zrozum mnie dobrze, donno Fio. Mam wiele szacunku i przywiązania dla Catariny, i przykro mi, że czuje się nieszczęśliwa.

- A czuje się nieszczęśliwa?

- Bardziej niż myślisz, i to przez ciebie.

- Przeze mnie?

Kardynał poszedł napełnić swój kielich, po czym przysunawszy swój fotel bliżej krzesła gospodyni, ponownie usiadł.

- Rzym jest pełen szpiegów, madonna, i trudno coś zachować w tajemnicy. Riario wie, że jego żona pomogła ci uciec do Florencji. Łatwo mógł wpaść na to, że miałaś za zadanie uprzedzić Medyceuszy o planowanym przeciwko nim spisku...

- Nie chciałabym urazić twojej rodziny, Ekscelencjo, ale twój kuzyn ma zbyt ociężały umysł, by mógł sobie coś takiego wyobrazić!

- To gbur, zgadzam się, ale jest przebiegły, a nawet podstępny, a przede wszystkim wie, że żona go nie kocha. Nie jest jej lekko, ale byłoby znacznie trudniej bez ochrony Ojca Świętego, który na szczęście nieustannie darzy ją afektem.

- Przykro mi, że jest nieszczęśliwa, ale jak mogłabym jej pomóc?
- Mogłabyś napisać do niej list z wyrazami przyjaźni i dodać, że skłonna jesteś wstawić się u króla Francji za racjami Watykanu...

Fiora zerwała się nagle i stanęła naprzeciw swego gościa. Budzący się gniew zabarwił szkarłatem jej twarz.

- Może porozmawialibyśmy otwarcie, Ekscelencjo? Chcesz bym spróbowała wyrwać Francję z sojuszu z Florencją i żebym zdradziła moich najdroższych przyjaciół, pamięć mego ojca, mego...

- Twojego kochanka? Nie złość się! My też mamy szpiegów we Florencji. A ja nie oczekuję od ciebie nic tak strasznego. Proszę cię tylko, byś rozważyła rzecz następującą: wszyscy ludzie są śmiertelni, a Medyceusz nie stanowi tu wyjątku. Kiedy zniknie, Florencja, nie musząc już nikogo bronić, otworzy swe bramy przed papieżem. Jestem pewny, że donna Catarina, objąwszy władzę, zatroszczy się o twoje dobra.

- Muszę ci przerwać, Ekscelencjo! Lubię donnę Catarinę i chętnie przyczyniłabym się do jej szczęścia, ale nie pomogę jej małżonkowi w zniewoleniu miasta, które jest mi drogie!

- A gdyby Riario nie żył wystarczająco długo, by panować nad Toskanią? Naprawdę, donno Fioro, nie proszę cię o wiele: o miły list, w pewnym sensie uspokajający... no

i może o próbę lepszego nastawienia króla Ludwika do nas, nawet bez zniechęcania go, w każdym razie otwarcie, do sojuszu z Lorenzem. Jego aktualna postawa przynosi Stolicy Piotrowej poważną szkodę...

- Finansową? Nie wątpię! - powiedziała Fiora cierpko. - Nie pragnę niczego więcej, niż działać na rzecz pokoju, ale to nie Florencja, jak mówiłam, wypowiedziała wojnę. A z drugiej strony, żebyśmy uwierzyła w dobrą wolę papieża musiałby on zacząć od jakiegoś... ojcowskiego gestu. Na przykład od zniesienia interdyktu?

- Mógłbym mu to zasugerować. Czy napisałabyś ten list?

- Byłby to list kłamliwy. Król jest daleko i nie wiem, kiedy wróci.

- Ale kiedyś wróci, a mnie się nie spieszy. Zadowolę się samym listem i twoją obietnicą. Może z drugiej strony mógłbym udzielić ci pomocy w sprawie, która leży ci na sercu... Ale czas mija, muszę cię opuścić... Mam spotkanie z arcybiskupem.

Wstał i z nagłym pośpiechem, który Fiorze wydał się podejrzany, skierował się do wyjścia.

- Oczywiście zobaczymy się znowu - dodał uprzejmie. - Spędziłem z tobą urocze chwile. Teraz muszę dać ci czas na zastanowienie, a wkrótce znów przyjadę zobaczyć się z tobą.

- Zechciej poświęcić mi jeszcze chwilę, Ekscelencjo. Co to za sprawa tak bardzo mnie interesuje?

- To tylko pogłoski, które do mnie dotarły. Niestety, nie mam już czasu opowiedzieć ci o tym. Odłóżmy to do następnej wizyty, powiedzmy... za dwa czy trzy dni?

- Czy zamierzasz jeszcze długo pozostać w Tours?

- Nie, Niestety... choć bardzo mi się tu podoba i choć niektórzy nalegają, bym tu pozostał. Niedługo będę musiał wrócić do Awinionu, gdzie znajduje się siedziba prowincji, której jestem legatem...

Zrozumiawszy, że kardynał nie zamierza powiedzieć nic więcej, Fiora odprowadziła go do powozu, z którego udzielił jej błogosławieństwa.

Bezradnie patrzyła, jak okazały pojazd oddala się wśród gęstej zieleni cienistej drogi prowadzącej do wyjazdu z posiadłości. Kiedy orszak zniknął, zeszła do ogrodu, przemierzyła porządnie zagrabione alejki i usiadła pod pergolą z winorośli. Czowała, że Leonarda musi siedzieć w domu jak na szpilkach, pragnąc zadać jej setki pytań, a ona właśnie chciała побыć chwilę sama, by spróbować zrozumieć tę tajemniczą wizytę. Postępowanie delia Rovere wydawało jej się dość głupie. Trzeba było naprawdę nie znać króla Ludwika, tego zamkniętego w sobie człowieka, o którym mawiano, że na grzbiecie jego konia mieści się cała jego królewska rada, by choć przez chwilę wyobrażać sobie, że byłby podatny na prośby kobiety, choćby darzonej przyjaźnią. Z drugiej strony bezsensowne było oczekiwanie od niej, o której przecież kardynał niejedno wiedział, że będzie się starała oderwać Francję od jej dotychczasowego sojuszu i przyjaźni.

Był, rzecz jasna, problem Catariny. Fiorze było przykro, że naraziła ją na kłopoty, które, znając Riaria, mogły skończyć się naprawdę źle. Wypadki się zdarzają i wtedy papieżowi pozostanie tylko opłakiwanie tej bratanicy, do której był tak przywiązany.

Fiora przywołała w pamięci twarz kardynała w chwili, gdy mówił o Catarinie: twarz spiętą, niemal bolesną. Być może ją kochał, a w takim wypadku byłby gotów na wszelkie szaleństwa, by przyjść jej z pomocą. Czyż nie zasugerował, że Riario może długo nie pożyć? Skoro delia Rovere kochał swą kuzynkę szczerze i bał się o nią, wydał się Fiorze znacznie bardziej sympatyczny. Zaczęła nawet myśleć, że w gruncie rzeczy ten list, o który ją prosił, to nic szczególnego: wystarczyło sformułować go wystarczająco

zrećnie, by nie był dla niej kompromitujący. Poza tym pamiętała to tajemnicze zdanie, którego gość nie chciał wyjaśnić i o którym mieli porozmawiać „następnym razem”...

W tej chwili Fiora żałowała gorzko, że król jest nieobecny. Gdyby tu był, pojechałaby prosto do Plessis, by opowiedzieć mu, co zaszło i prosić go o radę. Ten mistrz dyplomacji, księżę wszelkich forteli, który lepiej niż ktokolwiek posiadał sztukę redagowania listów i traktatów, wiedziałby, jak postąpić, i z pewnością zdołałby wydobyć z rzymskiego prałata to, co próbował ukryć przed Fiorą. Jednak król był daleko i trzeba było radzić sobie samej.

* * *

Tego wieczora, kiedy wszyscy już leżeli w łóżkach, Fiora do późnej nocy próbowała ułożyć list, który mógłby usatysfakcjonować wszystkich. Szybko odkryła, że sprawa nie jest łatwa. Początek był oczywisty: chodziło jedynie o zwrócenie się do Catariny ze słowami podziękowania za to, że pozwoliła jej, jako matce, wrócić do dziecka, i uczynienie tego w sposób wzruszający. Wszystko jednak komplikowało się, kiedy trzeba było pisać o królu i o prośbach skierowanych do niego. Było to tak trudne, że Fiora w końcu poddała się zrezygnowana. Schowała kałamarz, zdmuchnęła świecę i poddała się senności. Zauważyła, że często po przebudzeniu znajdowała odpowiedź na trudne pytania.

Przebudzenie to było późne, gdyż zasnęła znacznie po północy. Otworzywszy oczy, ujrzała Leonardę stojącą w nogach łóżka i z zainteresowaniem czytającą jej różne próby.

- Naprawdę zamierzasz napisać ten list? - zapytała. - Powinnaś przypomnieć sobie, co mawiał ten czart Demetrios: „Trzeba bardzo uważać na to, co się pisze, a mądrość polega na tym, by wręcz pisać jak najmniej!”.

- Myślisz, że tego nie wiem? Ale tak bardzo chciałabym pomóc Catarinie!

- I dowiedzieć się, co ten przystojny kardynał ma ci do powiedzenia! Przyznaję, że jest zrećny i że poprowadził całą sprawę mistrzowską ręką! Doskonale umiał wykorzystać twoje uczucia i wdzięczność, jaką jesteś winna tej młodej damie. A na koniec rozniecił ciekawość, tak naturalną u cór Ewy.

- Ale... skąd to wszystko wiesz? Nie przypominam sobie, że bym ci to opowiedziała.

Leonarda uśmiechnęła się szeroko, ukazując nieco nadwątlone, ale wciąż białe zęby.

- Choć może już na to nie wyglądam, ja też jestem córą Ewy, moja droga Fioro. Po prostu podsłuchiwałam pod drzwiami. Pójdę zobaczyć, czy twoja kąpiel jest gotowa.

Wyjście Leonardy, za którą powiewała niczym białe skrzydła welon opadający z wysokiego nakrycia głowy, było arcydziełem godności. Fiore podziwiała ten widok i dopiero kiedy po chwili wstała, zauważyła, że gospodyni zabrała ze sobą wszystkie brudnopisy.

Jednakże, kiedy trzy dni później z kolejną wizytą w Domu w Barwinkach pojawił się kardynał delia Rovere, list był gotowy. Fiore podała go gościowi, gdy tylko zajął miejsce przy kominku.

Prawdę powiedziawszy, młoda kobieta była z niego całkiem zadowolona. Długo nad nim pracowała w towarzystwie Leonardy, starając się zachować bezstronność, usatysfakcjonować wszystkich zainteresowanych i nie wywołać niczyjego niezadowolenia. Toteż po kilku linijkach nacechowanych przyjaźnią i wielką wdzięcznością, Fiore zapewniła hrabinę Riario o swym głębokim pragnieniu, by między Rzymem i Francją, a także tak drogą jej Toskanią, na nowo zapanował pokój.

- Być może kardynał uzna, że niewystarczająco się angażujesz - zauważyła Leonarda po przeczytaniu wersji ostatecznej - ale zobaczysz sama, jaka będzie jego reakcja, i na pewno będziesz mogła z nim podyskutować.

Tymczasem, ku wielkiemu zaskoczeniu Fiory, kardynał po uważnej lekturze oświadczył, że list jest doskonały, i wyraził pełną satysfakcję. List ten wywołał wielką radość hrabiny Riario i w pewnym stopniu zaleczył zranioną dumę Ojca Świętego, jako że to tylko miłość macierzyńska skłoniła panią de Selongey do ucieczki, a donnę Catarinę do udzielenia jej pomocy w tym przedsięwzięciu. Papież będzie także niezwykle kontent, że jego dawna zakładniczka nie żywi do niego urazy, a nawet gotowa jest przyczynić się do powszechnego pojednania...

- Widzisz - powiedział delia Rovere, konkludując - że nie prosiłem o nic szczególnie trudnego. Wyświadczasz mi wielką osobistą przysługę i postaram się dać ci dowód mojej wdzięczności... Och, w sposób... bardzo skromny, obawiam się, gdyż to, co mam ci do opowiedzenia, jest być może zupełnie nieistotne.

Zamilkł i odwrócił wzrok, jakby się wahał, po czym westchnął:

- Och! To głupie! Mój wuj... to znaczy Ojciec Święty, zawsze wyrzuca mi, że zbyt wiele mówię i nie panuję wystarczająco nad impulsami. Teraz boję się, że raczej sprawię ci ból, niż pomogę.

- To, co robi się z dobrych pobudek, Eksceleńco, nie może być szkodliwe. Czy możesz zdradzić mi chociaż, o co chodzi? Czy o Florencję?

- Nie. Chodzi o... twego małżonka!

- Mego małżonka? Czy wiesz coś o nim?

- Być może. W trakcie pobytu tutaj starałem się dowiedzieć o tobie jak najwięcej. Kiedy byłem w Rzymie, zaintrygowała mnie wiadomość o tym skazańcu cudownie ulaskawionym w ostatniej chwili. Dowiedziałem się wówczas, że hrabia de Selongey, uwięziony w zamku Pierre-Scize w Lyonie, zbiegł stamtąd i nie wiadomo, co się z nim stało. Czy tak było?

- Dokładnie, Ekscelencjo. Wiadomo tylko, że do ucieczki użył łodzi, i nie ukrywam, że ta okoliczność mnie przeraża. Słyszałam, że rzeka, którą miał płynąć - nazywa się chyba Rodan - jest niebezpieczna. Boję się, że mógł utonąć.

- To istotnie możliwe. Jednakże, gdy usłyszałem tę historię, przypomniało mi się wydarzenie, które miało miejsce kilka miesięcy temu. Pozornie jest to wydarzenie nieistotne, ale dla ciebie mogłoby mieć pewne znaczenie.

- Proszę, Ekscelencjo, powiedz szybko, o co chodzi! Najmniejszy trop może mieć znaczenie.

- Zatem słuchaj! W ubiegłym roku, jak mówiłem, mnisi z klasztoru Val-de-Benediction, znajdującego się w Ville-neuve-Saint-Andre dokładnie naprzeciwko mojej siedziby, znaleźli w łodzi uwięzionej w trzcinach rannego, nieprzytomnego mężczyznę, który zdawał się mieć za sobą ciężkie przejścia. Zabrali go do siebie i wyleczyli, ale nie udało im się wydobyć z niego, jak się nazywa. Nie potrafił powiedzieć, kim jest, skąd pochodzi ani co mu się przydarzyło.

- Czyżby stracił pamięć?

- Taki wniosek wyciągnął ojciec przeor.

Serce Fiory biło jak oszalałe. Krew napłynęła jej do twarzy, a dłonie drżały.

- Jak wyglądał? Jaką miał twarz... wzrost? Widziałeś go?

- Nie, niestety. Wiem tylko to, co przeor powiedział mojemu kapelanowi. Jedno jest pewne: ten mężczyzna nie ma w sobie nic z wieśniaka. Jest wysoki, a blizny na jego ciele zdają się wskazywać na żołnierza. Ponadto łódź była inna, niż wytwarzane w okolicy. Ale widzę, że jesteś bardzo wzruszona i to mnie niepokoi. Powtarzam, że być może nie ma żadnego związku z...

- Jestem prawie pewna, że jakiś jest. Czy ten mężczyzna nadal tam jest?

- Oczywiście. Gdzie miałby pójść, nie mając pojęcia, kim jest i skąd pochodzi? Stan ten wynika bez wątpienia z rany głowy... Ale uspokój się, troskliwie się nim zajęto i nie jest nieszczęśliwy. Kartuzi są życzliwi i gościnni. Poza tym dla zbiegłego więźnia, jeśli to naprawdę o niego chodzi, klasztor jest najlepszym schronieniem.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę, ale jak się dowiedzieć, jak się upewnić...

Wstała i wzburzona zaczęła chodzić po komnacie tam i z powrotem, przyciskając dłonie do piersi i starając się uspokoić serce bijące tak mocno, że niemal ją dławiło. Widząc, że zbladła i się zachwiała, delia Rovere poderwał się, chwycił ją na ręce i zmusił do położenia się na wyściełanej poduszkami ławie. Była najwyższa pora, gdyż nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Kardynał wezwał na pomoc Leonardę, która, jako że podsłuchiwała pod drzwiami, pojawiła się natychmiast z flakonikiem octu oraz ręcznikiem i zaczęła cucić młodą kobietę.

Omdlenie szybko ustąpiło i wkrótce Fiora, całkiem oprzytomniała, mogła przeprosić gościa, który robił wrażenie szczerze zaniepokojonego.

- Obawiam się, że zanadto ci zmęczyłem - powiedział. - Najlepiej będzie, jak teraz sobie pójdę i przyjadę jutro. Miałem zresztą taki zamiar, gdyż chciałem się pożegnać...

- Wasza Ekscelencja już nas opuszcza? - spytała Leonarda.

- Tak, muszę wrócić do Awignonu, gdzie wzywają mnie pilne sprawy. Pojutrze pożegnam się z Tours.

Zamierzał wyjść, ale Fiora go zatrzymała.

- Litości, Ekscelencjo! Jeszcze chwilę. Zapewniam cię, że czuję się lepiej... Powiedz mi coś jeszcze o tym uratowanym mężczyźnie!...

- Co mogę ci jeszcze powiedzieć? Wiesz już tyle, co ja... Słuchaj! Skoro tam wracam, czy chcesz, żebym udał się do klasztoru kartuzów zaraz po przyjeździe i zobaczył się z tym mężczyzną?

- Nigdy wcześniej go nie widziałeś, Ekscelencjo. Jak miałbyś go rozpoznać?

- Może mogłabyś mi go opisać? Oczywiście, gdybyś nie była cierpiąca, byłoby pewne rozwiązanie, niewątpliwie proste, ale chyba trochę męczące...

- Jakie? - burknęła nieufnie Leonarda.

Ale Fiora od razu zrozumiała.

- Mogłabym pojechać z tobą? To prawda, że jestem jedyną osobą, która może stwierdzić, czy to mój mąż. A jeśli to on, ja najlepiej się nim zajmę...

- Fioro! - zaprotestowała Leonarda. - Zwariowałaś? Znowu chcesz wyjeżdżać na koniec świata?

- Awinion nie jest na końcu świata, pani, i nie bardzo wiem, na jakie niebezpieczeństwa narażona byłaby donna Fiora pod moją ochroną. Mogę nawet zaoferować jej wygodny powóz...

Fiora zdawała się odżywać. Odzyskała rumieńce, a jej oczy pod wpływem nadziei rozblęskły jak gwiazdy. Wstała z ławy.

- Nie mogę nie wykorzystać takiej szansy, droga Leonardo, a moja nieobecność nie potrwa długo. Jeśli to rzeczywiście Filip, przywiozę go tutaj, a

potem doprowadzę do jego zgody z królem. Och, Ekscelencjo, nie wyobrażasz sobie, jaką radość mi dajesz!

Kardynał zaczął się śmiać, co ogromnie go odmłodziło. Zdawał się równie szczęśliwy, jak młoda kobieta.

- Dobrze, więc ustalone. Jutro wieczorem przyślę po ciebie powóz, o którym mówiłem. Służba otrzyma rozkazy, a ty dołączysz do mnie przed południem w bazylice Świętego Marcina, gdzie chcę wygłosić kazanie przed wyjazdem. Myślę, że starczy ci czasu na przygotowania.

Wraz z Fiorą wyszedł do ogrodu, gdzie czekał na niego powóz, i dał sekretarzowi list, który przekazała mu młoda kobieta. Żegnając się, ściszył głos i dodał:

- Dla moich ludzi będziesz damą odbywającą pielgrzymkę do Compostelo lub do Rzymu.

- Nie miej mi za złe, Ekscelencjo, ale wolę Compostelo. Rzym wspominać nie najlepiej...

- Dodam - powiedziała Leonarda, która nie opuściła Fiory - że Wasza Ekscelencja będzie miał pod opieką dwie pielgrzymujące damy. Ja również zamierzam dać wyraz mojej pobożności. I mam nadzieję, że nikt nie będzie widział w tym nic złego!

Jej oczy, których łagodny błękit zachował całą świeżość, rzucały wyzwanie każdemu, kto usiłowałby przeciwstawić się jej projektowi. Nikt jednak nawet o tym nie myślał. Della Rovere uśmiechnął się, a Fiora wzięła ją za rękę i wsunęła pod swoje ramię.

- Skoro będziemy podróżować powozem, będę szczęśliwa, mając cię przy sobie.

Trudniej było wytłumaczyć Khatoun, że nie mogło być mowy o zabranii także jej. Obecność Azjatki w orszaku księcia Kościoła, wraz z innymi kobietami, mogłaby wywołać wrażenie nie tyle pielgrzymki, co haremu.

- To nie potrwa długo - pocieszyła ją Fiora - a potrzebuję kogoś, kto zaopiekuje się moim małym Filipem...

Marcelina bowiem opuszczała Rabaudiere. Miała coraz mniej pokarmu, a w dodatku mąż domagał się jej powrotu do domu. Tegoż ranka wyjechała do swojej wsi, głęboko wzdychając i lejąc łzy, gdyż zamieniała przyjemne i nieskomplikowane życie na ciężką egzystencję na farmie, ale Fiora umiała ją pocieszyć. Mamka wracała do domu bogatsza nie tylko o ubrania, które jej ofiarowano w ciągu tego roku, lecz także o bieliznę domową, zapasy jedzenia, złoty krzyżyk, który dumnie nosiła na szyi i o okrągłą sumkę, która miała uczynić ją najbogatszą chłopką we wsi.

Khatoun przywitała ten wyjazd z ulgą. Ona i mamka znienawidziły się od pierwszego wejrzenia, a walka o opiekę nad dzieckiem była zażarta. Natura decydowała na korzyść młodej Tatarce, ale Marcelina natychmiast oświadczyła, że to właśnie „żółta wiedźma” sprawiła, że straciła pokarm. Fiora z całą mocą przeciwstawiła się temu oskarżeniu.

- Jeśli do moich uszu dotrą podobne pogłoski, to będę wiedziała, skąd pochodzą, a w twoim interesie jest, by nie robić sobie ze mnie wroga. Khatoun była niewolnicą, to prawda, ale nigdy jej tak nie traktowałam. Wychowywałyśmy się razem i dwukrotnie mnie uratowała. Tak więc wiele jej zawdzięczam, a o swoich długach nie zapominam nigdy. Poza tym kocham ją jak siostrę...

Zrozumiawszy, że upieranie się jest sprzeczne z jej interesem, Marcelina przysięgła, że nie będzie więcej powtarzać swego oskarżenia, kładąc dłoń na wizerunku Ukrzyżowanego w książeczce do nabożeństwa, którą bez słowa, lecz z wielce wymownym spojrzeniem, podsunęła jej Leonarda. Rozstały się więc w jak najbardziej przyjacielskiej atmosferze.

- Mam nadzieję, że kiedy pani hrabina obdarzy panicza Filipa siostrzyczką, to po mnie pośle! - powiedziała Marcelina na koniec.

- Masz zatem zamiar mieć więcej dzieci? Jeśli dobrze pamiętam, masz ich troje?

- Tak, ale moja matka urodziła dwanaścioro, a mój mąż chce wielu synów do pomocy na roli.

Zostawszy panią sytuacji, Khatoun zrozumiała w końcu, że powierzając jej synka, Fiora dawała dowód swego zaufania. Zaprzestała protestów.

Później przyszła kolej na Florenta. Myśl, że jego droga pani znowu wyjedzie gdzieś daleko, była dla niego nieznośna. Upierał się, że będzie ją eskortował w charakterze stajennego. Tym razem interweniowała Leonarda:

- Po co jej stajenny, skoro będzie podróżować powozem?

- Ale mógłbym ją bronić w razie niebezpiecznych spotkań.

- Niebezpiecznych spotkań? Gdy będziemy w towarzystwie legata papieskiego? Nie wymyślaj, przyjacielu! Poza tym ja jadę tylko po to, żeby czuwać nad donną Fiorą. A ty dobrze wiesz, że Stefan będzie cię bardzo potrzebować przy winobranii, czyli już wkrótce.

- Jakoś sobie radził, kiedy mnie nie było! - burknął chłopak.

Leonarda posłała mu swój najbardziej sardoniczny uśmiech.

- Tak to jest, jak ktoś staje się niezastąpiony! - oświadczyła wesoło.

Rankiem we wtorek 8 września, w dniu święta Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Fiora i Leonarda opuściły Dom w Barwinkach w obszernym

powozie wyposażonym w poduszki, zasłonki, materace i skórzane osłony, co pozwalało na w miarę wygodne pokonanie najdłuższych tras i przetrwanie największej niepogody. Zaprzężono do niego dwa silne konie, którymi powoziło wielkie, wąsate chłopisko imieniem Pompeo. Powietrze było nieco chłodne, ale zapowiadał się słoneczny dzień, sprzyjający podróży. Mimo to, kiedy ciężki pojazd ruszył, Leonarda lekko się skrzywiła i wymamrotała:

- Zastanawiam się, czy nie robimy głupstwa.

- Głupstwa? - zaprotestowała Fiora. - Chcąc pomóc Filipowi w krytycznej sytuacji? Wyobrażasz go sobie zamkniętego w tym klasztorze, niewiedzącego, kim jest i skąd pochodzi? Skazanego na dobrą wolę mnichów, z których może nie wszyscy są tacy święci?

- Nie jesteśmy pewne, że to on...

- Zgadzam się, ale przyznaj, że istnieje mnóstwo niepokojących zbiegów okoliczności. Obawiasz się, żebym się nie rozczarowała?

- Być może...

- A więc bądź spokojna. Jestem na to przygotowana i sędzę, że lepiej odbyć tę podróż na darmo, niż zostać tu i pozostawić Filipa na pastwę losu, bez szansy na ratunek.

Pogoda ducha młodej kobiety była pokrzepiająca i Leonarda nie powiedziała nic więcej. Nie udawało jej się jednak uspokoić. Główną przyczyną jej niepewności był kardynał delia Rovere: nie umiała obdarzyć go pełnym zaufaniem. Leonarda robiła sobie z tego powodu wyrzuty, bo przecież chodziło o bratanka Ojca Świętego, ale opowiadanie Fiory o przeżyciach w wiecznym mieście głęboko nią wstrząsnęło. Jej głęboka pobożność, bezwarunkowa wiara i szczerze umiłowanie Boga, Matki Boskiej i Chrystusa nie zostały naruszone, jednakże w głębi serca miała wielki żal, że Rzym i następca świętego Piotra nie są zdolni wzbudzić choćby szacunku.

Oczywiście wiedziała, że nie brakowało na przestrzeni wieków papieży bardziej czy mniej dyskusyjnych, lecz ten były zakonnik, który zakładając na głowę tiarę*, widział w tym jedynie okazję do przysporzenia bogactwa swej licznej rodzinie i nie zawahał się wypowiedzieć wojny, by ograbić Medyceuszy po próbie ich zamordowania, nie miał żadnego prawa do szacunku wiernych, a zwłaszcza do jej szacunku.

*** Papieska korona składająca się z trzech diademów.**

Wszystko, co dotyczyło Rzymu, było dla niej od tej pory powodem do podejrzliwości i uprzejmy kardynał nie wymykał się tej nieodwołalnej ocenie.

Tak jak zostało ustalone, spotkały się z nim na dziedzińcu przed kolegiatą Świętego Marcina, w całości wypełnionym przez jego wspaniałe orszak. Dwie

kobiety wysiadły z powozu, by wziąć udział we mszy i pomodlić się przez chwilę przy grobie świętego, po czym orszak skierował się do wyjazdu z Tours pośród tłumnie zgromadzonego ludu wiwatującego na cześć znamienitego cudzoziemca. Jadąc dumnie na grzbiecie wspaniałego wierzchowca, na którego zadzie rozpościerała się dostojnie purpurowa symara, Giuliano delia Rovere rozdzielał błogosławieństwa, podczas gdy jego służący rozdawali datki w jego imieniu.

Pojazdy, sekretarze, służba, konie i muły, a także strażę i wozy z bagażami tworzyły orszak tak długi, że jego początek dotarł prawie do murów miasta, podczas gdy koniec dopiero opuszczał dziedziniec. Powóz z dwiema kobietami zajął miejsce nieco przed służbą i wozami wiozącymi meble i bagaże, czyli bliżej końca, bowiem nie wypadło, by kobiety znajdowały się wśród duchownych. W ich pobliżu znalazła się garstka pielgrzymów udających się, pieszo lub na różnego rodzaju wierzchowcach, do Prowansji i upoważnionych do odbycia tej wyprawy w tak znakomitym towarzystwie...

Przebywszy ulicę de la Scellerie, gdzie orszak minął klasztor Augustynów i Franciszkanów oraz klęczących przed nimi zakonników, którzy oczekiwali na błogosławieństwo, dotarli do przedmieścia Arcis i do Bramy Świętego Stefana, strzeżonej przez potężną basztę i zwróconej na południe.

Minąwszy przedmieście o tej samej nazwie i „Długie Mosty” wznoszące się nad rzeką Cher i licznymi rozlewiskami utworzonymi przez dawne jej odnogi, orszak dotarł do Saint-Avertin.

- Jak się będziemy zatrzymywać co pięć minut, to nigdy nie dojedziemy! - wyrzekła Leonarda. - A jaką odległość musimy pokonać? Sto siedemdziesiąt, sto osiemdziesiąt mil?

- Jeśli uda nam się przejeżdżać dziesięć mil dziennie, to będziemy w drodze tylko trzy tygodnie. Oczywiście konno posuwałybyśmy się szybciej, ale zdaje mi się, że niezbyt entuzjastycznie wspominasz ten sposób podróżowania? - powiedziała Fiora z uśmiechem. - Dla pocieszenia pomyśl o tych wszystkich opactwach, w których będziemy się zatrzymywać po drodze. Będziesz mogła pomodlić się do prawie wszystkich francuskich świętych!

Jednakże kiedy około południa zobaczyła dachy opactwa w Cormery, którego przeor w uroczystym stroju i z pastorałem w ręku oczekiwał biskupa otoczony przez rój benedyktynów, nie mogła powstrzymać westchnienia. Zatrzymywanie się co wieczór w innym zakonie nie było samo w sobie przykre, lecz jeśli trzeba będzie zwiedzić wszystkie przybytki religijne znajdujące się na trasie, trzy tygodnie mogły zmienić się w dwa lub trzy miesiące. I tak jak Leonardę, zaczynała ją ogarniać niecierpliwość.

Podczas gdy przed bramą kościoła wymieniano powitania, przyklękano, całowano pierścień i prawiono sobie uprzejmości, postanowiła przepytać woźnicę. Czy wiedział, gdzie kardynał chciał zatrzymać się na noc? Mężczyzna odpowiedział, że w Loches. Dzisiejszy etap nie obejmie zatem zakładanych dziesięciu mil, a w dodatku zakończy się już

po zapadnięciu nocy, bowiem przerwa w Comery zapowiadała się na dosyć długą...

I rzeczywiście - słońce już zachodziło, kiedy dotarli do lasu w Loches, za którym wznosiło się królewskie miasto i twierdza budząca tyle uzasadnionych obaw w przeciwnikach władcy. Fiorze nazwa ta kojarzyła się z bratem Ignacio Ortega, który prześladował ją swoją niewyjaśnioną nienawiścią i stracił tu życie, oraz ze stajennym i przyjacielem Filipa, Mateuszem de Prame, który miał szczęście opuścić ją żywy... Ale co się z nim stało?

Tymczasem Fiora, zrezygnowana, drzemała w gniazdku, jakie umościła sobie wśród poduszek, a siedząca przy niej Leonarda odmawiała różaniec. Leśna droga była dosyć przyjemna, a wstrząsy niezbyt odczuwalne. Spoza powozu dochodził śpiew pielgrzymów, dodających sobie w ten sposób odwagi, gdyż zielony cień drzew szarzał, a las wydawał się coraz gęstszy. Ptaki już umilkły i ludzi ogarniał niepokój, naturalny dla osób podróżujących przez las o zmierzchu.

Nagle na zakręcie drogi powóz podskoczył i wyrzucone ze swoich miejsc kobiety wpadły na siebie. Pojazd gwałtownie przyspieszył, co było dziwne, gdyż droga stała się znacznie bardziej wyboista, i zarzucało nim od pobocza do pobocza. Wyrwana z modlitwy Leonarda wychyliła się na zewnątrz.

- Co się dzieje? - zawołała do woźnicy, ale ten jej nie odpowiedział, okładając konie batem, by biegły jeszcze szybciej.

- Pozabija nas! - powiedziała Leonarda. - Ale nie to jest najgorsze. Nie jesteśmy już w orszaku.

Teraz z kolei Fiora się wychyliła. Rzeczywiście - ani przed, ani za nimi nie było nikogo. Widać było tylko wąską dróżkę wiodącą wśród czarnych ścian drzew, po której powóz gnał z szaloną prędkością. Dwie kobiety spojrzały na siebie z przerażeniem ogarnięte tą samą myślą: zastawiono na nie pułapkę i ona właśnie się nad nimi zatrzaśniała...

Krzycząc ile sił, Fiora rozkazała Pompeowi po włosku, by się zatrzymał, ale woźnica odpowiedział burknięciem i kolejnym strzeleniem z bata. Przez chwilę młoda kobieta pomyślała, by otworzyć drzwiczki i wyskoczyć, ale powóz jechał zdecydowanie za szybko, a poza tym Leonarda nie zdołałaby zrobić tego samego, nie łamiąc kości. Zresztą zagajnik po obu stronach ścieżki zdawał się

ożywać. Z cienia podnosiły się cienie ciemniejsze i wkrótce czterech zamaskowanych jeźdźców otoczyło ekwipaż, który mimo to nie zwolnił.

- Niech Bóg nas chroni! - jęknęła Leonarda. - Obawiam się, że koniec z nami.

Fiora nie odpowiedziała. Gwałtowna wściekłość nie dopuściła do niej uczucia strachu. Jak mogła być tak głupia, tak szalona, by dać wiarę słowom bratanka Sykstusa IV? Jak mogła uwierzyć, że chce jej pomóc?

Nagle woźnica zatrzymał konie tak gwałtownie, że pasażerki upadły na brzuch. Prawie jednocześnie drzwiczki się otworzyły i czyjeś ręce brutalnie wywlokły Fiorę i Leonardę na zewnątrz. Zobaczyły, że znajdują się na jakiejś polance, ledwo widocznej w półmroku zmierzchu. Stało tam pięciu czy sześciu ubranych na ciemno mężczyzn, których rysów nie sposób było dostrzec. Dwóch z nich, opartych na łopatach, stało na brzegu głębokiego, prostokątnego dołu, który zapewne właśnie wykopali.

To na krawędź tego właśnie dołu zawleczono obie nieszczęsnice, a one natychmiast zrozumiały, że to z myślą o nich został wykopany. Ci ludzie byli tu, by je zamordować.

- Kim jesteście? Czego od nas chcecie? - zawołała Fiora. Ten, który wyglądał na szefa, nie raczył odpowiedzieć.

W migoczącym świetle pochodni zapalonej przez jednego z kompanów, rzucił woźnicy sakiewkę, którą ten chwycił w locie, i wskazał mu dróżkę ledwie widoczną po jego prawej stronie.

- Dobra robota, przyjacielu! Jedź tędy! Dołączysz do orszaku przed Loches...

Pompeo ponownie podciął konie i zaprzęg natychmiast zniknął w mroku za zasłoną gęstych gałęzi. Mężczyzna poczekał, aż ucichnie hałas, a potem odwrócił się ku kobietom, które trzymało czterech z jego kompanów. Fiora wrywała się wściekle, ale Leonarda, przybita tak niespodziewanym ciosem, osunęła się na kolana na wilgotną ziemię i modliła się, nie oczekując już niczego poza ostatecznym końcem.

Szef bandy brutalnym ruchem zerwał welon spowijający głowę Fiory.

- Zamierzałem zakopać cię żywcem, ale nie jestem okrutnikiem. Najpierw poderżniemy ci gardło, a ten welon zabarwiony twoją krwią będzie doskonałym dowodem, że dobrze wykonałem swoją robotę.

- Dla kogo pracujesz? - rzuciła Fiora. - Tylko nie mów, że dla króla. Myślę, że raczej drogo zapłacisz, kiedy się dowie...

- Ale się nie dowie. Znikniesz, nie pozostawiając śladów.

- Zanim umrę, chciałabym jednak dowiedzieć się, kto mnie zabija. Papież? To kardynał cię opłacił?

- On? On nic nie wie. Pomyślał tylko, że długa podróż wystarczy, by się ciebie pozbyć z kraju na jakiś czas. Wszystko, o co go prosiliśmy, to by zabrał cię ze sobą.

- Kto „my”?

- A dlaczego cię to interesuje? Powinnaś raczej zrobić to, co twoja towarzyszka, i pomyśleć o pojednaniu się z Bogiem. Dam ci chwilę na zmówienie modlitwy.

Jeden z bandytów podszedł bliżej i zaproponował:

- A może byśmy w tym czasie załatwili tę drugą?

- Dobry pomysł! Pewnie jest gotowa. Namodliła się wystarczająco.

- Pozwólcie mi chociaż ją uściskać! - zawołała Fiora z rozpaczą.

- Wydaje mi się to zupełnie zbędne. W tym dole będziecie mogły się ścisnąć do woli...

Rozdział szósty

Ślad cienia

Leonardo! - zawyła Fiora. Wybacz mi!

Odpowiedział jej okrzyk bólu. Mężczyzna, który zaproponował, żeby zabić starą pannę, zerwał jej czepiec, chwycił za włosy i szarpnął brutalnie, aby ją zmusić do podniesienia głowy i odsłonięcia szyi, do której przyłożył nóż. Nie zdążył jednak zrobić nic więcej. Z mroku wystrzeliła strzała i mężczyzna z przebitą szyją runął na Leonardę. Jednocześnie polankę otoczyła grupa jeźdźców. Migotliwe światło pochodni odbiło się w oczkach kolczug, zbrojach i żelaznych hełmach. Rozległ się chrapliwy okrzyk:

- W imieniu króla! Pojmać tych ludzi i niezwłocznie powiesić tu, na tym drzewie!

- Zachowaj przy życiu choć dwóch, Wielki Prewocie*! Dobrze byłoby posłuchać, co mają do powiedzenia.

* Prewot - urzędnik o uprawnieniach policyjno-sądowych, który zajmował się sprawami wymagającymi niezwłocznego osądzenia (grabieże na drodze, dezercja, włóczęgostwo). Wielki Prewot sprawował takie funkcje na dworze w obecności króla. Czuwał nad bezpieczeństwem władcy i utrzymaniem dworu. Przewodniczył dworskiemu trybunałowi i miał kilkudziesięciu gwardzistów pod swym dowództwem (przyp. tłum.).

Nie czekając na odpowiedź, Douglas Mortimer zeskoczył z konia i podbiegł do Fiory, której nogi odmówiły posłuszeństwa i osunęła się na kolana, kiedy puściły trzymające ją ramiona. Podniósł ją jednym energicznym ruchem bez jakiegokolwiek pomocy z jej strony. Szeroko otwartymi szarymi oczami patrzyła na niego z rodzajem zachwyty, jakby nie był potężnym Szkotem, lecz świetlistym przedstawicielem jakiegoś anielskiego zastępu...

- Wszystko w porządku? - zapytał po prostu, postawiwszy ją na nogach

- Chyba... tak. Och, Douglasie! Zaczynam wierzyć, że jesteś dla mnie prawdziwym Aniołem Stróżem... ale co właściwie to wszystko znaczy?

- Wyjaśnię ci, ale muszę powiedzieć, że nigdy jeszcze tak się nie bałem! Już myślałem, że nie zdążymy na czas...

Po czym, więcej się nią nie zajmując, odwrócił się do Leonardy, której jeden z gwardzistów pomógł wydobyć się spod przygniatającego ją ciała rzeźmieszka, spychając je od razu do dołu. Fiora natychmiast dołączyła do niego i nie mogła powstrzymać krzyku przerażenia. Biedna kobieta pokryta krwią przedstawiała straszny widok. Jednak już opanowała emocje i parskła jak rozgniewany kot:

- Gdzie jest woda? Nie mogę tak zostać, cała w tej obrzydliwej krwi...

- Ale chyba lepiej, że to nie twoja - zauważył Mortimer. - Chodź, niedaleko stąd jest strumień.

Gwardziści zapalili pochodnie i polanka była teraz wystarczająco oświetlona, by nikt nic nie stracił z dramatycznego spektaklu, który się na niej odbywał. Bandyci, kolejno pozbawieni masek, zostali rzućeni na kolana przed mężczyzną, którego Szkot nazwał Wielkim Prewotem.

Był to starszy już mężczyzna o surowej twarzy ozdobionej wąsami i krótką siwą brodą. Robił wrażenie, jakby lata nie ujęły krzepkości jego szczupłego ciała - ze swobodą dźwigał ciężką zbroję. Na głowie zamiast hełmu nosił czarną czapkę, przy której błyszczał okazały srebrny medalion. Jak wszyscy wysocy mężczyźni nieco się garbił, siedząc na koniu, którego zresztą prowadził zręczną ręką. Tristan Hermite w służbie u Ludwika XI znajdował się od czasu jego wczesnej młodości, kiedy ten był jeszcze następcą tronu. W oczach poddanych króla uosabiał sprawiedliwość surową, często szybką, jednak rzadko bezzasadną, która budziła we wszelkiej maści rzezimieszkach zbawienny strach. Oddany królowi jak najwierniejszy pies, ten milczek, wręcz mruk, nie znał uczucia zmęczenia podobnie jak litości i każdy przestępca mógł być pewien, że będzie ścigany tak długo, aż przyzna się do winy. Jego głęboko osadzone oczy spoglądały na ludzi spod krzaczastych brwi twardo i surowo.

Gwardziści wypełniali jego rozkazy z ogromną skwapliwością i po chwili pół tuzina bandytów, których zresztą rozpoznali i nazywali po imieniu, kołysało się na gałęziach starego dębu. Niewzruszony sędzia nawet nie mrugnął, słysząc ich krzyki i błagania. Przy życiu pozostał jeszcze tylko szef bandy o poetyckim przydomku Krzywomorcy, który w samej koszuli klęczał przy koniu Tristana l'Hermite. Jeden z żołnierzy, stojąc obok niego, trzymał w dłoni koniec liny tworzącej pętlę na szyi bandyty...

Pomagając Leonardzie obmyć się z grubsza w strumyku, Fiora nie mogła powstrzymać się od obserwowania - z pewną obawą - tego posagowego mężczyzny, który poza początkowym rozkazem nie wypowiedział ani słowa.

Jednak kiedy ostatnie ciało zawisło na gałęzi, Wielki Prewot powoli odwrócił się wierzchowca, by mieć przed oczami Krzywomordecę.

- Teraz twoja kolej! Kto zlecił ci zabicie tych dwóch kobiet?

- Nie wiem, wielmożny panie! Nie znam go, przysięgam!

- Doprawdy?

Na skinienie Wielkiego Prewota jeden z jego ludzi podszedł z pochodnią, a dwaj inni schwytali złoczyńcę i przycisnęli go do trawy. Ogień przybliżył się do jego stóp wystarczająco, by wywołać rozpaczliwe wycie:

- Niiieeeeeeeee!

- To mów!

- Przysięgam... na wieczne... zbawienie... że mówię prawdę... Jakiś zamaskowany mężczyzna przyszedł do mnie... przedwczoraj... do tawerny... obok rzeźni w Arcis...

Kolejny wrzask rozdarł ciszę nocy i Fiora zatkała sobie uszy.

- Czy naprawdę trzeba to robić? - zapytała.

- Ten człowiek chciał zamordować ciebie i panią Leonardę - powiedział Mortimer z nieco pogardliwym wzruszeniem ramion. - Uważam, że jesteś trochę przewrażliwiona.

Torturowany mężczyzna, próbując rozmiękczyć swego oprawcę, wzywał na świadków wszystkich świętych i przysięgał, że nie może nic dodać do tego, co już ujawnił: zamaskowany osobnik wręczył mu okrągłą sumkę w złocie i obiecał taką samą po wykonaniu zadania. Mieli czekać na tej polance na powóz z dwiema kobietami, który miał się tu pojawić pod wieczór. Ponadto mieli wykopać dół wystarczająco obszerny, by pomieścić dwa ciała, i pochować w nim kobiety, o których mowa. Krzywomordy miał wręczyć woźnicy sakiewkę, a potem wrócić do Tours po resztę uzgodnionej kwoty.

Gwałtowny szelest liści i galop dobiegający z lasu przerwały urywaną spowiedź mężczyzny: gwardziści Wielkiego Prewota sprowadzili z powrotem powóz, który dopadli, zanim dotarł do drogi do Loches i dołączył do orszaku legata. Jeden z żołnierzy powoził, a solidnie skrepowany Pompeo został bez ceregieli wywleczony z powozu i rzucony na ziemię przed Wielkim Prewotem. Mieszek, który dostał chwilę wcześniej, dołączył do leżących w trawie sakiewek bandytów.

Ponieważ udawał, że nie rozumie zadawanych przez l'Hermite'a pytań, Krzywomordy podjął się tłumaczenia, zanim poproszono o to którąś z dam.

- Dostałem polecenie szybkiego zawarcia znajomości z jednym ze stajennych lub woźniców kardynała i umówienia się z nim, co zrobiłem. Perspektywa zapłaty od razu bardzo mu się spodobała. Tym bardziej, że nie wiązało się to z żadnym niebezpieczeństwem... Wystarczyło nieco zboczyć z drogi, a potem wrócić do konwoju. Po zapadnięciu zmroku nikt niczego by nie zauważył...

- Przestań się z nas naigrawać, przyjacielu - wtrącił Mortimer. - Legat miałby nie uznać za dziwne, że po przybyciu do Loches powóz dam jest pusty?

Dobył miecza i przytknął jego czubek do szyi Pompea, który widząc w oczach olbrzyma zapowiedź swojej śmierci, w końcu niechętnie odpowiedział:

- To proste. Miałem powiedzieć, że damy, spotkawszy przyjaciół w Cormery, postanowiły nie wyjeżdżać. Miałem gorąco podziękować i...

- I zatrzymać zawartość powozu? Albo twój pan jest współnikiem w tym łajdactwie, albo jest idiotą. A w to trudno mi uwierzyć...

- Przysięgam, że nic o tym nie wie - odpowiedział tamten krótko. - To osoba duchowna, prawdziwy książę Kościoła...

- I to właśnie trzeba by wyjaśnić - stwierdził Szkot, odsuwając miecz i dając znak, by zabrano więźnia. - O tej porze kardynał jest już w Loches. Warto by pojechać i zadać mu kilka pytań...

- Taki mam zamiar - powiedział THermite. - Odwieszysz damy do domu, jak sądzę?

- Jeśli czują się na siłach. W przeciwnym razie mogą poprosić o schronienie na jedną noc w opactwie w Comery. Król jest dla niego wystarczająco hojny, by godnie podejmowano w nim jego sługi i przyjaciół.

- Sądzę - powiedziała Fiora - że wybierzemy Comery. Moja droga Leonarda jest wykończona, a i ja przyznam, że chętnie bym trochę odpoczęła.

Podszedłszy do Wielkiego Prewota, wyciągnęła do niego rękę, która wciąż jeszcze trochę drżała.

- Wielkie dzięki, messire! Nie mam pojęcia, jakim cudem zdołałeś nas uratować, ale bądź pewien, że nigdy tego nie zapomnę i powiem królowi...

- Nic nie powiesz, pani!

Z niespodziewaną u osoby w tym wieku szybkością i zwinnością Tristan l'Hermite zeskoczył z konia i uklonił się młodej kobiecie:

- Jak to? - zapytała Fiora.

- Jeśli zyskałem prawo do twojej wdzięczności, pani, to proszę, byś w zamian, i to bardziej w twoim niż moim interesie, nic nie mówiła naszemu Sire o tym, co zdarzyło się dziś wieczorem.

- Ale... dlaczego?

Zamiast niego odpowiedział Mortimer:

- Co racja, to racja. Nie zawsze trzeba wszystko mówić. Jeżeli inicjatorem tej zbrodniczej intrygi jest ten, którego podejrzewamy, to król nawet nie będzie chciał nas wysłuchać, nie uwierzy...

- Tak - przerwał Tristan l'Hermite - musielibyśmy mieć dowody...

- Dowody? - powiedziała Fiora ze ściśniętym gardłem. - Mało ich na tej polanie? Są ci dwaj mężczyźni! Jest to, co może powie kardynał. W końcu, są moje słowa i słowa pani Leonardy.

- Słusznie, że o tym powiedziałaś na końcu - powiedział Mortimer zgryźliwie. - To będzie się najmniej liczyć. Ludwik XI uważa kobiety za

nieuleczalne gaduły obdarzone diaboliczną wyobraźnią... a osoba, o którą chodzi, należy do jego najbliższego otoczenia.

- Myślisz, że to... - zaczęła Fiora, której coś przyszło do głowy. Ale Wielki Prewot ją uciszył:

- Żadnych nazwisk, pani! Pozwól, że poprowadzę tę sprawę po swojemu, i pozwól, że cię pożegnam. Czy chcesz, by jeden z moich ludzi was odprowadził?

- To zbędne! - rzekł Mortimer. - Biorę to na siebie... i dziękuję, że mi uwierzyłeś, panie! Oraz za to, że mi pomogłeś.

Cień uśmiechu na chwilę rozjaśnił surową twarz Tristana l'Hermite.

- Wykonałem tylko obowiązki związane z moim stanowiskiem, młody człowieku, ale przyznaję, iż jestem wrażliwy na przejawy przyjaźni. Niegdyś... dawno temu, poświęciłem się, jak ty, służbie pewnej damie... bardzo pięknej!

- Ty, panie? Damie? - zdumiał się Mortimer.

- Jesteś zaskoczony, prawda? Wielki sędzia, zwierzchnik dozorców więziennych, ludzi policji, katów? Nazywała się Catherine... ale spokojnie, nie mnie kochała. A teraz jedźcie! Zobaczymy się w Plessis!

Douglas Mortimer pomógł Leonardzie i Fiorze zająć miejsce w powozie, po czym przywiązał swego konia z tyłu i wskoczył na miejsce woźnicy. Kiedy zawracał ciężki pojazd, by ruszyć ponownie raz już przebytą drogą, Fiora rzuciła ostatnie spojrzenie na ponurą polanę, gdzie nadal otwarty wykop przypominał o koszmarze, który tu przeżyły. Dwóch gwardzistów właśnie zabrało się do zakopywania dołu. Tristan l'Hermite, ponownie siedząc w siodle, otoczony podwójnym pierścieniem ludzi z pochodniami, przyglądał się kopiającym, nieruchomy jak pomnik konny. Leżący na ziemi Pompeo i drugi bandyta trzęśli się i płakali, ale Fiora nie poczuła najmniejszej litości. Jej umysł i serce były jak z lodu. Nie odczuwała nawet strachu na myśl o tym, co mogło się stać. Jedyne, co czuła, to było ogromne rozczarowanie. Marzenie, które hołubiła od trzech dni, ta nadzieja na odnalezienie Filipa, choćby chorego, choćby nieświadomego, i przywiezienie go do domu, do syna, zmieniło się w ponure szyderstwo. Zakpiono sobie z niej, a teraz wracała do siebie z duszą pełną goryczy i z pustymi rękami...

- Czy naprawdę jestem tak ograniczona umysłowo, że bez trudu można mnie oszukać? - szepnęła, nie zdając sobie sprawy, że myśli na głos.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Leonarda, której dłoń odszukała jej rękę - ale wszystko, co skierowane jest do twego serca, niechybnie trafia do celu. A ty tak bardzo pragniesz odnaleźć pana Filipa!

- Czyżbyś mi to wyrzucała?

- Ja? Niech mnie Bóg uchwowa! Dobrze wiesz, że moim najgorętszym pragnieniem jest ujrzeć cię wreszcie szczęśliwą. Nie mogę jednak zrozumieć, jak ten człowiek mógł się dowiedzieć, że twój małżonek zbiegł z Lyonu.

- Ten człowiek? Masz na myśli kardynała?

- Niestety, tak! - westchnęła stara panna. - Nie potrafię pojąć, jaką rolę odegrał w tym haniebnym podstępie.

- Według tych bandytów nie ma z nim nic wspólnego, albo prawie nic. Chociaż naprawdę trudno w to uwierzyć...

- Tak czy inaczej nie znamy sensownej odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak zresztą na kilka innych. Może młody Mortimer znajdzie jakieś wskazówki, a ten Tristan l'Hermite zdoła wypowiadać kardynała?

- Tak myślisz?

- To chyba możliwe, jest przerażającym człowiekiem. Poza tym w Loches musi dysponować wszelkimi właściwymi środkami, by zmusić go do mówienia.

- Tracisz rozum, Leonardo? - szepnęła osłupiała Fiora. - Chyba nie myślisz, że mógłby grozić księciu Kościoła więzieniem, a nawet...

Twarz Leonardy rozjaśniła się w szerokim uśmiechu:

- Torturami? Dlaczego nie? Relacje między królem i papieżem, już i tak zle, wiele na tym nie ucierpią. A nawet podejrzewam - dodała z pełnym zadowolenia uśmiechem - że jest do tego jak najbardziej zdolny.

- I... to sprawia ci przyjemność?

- Nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia.

Nie przeszkodziło to Leonardzie, gdy tylko rozlokowała się w pokoju gościnnym udostępnionym im przez mnichów w Comery, paść na kolana u stóp wąskiego posłania i pogrążyć się w długiej, żarliwej modlitwie. W prostocie swego serca dopuszczała myśl, że w świętym stadzie Kościoła mogą zdarzać się parszywe owce, ale Bóg nie mógł ponosić winy za zbrodnie swych sług.

* * *

Jedyne pocieszenie w tej smutnej historii: powrót do dworu został powitany z entuzjazmem, który rozgrzał serce Fiory, a następnie ze szczerym oburzeniem, kiedy poznano prawdę, co z kolei ucieszyło Leonardę. Prawda jednak objawiła się w całej pełni dopiero następnego dnia, kiedy Douglas Mortimer przybył do Rabaudiere na obiad.

Opróżniając jeden po drugim talerze i półmiski dzięki powolnej, zawziętej i metodycznej pracy szczęk, Szkot opowiedział, w jaki sposób znalazł się w określonym czasie i miejscu w lesie Loches, dzięki czemu mógł uchronić swoje przyjaciółki przed tragicznym losem.

- W czasie kolacji u króla zauważyłem mistrza Oliwera le Daima rozmawiającego z kardynałem. Rozmowa mogła być niewinna, gdyż osobnik ten demonstrował wszelkie oznaki głębokiej pobożności, jakby prosił o wstawiennictwo w sprawie odpustu: giął się w ukłonach, zamasyście zęgał, robił z siebie przedstawienie. Wiecie, co mam na myśli?

- Oczywiście! - potwierdziła Fiora.

- Tylko że ja nie wierzę w niewinne konwersacje mistrza Oliwera, więc po odprowadzeniu was do domu ruszyłem na jego poszukiwanie. Nie było to trudne, gdyż nie jest nigdy wolny, dopóki król nie uda się na spoczynek. Miałem nawet czas na założenie czarnego ubrania, zanim stanąłem na czatach za murami ogrodzenia. Zobaczyłem, jak wyjeżdża na mule ukrytym przejściem i kieruje się do Tours. Śledziłem go aż do położonej nad wodą tawerny. Trzeba było wiedzieć, że to on, gdyż miał na sobie pelerynę, czapkę nasuniętą na oczy i maskę, ale ja tego obwiesia wywęcham w każdym przebraniu, choćby wyszedł w stroju kanonika, jak mu się to zdarza od czasu do czasu. Tym razem nie było mowy, by odgrywał duchownego, zważywszy cel spaceru... Pani Petronelo, napiłbym się jeszcze tego wina z Beaune! To zadziwiające, jak opowiadanie wzmaga pragnienie.

Po zaspokojeniu pragnienia Mortimer podjął swoją opowieść:

- Idąc za nim, zobaczyłem, jak wchodzi do tawerny na brzegu rzeki, gdzie można zastać pierwszorzędną zestaw szubrawców z całego miasta i nawiązać kontakt z tym Krzywomordym, o którym nic więcej wam nie powiem... poza tym, że rzeczywiście chyba nie wiedział, z kim rozmawia.

- Po czym to poznałeś?

- Po sposobie zachowania. Oprych okazywał taką nieufność, że le Daim musiał wyciągnąć złoto, by go przekonać. A pokazywanie błysku złotego metalu w takim miejscu jest zawsze niebezpieczne. Wyszli razem i tak szybko wtopili się w ciemność, że nie zdołałem ich odnaleźć. Pojechałem więc do Wielkiego Prewota, żeby powiedzieć mu, co widziałem...

- W środku nocy?

- To człowiek, który w ogóle nie śpi! Powiedziałem mu, że zamierzam opowiedzieć o wszystkim królowi, ale wyperswadował mi to. Po pierwsze dlatego, że nie miałem żadnego konkretnego zarzutu do postawienia. Po drugie z powodu niemal ślepego zaufania, które nasz Sire żywi dla swego cyrulika. Le Daim miał opuścić le Plessis wraz z nim, a ponieważ w zamku musiała pozostać kompania gwardzistów, poprosiłem tylko, pod pretekstem, że źle się czuję, bym ja także mógł zostać, co bardzo rozbawiło króla.

- Rozbawiło?

- Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. Śmiał się do rozpuku.
- A czym była spowodowana ta wielka wesołość?
- No cóż... hm... myślał, że moja choroba nie jest bardzo poważna i że... ty jesteś zarazem jej przyczyną i... nieważne... Kiedy wreszcie przestał się śmiać, powiedział: „Do diaska, Mortimer, wprowadziłeś mnie w doskonały nastrój! Zgoda! Moja nieobecność nie potrwa długo, więc tym razem pozwalam ci tutaj zostać... Ale pamiętaj, że jesteś w mojej służbie, a nie w służbie dam!”.

Czerwony jak ugotowany rak, nieszczęsny Szkot nie śmiał spojrzeć Fiorze w oczy i dla odzyskania kontenansu musiał wypić duszkiem dwa kubki wina, które, rzecz dziwna, przywróciło jego twarzy normalny koloryt...

- Tak czy inaczej, skoro Tristan l'Hermite podjął się nadzorowania Krzywomordego, ja zająłem się kardynałem. Kiedy zobaczyłem, że wysyła po ciebie powóz, zrozumiałem, że dzieje się coś dziwnego. Ukryłem się w lesie przed domem, a po twoim wyjeździe przyszedłem wypytać pannę Khatoun i panią Petronele.

Fiora dosłownie podskoczyła, i to z taką energią, że omal nie przewróciła stołu.

- A co to za zachowanie! Dlaczego, zamiast się chować, nie przyszedłeś zobaczyć się ze mną? Powiedziałabym ci, co zamierzam zrobić!

- Nie wątpię w to ani przez chwilę, ale czy posłuchałabyś, gdybym ci radził nie wyjeżdżać?

- Z pewnością nie - wyburczała Leonarda, która od początku posiłku nie powiedziała nawet trzech słów. - Nic by jej nie powstrzymało... Jak sądzisz - dodała - dlaczego ja, z moim reumatyzmem, zdecydowałam się na wyprawę po wyboistych drogach pięknego francuskiego królestwa?

- Dobrze - zakończyła Fiora, z powrotem siadając. - Co dalej?

- To proste. Dogoniłem was na drodze do Tours i jechałem w pewnej odległości za orszakami. Nigdy jeszcze mi się tak nie nudziło w drodze! Jak można jechać tak powoli! To mi przypomniało...

Przerwał i obrzucił Leonardę tak niepewnym spojrzeniem, że ta wybuchnęła śmiechem.

- No, dokończ to, co chciałeś powiedzieć! Przypomniało to ci tę cudowną podróż, którą odbyliśmy razem, kiedy odwoziłeś mnie do Nancy, do księcia Burgundii!

- Trochę tak. Wracając do tego przeklętego dnia, wszystko omal nie zakończyło się porażką, gdyż Wielki Prewot spóźnił się na spotkanie, które sobie wyznaczaliśmy, i musiałem na niego czekać.

- A długo zamierzałeś jechać za nami?

- Wiedzieliśmy, że to nie będzie konieczne. Krzywomordy nie lubi oddalać się od Tours, gdzie żyje we względnym spokoju, podczas gdy w wielu innych miejscach pozostawił po sobie różne niemiłe wspomnienia. Musiał zatem działać szybko.

- Czy nie prościej było - zapytała Leonarda - zatrzymać tych ludzi, zanim nas przechwycili?

- Wielki Prewot jest twardym sędzią, ale musi mieć przynajmniej ślad dowodu. Chciał złapać rozbójników na gorącym uczynku. Dodam, iż miał nadzieję, że tortury pozwolą mu dobrać się do skóry Oliwerowi le Daim, którego nienawidzi. L'Hermite marzy o tym, by móc go otwarcie o coś oskarżyć przed królem, ale nie wiem, czy to marzenie kiedykolwiek się spełni. Krzywomordy nie mógł na torturach podać żadnego nazwiska z tego prostego powodu, że nie wiedział, jak nazywa się jego klient. Został powieszony, niczego nam nie powiedziawszy. Zaś woźnicę kardynał rozkazał zabić na oczach pana Tristana.

- Jakie to wygodne! - powiedziała Fiora z ironicznym uśmiechem. - Wybrał najlepszy sposób, by uciszyć go na zawsze! Bardzo chciałabym wiedzieć, jakie wyjaśnienia złożyłby przed Wielkim Prewotem...

- Żadnego! Książe Kościoła nie zniża się do składania wyjaśnień przed kimś z policji. Możliwe jednak, że udziela ich tutaj.

I odpinając niebieski aksamitny kaftan, Mortimer wyjął zza niego list opatrzony wielką szkarłatną pieczęcią, który podał Fiorze ponad stołem.

- To dla mnie? - zapytała.

- Oczywiście. Kardynał dał go panu Tristanowi, który tego samego wieczora przyniósł go mnie. Ten liścik musi być pełen pięknych, łzawych i kwiecistych zdań... Ale wyszły one spod ręki Jego Ekscelencji.

Nie odpowiedziawszy, Fiora złamała pieczęć i rozłożyła szeleszczący duży arkusz wypełniony eleganckim, a zarazem energicznym pismem. Tekst, prawdę mówiąc, był

krótki. Wysławiając się w czystym dialekcie toskańskim, Giuliano della Rovere oświadczał, że nie miał najmniejszego pojęcia o niegodziwym podstępie, w który mimowolnie wciągnął Fiorę i jej towarzyszkę. Z drugiej strony nie skłamał, opowiadając historię mężczyzny wyciągniętego z Rodanu, o czym Fiora może się upewnić, pisząc do przeora klasztoru kartuzów i podając swoje nazwisko. On sam tylko skojarzył ten fakt z tym, czego dowiedział się w Plessis na temat hrabiego de Selongeya, o którym oczywiście wiele mówiono w otoczeniu papieża w Rzymie. A kończył, zapewniając o gotowości do

udzielenia wszelkiej możliwej pomocy młodej damie, której urok i szlachetność wysoko ceni.

- Jednak nie ośmielił się udzielić ci błogosławieństwa - sarknęła Leonarda, która wzięła kardynalską epistołę, kiedy Fiora odłożyła ją na stół.

Nikt jej jednak nie zawtórował. Mortimer łuskał migdały, spoglądając na Fiore, Fiora zaś nie patrzyła na nikogo... Ze wzrokiem zagubionym w zieleni ogrodu, którą okno obramowywało jak cenną tapiserię, zapomniała o swoim gościu, o miejscu, o czasie. W głowie miała tylko jedną myśl: historia człowieka znalezionego w trzcinach przez łowiących ryby mnichów z klasztoru kartuzów była prawdziwa i gdyby nie knowania jakiegoś chciwego cyrulika, którego widziała tylko raz w życiu, byłaby już daleko, w drodze do Prowansji...

Zatracona w marzeniach, nie zauważyła, że oczy Leonardy napęcznieły się łzami. Tylko Mortimer to dostrzegł i nakrywszy dużą dłonią chude palce starej panny, ścisnął je delikatnie bez słowa, z uśmiechem, który miał dodawać otuchy.

Szkot wyszedł wkrótce potem. Fiora zdawała się nie interesować jego obecnością, lecz kiedy na progu ukłonił się jej, uśmiechnęła się do niego tak ciepło, że rozwiąła lekkie skrepowanie, które go opanowało z powodu zachowania gospodyni.

- Czy jedziesz teraz dołączyć do króla? - zapytała.

- Nie. Za miesiąc będzie tu z powrotem. Zbliży się jesień, więc będę prowadzić w zamku spokojne, garnizonowe życie, co pozwoli mi często cię widywać. Jeśli chciałabyś polować, król nie będzie miał nic przeciwko temu...

- Polować? O nie! Odkąd zabiłam własną ręką człowieka, nie mogę ścierpieć myśli o zadawaniu śmierci.

- Co za hipokryzja! - rzekła Leonarda. - Nigdy jakoś nie odmawiałaś sobie pasztetu z zająca czy kuropatw przyrządzonych przez Petronelę! A przecież najpierw trzeba było je zabić!

- Oczywiście, ale nie ja to zrobiłam. Krew mnie przeraża. Zbyt wiele jej widziałam...

Po odjeździe Mortimera Fiora podziękowała Petroneli za tak udany posiłek i żwawo weszła na górę do swego pokoju, poprosiwszy najpierw Leonardę o przysłanie do niej Florenta.

- O tej porze? - zaprotestowała gospodyni. - Czego od niego chcesz?

- Muszę z nim porozmawiać. Bądź tak miła i poszukaj go.

Spojrząwszy podejrzliwie, Leonarda popędziła tak szybko, na ile pozwalały jej nogi. Kiedy wróciwszy wraz z młodym człowiekiem, weszła do komnaty Fiory, od razu pojęła, że nie pomyliła się co do jej zamiarów. Przy niemrawej

pomocy osłupiałej Khatoun młoda kobieta upychała trochę ubrań i przedmiotów pierwszej potrzeby do toreb podróżnych. Na stole, obok kasetki, w której przechowywała biżuterię i pieniądze, leżała dobrze wypchana sakiewka, co świadczyło o tym, jakie postanowienia podjęła Fiora.

- Byłam tego pewna! - zawołała oburzona Leonarda. - Chcesz znów wyjechać!

Fiora odwróciła się do niej i spojrzała z taką powagą, iż biedna kobieta poczuła, że nic nie wskóra i że jej „jagniątko” podjęło nieodwołalną decyzję.

- Tak. Wyjeżdżam. I tym razem konno, żeby było szybciej.

- Chcesz dogonić kardynała? Ależ to szaleństwo! Czy jeszcze nie masz dosyć zasadzek?

- Nie chcę go dogonić, tylko przegonić, tak żeby mnie nie widział. Ufam mu tylko w połowie...

- I ta właściwa połowa to historia o nieznanym mężczyźnie u kartuzów? Ale dlaczego chcesz tam jechać, skoro wystarczyłoby napisać?

- Opat może niewątpliwie potwierdzić opowieść kardynała, ale nie może opisać mi tego mężczyzny, który stracił pamięć. Muszę sama tam pojechać, rozumiesz? Florent będzie mi towarzyszyć, jeśli się zgodzi...

- Jeśli się zgodzę? - zawołał młodzieniec, którego twarz rozjaśniła się jak słońce przebijające chmury. - Wydaj rozkazy, donno Fioro! Wszystko będzie gotowe o świcie...

- Są proste: dwa mocne konie zdolne pokonywać długie odcinki drogi.

- Nie chcesz muła do wiezienia bagaży?

- Nie. Nie powinniśmy brać dużo rzeczy, a ja zamierzam włożyć męskie ubranie. Teraz idź spać. Wyruszamy o wschodzie słońca.

Fiora nie śmiała spojrzeć na Leonardę. Jako że ta nic nie mówiła, młoda kobieta myślała, że przyjdzie jej stawić czoła rozpacz i łzom, lecz kiedy wreszcie poszukała jej wzrokiem, by jakoś pocieszyć, Leonarda, bynajmniej niezapłakana, rzuciła jej pełne furii spojrzenie i opuściła pokój, trzaskając drzwiami. Kolejne trzaśnięcie zasygnalizowało, że wróciła do siebie. Khatoun chciała pobiec za nią, by spróbować ją uspokoić, ale Fiora ją powstrzymała:

- Pozwól jej się pozłościć, a nawet popłakać. Jutro będzie miała lepszy humor, a poza tym jestem zbyt zmęczona, żeby spędzić noc na dyskusjach. Skończmy to pakowanie i kładźmy się spać!

I tak się stało, lecz kiedy w niewyraźnym świetle wczesnego poranka Fiora, ubrana w strój pазia przywieziony z Nancy, otworzyła drzwi kuchni, by zjeść śniadanie, od razu rzuciła jej się w oczy para długich nóg wyciągniętych między murkiem paleniska a przylegającą do stołu ławą. Powyżej nóg

znajdowała się skórzana tunika, a powyżej tuniki niezadowolona twarz Douglasa Mortimera. Leonarda, stojąc w odległości kilku kroków z założonymi na piersiach ramionami, obserwowała wrażenie, jakie wywołała. Florent z nosem w misce milczał jak trusia, ale jego oczy mówiły, że chętnie zamordowałby Szkota. Jednakże pierwsze słowa Fiory skierowane były do Leonardy:

- Powinam była się tego spodziewać. Musiałś go tu sprowadzić?

- Rzecz jasna! Chyba nie sądziłaś, że pozwolę ci wyprawić się w tak daleką drogę z tym dzieciakiem jako jedyną ochroną?

- Nie jestem dzieciakiem! - zaprotestował wściekły Florent. - Jestem całkowicie zdolny do obronienia donny Fiory w każdych okolicznościach...

- Jestem o tym przekonana, Florencie - powiedziała młoda kobieta. - Dlatego też, drogi Douglasie, nie powiadomiłam cię o tym zamiarze, kiedy przyszedł mi do głowy. Leonarda nie miał racji, informując cię o nim, niepotrzebnie cię fatygowała. Chcę wyjechać i nie uda ci się mi w tym przeszkodzić.

Mortimer wstał, prostując wysoką sylwetkę, która zdawała się sięgać belek stropowych ozdobionych szynkami, warkoczami cebuli i pęczkami suszonych ziół.

- Kto tu mówi o powstrzymaniu cię? - burknął. - Jesteś uparta jak oślica, wiem o tym od dawna. Po prostu postanowiłem jechać z wami...

- To niemożliwe! Dobrze wiesz, że nie możesz wyjechać bez pozwolenia króla. Dlatego nic ci nie mówiłam wczoraj.

Szkot pochylił się, by spojrzeć młodej kobiecie w twarz, a jego przymknięte powieki pozwalały dojrzeć tylko wąski fragment oczu, których spojrzenie bynajmniej nie było uspokajające.

- Dziękuję za troskę, dobra kobieto, ale o jednym zapominasz: że stwierdziwszy, iż zamierzasz czmychnąć cichcem ze swoim kardynałem, byłem zdecydowany jechać za tobą, nawet jeśli trzeba by było wrócić do Rzymu...

- Do Rzymu? Nigdy nie było o tym mowy, a...

- ...a zechcesz mi powiedzieć, kto mógłby przeszkodzić delia Rovere, by wysłał cię pod eskortą z powrotem do swego kochanego wuja? Czy zapomniałaś o zamku Świętego Michała?

- Teraz jest inaczej...

- Jasne, że jest inaczej! Teraz Rzym jest w stanie wojny z Florencją. Zdecydowanie gustujesz w byciu zakładniczką... Nie warto dłużej dyskutować, bo Bóg wie, kiedy wyruszymy. Przegryź coś i w drogę!

- Ja jestem gotowy! - zawołał Florent, zrywając się na równe nogi i posyłając Szkotowi wyzywające spojrzenie. Ten westchnął demonstracyjnie i

przycisnąwszy ramię chłopaka palcem wskazującym, bez problemu posadził go z powrotem na ławie.

- Ty zostajesz tutaj!

- Nie ma mowy! - zaprotestowała Fiora. - Wczoraj wieczorem poprosiłam go, by mi towarzyszył.

- No to teraz go poproś, żeby został w domu - powiedział Mortimer, nie tracąc kontenansu. - Zdaje mi się, że zamierzasz jechać szybko?

- Oczywiście, ale...

- Ale mam wrażenie, że ten chłopiec nie wygląda na urodzonego w siodle. Jak długo wytrzymasz w pełnym galopie, chłopcze?

- Przez jakiś czas na pewno. Kiedy przyjechałem z Paryża, dałem radę...

- Odległość do Paryża to sześćdziesiąt mil. My musimy pokonać prawie dwieście. Wiem, że donna Fiora może wytrzymać tempo, które jej narzucę. Ciebie jestem mniej pewien, a jeśli trzeba będzie cztery razy dziennie wsadzać cię na konia albo zostawić wykończonego w jakiejś oberży, to nie będzie z ciebie wielkiego pożytku...

- Rozumiem! - powiedział Florent gniewnie. - Chcesz ją zabić?

- Nie, ale jeśli chce jechać szybko, to będzie jechać szybko. Poza tym ja będę jej bardziej użyteczny, wierz mi, bo nikt lepiej ode mnie nie zna dróg Francji. No i w dodatku jestem sierżantem gwardii szkockiej...

- To się okaże!

- Tak. Ale jest coś, o czym pewnie nie wiesz. Wprawdzie Awinion należy do papieża, ale Villeneuve-Saint-Andre, położone dokładnie po drugiej stronie mostu, jest własnością króla Francji od czasów Filipa Pięknego. Gdyby legat Awinionu szukał zaczepki, mogę wezwać na pomoc oddział z fortu.

Wściekły i załamany Florent rzucił się w kierunku drzwi, by przemierzając pola, przetrwać swoją rozpacz, ale Mortimer zatrzymał go i podprowadził w pobliże oczekujących, już osiodłanych koni.

- Posłuchaj! Musisz tu zostać! Oliwer le Daim ma taką chrapkę na ten dom, że może zagrozić dziecku. Potrzebny jest ktoś, kto będzie nad nim czuwał...

- Jest Stefan! Ma dwie ręce!

- Tak, ale na pewno nie biega tak szybko, jak ty. W przypadku podejrzanego poruszenia potrzebny będzie ktoś, kto popędzi do Plessis. Zgłosisz się do Archiego Ayrle! Wie, kim jesteś, możesz zaraz pójść go poznać. Bez wahania udzieli ci wsparcia. Zresztą dwóch ludzi będzie ukradkiem nadzorować dom...

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym przed chwilą?

- Przy donnie Fiorze? Żeby ją przerazić? Może nic się nie wydarzy, ale będę spokojniejszy. Zrozumiałeś?

Florent kiwnął głową potakująco i wziął konia za uzdę, by zaprowadzić go do stajni. Mortimer znów go zatrzymał:

- Wsiądź na niego i pojedź zobaczyć się z Archiem. Żeby uprzyjemnić ci wolny czas, nauczy cię dosiadać konia... jak Szkot. Ja nie zawsze tu będę, a uwzględniając to, jaka jest Fiora, może się to kiedyś okazać użyteczne!

Tym razem Florent się roześmiał i wskoczywszy na konia, ruszył truchtem drogą do królewskiego zamku. Kiedy Mortimer wsparłszy się pod boki, patrzył, jak się oddala, podeszła do niego Fiora.

- Dokąd pojechał? - zapytała.

- Nauczyć się jeździć konno! Dobrze mu to zrobi. Popatrz tylko! Istny worek mąki!

Wbrew temu, co Mortimer powiedział Florentowi, Fiora nigdy nie podróżowała w podobnym tempie na tak długim dystansie i niejednokrotnie musiała zaciskać zęby, żeby się nie poddać i nie prosić o zmiłowanie. Kiedy Mortimer dostrzegł na twarzy młodej kobiety oznaki zmęczenia, stosował własny sposób na dodanie jej sił.

- Skoro koń, który cię dźwiga, daje radę, to i ty możesz dać radę! - oświadczał, a Fiora, zapominając o bolącym siedzeniu, otartych udach i łupaniu w krzyżu, potakiwała głową i kontynuowała piekielną jazdę, która, nawiasem mówiąc, zupełnie nie męczyła Szkota.

Ten człowiek zdawał się zrobiony ze stali, a przede wszystkim jak nikt znał szlaki, drogi i ścieżki Francji. Dzięki tej wiedzy podróżnicy nie musieli ukrywać się przed kardynałem delia Rovere: podczas gdy ten wraz ze swym długim orszakiem jechał przez Chateauroux, La Chatre, Montlucon i Varennes, by w wolnym tempie dotrzeć do Roanne i Lyonu, dwoje jeźdźców przez Vierzon, Bourges i Moulins dotarło do Varennes i Roanne z komfortową przewagą nad kardynałem. Dni były ciężkie - pokonywali ponad piętnaście mil między wschodem słońca a zmierzchem. W czasie popasu powtarzał się ten sam rytuał: Fiora, wyczerpana, wlokła się do wynajętego w oberży pokoju, oplukiwała się nad miską i padała na łóżko, czekając na przyniesienie jedzenia, a Douglas zaczynał od oporządzenia koni: czyścił je zgrzebłem, wycierał, nacierał winem ich zmęczone nogi, a potem podawał im podwójną porcję owsa, którego jakoś dokładnie sprawdzał, a dopiero później zajmował się sobą. Osobiście wybrał ze stajni królewskiej wierzchowca dla Fiory, a jego własny był godny najwyższych pochwał. Ludwik XI bowiem miał bardzo wysokie wymagania i podczas gdy nie bardzo przejmował się własnym wyglądem, kupował zawsze tylko zwierzęta najwyższej jakości, które musiały kosztować go fortunę. Zależało mu na nich i Mortimer wiedział, że król wybaczy mu

wszystko, nawet spóźnienie bliskie dezercji, byle tylko przyprowadził jego konie w dobrym stanie. Zresztą on sam zbyt je kochał, by mogło być inaczej.

Podczas jedenastu dni podróży on i jego towarzyska nie zamienili nawet stu słów. Każdego ranka Mortimer upewniał się, czy Fiora dobrze spała, pilnował, by jadła, a jeśli pytał o samopoczucie, to tylko kurtuazyjnie: sposób, w jaki wbijał w nią badawcze spojrzenie, dziwnie przypominał to, jak badał konie, i młoda kobieta zawsze miała wrażenie, że za chwilę każe jej otworzyć usta, żeby sprawdzić, czy ma przepisową liczbę zębów. Poza tym zapowiadał nazwy miejscowości, przez które przejeżdżali.

Przez pierwsze cztery dni Fiora przeżywała męczarnie, ale udało jej się na tyle uodpornić i zmęzić, że koniec podróży nie tylko był mniej przykry, lecz nawet niemal przyjemny. Temu szaleńczemu galopowi wśród złocistych, zrudziałych i czerwonych krajobrazów wczesnej jesieni, pod spokojnym niebem, którego delikatny błękit utracił spłowiały odcień letnich upałów, nie brak było uroku. Nie padało i na drogach nie było błota, a pod końskimi kopytami ziemia wydawała matowy, niemal muzyczny odgłos. Kiedy dotarli do krainy drzew oliwnych i cyprysów, kiedy przestrzeń wypełniło cykanie świerszczy, opanowała ją prawdziwa radość, a uśmiech, którym obdarzyła Mortimera, promieniał całą nadzieją, jaką pokładała w tej brązowo-żółtej krainie, gdzie niepodzielnie panowało słońce.

Jedenaście dni od wyjazdu z Domu w Barwinkach, po przejechaniu około stu siedemdziesięciu mil, dwójka jeźdźców zobaczyła na dwóch brzegach szerokiej rzeki, płonącej czerwienią zachodzącego słońca, dwa miasta: jedno wspaniałe, z dominującym nad nim ogromnym pałacem z dzwonnicykami i rzymską kampanilą kościoła; drugie, niemal równie piękne, lecz o znacznie groźniejszym wyglądzie, z wysokim donżonem i murami obronnymi otaczającymi podgrodzie oraz koroną blankowanych murów okalających miasteczko i opactwo. Oba brzegi łączył długi most wzniesiony pomiędzy zameczkiem od strony Awinionu i ciężkim donżonem, wieżą Filipa Pięknego, usytuowanym na gołej skale. Most ten, górujący nad płaskimi, zarośniętymi wyspami, czasy świetności musiał mieć za sobą. Od strony papieskiego miasta miał piękne kamienne przęsła o zaokrąglonych łukach podtrzymujące małą kapliczkę, część środkowa zaś zbudowana była z masywnych krawędziaków, które usiłowały stawić opór wartkiemu prądowi. Od strony Villeneuve zostały tylko dwa przęsła i Fiora pomyślała, że na przestrzeni wieków stosunki między papieżami i królami Francji, władcami Villeneuve, na pewno nie były wzorowe. Budynki i most, mury i dzwonnice, zbudowane z jasnego kamienia, odbijały najróżniejsze barwy słońca, od świtu do zmierzchu. Gdziekolwiek

spojrzeć, pejzaż znaczyły cisy, czarni wojownicy na tle głębokiego błękitu nieba, a w obu miastach kępy drzew morwowych i oliwnych oraz starych platanów wskazywały, gdzie znajdują się place i ogrody.

- Jak tu pięknie! - westchnęła Fiora, która zatrzymała konia, by móc podziwiać widok.

- Tak, ale teraz zapomnij o zachwytach, inaczej zastaniemy zamknięte bramy. Ruszajmy, zostało nam nie więcej niż ćwierć mili...

* * *

W miarę jak zbliżali się do celu, serce Fiory napępniało się radością. Nie mogła sobie wyobrazić, by tak piękna kraina nie została stworzona po to tylko, by wieść w niej szczęśliwe życie. Za miastem Orange, którego władcy, hrabiowie de Chalon, postanowili zwrócić się ku Francji po śmierci Zuchwałego, Douglas Mortimer wybrał prawy brzeg Rodanu, by uniknąć wejścia do samego Awinionu. Mimo wyczerpania Fiora zapomniała o cierpieniach i z zachwytem chłonęła otaczające ją widoki, jakby wkroczyła w inny świat. Tutaj trwało jeszcze lato i kwitły odcinające się od martwego tła skał krzewy lawendy o pięknym niebieskofioletowym kolorze oraz kępi rozmarynu i szaławii, które wypełniały swą wonią wieczorne powietrze. Jakaś wieśniaczka o opalonych ramionach niosąca koszyk wypełniony figami minęła jeźdźców, pozdrawiając ich wesoło w miejscowym dialekcie. Zatrzymała się, by poczekać na inną, która niosła na głowie kosz jasnych winogron brzęczący od pszczoł, którymi zdawała się niespecjalnie przejmować. Nieco dalej ujrzeli bladą plamę lasku niebieskich cedrów, zasłony cyprysów chroniące winnice, szpalery suchych trzcin szeleszczących w wieczornej bryzie jak zgniatany papier. Jako że zbliżali się do celu, Mortimer pozwolił koniom iść spokojnym truchtem, być może po to, by móc podziwiać białe zęby i opalone dekolty grupy praczek wracających znad Rodanu...

- Od dawna tu nie byłem - westchnął nagle rzewnie. - To naprawdę piękna kraina! Idealne miejsce, żeby dojść do siebie po ciężkich przejściach, więc jeśli twemu małżonkowi naprawdę udało się tu dotrzeć...

- Jeśli to rzeczywiście on, nie zrobił tego świadomie. Powiedziano mi, że leżał nieprzytomny w łodzi, w której znaleźli go mnisi. Jednak droga z Lyonu jest bardzo długa, a prąd rzeki szybki.

Rodan, częściowo wysuszony przez lato, odsłonił liczne piaszczyste łachy, jednak w środkowej części nurt pozostawał bystry, niósł duże ilości mułu i płynięcie tamtędy musiało być trudne.

- Teraz, kiedy docieramy do celu, to nie jest właściwy moment, żeby się zniechęcać. Za wieżami strzegącymi

bramy możesz już zobaczyć kościół i budynki klasztoru kartuzów.

Pół godziny później podróżni, trzymając konie za uzdy, wspinali się wąską uliczką obsadzoną drzewami morwowymi prowadzącą od bramy do zabudowań klasztornych. Składały się na nie kuźnie, stodoły, wozownie, stajnie, kurnik i ogród warzywny, wszystko to otoczone murami, lecz umieszczone poza klauzurą, co umożliwiało dostęp podróżnym i pielgrzymom. Właśnie odpoczywała tam nieduża grupa wędrowców bożych, siedząc w kręgu pod drzewem, a brat służebnik rozdawał im chleb i wodę. Tak wyglądało pierwsze powitanie. Nieco później, po nabożeństwie, mieli zostać zaprowadzeni do dużej sali gościnnej, gdzie będą mogli spędzić noc.

Kartuzja Notre-Dame du Val-de-Benediction, założona w 1356 roku przez papieża Innocentego VI wkrótce po jego wybraniu na Tron Piotrowy, podlegająca surowej regule świętego Benedykta, obejmowała rozmieszczone u stóp wzgórza Andaon i wieńczących je fortyfikacji różnorodne zabudowania gospodarcze, klasztorne, kaplice i pomieszczenia mieszkalne konieczne dla ponad stu trzydziestu osób; nie można też zapomnieć o czterdziestu ogródkach, które każdy z mnichów musiał uprawiać. Obszerna biblioteka, dormitoria, refektarze, piwnice, piekarnia, warsztaty, młyny, magazyny z drewnem, szpital, a nawet więzienie, które otaczały wysoki gotycki kościół mieszczący grobowiec papieża fundatora, składały się na największą kartuzję w całym królestwie francuskim.

Zaraz po przybyciu Mortimer poprosił o gościnę dla swego młodego towarzysza i dla siebie. Podał się za oficera w służbie króla i poinformował, że chciałby porozmawiać z przeorem, który to przywilej nie zostałby mu przyznany, w każdym razie nie w krótkim czasie, gdyby nie należał j do otoczenia władcy. Fiorze, nieco skrepowanej z powodu j ukrywania się za kłamstwem, Mortimer wyjaśnił, że to uprości sprawy, uchroni ją od zakwaterowania z przypadkowymi osobami i pozwoli jej na łatwiejsze przekroczenie klauzury, co było konieczne, jeśli ocalony mężczyzna znajdował się we właściwych budynkach klasztornych.

- Zamiast być panią de Selongey, będziesz bratem pana Filipa... powiedzmy... kawalerem Antonim?

- Masz bujną wyobraźnię, ale czy nie popełniamy poważnego przewinienia? Gdyby król się dowiedział...

- Biorąc pod uwagę jego dewocję, pewnie by tego nie zniósł, ale niby jak miałyby się twoim zdaniem dowiedzieć o krótkiej wizycie dwóch podróżnych w klasztorze kartuzów leżącym na drugim końcu królestwa?

- A jeśli to naprawdę Filip? Jeśli mnie rozpozna?

- Pozostanie nam tylko wypowiadać się i pokornie poprosić o rozgrzeszenie. Ryzykujemy jedynie to, że w ramach pokuty zostanie nam wyznaczona pielgrzymka do Composteli...

Mimo ogromnego zmęczenia Fiora na szczęście umieszczona w pojedynczym pokoiku w budynku dla gości - nie było ich wielu - nie mogła zasnąć. Wprawdzie panował głęboki spokój, a noc widoczna za wąskim oknem wyglądała jak kurtyna z ciemnoniebieskiego aksamitu ze srebrnymi punkcikami, ale niespokojny umysł Fiory nie pozwalał jej na odprężenie. Leżała tak przez wiele godzin, nasłuchując i analizując najdrobniejsze szmery dobiegające z zewnątrz i z samej kartuzji, odliczając godziny na podstawie odległych odgłosów nocnych nabożeństw. Myśl, że może Filip jest tutaj, kilka kroków od niej, w jednym z wielu pograżonych w ciszy budynków, doprowadzała ją do szaleństwa i zdawało jej się, że ta noc nigdy się nie skończy... Poza tym w pokoju było bardzo gorąco. Budynek znajdował się obok kuchni i piekarni, których paleniska, nawet przygasłe, ogrzewały grube mury i Fiora żałowała, że zgodziła się spędzić noc w klasztorze. Znacznie lepiej byłoby spać pod gołym niebem, pod osłoną drzewa czy skały, niż w tej dusznej klitce, ale miała nadzieję, że przeor przyjmie ich tego samego wieczora...

Kiedy Mortimer przyszedł ją obudzić, dopiero co zapadła wreszcie w ciężki sen, a on widząc jej opuchnięte powieki i blade z niewyspania policzki, okazał wielkie niezadowolenie.

- Przecież to nie moja wina, że nie mogłam spać! - odpowiedziała, okazując zły humor.

- Toteż nie do ciebie mam pretensję, lecz do siebie. Powiniennem był cię zostawić w jakiejś oberży, a jest tu jedna, bardzo przyjemna, a potem przyjechać sam. Powiem, żeby przyniesiono ci wodę, byś mogła się umyć, a później spotkamy się w refektarzu, gdzie coś zjesz. Masz sporo czasu! Czcigodny opat przyjmie nas dopiero po mszy.

Godzinę później Fiora, umyta i uczesana tak, by nawet jeden włos nie wystawał spod czapki, szła wraz ze Szkotem za bratem służebnym mającym zaprowadzić ich do mieszkania przeora, którego okna wychodziły na placyk przed kościołem. Idąc, nie mogła się powstrzymać od rozglądania wokół. Śledziła wzrokiem każdą zauważoną postać, ale żadna nie była podobna do tej, której wypatrywała.

Przyklękając przed najwyższym dostojnikiem kartuzji, znów poczuła to samo nieprzyjemne wrażenie, które miała, kiedy Mortimer postanowił, że zachowa swoje przebranie. Przeor nie był mężczyzną o szczególnie dostojnym wyglądzie, ale w szacie z grubej, białej wełny przepasanej sznurem, z

dokładnie wygoloną tonsurą i siwymi włosami tworzącymi wąską koronę przywodzącą na myśl aureolę, szczupłą, śniadą twarzą, robiącą wrażenie wyrzeźbionej w starym drzewie oliwnym, przypominał któregoś z tych świętych czy proroków, których posągi wypełniały kościoły i kaplice. A przenikliwe spojrzenie błękitnych, ocienionych brwiami oczu, które zdawało się ją przewiercać na wylot, do reszty pozbawiło młodą kobietę kontenansu.

Niezdolna do wykrztuszenia choćby słowa, usiadła na wskazanym jej taborecie i pozwoliła, by Mortimer wytłumaczył, co ich sprowadza. Kiedy skończył, przeor pozwolił, by cisza wypełniła niewielkie, ascetycznie urządzone pomieszczenie, w którym ich przyjmował, a jego niebieskie oczy ponownie spoczęły na Fiorze, która nie mogła powstrzymać rumieńca. Gardło ścisnęła jej obawa, a do oczu napłynęły łzy, gdyż w formie opowiedzianej przez Szkota cała ta historia uratowania mężczyzny, który utracił pamięć, wydała jej się teraz absurdalna.

- To pewnie jakaś... legenda - powiedziała zachrypniętym głosem, pasującym do jej wyglądu - taka historyjka, jaką ludzie lubią przekazywać z ust do ust?

- Czy tak małe masz zaufanie do słów kardynała delia Rovere, mój synu? Powiedział szczerą prawdę...

- Prawdę?

- Ależ tak. W ubiegłym roku, w Wigilię Bożego Narodzenia, nasi bracia rzeczywiście przywieźli tu człowieka znalezionego w łodzi uwięzłej w trzcinach. Ten mężczyzna, trawiony gorączką, zdawał się bliski śmierci... Udało nam się po wielu staraniach przywrócić go do życia, jednak kiedy odzyskał przytomność, stwierdziliśmy, że jego umysł nie przechował nic z przeszłości... To, co przeżył, musiało przekroczyć granice jego wytrzymałości...

- Wybacz, wielobny ojcze - powiedział Mortimer z szacunkiem - czy stracił mowę?

- Nie, mówił, ale bardzo mało. Wymawiał co najwyżej kilka słów, a kiedy zadawaliśmy mu pytania, nie umiał odpowiedzieć. ..

- Czy... czy moglibyśmy go zobaczyć? - poprosiła nieśmiało Fiora, niezdolna do dłuższego czekania. Niebieskie oczy znów zwróciły się ku niej i miała wrażenie, że widzi w nich jakby współczucie.

- Nie. To niemożliwe.

- Czy on... umarł?

- Nie. Wyjechał.

- Wyjechał? Ale kiedy? Jak?

Dłoń Mortimera spoczęła na jej ramieniu i ścisnęła je, aby skłonić młodą kobietę do większej ostrożności, ale głos przeora, głęboki i łagodny, nie świadczył o najmniejszym zniecierpliwieniu wobec tego braku dobrych manier.

- W maju tego roku, w okresie dni błagalnych*, tradycyjne wielkie, publiczne modły ściągnęły do miasta więcej wiernych niż zwykle.

* Dni błagalne przypadają na trzy dni przed uroczystością Wniebowstąpienia.

Na początku wiosny rzeka zalała część Villeneuve oraz okoliczne pola, więc bardziej żarliwie niż zazwyczaj proszono Boga o ochronę nadchodzących zbiorów. Jednocześnie wielu zmierzających do Galicji pielgrzymów przekroczyło most Saint-Benezet i dom gościnny naszego klasztoru, podobnie jak ten należący do naszych braci benedyktynów z Saint-Andre, w fortecy, był przepelniony. To było jak wielka fala, a kiedy ta fala się cofnęła, ten, którego wobec nieznamości jego prawdziwego imienia nazywaliśmy bratem Innocentym, zniknął wraz z nią... Nie wiemy, co się z nim stało.

- Wyjechał!

Na twarzy Fiory malował się taki ból, że przeor, pochyliwszy się ku niej, dotknął palcami jej dłoni.

- Nie pozwól, by opanował cię smutek! Przecież nawet nic nie wskazuje na to, że ten nieszczęśnik jest tym, którego szukasz?

- Czy mógłbyś, wielbny ojcze, go opisać? - zapytał Mortimer, by przyjść z pomocą przyjaciółce.

- Nie przywiązujemy dużej wagi do wyglądu zewnętrznego, mój synu. Cóż mogę ci powiedzieć? Był wysoki, ciemnowłosey, mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Pomyśleliśmy, że musiał być żołnierzem, gdyż, jak mi mówiono, na jego ciele widniały liczne blizny. Ale mogę posłać po brata infirmiarza. Może on powie wam więcej?

Podobnie jak innych braci służebnych, infirmiarza nie obowiązywały śluby milczenia, których musieli przestrzegać kartuzi, a on sam byłby zdolny mówić tyle, ile cały klasztor razem wzięty. Ponadto, jak się zdaje, powziął do nieznanego pewną sympatię. Gdyby nie powstrzymywała go pełna respektu obawa, którą budził w nim przeor, bez końca snułby o „bracie Innocentym” opowieści, którym jego śpiewny akcent nadawał nieoczekiwany smaczek, lecz które nieco zamazywały obraz nieznanego. Według niego był to dobry chłopak, któremu zarzucał przede wszystkim milkliwość, ale nie umiał nawet powiedzieć, jakiego koloru miał on oczy.

- Miał je cały czas półprzymknięte - wyjaśnił. - Myślę, że poparzyło je słońce, kiedy leżał w łodzi, gdyż były zupełnie czerwone, jak go znaleziono. Co

jeszcze mogę wam powiedzieć? Mówił jak wszyscy, a kiedy miał wysoką gorączkę mamrotał rzeczy, z których niewiele mogłem zrozumieć...

- Jego wielebność powiedział, że miał ślady dawnych ran - rzekł Szkot.

- Blizny? O tak, owszem! Miał je wszędzie! Nigdy tylu nie widziałem! Tyle ich było, że nawet nie umiem powiedzieć, w których miejscach je miał.

Obudzona na chwilę w sercu Fiory nadzieja znów osłabła. To prawda, że Filip był wiele razy ranny w różnych walkach, ale nie do tego stopnia, by jego ciało było całe pokryte bliznami, jak twierdził ten dobry człowiek. Ośmielony milczeniem przeora, mnich kontynuował swoją opowieść, której treść do reszty przygnębiła młodą kobietę: mężczyzna był bardzo pobożny, raczej nieśmiały, bardzo dobrze znał się na pracach polowych. Był także...

- Wystarczy, bracie! - uciał przełożony. - Wydaje mi się, że twoje opowieści nie bardzo interesują naszych gości. Takie zachowanie zupełnie nie pasuje do tego, czego szukacie, prawda?

- Tak - przyznała Fiora, której nagle przyszła do głowy myśl godna córki Florencji, gdzie przy każdym, najmniejszym nawet wydarzeniu obecny był jakiś malarz czy rzeźbiarz robiący szkic węglem. - Czy nie ma tu jakiegoś mnicha umiającego naszkicować, oczywiście z pamięci, portret tego mężczyzny?

- Bracia służebni nie posiadają takich zdolności. Może brat iluminator potrafiłby narysować portret, ale on nigdy nie widział naszego gościa, który nie mógł wejść na teren klauzury.

Fiorze i Mortimerowi pozostało więc tylko podziękować zakonnikom i się pożegnać. Młoda kobieta z trudem powstrzymywała łzy; wiązała ogromne nadzieje z przypadkiem mężczyzny z łódki. A przecież to nieprawdopodobne, by tak groźna rzeka jak Rodan mogła nieść łódź na tak długim dystansie, nie wywracając jej!

Mieli przekroczyć próg, kiedy braciszek infirmiarz, który robił wrażenie bardzo nieszczęśliwego, podniósł nieśmiało palec, by poprosić o pozwolenie na dorzucenie czegoś jeszcze.

- Co znowu? - spytał przeor z lekkim zniecierpliwieniem. - Zdaje mi się, że już wystarczająco dużo mówiłeś, bracie.

Upomniany mnich mocno poczerwieniał i spuściwszy głowę, skierował się do drzwi.

- No powiedz, bracie! - rzekł Mortimer ze współczuciem. - Skoro masz przyzwolenie...

- Och! Zdziwiłbym się, gdyby to was zainteresowało, ale... Ten człowiek musiał lubić kwiaty, chociaż nie chciał się do tego przyznać.

- A to dlaczego? Nie ma nic wstydliwego w lubieniu kwiatów?

- Ja też tak myślałem, ale kiedy wyzdrowiał... no, prawie... powiedział mi, że kwiaty z niczym mu się nie kojarzą. A jednak, kiedy miał największą gorączkę, powtarzał wciąż to samo słowo, a brzmiało ono jak fleur*, oczywiście niewyraźnie wymówione i z tym jego dziwnym akcentem. To było coś w rodzaju fiure... fiore...

Mortimer schwytał infirmiarza za ramiona:

- Fiora?

* Fleur - fr. kwiat (przypis tłum.).

Zapadła krótka cisza, gdyż każdy z obecnych instynktownie wstrzymał oddech. Nagle braciszek uśmiechnął się. - Tak... tak, sądzę, że tak to brzmiało! Teraz, jak tak mówisz, myślę, że to było fiora. Co to znaczy? To nazwa jakiegoś kwiatu, tak?

- To przede wszystkim imię jego żony. Dzięki, bracie! Oddałeś nam ogromną przysługę i jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Fiora nie była w stanie wymówić nawet słowa. Powalona przez zmęczenie i emocje szlochała rozpaczliwie z głową ukrytą w ramionach, zapominając o tym, co ją otacza. Dopiero, kiedy poczuła na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, uniosła zniekształconą przez łzy twarz i napotkała spojrzenie niebieskich oczu, które zrobiło na niej takie wrażenie. Tym razem było pełne współczucia.

- Bóg już zatroszczył się o niego. I nadal będzie nad nim czuwać, jestem tego pewien. Nie płacz już, córko!

- Wiedziałaś?

- Powiedzmy, że odgadłem w chwili, gdy przyklękał przede mną. Dodam, że wybaczam ci tę... maskaradę. Była podyktowana pragnieniem, by jak najszybciej dowiedzieć się czegoś więcej o ocalonym mężczyźnie. Ale, oczywiście, musisz natychmiast opuścić klasztor, zanim ktoś inny odkryje twoją mistyfikację. Mam nadzieję, że wkrótce odnajdziesz hrabiego de Selongeya.

- Dziękuję! Och, dziękuję!

Opadłszy na podłogę, pochwyciła dłoń mnicha, by ją ucałować, ale zdołała ją zaledwie musnąć, gdyż ten delikatnie ją oswobodził.

- Idź już i niech Bóg ma cię w swojej opiece! Będę Go prosić o błogosławieństwo dla twoich poszukiwań, jak ja błogosławię cię...

Gest, który wykonał, sprawił, że Mortimer ukląkł obok Fiory. Potem przeor zaklaskał w dłonie, aby przywołać brata służebnego, by odprowadził gości z powrotem do ich pokojów. Przed wyjściem Fiora zapytała:

- Chciałabym złożyć jałmużnę dla tego klasztoru w podziękowaniu za okazaną troskliwość. Czy wasza wielbność przyjąłby...

- Dziękuję za tę inicjatywę, ale przekaz raczej datek na naszą infirmerię, by ulżyć w cierpieniach biednym chorym.

Chwilę później Mortimer i Fiora opuścili kartuzję i znaleźli się na głównej ulicy przecinającej miasto na całej długości.

- Co teraz robimy? - zapytał Szkot. - Pewnie nie chcesz od razu wyjeżdżać?

- Nie. Potrzebuję trochę odpoczynku... a poza tym myślę, że musimy porozmawiać, spróbować wyobrazić sobie, co Filip mógł zrobić, opuszczając to miasto...

- Nie ma nic lepszego dla odpoczynku ciała i jasności umysłu, niż dobra oberża. Jedź za mną!

Rozdział siódmy

Trudna sytuacja

Villeneuve-Saint-Andre nie było miastem jak inne i Fiora mogła się o tym przekonać, jadąc krok w krok za Mortimerem długą ulicą, którą poprzedniego dnia widziała tylko z daleka, bowiem kartuzja znajdowała się tuż przy murach obronnych. Po obu jej stronach usytuowane były wspaniałe, otoczone ogrodami pałace, niektóre w doskonałym stanie, inne popadające w ruinę.

- To siedziby dawnych kardynałów z dworu papieskiego, który rezydował w Awinionie aż do początku naszego wieku - wyjaśnił Mortimer. - To jakby ich wiejskie rezydencje.

Niektóre z tych siedzib były tak surowe, jak pałace w Rzymie, ale jednak miały w sobie to małe „coś”. Wystarczała kolumnienka dzieląca okno, kolorowe witraże, krzak pnącej róży z samozaparciem opatrujący rany oblażącej fasady, krzew mirtu, bujna winorośl lub pachnąca akacja, by całość nabierała radosnego uroku. Z ogrodów, utrzymanych mniej lub bardziej starannie, wylaniały się drzewka pomarańczowe i cytrynowe, a wielkie kamienne herby wznoszące się nad każdą bramą zachowały ślady zdobiących je niegdyś farb i złocien. Wszystko to zwieńczały tarasy przystrojone girlandami jaśminu i bladego bluszczu lub dachy pokryte okrągłymi różowymi dachówkami, odcinające się swą delikatną barwą od oślepiającego błękitu nieba.

Był to dzień targowy. Na placu ocienionym przez platany, których szerokie liście o mieniącej się zielonej barwie dawały wrażenie świeżości, wieśniaczki w lekkich czepkach, wyprostowane i dumne jak greckie posągi, siedziały pośród płaskich koszy z gdaczącym drobiem i kobiałek, które oprócz dużych, soczystych oliwek wypełnione były po brzegi wszystkimi bogactwami pól i ogrodów. Pod drzewami uwolnione z juków osiołki cierpliwie czekały na porę powrotu do zagrody. Ludzie wesoło przerzucali się żarcikami, a z daleka dobiegała piosenka śpiewana przy dźwięku fletu...

Poczuwszy nagle wilczy głód, Fiora kupiła kozi ser, podany jej na dużym liściu winorośli, i piękną kiść złocistych winogron, którymi szczerze podzieliła się z Mortimerem.

- Boisz się, że nie dostaniesz nic do jedzenia w oberży? - zapytał ze śmiechem. - Jeśli kuchnia jest taka, jak wtedy, gdy byłem tu ostatnio, to naprawdę nie będziesz miała powodów do narzekania...

- Nie wiem dlaczego, ale umieram z głodu. A właściwie to co ty jako Szkot tu robiłeś?

- Och, nic szczególnego - powiedział Mortimer wymijająco. - To była taka mała misja zlecona przez króla. Byłem tu miesiąc i nie był to najmniej przyjemny miesiąc mojego życia.

Fiora nie starała się dowiedzieć więcej. Nagle, dzięki magii tej prowansalskiej ziemi, która pod wieloma względami przypominała jej okolice Florencji, wyczerpująca pogoń za cieniem nabrała charakteru podróży dla przyjemności i odkrywania nowych miejsc, kiedy to zapomina się o upływie czasu, by nasycić zmysły. Pełne znoju godziny przestały mieć znaczenie wobec tej pewności: Filip żyje. Fiora mogła pozwolić sobie w tej sytuacji na złapanie oddechu...

Oberża „Wielki Przeor”, znajdująca się tuż obok kolegiaty Matki Boskiej, której czworokątna wieża i dzwonnice zdawały się chronić miasteczko jak kura kurczęta, wychodziła na plac kapituły, a jej chłodne izby pachniały werbeną i przyprawami korzennymi. Leżący na jej tyłach ogród porośnięty oleandrami, drzewkami pomarańczowymi, mirtem, cyprysami, różami, jaśminem i mnóstwem innych roślin, stykał się z ogrodem opactwa Świętego Andrzeja. W ogrodzie tym, rozciągającym się na wzgórzu Montaut, znajdowały się pozostałości dawnego pałacu kardynała Bertrand, biskupa Autun i założyciela kolegium w Paryżu. To połączenie piękna natury z mistrzostwem pracy ludzkiej dawało doskonałą całość, w której wszystko scala się dla przyjemności oczu i spokoju duszy.

W czasach gdy kardynał Bertrand lubił przyjmować w swoim pałacu wielkich tego świata, zajazd przyjmował ich świty i służył wsparciem przeciążonym czasem kuchniom księcia Kościoła. Poza tym mieszkańcy Awinionu chętnie pokonywali most Saint-Benezet, by rozkoszować się chwilą chłodu w cienistym ogrodzie, a przede wszystkim delectować się frykasami kuchni słynnej w promieniu dwudziestu mil.

Wyjazd dworu papieskiego mógł stanowić śmiertelny cios dla „Wielkiego Przeora”, ale tak się nie stało. Gdy po epoce biskupów rzymskich nadszedł czas legatów, w Awinionie pojawili się ludzie zupełnie innego pokroju, którzy zrobili z niego arenę interesów, gdzie swe kantory miały banki i firmy handlowe, i to w czasach, gdy nie było ich jeszcze nawet w Marsylii. Jako że Awinion był głównym punktem na szlaku między morzem i wielkimi rynkami Lyonu i Genewy, Villeneuve, choć należał do króla Francji, odnosił korzyści z tak wyjątkowego położenia, a „Wielki Przeor” nie utracił nic ze swej renomy. Było nawet wręcz przeciwnie, gdyż jego właściciele, mistrz Jakub i jego żona Franciszka, posiadli w stopniu najwyższym trudną sztukę podejmowania każdego, skądkolwiek pochodził, w taki sposób, jaki najbardziej mu

odpowiadał. Uśmiech pani Franciszki rozbroiłby najgroźniejszą celniczkę i wprawił w błogostan anachoretę. Jej małżonek zaś sprawiał, że goście pograżali się w najsmakowitszym grzechu łakomstwa, gotowi na wieczne potępienie.

Zajmująca budynek stanowiący niegdyś część wspaniałej posiadłości kardynała Arnauda de Via, bratanka papieża Jana XXII i budowniczego sąsiedniej kolegiaty, w której spoczywał, oberża nie była szczególnie duża, posiadała jednak wyrafinowanie sąsiadującego z nią pałacu, bez jego surowości, i stanowiła przykład pewnej sztuki życia, przyjemnie pachnącej słońcem Prowansji. Wchodząc do środka, Fiora odniosła wrażenie, że jakaś niewidzialna ręka zdejmuje jej z ramion ciężar zmęczenia i strachu przygniatający ją od tygodni, i podczas gdy Mortimer, ze wzrokiem rozpalonym wspomnieniem minionych uczt, zatrzymał się w kuchni, pozwoliła się zaprowadzić do pokoju wyłożonego płytkami różowego gresu, którego białe ściany podkreślały urodę porządnie wywoskowanych mebli i wielkiego, różnobarwnego bukietu ustawionego przed figurką Matki Boskiej. Przez otwarte na ogród okno dobiegał poszum fontanny...

Zrzuciwszy tylko skórzane botki i aksamitną tunikę, Fiora padła na łóżko przykryte jasnoniebieską narzutą, przyjemnie pachnącą żywicą sosnową i lawendą, i zasnęła jak kamień.

Spała tak przez większą część dnia i zapadał już niebieskofioletowy zmierzch, kiedy dołączyła do Mortimera w głównej sali oberży, gdzie odbywały się kuchenne misteria. Siedząc przed dużym kominkiem, nad którym piekła się ćwiartka barana, pił on białe wino, zajadając chleb nadziewany cebulą, czarnymi oliwkami, ostrą papryką i anchois oraz najwyraźniej ociekający oliwą. Przy drugim końcu długiego i wąskiego, dębowego stołu mistrz Jakub ubijał jaja, stojąc pod czymś w rodzaju wieńca wykonanego z obręczy od beczki, na której powieszono kiście winogron z poprzedniego roku, niemal równie suche kielbasy i duże fioletowe cebule.

- No i? - zapytała, siadając obok niego. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Niczego! Myślę, że pan Filip musiał wyjechać z pielgrzymami, a w tej sytuacji: jak odróżnić go od innych? Podczas gdy spałaś, przeszedłem się po mieście, poszedłem też pogadać z żołnierzami w donżonie i wypytywałem ludzi. Wszyscy znają oczywiście historię mężczyzny uratowanego przez kartuzów, nikt jednak, na szczęście, nie pomyślał, że mógł on przyplłynąć aż z Lyonu. W każdym razie nikt go nie widział, a więc nikt nie mógł go rozpoznać, kiedy wyjeżdżał. Masz, spróbuj tego!

- Nie, dziękuję. To obrzydliwe!

- Z powodu oliwy? Ależ to przepyszne!

Uciął kawałek chleba i podał jej na wyciągniętej dłoni. Widząc to, mistrz Jakub porzucił swoje zajęcie, wziął dużą, białą serwetkę i z zachęcającym uśmiechem zawiązał ją na szyi młodej kobiety.

- Od razu wyda ci się lepszy! - powiedział. Rzeczywiście, był to rarytas i Fiora, czując, że znów zgłodniała, poprosiła o jeszcze jeden kawałek tego pan bagna. W odpowiedzi usłyszała, że zbliża się pora kolacji i że powinna zostawić sobie na nią nieco miejsca. Aby się zemścić, wypiła ponad jedną trzecią zawartości dzbanka Mortimera, nie tracąc jednak z oczu tego, co zajmowało jej myśli.

- Co teraz zrobimy? Masz jakiś pomysł?

- Myślę, że możemy tu zostać trzy lub cztery dni, żeby rozejrzeć się trochę po okolicy. Jeśli nie zamierzał iść do Composteli, na pewno oderwał się od pielgrzymów. Może ktoś go zauważył, co wyznaczyłoby nam przynajmniej kierunek poszukiwań.

Fiora musiała się przyznać, że nie zna Filipa wystarczająco dobrze, by odgadnąć jego reakcje i stan ducha w chwili, gdy uciekł z kartuzji. To, że mówił o niej w gorączce, było pokrzepiające, ale czy brak mu jej było na tyle, by wyrzekł się swoich przekonań, swojej niezłomnej wierności sprawie Burgundii i by przybył po nią do Turenii, jak tego się domagała?

Widząc, że twarz jego towarzyszkę pochmurnieje, Mortimer przyjacielsko położył dłoń na jej ramieniu:

- Spróbuj nie martwić się na zapas! Daj mu trochę czasu na odpoczynek! Wiemy najważniejsze: że żyje!

- Jesteś tego pewny? Co może począć sam, bez broni, bez pieniędzy? Jeśliby chciał opuścić Francję, nie ma żadnych środków, by zapłacić za podróż statkiem, a wizja błakającego się po drogach samotnego i w nędzy, jest strasznym obrazem...

- Nie jest słabą kobietą. To, czego zdołałem się o nim dowiedzieć, wydaje mi się pokrzepiające: mężczyzna tego typu nie umiera w nędzy pod krzakiem. Jestem pewny, że kiedyś go odnajdziesz. Zrobimy to, co zaproponowałem, a po powrocie możemy poprosić o pomoc króla. Jest wystarczająco potężny, by znaleźć go wszędzie.

- Pod warunkiem że Filip pozwoli się pojmać. Na widok jakiegokolwiek żołnierza czy innego sługi króla rzuci się do ucieczki albo do walki. Jakim cudem miałby myśleć, że Ludwik XI nie chce mu zrobić nic złego?

- Przekonamy się, jak przyjdzie na to pora. A tymczasem pomyśl trochę o sobie!

Wieczór był uroczy. W oberży wyjątkowo gościło niewielu podróżnych i mistrz Jakub przysiadł się do nich na pogawędkę, podczas gdy pani Franciszka próbowała poradzić sobie z jakąś hiszpańską damą, która domagała się, by cała oberża była na jej wyłącznych usługach, nie była z niczego zadowolona i targowała się o wszystko z chciwością starej lichwiarki. Jej ujadanie musiało być słycać aż na moście awiniońskim.

- Czy nie powinienes pomóc swojej żonie? - zapytał Mortimer ze śmiechem.
- Taka miła, młoda kobieta zmagająca się z podobną harpią!

- Z pewnością lepiej poradzi sobie beze mnie. Gdybym się do tego wtrącił, wyrzuciłbym tę megierę za drzwi, nie pytając o rację. Franciszka ma zdolności wytrawnego dyplomaty, a czasy mamy teraz trochę trudne...

W istocie wojna między papieżem i Florencją odbijała się niekorzystnie na życiu w Awinionie. Większość kantorów bankowych i handlowych należała do firm florenckich. Do pozostania zaproszono tylko należące do Pazzich, pozostałe opuszczały miasto, by uniknąć poważniejszych problemów, gdyż kardynał delia Rovere słynny był z ciężkiej ręki. Przedstawiciele Medyceuszy zostali bezceremonialnie wygnani z poleceniem, by ich noga nigdy więcej nie powstała w papieskim mieście. Naturalnie ich dobra zostały zajęte, a oni sami ledwie zdolali zdążyć uciec na drugą stronę rzeki przed strzałami łuczników.

- Na szczęście - powiedział Jakub - znaleźli schronienie tutaj. - Gubernator zakwaterował ich w jednej z porzuconych posiadłości kardynalskich w oczekiwaniu na koniec walk.

- Jak uwierzyć - powiedziała Fiora, wznosząc twarz ku górze - że ta głupia i zbrodnicza wojna daje się odczuć aż tutaj, w tej cudownej krainie? Florencja jest daleko, Rzym jeszcze dalej, a jednak...

Śródziemnomorska noc spowijała już ogród, gdzie sosny i cyprysy daremnie próbowały zaciemnić niebo. Nocne powietrze miało czystość kryształu, ciszę zakłócało tylko odległe pohukiwanie sowy. Hiszpańska dama w końcu zamilkła, a mistrz Jakub życzył dobrej nocy swym klientom i popędził do żony. Fiora i Szkot wolnym krokiem ruszyli ścieżką prowadzącą wokół gospody do pokojów dla gości. Mortimer, jakby nigdy nic, wziął młodą kobietę pod ramię, by nie potknęła się w ciemnościach. Po raz pierwszy odważył się na ten gest, a ona go nie powstrzymała. Dobrze było czuć przy sobie tę spokojną siłę, która - wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek - mogła się zmienić w obliczu nieprzyjaciela we wściekłą pasję.

- Dobrze ci? - zapytał zmienionym głosem.

- Bardzo dobrze. Noc jest taka piękna! Cudownie będzie zatrzymać się tutaj na trochę...

- Będiesz mogła odwiedzić swoich krajan, którzy są tutaj w mieście.

- Nie mam najmniejszej ochoty się z nimi spotykać. Nawet nie miałam pojęcia o kantorach w Awinionie. Poza tym pragnę teraz zapomnieć Florencję, nastawić się na Francję. Tam jest mój syn, tam jest mój mąż - taką mam przynajmniej nadzieję - a więc tam jest moje życie...

- Francja byłaby szczęśliwa, gdybyś została - szepnął Mortimer.

Uniósłszy dłoń swej towarzyszki, przytknął do niej na chwilę usta, po czym pobiegł do swojego pokoju. Ten odwrót tak bardzo przypominał ucieczkę, że Fiora roześmiała się cicho. Czyżby surowy sierżant Zawierucha stawał się sentymentalny? Odpowiedzialny był za to niewątpliwie urok tego domu, piękno tej nocy... i może zdradliwe działanie białego wina z Chateauneuf, którym poił ich mistrz Jakub.

Ona sama, przespawszy część dnia, nie była śpiąca i długą chwilę trwała oparta łokciami o balustradę galeryjki biegnącej wzdłuż pokoi, rozkoszując się tą czarodziejską nocą zmieniającą wojowników w zalotników i niosącą zapach ciepłej ziemi. Mortimer zaś zasnął w stanie totalnej euforii. Był szczęśliwy, że mógł tu wrócić i choć był zdecydowany na prowadzenie poszukiwań, to z radością myślał o nadchodzących godzinach. Tych kilka dni w „Wielkim Przeorze” u boku donny Fiory miało być najpiękniejszym prezentem, jaki mogły mu dać niebiosy...

Toteż był boleśnie zaskoczony, kiedy rankiem ta sama Fiora, blada jak ściana, zaczęła nim potrząsać, mówiąc, by przygotował się do wyjazdu. Musiała wrócić do Rabaudiere, nie tracąc ani minuty i nie chciała niczego wyjaśnić. Co się stało? Nie zdołał się niczego dowiedzieć i nawet nie śmiał zadawać kolejnych pytań, kiedy chwilę później pomagał młodej kobiecie wsiąść na konia. Jej zacięta twarz, twarde spojrzenie i zaciśnięte ze zdecydowaniem usta zniechęcały nawet do zwykłej rozmowy. I nieszczęśnik zaczął się zastanawiać, czy to nie jego gest z poprzedniego wieczoru, nieco może zbyt czuły, wywołał ten zły humor.

Nie mogąc znieść myśli, która powodowała, że odchodził od zmysłów, wykorzystał wieczorny popas, by rzucić się na głęboką wodę.

- Na miłość boską, donno Fioro, powiedz, jeśli zawiniłem względem ciebie! Nie chciałbym, żebyś źle oceniała moje... wczorajsze zachowanie...

Mimo ewidentnego strachu, który ją dręczył, Fiora zdołała się uśmiechnąć.

- Nie przejmuj się, drogi Mortimerze! Nie miałeś absolutnie żadnego wpływu na moją decyzję o wcześniejszym powrocie i proszę cię o wybaczenie, jeśli choć przez chwilę myślałeś, że mnie uraziłeś. Za bardzo cię lubię, by

zagościła między nami najmniejsza wątpliwość i w imię tej przyjaźni proszę cię, byś odprowadził mnie do domu najszybciej, jak to możliwe.

- Jadąc tu, pędziliśmy co tchu. Myślę, że trudno będzie jechać szybciej, chyba że chcemy zajeździć konie, ale na to się nie zgadzam. Zresztą wcale nie bylibyśmy szybciej, gdyż te, którymi moglibyśmy je zastąpić, nie będą równie dobre.

Nie dodał, że król nie wybaczyłby mu poświęcenia dwóch rumaków z jego cennej stajni, ale Fiora wiedziała, że tak jest. Musieli jednak zrezygnować z popasu z Valence, gdyż wkraczając do miasta, zobaczyli, że jest ono obwieszane flagami, a jego ulice wypełnia rozentuzjasmowany kler: kardynał delia Rovere wjeżdżał do miasta od północy z całą swoją świtą i sposobił się do objęcia stanowiska. Tak więc, mimo pewnego zmęczenia, dwoje jeźdźców zdecydowało się na wydłużenie drogi o milę, by uniknąć nieprzyjemnego spotkania: mimo jego zapewnień o niewinności Fiora nie była w stanie obdarzyć pełnym zaufaniem bratanka Sykstusa IV. Wolałaby się na niego nie natknąć.

Na szczęście dla podróżnych pogoda im sprzyjała. Toteż dziesięć dni po opuszczeniu Villeneuve-Saint-Andre Fiora zauważyła wieże Plessis, a nad pożółkłymi wierzchołkami drzew niebieskie łupkowe dachówki swego domu.

- Jesteś w domu, donno Fioro! - westchnął Mortimer, markotny, że tak dla niego przyjemna podróż już się skończyła.

- To dzięki tobie, przyjacielu, i nigdy nie zdołam ci wyrazić mojej wdzięczności. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz miał kłopotów.

Rzeczywiście sztandar z liliami burbońskimi powiewający nad zamkiem królewskim świadczył o tym, że Ludwik też wrócił. Mortimer filozoficznie wzruszył ramionami.

- Na pewno nie, gdyż nasz Sire wiedział, dlaczego zostaję. Tak czy inaczej ta podróż była warta narażenia się na kłopoty...

Ledwie Fiora przekroczyła próg domu i wylewnie uściskała domowników, którzy wybiegli jej na spotkanie, a pod pretekstem pozbycia się pokrywającego ją kurzu pobiegła do swojego pokoju i otworzywszy wielką malowaną skrzynię, w której trzymała swe ubrania, zaczęła w niej gorączkowo grzebać.

- Czego tak spiesznie szukasz, moje jagniątko? - spytała Leonarda, która naturalnie poszła za nią wraz z Khatoun z małym Filipem na rękach.

- Mieszka z czerwonego marokinu, który przywiozłam z Florencji. O, jest!

Nerwowo obmacała palcami cienką skórę i wyciągnęła z sakiewki zwiędłą gałązkę oliwną i flakonik, który odkorkowała, powąchała zawartość i odwróciwszy do góry dnem wydała okrzyk przerażenia: był pusty...

Nagle wyzuta z sił przysiadła na piętach, z rozpaczą patrząc na smukłe naczynie, które, upuszczone, potoczyło się po posadzce.

- Co się stało? - wyjąkała. - Dlaczego w tej fiolce nic nie ma?

- A co tam było? - spytała Leonarda, przerażona bladością młodej kobiety i jej wypełnionymi łzami oczami.

- Lekarstwo... które Demetrios dał mi przed wyjazdem na wypadek, gdyby...

- Lekarstwo? To było lekarstwo? - powiedziała Khatoun drżącym głosem. - O mój Boże... A ja myślałam, że to trucizna!

Wybuchając szlochem, młoda Tatarka opowiedziała, że porządkując odzież swej pani, znalazła flakonik. Sądziła, że może Fiora o nim zapomniała, a ponieważ zapach płynu wydał jej się podejrzany, dała kilka jego kropel bezdomnemu kotu, którego znalazła w ogrodzie. Ponieważ wyzionął ducha wkrótce potem, pomyślała, że Fiora nabyła ten środek w chwili zwątpienia, by mieć do dyspozycji szybki sposób na popełnienie samobójstwa, wylała więc zawartość buteleczki do latryny...

- Nie mogłam znieść myśli, że mogłabyś chcieć umrzeć - załkała, przyciskając konwulsyjnie do siebie dziecko, które zaczęło głośno płakać. - Kot zdechł... rozumiesz?

Nie mając już nawet siły się rozgniewać, załamana Fiora patrzyła na nią bez słowa. Zresztą, co dałaby złość? Biedna Khatoun, tak oddana, działała w najlepszej intencji, kierując się uczuciem... Ale Leonarda zareagowała. Zabrawszy chłopczyka z ramion Khatoun, niemal wcisnęła go Petroneli, która nadbiegła, słysząc hałas, po czym zamknęła drzwi i chwyciła Fiorę pod pachy, by pomóc jej powstać z posadzki i usiąść na łóżku.

- Bardzo chciałabym coś z tego zrozumieć - powiedziała sucho. - Co było w tym przeklętym flakoniku, że rzuciłaś się na niego, nawet nie zdjawszy butów?

Fiora podniosła na nią oczy pozbawione wyrazu.

- Coś, co powinnam bezzwłocznie zażyć w razie, gdybym zauważyła pewne symptomy. Demetrios bardzo podkreślał, że absolutnie nie można czekać...

- Ale symptomy czego?

- Ciąży. Jestem w ciąży, Leonardo. W ciąży z Lorenzem! A Filip może tu przyjechać w każdej chwili!

- Jesteś pewna? - wyszeptała struchlała Leonarda, podczas gdy Khatoun szlochała coraz głośniejszym, padłszy jak długa na dywan. -

- Niestety, nie ma najmniejszej wątpliwości. To musiało się stać w czasie naszego ostatniego... spotkania, w lipcu. Nieco ponad dwa miesiące temu.

Opowiedziała, że w czasie nocy spędzonej w „Wielkim Przeorze” wstała, żeby napić się trochę wody. Gwałtowne mdłości rzuciły ją z powrotem na

łóżko, a na czole poczuła zimny pot. Pomyślawszy, że być może zbyt dużo zjadła wieczorem, wcale się tym nie przejęła, a nawet, kiedy mdłości minęły, zasnęła. Niestety, o świcie wiele mówiąca niedyspozycja powróciła, zmuszając ją do przypomnienia sobie dat cyklu, którymi prawdę mówiąc niewiele się ostatnio zajmowała. Wówczas z oślepiającą jasnością objawiła jej się prawda. Stąd wziął się pośpiech, który ku wielkiemu zaskoczeniu Douglasa Mortimera wygnał ją na szlak mimo nieustannych porannych mdłości przez całą drogę. Jedyłą nadzieję pokładała w oferowanej przez Demetriosą buteleczce.

- Nie wiem, czy trzeba tak bardzo żałować, że Khatoun wylała jej zawartość - zaburczała Leonarda. - W końcu kot zdechł!

- Chyba nie uważasz, że Demetrios chciałby mnie otruć? - zaprotestowała Fiora. - Uprzedził mnie, że będę okropnie chora przez dwa dni, ale że potem wszystko wróci do normy...

- To on tak mówi! Ten stary czarownik mógł się pomylić i sędzę, że lepiej podziękować Bogu, że stało się tak a nie inaczej. Zresztą nie wiadomo jeszcze, czy wszystko nie wróci do normy samo z siebie.

- A niby jak?

- Sądząc po tym, ile czasu cię nie było, musiałaś zrobić konno jakieś czterysta mil, i to w szybkim tempie. Jeśli nadal jesteś w ciąży, to znaczy, że to dziecko jest porządnie zagnieżdżone. Poczekajmy kilka dni!

Minął jednak tydzień, a w stanie Fiory nic się nie zmieniło. Co rano miała nudności, a przez resztę dnia umierała z głodu, do tego stopnia, że Leonarda musiała jej pilnować. Gdyby zbyt szybko utyla, jej stan stałby się widoczny przed ustalonym przez naturę czasem. Gdyż oczywiście, stara panna, nawet słyszeć nie chciała o zastosowaniu innych działań poronnych i skłonna nawet była widzieć palec boży w fakcie, że Khatoun opróżniła buteleczkę. Skoro dziecko przetrwało wariacką galopadę matki, to przetrwa wszystko. Gdyby starały się je usunąć, ryzykowałyby, że jedynie je uszkodzą, zrobią z niego potwora... Co byłoby naprawdę wielką szkodą w przypadku dziecka posiadającego prześwietną krew Medyceuszy...

- Jestem zupełnie pewna - dodała Leonarda - że jego ojciec będzie umiał się nim zająć, gdy przyjdzie pora, i zapewnić mu przyszłość...

- Toteż nie martwię się przyszłością, lecz terażniejszością. Nie będę mogła długo ukrywać mojego stanu, zwłaszcza przed domownikami. Wróćmy może do tego, co mnie dręczy: co się stanie, jeśli Filip postanowi wreszcie do mnie wrócić i zastanie mnie grubą jak ciężarna klacz? Może mnie zabije, a na pewno odejdzie na zawsze.

Problem wymagał głębokiego zastanowienia. Chodziło tylko o rozwiązanie na kilka miesięcy, gdyż w kwestii porodu Leonarda od razu znalazła rozwiązanie: Agnelle i Agnolo Nardi na pewno nie odmówią przyjęcia Fiory w swoim domu w tak trudnym momencie, a może nawet zgodzą się zatrzymać dziecko, skoro nie mają własnych.

- Tylko im powiemy prawdę na temat ojca tego dziecka, ale trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie na wypadek, gdyby pokazał się tutaj pan Filip.

- Ale jakie?

- Pozwól mi pomyśleć. To powinno być raczej jakieś nieszczęście niż powód do wstydu...

Khatoun stwierdziła, że znalazła rozwiązanie.

- Wziąwszy pod uwagę wszystko, co wycierpiałaś w Italii - powiedziała do Fiory - cudem jest, że nie zostałaś sto razy zgwałcona i...

- Właśnie! - zawołała Leonarda triumfalnie. - Podczas tych zamieszek we Florencji, tego szaleństwa, które opanowało miasto, zostałaś uwięziona przez jakiegoś mężczyznę, który cię zniewolił i...

Fiora nie zaakceptowała tej propozycji.

- Jakbyś nie wiedziała, jak szybko roznoszą się plotki! Nie było mnie przez rok, ale niedawno znów wyjechałam na trzy tygodnie. Jeśli się okaże, że jestem w ciąży, wszyscy pomyślą, że ojcem dziecka jest Douglas Mortimer... Nie zapominaj, że to w jego towarzystwie wróciłam z Italii, a żywię dla niego zbyt wiele przyjaźni, by pozwolić, aby spoczął na nim ciężar tego oskarżenia. Filip natychmiast wyzwiałby go na pojedynek do ostatniej kropli krwi... a jego śmierć lub śmierć mojego męża ciążyłaby na moim sumieniu.

- Co więc proponujesz? - powiedziała Leonarda zrezygnowanym tonem.

- Żeby wyjechać przed zimą i udać się do Paryża pod pretekstem dopilnowania moich interesów i podjęcia pewnych decyzji z Agnolem Nardim. A jak już będę w Paryżu, to mogę zachorować. Zimy tam są surowe...

- A jeśli przyjedzie pan Filip?

- No cóż... powie się mu, gdzie jestem, i zdamy się na łaskę Boga. Jednakże chciałabym, żeby ktoś szybko przyjechał mnie powiadomić. Na przykład Florent, jeśli dobrze wykorzystał lekcje swego szkockiego nauczyciela...

- Och, bardzo dobrze! - zawołała Khatoun, najwyraźniej zachwycona. - Wspaniały z niego jeździec. Ale czy tutejsi ludzie nie uznają, że ta kolejna podróż jest dziwna? Jak na kobietę tak długo pozostającą z dala od domu...

- Za jeszcze dziwniejszy uznaliby mój rosnący obwód brzucha. Zostanę tu jeszcze przez miesiąc, a potem pojedę do Paryża. Czy ktoś jeszcze chce coś dodać?

- Nie - powiedziała Leonarda. - Poza tym, że wydaje mi się to wszystko całkiem zręcznie wymyślone. Jeszcze tylko jeden drobiazg...

Jaki?

- Pojadę z tobą. Nie ma mowy, byś w czasie porodu była sama! A poza tym wydaje mi się, że bardziej niż kiedykolwiek potrzebować będziesz przyzwoitki. W tej roli jestem bezkonkurencyjna!

- A ja? - spytała Khatoun ze smutkiem, który zirytował Fiorę. - Czy zostanę tutaj?

- Wydawało mi się, że mały Filip wystarczająco wypełnia ci czas? Już nie chcesz się nim opiekować? - powiedziała Fiora raczej oschle. - Nie mogę zabrać wszystkich, żeby asystowali przy tym, co ma się wydarzyć w kwietniu. A to, że towarzyszyć mi będzie Leonarda, jest normalne.

Jak w czasach, gdy była niewolnicą, Khatoun podeszła do Fiory i padła jej do stóp.

- Wybacz mi! Popęłniłam poważny błąd, który stawia cię w trudnej sytuacji. Nie mam prawa prosić cię o wyrozumiałość. Ale wiesz, jak bardzo jestem do ciebie przywiązana...

- Wiem - powiedziała Fiora łagodniej i podniosła ją - ale zrozum, że nie jest możliwe, bym zabrała ze sobą do Nardich pół tuzina osób. Oficjalnie wyjeżdżam w interesach, a w takich wypadkach nie zabiera się ze sobą wszystkich domowników. Jeśli naprawdę już nie chcesz opiekować się moim synem, pošlę po Marcelinę... ale naprawdę w niczym mi nie będziesz pomocna!

Khatoun podniosła na nią oczy pełne łez.

- Masz oczywiście rację. Ale ja tak bardzo chciałabym zobaczyć to dziecko, które się urodzi!

- No tak! - rzekła Leonarda. - Jej obsesja na punkcie dzieci wpędzi w nas w nieliczne kłopoty! Czy nie możesz, ty wariatko, zadowolić się Filipem?

- Tylko że - westchnęła młoda Tatarka - to już mały mężczyzna i niełatwo go upilnować. A takie zupełnie maleństwo...

Fiora chwyciła Khatoun za ramiona i zmusiła ją, by spojrzała jej prosto w oczy.

- Zrozum i zapamiętaj jedno! Nie może być mowy o kolejnym dziecku, bo inaczej po co miałabym wyjeżdżać! Musisz przestać o nim myśleć! Rozumiesz? Jeśli wszystko pójdzie tak, jak się spodziewam, to nigdy go nie zobaczysz.

- Nigdy?

- Nie. A to dlatego, że będę musiała wybierać między nim a moim małżonkiem, a nigdy nie zrezygnuję z Filipa. Tak więc jeśli nie jesteś w stanie wypełnić roli, jaką ci wyznaczam, powiedz to od razu!

- I co zrobisz? - chlipała Khatoun.

- Wyślę cię do Demetriosia. Wrócisz do willi we Fiesole, a Petronela zajmie się moim synem. Zresztą to może byłoby najlepsze rozwiązanie. Jesteś teraz wolna, możesz wyjść za mąż i mieć własne dzieci. Czy chcesz wrócić do Florencji?

Coś zbliżonego do przerażenia pojawiło się w czarnych oczach młodej Tatarki.

- Nie! Nie! Nie chcę cię opuścić! Zostanę tutaj, nie obawiaj się. Ale, błagam, nie bądź nieobecna zbyt długo!

- Nigdy nie przestanę być dzieckiem! - westchnęła Leonarda chwilę później.

- Życie ją rozpieszczało i nie jest przygotowana na przeciwności losu...

- Nie przesadzajmy! Przeżyła trudne chwile.

- Ale było to przejściowe! Szczęście nie opuszcza jej od urodzenia, a ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Najpierw szesnaście lat w pałacu Beltrami, a z niego prawie od razu w ramiona męża, którego kochała. Po jego śmierci została sprzedana, zgoda, ale komu? Wielkiej damie, która zapewniła jej niemal taką egzystencję, jaką wiodła u nas. A potem udało jej się odnaleźć ciebie i wrócić tutaj. A tu Petronela ją rozpieszcza i psuje jak własną córkę, a żyje jej się jak w rodzinie. Słyszałaś? Nasz Filipek, o którym według ciebie tak marzyła, teraz wydaje jej się zbyt uciążliwy. Chce kolejnego dziecka. Niemowlaki i kocięta - to jej odpowiada! Jest zdolna stracić głowę dla tego przyszłego dziecka i zburzyć całą naszą konstrukcję.

- Co więc proponujesz? Przecież jej nie zabijesz?

- Oczywiście, że nie, ale jeśli się zgodzisz, zamierzam wzbudzić w niej wystarczające przerażenie, by trzymała język na wodzy, a tobie radzę mówić to samo.

- Jeśli piśnie chociaż słówko, wróci do Florencji, już jej to powiedziałam.

- Ale nie zaszkodzi powtarzać. Musi być przekonana, że jeśli się wygada, zostanie odesłana. Już jakichś dwóch czy trzech chłopaków kręci się tu przy niej i całkiem jej się to podoba. Niech no któryś ją zbałamuci; a Bóg wie, co mu opowie do poduszki! Ta dziewczyna ma większy temperament, niż sądzisz.

Fiora powstrzymała się od powiedzenia, co wie na ten temat. Pamiętała Khatoun u Megiery, klęczącą na posadzce i wijącą się pod wpływem pieśzcot stręczycielki, Khatoun, która następnej nocy uciekła z mężczyzną, do którego

ją zaprowadzono, bo umiał dać jej rozkosz... Wszystko to nie było pokrzepiające, ale co można było zrobić?

- No cóż - podsumowała Leonarda - trzeba tylko polecić Stefanowi i Florentowi, żeby jej pilnowali. To, co wie, ma zbyt wielką wagę, by ryzykować konsekwencje, na jakie może narazić nas jakaś jej miłostka.

Fiora nie odpowiedziała. Bardzo lubiła Khatoun i miała do niej pełne zaufanie, którego nigdy nie żałowała, wprost przeciwnie. Jednakże Leonarda znała ją niemal równie dobrze, a ponadto posiadała mądrość życiową zrodzoną z doświadczenia i wiedziała, że każda istota ludzka ma swoje ograniczenia.

A jednak Leonarda nie miała pojęcia, co dzieje się nocą w Domu w Barwinkach. Położywszy spać małego Filipa, Khatoun wykręciła się od kolacji, twierdząc, że źle się czuje. Siedząc na łóżku, płakała rozpaczliwie tak długo, aż w domu nie słychać było najmniejszego odgłosu... Wstała wówczas, zdjęła suknię, zostając w samej koszuli, i nie zapalając świecy, wyszła z pokoju. Jak koty umiała znaleźć drogę w ciemnościach.

Wchodząc bosy po schodach, dotarła na drugie piętro do pokoju na mansardzie, gdzie spał Florent. Spod drzwi sączyło się światło, ale otworzywszy je, Khatoun zobaczyła, że młody człowiek zasnął, a książka, którą czytał, opadła mu na twarz. Podeszła cichutko, z największą ostrożnością zdjęła książkę, po czym zrzuciła koszulę i przez chwilę przyglądała się śpiącemu. Z rozpogodzoną twarzą uśmiechał się przez sen, co sprawiło, że Khatoun uświadomiła sobie własną rozpacz.

Wybuchając znowu łkaniem, odrzuciła okrycie pełnym złości ruchem i rzuciła się na nagie ciało chłopca, które objęła ramionami i nogami, pokrywając gorączkowymi pocałunkami jego szyję i twarz. Raptownie przebudzony tym atakiem Florent spojrział ze zdumieniem na napastniczkę, starając się, co prawda ślamazarnie, wyzwolić z jej objęć.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjdiesz dzisiaj? Nie spodziewałem się ciebie...

- Bądź cicho! Bądź cicho, proszę, i kochaj mnie! Potrzebuję tego. Pieść mnie! Weź mnie!

Po wilgoci na jej policzkach i wargach rozpoznał, że płacze.

- Co się stało? Dlaczego płaczesz?

- Ona... ona znowu wyjeżdża! Znowu mnie opuści... : - Kto taki?

- A kto miałby to być? Fiora, moja ukochana pani. Chce mnie opuścić, a przecież obiecała, że już nigdy się nie rozstaniemy. Zabierze ze sobą tę okropną Leonardę, nie mnie...

- Dokąd? Gdzie się wybiera o tej porze roku?

- Do Paryża, do ludzi, których nie znam... I to na dosyć długi czas.

- Ja ich znam, to jej najlepsi przyjaciele. Poza tym Agnolo Nardi zarządza jej majątkiem. Ale po co ona tam jedzie?

Błysk obawy załśnił w rozbieganych oczach młodej kobiety, powstrzymując ją przed zdradzeniem wszystkiego, co wie, bo wiedziała, że to może ją drogo kosztować.

- Nie mogę ci tego powiedzieć, bo może przypląciłabym to życiem, ale kochaj mnie, błagam. Chcę, żeby ktoś się mną zajął i dał mi trochę radości, skoro moja piękna Fiora nie chce już swojej niewolnicy...

- Co ci przychodzi do głowy? - zirytował się Florent. - Przecież to, że donna Fiora jedzie do Paryża, nie oznacza, że chce się z tobą rozstać na zawsze? Zostaniesz tutaj, żeby opiekować się naszym diabełkiem i co z tego? Przecież nie jesteś tu taka znowu nieszczęśliwa?

I Florent zajął się dowodzeniem Khatoun, że dla niego przynajmniej jest bardzo ważna. W chwilę później mruzczała pod nim jak zadowolona kotka, a jej łzy wysychały pod pocałunkami. Pokoik wypełnił się westchnieniami, do których jego mury zdążyły już przywyknąć.

Trzy dni po wyjeździe Fiory i Mortimera Florent, starannie układający w szopie bele siana, zobaczył idącą w jego kierunku Khatoun. Był to jeden z tych pięknych, ciepłych jesiennych dni, gdy łagodne słońce pokrywa skórę warstwą potu i rozleniwia. Układając mocno pachnące siano chłopak - być może wypił do obiadu trochę zbyt wiele wina - myślał właśnie o tym, jak dobrze byłoby tarzać się w nim z jakąś dziewczyną o świeżym ciele.

Khatoun miała na sobie suknię z niebieskiego płótna, której lekko rozsznurowany gors ukazywał ponętne kształty. Niosła dzban dopiero co zaczerpniętej ze studni wody, której kropelki migotały, spadając jedna po drugiej na ubitą ziemię. Bez słowa napoiła młodzieńca, po czym odstawiła z uśmiechem dzban i, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, wzięła jego zakurzoną dłoń i patrząc mu głęboko w oczy, naprowadziła ją na swą małą, kragłą pierś, na której on ją instynktownie zacisnął.

- Khatoun może cię odświeżyć także w inny sposób - wyszeptała. - Tak cudnie jest kochać się w taki upał! A siano pachnie tak pięknie!

W chwilę później byli oboje nadzy i zagłębiali się w suchej, wonnej trawie. Młoda Tatarka miała miękką i gładką skórę barwy kości słoniowej, a jako że sprytnie użyła nieco perfum swojej pani, zamykając oczy Florent miał wrażenie, że trzyma w ramionach tę przepiękną Fiorę, w której był tak nieprzytomnie, tak rozpaczliwie zakochany... Wydało mu się to cudowne.

Od tamtej pory niemal każdej nocy - chyba że mały Filip potrzebował Khatoun - spotykali się w pokoiku chłopaka, by oddawać się płomiennym igraszkom, w których znajdowali coraz większe upodobanie. Khatoun wiedziała, że Florent jej nie kocha, tak jak Florent wiedział, że nie ma mowy o miłości ze strony jego kochanki, ale miłość, którą oboje darzyli Fiorę, popychała ich ku sobie. Florent był młody, dobrze zbudowany i namiętny z natury. Dla Khatoun zaś miłość była czymś instynktownym, jak dla wielu azjatyckich dziewcząt. Umiała uszczęśliwić mężczyznę i sama znaleźć w tym przyjemność, gdyż otrzymała od swego męża, rzymskiego lekarza, najlepsze nauki. Młody paryżanin, straciwszy niewinność u pewnej wszeteczniczcy z dzielnicy Saint-Merry, a później sypiając z kilkoma pasterkami w upalne wieczory w zaroślach na brzegu Loary, odkrywał z Khatoun świat niewyobrażalnych doznań. Dokonując z nią wyczynów, do których uważałby się niezdolny, czuł dla niej naiwną wdzięczność. Dzięki Khatoun Florent mógł się czuć jednym z tych uprzywilejowanych przez naturę mężczyzn godnych zostania kochankiem samej królowej.

- Jesteś istną diabolicą - mówił czasem - ale tak słodko cię kochać...

Ważne było, by po takiej gorącej nocy umknąć przed krótkowzrocznym, lecz wyjątkowo przenikliwym spojrzeniem Leonardy lub porozumiewawczym spojrzeniem Stefana. Na razie Florent wymykał się o świcie, by popluskać się w Loarze, ale wiedział, że trzeba będzie wymyślić coś innego, gdy nadejdzie zima. Wówczas noce będą dłuższe, a prace w ogrodzie i w polu mniej absorbujące...

Ale tego wieczora miłosne igraszki skończyły się szybko i podczas gdy Khatoun znowu płakała z głową wtuloną w ramię chłopaka, on, choć chciałby zrobić wszystko, by ukoić smutek przyjaciółki, miał wrażenie, że niewiele brakuje, by czuł to samo. Dlaczego Fiora i Leonarda jechały do Nardich, i to na wiele tygodni, a może miesięcy? Jednak do jego niepokoju zakradła się nadzieja: ten drągal Szkot nie będzie mógł znowu eskortować dam, co dawało jemu, Florentowi, szansę na towarzyszenie im. Pod bezlitosnym nadzorem Archiego Ayrlie jego postępy w jeździe konnej były bardzo szybkie i nie było już najmniejszego powodu, by go zostawić w domu.

Potrząsnął delikatnie przysypiającą Khatoun, by ją odesłać do jej pokoju, z niejakim wstydem konstatując, że na myśl o niewidzeniu jej przez długi czas nie czuje wielkiego żalu. A ponieważ znów zaczynała płakać, rzucił z niezadowoleniem:

- Nie będziesz się chyba mazgać aż do Bożego Narodzenia? To przykre, oczywiście, że donna Fiora wyjeżdża, ale możesz być pewna, że nie robi tego bez ważnego powodu. Nie komplikuj jej więc życia! Wróci.

- Tak... Masz rację, oczywiście... Zresztą zobaczymy...

Khatoun podniosła z ziemi koszulę, założyła ją machinalnie i wyszła. Florent położył się z powrotem i próbował zasnąć, gdyż noc zbliżała się do końca. Słowa Khatoun krążyły mu w głowie i starał się znaleźć dla nich jakieś wyjaśnienie. Nie udało mu się to, ale za to zasnął tak głęboko, że nie słyszał piania koguta i zasnął. Dopiero kiedy Stefan zrzucił go z łóżka, odzyskał kontakt z codzienną rzeczywistością.

A rzeczywistość ta była niewesoła. Fiora z pochmurną twarzą nie odzywała się ani słowem i robiła wrażenie cierpiącej. Była blada i wyraźnie zmęczona. Poza tym lało jak z cebra, więc było ponuro, nieprzyjemnie.

Toteż kiedy wczesnym popołudniem przyszedł paż z wiadomością, że król chce ją widzieć, przyjęła to zaproszenie bez najmniejszej przyjemności. Natomiast Florent był bardzo zadowolony, gdy poleciała mu natychmiast osiodłać muły i czekać, podczas gdy ona poszła zmienić suknię.

Fiora zastała Ludwika XI w jego komnacie, obszernym pomieszczeniu obitym tapiseriami przedstawiającymi sceny myśliwskie, gdzie dziesiątka psów, płowych spanieli i białych chartów, tworzyła na dywanie jedwabisty archipelag. Siedząc w rzeźbionym drewnianym fotelu z wysokim oparciem przy wielkim kominku z białego kamienia, w którym płonął pień drzewa, król Francji był dziwnie skulony. Jako patologiczny zmarzluch był ubrany, jak w środku zimy, w szatę z brązowej ciepłej tkaniny obszytą gronostajem, lśniąca jak skórka kasztana, i pasującą do kapelusza, który jak zwykle nosił na czapce z czerwonej wełny dokładnie zasłaniającej uszy. Przy nim jego ulubiony chart, Drogi Przyjaciel, wyciągał smukły pysk po kawałeczki biszkoptu, które podawały mu delikatne, naprawdę królewskie dłonie, być może jedyna ładna rzecz u tego dziwnego władcy. W świetle płomieni rubiny osadzone w złotej obroży psa lśniły jak rozżarzone węgle.

Obok króla stał jakiś mężczyzna, schylając się, by słyszeć każde jego słowo. Fiora zadrżała na jego widok. Tylko raz widziała tę kunią twarz, te sztywne, krótko obcięte włosy i te mętne oczy, ale rozpoznała w ich właścicielu człowieka, który, choć ona nie zrobiła mu najmniejszej krzywdy, był jej zaprzysięgłym wrogiem, tym, który usiłował ją zamordować w lesie w Loches. Był to Oliwer le Daim, cyrulik i powiernik króla, przynajmniej w takim stopniu, w jakim może nim być człowiek, który każdego dnia wodzi brzytwą po gardle drugiego. Jedna rzecz wydawała się pewna: cieszył się wielkimi

względami i Fiora, choćby miała na to największą ochotę, nie mogła otwarcie go oskarżyć.

Żeby nie widzieć jadowitego spojrzenia rzucanego na nią spod opadających powiek, skłoniła się głęboko, czekając, by król pozwolił jej się wyprostować. Co zrobił bez ociągania.

- Podejdź bliżej, pani de Selongey! Musimy porozmawiać! Oliwer, zostaw nas samych!

Cyruлик wyszedł z ociąganiem, a Fiora podeszła do kominka i fotela, który jej wskazano. Przysięgłaby, że tamten podsłuchuje za drzwiami. Postanowiła jednak nie myśleć o tym i usiadła bez słowa, gdyż to król powinien odezwać się pierwszy. Ponieważ zdawał się nie spieszyć, przyjrzała mu się dyskretnie i uznała, że źle wygląda. Długi spiczasty nos wydawał się jeszcze dłuższy i wychudły, a ciężką twarz o mocnych szczękach pokrywała pożółkła, pergaminowa skóra. Nerwowy tik wykręcał chwilami pogardliwie skrzywione usta.

Wiedząc, że cierpi na problemy z krążeniem krwi i bolesne hemoroidy, pomyślała, że może jakieś pogorszenie stanu zdrowia wyjaśnia wyraz niezadowolenia na jego twarzy. Zyskała taką pewność, gdy poruszywszy się na poduszkach, nie zdołał powstrzymać cichego jęku, a później zapytał rozłoszczony:

- Na Boga, gdzie się podziewa ten drań?

- Kto taki, Sirel

- Ten bizantyjski lekarz... jak on tam się nazywał? A, Lascaris! Demetrios Lascaris! Wydaje mi się, że byliście zaprzyjaźnieni?

- Istotnie, Sire.

- A więc chyba powinnaś wiedzieć, gdzie się podziewa? Nie rozumiem, dlaczego nie wrócił do mnie po upadku Nancy. Jego zemsta dokonała się wraz ze śmiercią księcia Karola, a młody Rene Lotaryński go nie potrzebował. O co więc chodziło? Nie odpowiadała mu służba na moim dworze?

- Mam nadzieję, że król tak nie myśli, gdyż Demetrios lubił mu służyć, ale między nami zaszło... nieporozumienie, i wolał wrócić do Florencji. Gdzie nadal się znajduje.

- A co ze mną?

- Demetrios naprawdę myślał, że król już go nie potrzebuje. To niezwykle skromny człowiek...

- On? - zaśmiał się szyderczo Ludwik XI. - On jest pyszny jak paw. W każdym razie nie powinien tak postępować. To ja cierpię, nie on. Skoro wiesz,

gdzie przebywa, napisz do niego, żeby wrócił! Wyślę do niego konnego posłańca...

- Sire, prosiłam go już, żeby wrócił ze mną, ale postarzał się i podróże budzą w nim obawę. Może dlatego, że zbyt wiele jeździł po świecie. Poza tym zbliża się zima. W jego wieku...

- Jasne! Król Francji może cierpieć męki, podczas gdy on wyleguje się na słońcu. W takim razie napisz do niego, żeby przysłał mi swoją cudowną pomadę! Sprowadzę go na wiosnę. A teraz pomówmy o tobie. Odbyłaś przejażdżkę z tym moim szkockim mułem?

- Czy król naprawdę uważa, że przejażdżka to właściwe określenie? Odbyliśmy długą i męczącą podróż i...

- Dobrze, dobrze! Cofam przejażdżkę. Wybacz, donno Fioro, jestem w bardzo złym humorze.

Jakby mówiąc sam do siebie, wyjaśnił, że choć nadal obowiązuje rozejm między nim a parą Maria Burgundzka - Maksymilian Austriacki, to król Anglii, Edward, zamierza teraz wprowadzić w życie jedną z klauzul traktatu z Picquigny: małżeństwo między delfinem i swoją córką, Elżbietą.

- Ten szczer chce nam przysłać już teraz swoją córkę, by doprowadzić do ślubu i otrzymać sześćdziesiąt tysięcy liwrów, które mam płacić co roku za rękę tej księżniczki... której wcale nie chcę. Angielka na francuskim tronie - też coś! Poza tym w wieku ośmiu lat mój syn jest za młody, żeby się żenić. Muszę znaleźć jakiś sposób na poskromienie zapędów Edwarda.

- I... król znalazł ten sposób?

- Czas! Tylko czas! Poza tym mam w Londynie posła, Marigny'ego, który jest zręcznym graczem. Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jeśli we dwóch nie zdołamy przechytrzyć Edwarda. Tym bardziej że ten poślubił dziewczynę wywodzącą się z drobnej szlachty i że jego tron, na który łakomie zerka jego brat Gloucester, nie jest tak solidny, jak sądzi... Ale jak to się stało, że zaczęliśmy rozmawiać o polityce? Chyba byliśmy przy twojej eskapadzie do Villeneuve-Saint-Andre? Zatem podobno hrabia de Selongey, po ucieczce z zamku Pierre-Scize, znalazł schronienie w kartuzji Val-de-Benediction?

- Tak, Sire. Pewnie Mortimer ci o tym powiedział?

- W istocie. Podobno wykorzystał jakąś pielgrzymkę, żeby zwiąć ojczulkom? To by dowodziło, że stracił pamięć w znacznie mniejszym stopniu, niż sądzono.

- Sire! - zaprotestowała zgorszona Fiora. - Mój mąż miałby odgrywać komedię?

- A dlaczego nie? W Villeneuve, które należy do nas, mógł obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

- Kartuzja jest miejscem azylu!

- Jesteś jak dziecko. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak niepewne są miejsca, które winne być azylem, gdy w grę wchodzi pewne interesy. Twój małżonek jest człowiekiem inteligentnym. Ja natomiast jestem zaskoczony, że mimo pobytu w Rzymie jesteś tak niewinna.

Fiora poczuła, że się czerwieni, i starała się opanować zmieszanie gryząc chusteczkę, którą wyjęła z rękawa. Król nie robił żadnej aluzji do kardynała delia Rovere i zdawał się nie mieć pojęcia o tragicznych wydarzeniach, w które ją wplątał.

Ponownie zapadła cisza, zakłócana jedynie trzaskaniem ognia. Ludwik XI głaskał łeb swego ukochanego psa i rozglądał się za jakimś smakołykiem dla jednego ze spanieli, który przeciągnąwszy się jak długi, podszedł do niego i położył się u jego stóp...

- Psy są najlepszymi przyjaciółmi, najpewniejszymi, najwierniejszymi, jakich może mieć człowiek. A tym bardziej król - westchnął. - Wracając do tematu: czy masz jakiś pomysł, dokąd mógł się udać pan de Selongey? Zdaje się, że nie szukaliście go długo w okolicach Villeneuve?

- Pomyślałam, że to byłoby daremne i miałam nadzieję... nadal mam nadzieję, że pewnego dnia przypomni sobie, że przebywam w otoczeniu króla. Chyba że postanowił wyjechać gdzieś daleko.

Odwróciwszy się, Ludwik XI wziął ze stojącego nieco za nim stolika rozłożony list, którego złamana pieczęć świadczyła o tym, że był czytany.

- Jedno jest pewne: nie był w Wenecji. Doża pisze do nas osobiście, że żaden podróżny o takim wyglądzie nie był widziany w mieście. Jeśli zaś chodzi o tych, którzy zaciągnęli się na statki wojenne Najjaśniejszej, by walczyć z Turkami, to ich lista jest krótka i żaden z tych ludzi nie może być hrabią de Selongey.

- No cóż! - westchnęła Fiora. - Dziękuję królowi za trud, który zechciał sobie zadać...

- Na Boga, moja droga, daj spokój z tymi kurtuazyjnymi formułkami! Tak samo, jak tobie, zależy mi na odnalezieniu go, gdyż stanowić może zarzewie niezgody, doprowadzając do ponownej rewolty Burgundii, którą Karol d'Amboise teraz pacyfikuje...

- Czy pan de Craon nie jest już gubernatorem Dijon?

- To dobry sługa, ale kretyn, a ja potrzebuję inteligentnych ludzi. W każdym razie ponownie podejmiemy poszukiwania, by odnaleźć twego małżonka...

- Proszę cię, Sire... nie rób tego!

Bystre oczy króla, zawsze na wpół przysłonięte ciężkimi powiekami, otworzyły się szeroko.

- Nie chcesz, by go odnaleziono? !

- Nie, Sire. Jeśli szukać go będą twoi ludzie, ucieknij im... albo ich zabij. Chcę... mam nadzieję, że wróci j do mnie z własnej woli, bez posyłania na jego poszukiwanie i wszystkich gwardzistów królestwa.

- Jeśli tak, to chyba już powinien tu być?

- To nie takie pewne. Przyszło mi do głowy, że opuszczając Villeneuve, mógł zdecydować się na pozostanie z tymi pielgrzymami, którzy nieświadomie mu pomogli.

- Myślisz, że mógł pójść z nimi aż do Galicji?

- Dlaczego nie? Pielgrzymia burka stanowi najlepszą ochronę, jaką może sobie wyobrazić uciekinier. A poza tym droga jest długa. Daje to czas na uspokojenie się atmosfery. Wreszcie - musiał jakoś żyć, a jeśli dobrze zrozumiałam, nie miał złamanego szeląga.

Król robił wrażenie, że już nie słucha. Jego spojrzenie śledziło fantastyczny rysunek płomieni. Zaczął zastanawiać się na głos.

- Jeśli opuścił Villeneuve w maju, to już powinien wrócić. Chyba że coś mu się stało, miał jakiś wypadek...

- Wypadek? - szepnęła Fiora znów ogarnięta lękiem.

- Droga do Composteli jest długa, trudna i niebezpieczna. Nie wszyscy, którzy ruszają na ten szlak, wracają cało. Myślę, że możemy zrobić przerwę w poszukiwaniach, jeśli tego chcesz. Podejmiemy je ponownie, jeśli zima nie sprowadzi go do ciebie. Ale proś Pana Boga i Najświętszą Marię Pannę, by ten człowiek usłyszał głos rozsądku i wrócił, by zaznać spokoju u twego boku.

W poważnym głosie króla kryła się niesformułowana wprost groźba i Fiora zaniepokoiła się wystarczająco, by ośmielić się zapytać:

- A jeśli nie? Bo tak brzmiały następne słowa, nieprawdaż, Sire!

- Tak. Jeśli nie, pozostanie mi pamiętać tylko o jednym: to buntownik. Nie będę mógł traktować go inaczej. Zostaw mnie teraz samego, moja droga. Jestem zmęczony i chciałbym się zdrzemnąć. Nie zapomnisz o moim liście?

- Do Demetriosa? Napiszę zaraz po powrocie i natychmiast przekażę przez posłańca!

- Dziękuję! Modląc się dziś wieczór do Matki Boskiej z Clery, poproszę, by zesłała ci ten spokój, który tak uparcie cię omija. Nie posunę się aż do wymówienia słowa „szczęście”, gdyż jest to rzecz zbyt krucha... o której, tak naprawdę, nikt nie może powiedzieć, na czym polega...

Godzinę później, wróciwszy do domu, Fiora napisała do Demetriososa, by powiadomić go o potrzebach króla. Skończywszy list, osuszyła go piaskiem, zapieczętowała i wezwała Florenta, żeby zaniósł go do Plessis. Zrobiwszy to, napisała drugi list, adresowany do Agnola Nardiego, ulica des Lombards, Paryż. Nie warto było tracić więcej czasu.

Rozdział ósmy

Popas w Baugency

Pod koniec października Fiora i Leonarda opuściły Rabaudiere eskortowane przez nieumiejącego ukryć swej radości Florenta. Czyż nie było normalne - jak wyjaśnił ostatniej nocy Khatoun, którą ogarnęła szaleńcza zazdrość - że cieszy się na spotkanie z rodzicami? Ponaglał zatem do odjazdu, by przerwać rozczulanie się przy pożegnaniu, a przed wszystkim, by nie musieć patrzeć na młodą Tatarkę stojącą na progu i przyciskającą do siebie zaciekle małego Filipa, niezbyt zadowolonego z takiego traktowania i wrzeszczącego tak głośno, że musiała interweniować Petronela. Czarne oczy dziewczyny płonęły jednocześnie gniewem i rozpaczą, gdy tymczasem siedząca na mule Fiora wydawała ostatnie polecenia wesołym tonem, jakby wyruszała w podróż dla czystej przyjemności.

Wersja oficjalna brzmiała tak, że Agnolo Nardi pragnie, by przyjechała do Paryża, gdyż ma do niej kilka ważnych spraw. Czując, że się starzeje, handlowiec chciał poinformować spadkobierczynię Francesca Beltramiego, czym powinna się zająć, jeśli jego zabraknie. Oczywiście było to kłamstwo, gdyż interesy młodej kobiety były obecnie powadzone twardą ręką przez samego Lorenza Medyceusza. W rzeczywistości Agnolo napisał do Fiory, że on sam i jego żona Agnelle, podobnie jak wszyscy domownicy, pragną tylko jednego: znów ją zobaczyć i gościć u siebie jak najdłużej. Nie mieli pojęcia o rzeczywistej przyczynie planowanego pobytu Fiory w Paryżu.

Petronela i Stefan w swej prostoduszności nie dostrzegli w tej podróży niczego nadzwyczajnego. Według nich Fiora, którą szczerze kochali, przekształciła się w wędrownego ptaka. W ich oczach liczyło się tylko jedno: całkowicie im ufała i dzięki niej nie mieli żadnych zmartwień materialnych. Poza tym mieszkało z nimi dziecko, dające im miłe złudzenie, że są dziadkami.

Ku swemu żalowi Fiora nie mogła się pożegnać z Douglasem Mortimerem. Szkot, którego usługi król coraz bardziej cenił, wykonywał pewną misję. Oznaczało to, że nikt, z wyjątkiem Ludwika XI, nie wiedział, gdzie przebywa. Samemu władcy młoda kobieta rankiem w dniu wyjazdu przekazała list zapowiadający jej kilkutygodniową nieobecność spowodowaną podróżą w interesach. Zbyt dobrze знаła jego nieufność, by sobie pozwolić na opuszczenie domu bez powiadomienia go. Zabezpieczywszy w ten sposób tyły, Fiora z dość spokojnym sercem ruszyła w drogę do Paryża, wiodącą przez Tours, Amboise, Beaugency i Orlean.

Była to przyjemna podróż, odbywana bez zbytniego pośpiechu, by oszczędzić Leonardę. Pogoda, choć jesienna, była piękna i wprawdzie noce stawały się chłodne, a czasem deszczowe, lecz słońce jakby postawiło sobie zadanie pojawiania się co dzień o świcie, a po południu pozwalało nadal na otwieranie okien i długie pogawędki przed domami.

Zbliżając się do Paryża, Fiora spostrzegła, że ma inne wrażenia niż te, które były jej udziałem trzy i pół roku wcześniej, gdy przybyła tu z Leonardą, Demetriosem i Estebanem. Przeżywając jeszcze tragiczną śmierć ojca i okrutne wydarzenia, które po niej nastąpiły, pragnęła jedynie schronienia, miejsca, gdzie nikt jej nie będzie znać i gdzie będzie mogła odbudować siły do walki, którą poprzysięgła prowadzić.

Tym razem pozwoliła sobie na rozglądanie się wokół i spostrzegła, że okolice Paryża są równie przyjemne, jak brzegi Loary: równiny pokryte polami uprawnymi, stoki obsadzone winoroślą lub drzewami owocowymi, zielone od pastwisk doliny, lasy i zagajniki, zamki, z których niektóre wyglądały na świeżo wybudowane, a w miarę jak zbliżali się do celu - również spore miasteczka, spokojne wioski i wielkie opactwa. Same mury stolicy robiły wrażenie odnowionych. Ludwik XI ściśle nadzorował fortyfikacje swych największych miast i wspierał ich remonty.

W Paryżu, nad którym nie ciążyło, jak w czasie poprzedniego pobytu, zagrożenie ze strony Anglików, ulice wypełniał hałaśliwy, ożywiony i barwny tłum. Nie było słycać odgłosu kroków maszerujących oddziałów wojska. Z wyjątkiem gwardzistów przy Bramie Świętego Jakuba i wartowników usytuowanych przy strzegących dwóch mostów zamkach - Petit Chatelet i Grand Chatelet - podróżni nie napotkali żadnego mężczyzny ubranego w kolczugę czy hełm.

- Jaką piękną rzeczą jest jednak pokój! - zauważył Florent, rzucając jednocześnie mordercze spojrzenie w kierunku grupy studentów, którzy gwizdali na widok przejeżdżającej Fiory i przesyłali jej całusy.

- No to spróbuj go nie zakłócać i przestań zajmować się tymi chłopakami!... I postaraj się, żebyśmy posuwali się trochę szybciej! Spieszno mi ujrzeć fronton domu messera Nardiego!

Po minięciu mostu Grand-Pont i położonych przy nim hałaśliwych młynów oraz wielkiej rzeźni z jej obrzydliwymi wyziewami wnętrzości i świętej krwi, dotarli do miejsca przeznaczenia. Kobiety zobaczyły z przyjemnością, że nic się tu nie zmieniło: piękny malowany szyld wciąż kołysał się majestatycznie, a czerwone jęczyczki chorągiewek na dachach nadal powoli obracały się na wieczornym wietrze. Okna o lśniących szybkach jak niegdyś otwierały się na

przestronne komnaty przyjemnie pachnące świeżym woskiem i ciepłym chlebem, a w magazynach na parterze pracownicy z gęsimi piórami w dłoniach jak zawsze pochylali się na opasłymi, oprawnymi w pergamin rejestrami. Ale widok Agnola Nardiego przywołanego przez Florenta, ścisnął Fiorze serce. Owszem, odnalazła w nim tego samego krągłego, ciemnowłosego, choć trochę siwiejącego mężczyznę, ale teraz szedł, opierając się na lasce. Oczy młodej kobiety wypełniły się łzami. Ta laska, choć ozdobiona srebrną gałką, była dowodem na to, czego zacny Agnolo doświadczył, poświęcając się dla Fiory: został poddany torturze przypiekania ogniem przez bezlitosnego Montesecca, który chciał wydobyć z niego adres młodej kobiety. Miał szczęście, że w ogóle mógł nadal chodzić! Kiedy Fiora zeskoczyła na ziemię i podbiegła, by go uściskać, poczuł, że jej policzki są mokre.

- Płaczesz, donno Fiore? - zawołał. - A to ci przywitanie! A my jesteśmy tacy szczęśliwi, że przyjechałaś!

- Płaczę ze wstydu, przyjacielu, i z żalu, gdyż to przeze mnie musiałeś tyle wycierpieć i...

- Cii! Nie byłem wcale taki dzielny, bo ci bandyci szybko wpadli na pomysł, by zająć się moją Agnelle... i wtedy oczywiście powiedziałem im wszystko, czego chcieli. Jeśli ktoś winien prosić o wybaczenie, to ja!

- W takim razie nie mówmy o tym więcej! Dzięki Bogu Montesecco zapłacił za swoje zbrodnie. A raczej za zbrodnię, w której uczestnictwa odmówił.

- Jak to?

- W czasie spisku Pazzich ostatniej Wielkanocy nie zgodził się zaatakować Medyceuszy w Duomo, ale i tak został pojmany i ścięty.

- Pan Bóg zawsze jest sprawiedliwy! A teraz wejdź szybko do środka! Florent zaprowadzi zwierzęta do stajni. Na pewno zna drogę, więc...

Przerwał mu okrzyk radości. We właściwy sobie sposób, czyli jak trąba powietrzna, z domu wybiegła, ubrana w błękitną aksamitną suknię, wciąż tak samo jasnowłosa i niebieskooka Agnelle. Padła Fiorze w ramiona, całując ją i ściskając, po czym rzuciła się na szyję Leonardzie.

- Jak na dyskretny przyjazd całkiem nieźle! - wymamrotał Agnolo, rzucając okiem na okoliczne okna, w których rozsiadł się wianuszek sąsiadek.

- A kto mówił o dyskrekcji? - zaprotestowała jego żona. - Dlaczego mielibyśmy ukrywać przybycie naszej donny Fiory, którą kochamy jak własną córkę?

Wprowadziła jednak wszystkich do wnętrza domu, gdzie rozpoczął się już balet służących, mających za zadanie przygotowanie pokojów i wieczornego posiłku. Leonarda i Fiora z przyjemnością znów rozlokowały się w znajomych

pokojach, a Florent pospieszył do biura, by pochwalić się swą świeżo osiągniętą pozycją stajennego wielkiej damy i swym eleganckim strojem z szarej materii noszonym pod obszernym płaszczem podbitym popielicami. Później miał iść do ojca, Gauchera le Cauchois, urzędnika w biurze wymiany, by uściskać matkę i siostry, i tam spędzić noc.

Był więc nieobecny, gdy po kolacji zamknięto wszystkie drzwi i służące poszły spać, a Fiora opowiedziała przyjaciołom o kłopotach, w jakich się znalazła, przy czym w najmniejszym stopniu nie starała się usprawiedliwiać.

- Z listów Leonardy i moich wiecie, w jaką bezsensowną historię zostałam wciągnięta, zanim wreszcie mogłam wrócić do Florencji i przeżyć tam kilka tygodni spokoju. Powiedziałabym, że niemal szczęścia, gdyż w czasie tego pobytu... pokochałam Lorenza Medyceusza, a on pokochał mnie. Nie ukrywam, że poczułam pokusę, by tam zostać, sprowadzić syna i Leonardę. Oczywiście sądziłam, że jestem wdową, lecz choćbym miała tu paść trupem ze wstydu, przyznam, że nawet wiedząc, że mój małżonek żyje, chyba zachowałabym się tak samo...

Fiora zamilkła na chwilę. Zanim zaczęła opowiadać, odsunęła się od stołu na taką odległość, by stojący na nim wielki świecznik nie oświetlał zbyt wyraźnie jej twarzy. Miała bowiem świadomość niestosowności takich słów w domu uczciwych i wiernych sobie nawzajem małżonków. Agnola i Agnelle łączyła głęboka miłość i z całą pewnością tej kobiecie nigdy nie przyszłoby do głowy choć spojrzeć na innego mężczyznę niż jej mąż. Mimo to na tych dwóch zwróconych w jej stronę twarzach Fiora nie zobaczyła niczego, co przypominałoby potępienie. Wręcz przeciwnie, Agnelle uśmiechnęła się do niej.

- Znasz pana Lorenza od zawsze, prawda?

- Rzeczywiście, od zawsze...

- Więc może kochałaś go już wcześniej, nie zdając sobie z tego sprawy? Agnolo nieustannie powtarzał, że to najwybitniejszy człowiek naszych czasów, a jego urok jest niezwykły...

- Bardzo to do ciebie podobne, droga Agnelle: od razu szukasz wytłumaczenia dla mojego błędu, ale kiedyś nie kochałam Lorenza. Byłam zakochana w jego bracie, Giulianie. Dodam, że zapomniałam o nim natychmiast po poznaniu Filipa de Selongeya. Mimo tej wyrozumiałości będziesz więc miała może pewien kłopot ze zrozumieniem mnie, gdyż nawet będąc z Lorenzem, nigdy nie przestałam kochać Filipa, i kiedy się dowiedziałam od pana de Commynes'a, że król go ułaskawił i że nadal żyje,

moim jedynym pragnieniem był powrót do niego, moją jedyną nadzieją odnalezienie go...

Z drugiego końca stołu dobiegł spokojny, nieco zgłuszony głos Agnola:

- Kto z nas może się pochwalić życiem bez słabości? Zapomnisz o panu Lorenzo, jak zapomniałaś o jego bracie!

- Nie. Zapomnienie w obecnej sytuacji jest niemożliwe i dlatego przyjechałam prosić was o pomoc... jeśli za bardzo mną nie pogardzacie!

Zapadła krótka chwila ciszy. Agnelle wstała, podeszła do Fiory od tyłu i objąwszy ją za szyję, powiedziała spokojnie:

- Myślę, Agnolo, że powinieneś się upewnić, że drzwi są dokładnie zamknięte.

Jej mąż uniósł brew, uśmiechnął się i wyszedł z komnaty. Odgłos jego nierównych kroków powoli się oddalał. Wtedy, nie zwalniając czulego uścisku, Agnelle szepnęła Fiorze na ucho:

- Kiedy dziecko ma przyjść na świat?

- W kwietniu, jak sądzę, ale za nic nie chciałabym wam sprawić kłopotu.

- Cii! Nie będzie żadnego kłopotu. Skoro twój małżonek żyje, narodziny muszą pozostać w tajemnicy.

- Tego właśnie pragnę i dlatego chciałam wyjechać, zanim staną się widoczne zewnętrzne oznaki.

- Miałaś całkowitą rację. Ten dom jest duży...

- Nie - przerwała Leonarda. - Tutaj też to niemożliwe. Zapomniałaś o zamieszaniu wywołanym przez nasze przybycie? Poza tym są służące, pracownicy twojego męża. Co to by była za tajemnica! Myślałyśmy raczej o wynajęciu waszego domu w Suresnes, w którym kiedyś odbywałam rekonwalescencję po złamaniu nogi.

Agnelle powoli się wyprostowała i przeszła kilka kroków wzdłuż kominka, po czym się zatrzymała.

- Czy to dla was problem? - zapytała Fiora.

- Martwię się o ciebie. To dom, w którym mieszkamy tylko latem, a ty chcesz tam spędzić zimę mimo wilgoci panującej na brzegach Sekwany...

- Kominki ciągną doskonale - podjęła Leonarda - a ja dobrze znam dom i jego otoczenie. Sądzę, że nigdzie nie będziemy mniej widoczne. Oczywiście nie ma mowy o tym, żeby się tam wprowadzać z całą świtą. Fiora będzie uchodzić za włoską kuzynkę albo bratanicę twego małżonka, która znalazła się w trudnej sytuacji, a ja mogę być całkiem przekonującą damą do towarzystwa. Ani prace domowe, ani opieka nad położnicą nie są mi straszne.

- Chcecie tam mieszkać same?

- Naturalnie - odpowiedziała Fiora. - Młody Florent jest mi oddany, ale nie ma o niczym pojęcia i zamierzam odesłać go do Rabaudiere.

- To niemożliwe! - powiedziała Agnelle kategorycznie. Dom, jak wiesz, położony jest nieco na uboczu. Potrzebna jest pomoc mężczyzny, choćby do noszenia drewna, wody i do cięższych prac. Florent zna to miejsce, gdyż długo zajmował się ogrodem, zna także okolicznych mieszkańców. Jeśli przyjmiemy koncepcję bratanicy Agnola, nikogo nie zdziwi jego obecność w Suresnes. Dlaczego nie chcesz go wprowadzić w całą sprawę? Podpadł czymś?

Fiora zaczerwieniła się i nie odpowiedziała. Leonarda zrobiła to zamiast niej.

- W żaden sposób, ale Fiorze przeszkadza to, że - wiesz o tym zresztą - jest w niej zakochany od pierwszego ich spotkania, które miało miejsce właśnie tutaj. Obawia się, że może go zgorszyć... może nawet zranić.

- Słabo go znasz. Będzie dumny z powodu okazanego mu zaufania, a tym bardziej z tego, że jego obowiązkiem będzie czuwanie nad kobietą, którą tak kocha. Ale teraz musimy pilnie rozważyć problem bardziej istotny: dziecko. Co zamierzasz z nim zrobić? Nie możesz wrócić z nim do domu...

- Wiem - powiedziała Fiora. - Uwierz, że to dla mnie bolesne. Nie mogę pogodzić się z myślą, że będę musiała się z nim rozstać. Trzeba będzie jednak znaleźć godnych zaufania rodziców zastępczych...

- A nie pomyślałaś o nas? - zawołała szczerze oburzona Agnelle. - Gdzie znajdziesz rodziców lepszych niż Agnolo i ja, których niebiosy nie obdarzyły dzieckiem? I gdzie mu będzie lepiej niż tutaj, gdzie będziesz mogła swobodnie je odwiedzać, kiedy tylko zapragniesz? Mam pomysł. A gdybyś została jego matka chrzestną?

Teraz z kolei Fiora wstała, by wziąć zaciąg kobietę w ramiona i przycisnąć do piersi.

- Chcę ci coś wyznać: miałam nadzieję, że tak powiesz.

- Ale nie byłaś pewna? Dlaczego?

- Byłam pewna tego, jaką jesteś kobietą. Jest jednak twój mąż. On może być przeciwny. Znam jego zasady...

- Tylko że nie znasz jego serca. Zaiste, moja droga przyjaciółko, nie bardzo umiesz oceniać mężczyzn. Mój Agnolo będzie wniebowzięty, mogąc wychowywać jak własne dziecko pana Lorenza i swojej drogiej donny Fiory.

I rzeczywiście był. Ze łzami w oczach dziękował młodej kobiecie za dowód przywiązania, który chciała im oferować.

- Uczynię z niego mężczyznę godnego twego drogiego ojca - obiecał.

- A jeśli to dziewczynka? Trzeba brać pod uwagę taką ewentualność.

- Jeśli tak, to będzie światłem tego domu.

Jeśli chodzi o Florenta, to Agnelle знаła go lepiej niż Fiora i doskonale go oceniła. Dowiedziawszy się, czego się od niego oczekuje, przyklęknął przed młodą kobietą jak rycerz przed swoją damą, i przysiągł, że będzie strzegł jej i mającego się narodzić dziecka, nawet za cenę życia, jeśli zajdzie potrzeba. Znając tajemnicę tak niebezpieczną dla przyszłego spokoju tej, którą kochał, czuł się ogromnie dumny, a poza tym zachwycony: perspektywa długiego przebywania z Fiorą pod jednym dachem, bez innych poza Leonardą świadków, niezwykle mu się podobała. W związku z tym poczuł się tak silny i mądry jak wszyscy rycerze Karola Wielkiego razem wzięci. Lekki niepokój obudziła w nim, rzecz jasna, myśl o Khatoun i jej postawie wobec tak długiej nieobecności, ale nawet jeśliby po powrocie musiał ścierpieć nieprzyjemne sceny, to gra naprawdę była warta świeczki.

Podczas trzech następnych dni Fiora i Leonarda zachowywały się jak przybyłe z wizytą cudzoziemskie damy. Wraz z Agnelle udały się do Notre-Dame, do Sainte-Chapelle i wałęsały się po targach. Dokonały wielu zakupów na słynnej ulicy de la Lingerie przylegającej do Cmentarza Niewiniątek, gdzie grzebano większość paryskich zmarłych. Nie omieszkały dać jałmużny tamtejszej pustelnicy, czcigodnej Agnieszce* du Rocher, która siedemdziesiąt pięć lat wcześniej, w wieku osiemnastu lat, kazała się zamurować w ciasnej komórcie bez drzwi i okien, a dostęp do niej dawała tylko wąska szczelina wychodząca na cmentarz. Przed tą szczeliną, przez którą dojrzeć można było jedynie stertę odstręczających łachmanów, a dostrzeżenie twarzy było niemożliwe, zawsze klęczał tłumek modlących się kobiet. Fiora wrzuciła dwie złote monety na drugą stronę pokrytego zaciekami muru.

* Agnieszka żyła tak do 1483 roku i zmarła w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat.

- Nie zatrzyma ich dla siebie - szepnęła Agnelle. - Zanim zapadnie zmrok, otrzyma je jakiś nieszczęśnik, który przyjdzie błagać ją o wsparcie. Tak czy inaczej, zrobiłaś dobry uczynek.

Z wnętrza dobiegł załamujący się, drżący głos, jakby nie całkiem z tego świata, który wypowiedział podziękowania w imieniu Najwyższego i błogosławieństwo.

- Jak młoda dziewczyna może skazywać się na podobne męki? - spytała poruszona Leonarda. - Dlaczego nie wybrała raczej klasztoru?

- Może dlatego, że konieczna była głęboka ekspiacja. Mówią, że Agnieszka wywodzi się ze szlacheckiego rodu, że pokochała chłopca nie ze swojej sfery i miała z nim dziecko. Podobno jej ojciec zabił własnymi rękami i kochanka, i noworodka. Ledwie doszedłszy do siebie po porodzie, Agnieszka uzyskała od

biskupa Paryża pozwolenie na zamurowanie w rekluzorium. Wokół cmentarza było ich wiele. Zaraz pokażę wam grób siostry Alk la Bourgotte, zmarłej w 1466 roku, na którym król kazał ustawić posąg naturalnej wielkości i umieścić te słowa:

Tu spoczywa siostra Alix la Bourgotte, Co w rekluzorium życie pobożne spędziła, Tam lat czterdzieści osiem Z pokorą wytrwała.

Fiora jednak nie miała ochoty na oglądanie nagrobka tej świętej kobiety. Tak przesadna pokuta budziła w niej rodzaj odrazy i choć rozumiała, że zrozpaczona dziewczyna może zdecydować się na szukanie schronienia w klasztorze, za bardzo ceniła życie, ten dar od Boga, by dopuszczać taką formę samobójstwa; w istocie wcale samobójstwem to nie było, gdyż pokutnice, latami skazane na wilgoć, zimno, a nawet mróz, albo na ekstremalnie gorąco, trwały przy życiu przez niekończące się lata. Lepiej było, sto razy lepiej, skonać od upału na wysuszonych szlakach do Composteli albo utonąć, żeglując ku Ziemi Świętej!

Jej własne grzechy miłosne były znacznie poważniejsze niż przewiny tej Agnieszki, która w istocie cierpiała za cudzą zbrodnię, ale myśl o zamknięciu się w takim niedomkniętym grobie, by gnić tam bez końca w brudzie i odchodach, budziła w Fiorze obrzydzenie. Leonarda uświadomiła to sobie i pociągnęła ją ku wyjściu.

- To nie jest widok dla przyszłej matki - szepnęła. - A Bóg nie wymaga tak wiele od nieszczęsnych ludzi, gdyż w przeciwnym razie raj po Sądzie Ostatecznym pozostałby przeraźliwie pusty!

Fiora uśmiechnęła się do niej i pod peleryną opiekuńczym ruchem przesunęła dłoń po brzuchu. W miarę jak mijały dni, coraz bardziej przywiązywała się do tej nieznannej istotki rosnącej w jej ciele i zaczęła myśleć, że nieuniknione rozstanie nie będzie może wyzwoleniem, lecz rozdarciem bardziej okrutnym, niż się spodziewała.

Podczas gdy kobiety przemierzały Paryż, Florent na polecenie Agnola odbywał codzienne podróże do Suresnes, by doprowadzić dom do stanu umożliwiającego względnie wygodne przezimowanie. Wioska należąca do opactwa Saint-Leuffroy, które z kolei podlegało majętnemu i potężnemu opactwu Saint-Germain-des-Pres, nie posiadała żadnych źródeł dochodów poza rozciągającymi się na zboczach winnicami i stadami owiec, które latem zajmowały pastwiska na stoku góry Yalerien. Dzięki staraniom Florenta oraz pełnej troski i przezorności Agnelle wszystko było gotowe w przewidzianym czasie i kiedy czwartego dnia Fiora i Leonarda równie radośnie, co hałaśliwie zegnały się ze swoimi przyjaciółmi, mogły patrzeć w przyszłość z ufnością.

Wyglądało na to, że kiedy dziecko znajdzie się u Nardich, zacni ludzie z ulicy des Lombards nigdy nie skojarzą eleganckiej damy spędzającej w Paryżu kilka dni w pałdzierniku z biedną dziewczyną przybyłą ukryć swój wstyd z dala od rodzinnych stron.

Sąsiedzi, o których mowa, byliby bardzo zaskoczeni, gdyby jakąś godzinę później mogli zobaczyć dziwną scenę rozgrywającą się w opuszczonym szałasie drwali w lesie Rouvray: wielka dama i jej towarzyszka zamieniły kosztowne stroje podróżne na suknie i płaszcze z grubej, szarej lub czarnej tkaniny oraz płócienne czepce, które nasunęły na oczy, zapewniając sobie w ten sposób skromny, nieprzyciągający uwagi przechodniów wygląd. Następnie podróżni ruszyli w dalszą drogę do Suresnes, gdzie dotarli pod koniec dnia, o tej szarej, nieokreślonej godzinie, kiedy to nie sposób odróżnić psa od wilka. Dzwony opactwa świętego Lutfryda już dobrą chwilę wcześniej wezwały na wieczorną modlitwę Anioł Pański.

Usytuowana między stokami góry Valerien i Sekwaną, na której urywał się jej sad, zagroda Agnola Nardiego składała się z tegoż sadu, pięknej winnicy wspinającej się na łagodne zbocze i z ogrodu otaczającego niski dom zbudowany z drewnianych bali i gipsu na kamiennej podmurówce, w której znajdowały się spiżarnia i piwnica. Zewnętrzne schody prowadziły na piętro, okryte wysokim, stromym dachem. Dwie lub trzy przybudówki, w tym stajnia, tworzyły na zapleczu nieregularne podwórko z wykopanym pośrodku bajorkiem, w którym cały dzień grzebały i taplały się kury i kaczki. Stary mężczyzna, węźlasty jak winorośl i niemal tak samo mało rozmowny, ojciec Anicet, zasadniczo pilnował posiadłości, chronionej przez sąsiedztwo z opactwem, i czuwał nad winoroślą z okresową, lecz znaczącą pomocą dwóch starych kawalerów z wioski, braci Gobertów. Mieszkał w domku na brzegu rzeki, co pozwalało mu na oddawanie się temu, co oprócz miejscowych win lubił najbardziej: wędkarstwu. Poza tym nigdy nie wchodził do głównego domu, w którym zaraz po przybyciu Florent zapalił wcześniej przygotowane w kominkach drewno.

Mieszkanie składało się z dużej kuchni, służącej także jako jadalnia, z czterech sypialni i z wygodki. Meble były proste, ale solidne i dobrze dobrane, podobnie jak tkaniny obiciowe nadające ciepło pokojom, w których nie brakowało nawet dywanów. Rękę Agnelle dostrzec można było zwłaszcza w obfitości i jakości bielizny i przedmiotów użytkowych. Żadnych luksusów, rzecz jasna, ale nie brakowało niczego, co mogło uczynić zimowy pobyt wygodnym...

- Jeśli nie będzie bardzo dużego przyboru wody - powiedział Florent, który je oprowadzał - nie musimy się obawiać powodzi. Zdarzyło się już, że woda dotarła aż do piwnic, ale zawsze można wyjść od tyłu, gdyż dom usytuowany jest na stoku. Sądzisz, że będziesz się tu dobrze czuła, donno Fioro?

Kobieta odpowiedziała mu uśmiechem.

- Bardzo dobrze. Byłam tego zresztą pewna od czasu, gdy przebywała tu pani Leonarda. Popatrz na nią, Florencie, już czuje się u jak siebie.

Życie szybko zaczęło się toczyć w regularnym rytmie, odmierzonym biciem dzwonu klasztoru świętego Lutfryda obwieszczającym nabożeństwa. Dwie kobiety zajmowały się prowadzeniem domu i gotowaniem, szyły, haftowały lub spędzały wieczory przy kominku, przy którym spotykali się we trójkę. Florent zajmował się cięższymi pracami i aprowizacją. Fiora była wyraźnie weselsza niż w czasie pierwszej ciąży i chętnie spacerowała po terenie posiadłości. Nie chciała pokazywać się w wiosce, by nie budzić ciekawości. Jednak korzystając z babiego lata, namówiła Florenta, by zabrał ją i Leonardę na szczyt góry Valerien, skąd roztaczał się słynący ze swej urody widok Paryża. Wydawało jej się, że kontemplowanie natury ma dobry wpływ na ciążę. Zresztą góra stała się celem pielgrzymek, odkąd zamieszkał na niej pustelnik imieniem Antoni. Chcąc stworzyć coś w rodzaju kalwarii, wznosił na nim trzy drewniane krzyże, przed którymi modlił się rano i wieczorem.

Aby nie przeszkadzać świętemu mężowi w modlitwach, Fiora i Leonarda wspięły się po zalesionym zboczach wczesnym popołudniem. I rzeczywiście, nie spotkały nikogo, dostrzegły jedynie szalę z gałęzi, który zbudował sobie na skraju lasu. Panorama roztaczająca się z góry była cudowna. Paryż, zamknięty w pierścieniu murów obronnych i przecięty długą, szarą wstęgą Sekwany, najeżony złocistymi iglicami wież kościelnych, podobny był do wielkiego srebrnego kielicha na złotomiedzianym tle, gdyż wokół niego rozciągały się ogromne lasy w jesiennych barwach. W lasach tych ręka człowieka wycięła polany, na których wyrastały miasteczka: Saint-Denis, Courbevoie i Colombes na obrzeżu pastwisk pod Longchamp; w kierunku Saint-Germain leżały Vaucresson i Montesson, a w lesie Montmorency osady Montmagny, Montlignon, Adilly; dalej, w stronę Marne - Montreuil, Chennevieres, Vincennes, podczas gdy na południu widać było dzwonnice Arcueil, Sceaux, Fresnes i Villeneuve-Roi. Florent, który dobrze znał okolice, z przyjemnością objaśniał, a Fiora podziwiała ten wspaniały widok z zachwytem. Pośród tego morza drzew - poczerwieniałych, zbrązowiałych, pożółkłych, złocistych - stolica zdawała się wibrować własnym życiem w promieniach późnopołudniowego słońca. Unosiła się nad nią opalizująca mgła, która

rozwiewała się w jasnym błękitcie nieba. Fiora, która często ze swej willi we Fiesole podziwiała Florencję, myśląc, że żadne inne miasto na świecie nie może równać się jej urodzie, Fiora, podziwiająca niegdyś Rzym migoczący purpurowymi blaskami wspaniałego zachodu słońca, trwała w niemym zachwycie wobec widoku tego spokojnego i majestatycznego wielkiego miasta, którego jednak król nie lubił.

- Dlaczego? - szepnęła, myśląc na głos, z czego nawet nie zdawała sobie sprawy. - Dlaczego król Ludwik tak rzadko tu przyjeżdża? Przecież Paryż jest go godny...

- Tak, ale Paryż zbyt długo pozostawał angielski i królowi nie udaje się o tym zapomnieć - rzekła Leonarda. - Wspomnienia są zbyt świeże i potrzeba może będzie kolejnego władcy, kolejnej generacji, aby Paryż wreszcie wrócił do łask. Król troszczy się o niego: to już coś... A dla nas to w pewnym sensie dobrze: nie narażamy się na spotkanie z nim.

Kiedy zbliżyło się Boże Narodzenie, nadeszły chłody i spadł śnieg. Noce zakłócało wycie wilków. Florent i ojciec Anicet jeszcze staranniejsze niż zwykle doglądali ogrodzeń. Mówiło się, że w pobliskim lesie urządzili sobie kryjówki zbójcy, ale żaden nie ośmielił się zbliżyć do potężnego opactwa i kilku domów, które schroniły się pod jego kamiennym skrzydłem.

Fiora nadal czuła się dobrze, ale powoli zaczynało ogarniać ją znużenie. Wieści z Turenii docierały rzadko. Leonarda napisała do Stefana, że Fiora zaraziła się jakąś chorobą, która bardzo ją osłabiła i uniemożliwiła podjęcie podróży powrotnej, zwłaszcza zimą. Miała wrócić dopiero na wiosnę, jeśli wszystko dobrze pójdzie... W odpowiedzi otrzymała, raz za pośrednictwem Agnelle, później przywiezione przez Agnola, krótkie listy napisane niewprawną ręką. Zaczynał Stefan umiać czytać, ale pisanie nie było jego mocną stroną. Khatoun zaś, do której Fiora napisała niedługi liścik, nie odpowiedziała, co nieustannie niepokoiło młodą kobietę, gdyż Khatoun umiała doskonale i czytać, i pisać. Florent uznał, że młoda Tatarka się dąsa, ale zachował to dla siebie, ograniczywszy się do stwierdzenia, że na ogół brak wiadomości oznacza dobre wiadomości. A skoro Stefan twierdził, że mały Filip rośnie jak na drożdżach, nie było żadnego powodu do niepokoju.

- Mam jednak ochotę wysłać cię tam - powiedział Fiora pewnego dnia. - Ta cisza nie jest normalna. Skoro wiedzą, że choruję, mogliby się chociaż zainteresować, jak się czuję.

- W jaki sposób? Żaden z mieszkańców Rabaudiere nie może ruszyć w tak daleką drogę w tę zimnicę. A mały pan Filip potrzebuje wszystkich domowników...

Była to święta prawda. Jednakże Fiora nie mogła powstrzymać się od myśli, że Douglas Mortimer, któremu jako prawdziwemu Szkotowi niestraszne były mrozy i śnieżyce, mógłby przyjechać z Paryża... Cierpiała z powodu tej obojętności. Było tak, jakby opuszczając Dom w Barwinkach, zatarła nawet wspomnienie o sobie. Tak spieszno było jej teraz do powrotu, iż miała wrażenie, że oczekiwane dziecko nigdy się nie narodzi...

Gdy minął okres bożonarodzeniowy i noworoczny, dni zdawały się wlec jeszcze bardziej rozpaczliwie. Leonarda cierpiała z powodu reumatyzmu i połowa kapusty, którą trzymano w spiżarni, zmieniła się w kataplazmy. Zima na szczęście nie była bardzo mroźna, ale kiedy stopniał śnieg, Sekwana zaczęła przybierać. Kobiety przyglądały się przez okno, jak powoli woda opanowuje sad, później zalewa ogród, a wreszcie schody. Jeden stopień, drugi stopień... Piwnica napełniła się wodą, co nie stanowiło zagrożenia dla beczek, ale dla innych zapasów tak, i Florent strawił całą noc na przenoszenie garnców z soloną żywnością, szynek, a potem jabłek i gruszek, aby uniknąć całkowitego ich zalania. Przemyśliwał już nawet nad wyniesieniem mebli do winnicy i zaprowadzeniem obu kobiet do pustelnika na górze Valerien, kiedy nagle, w ciągu kilku godzin, jakby ktoś wyciągnął szpunt z cebra, błotnista woda opadła. Sad przestał przypominać plantację gęsih piór zanurzonych w szarym atramencie i ukazała się ziemia - błotnista, rozmiękczone, ale jednak ziemia.

Były kolejne alarmy, kiedy pod koniec zimy ulewne deszcze przygięły drzewa do ziemi, łamiąc gałęzie. Florent całymi dniami siedział na brzegu rzeki ze wzrokiem wbitym w powierzchnię wody. Fiora zaś, osiagająca już maksymalny obwód brzucha, postanowiła negować jakiegokolwiek zagrożenie, postępując zgodnie ze starą sentencją, że to, czego się do siebie nie dopuszcza, nie istnieje. Niemożliwością było jednak negowanie bólów biednej Leonardy. Choć Leonarda miała służyć pomocą przyszłej matce, sama wymagała opieki i Fiora spędziła długie godziny na pielęgnacji jej bolesnych stawów. W końcu zapomniiała nawet o swoim stanie. Czuła się tak, jakby wraz z dwojgiem towarzyszy znajdowała się wewnątrz bańki z ciepłym powietrzem płynącej po wzburzonych falach, które mogły nagle pochłonąć ich na zawsze.

A potem nagle wszystko się zmieniło. W ostatnich dniach marca, zgodnie z kalendarzem, przyszła wiosna. Na drzewach owocowych pojawiły się pączki, a przez błoto przebiły się cienkie, zielone nitki zapowiadające trawę. Fiora pomyślała wówczas, że dziecko nie każe już długo na siebie czekać. I rzeczywiście w nocy z 4 na 5 kwietnia poczuła bóle, niezbyt silne, ale na tyle częste, że zawołała Leonardę, która z kolei obudziła Florenta, każąc mu rozpaść ogień pod kuchnią i nastawić wodę do zagotowania, podczas gdy ona

sama przygotowała wszystko, co niezbędne. Od dawna już czekał duży kosz mający służyć za kołyskę.

Wszystko przebiegło znacznie szybciej, niż oczekiwano, i woda w wielkim garze ledwo zdążyła się zagrzać: pół godziny po pierwszym jęku Fiora wydała na świat córeczkę. Nie czuła najmniejszego zmęczenia i niewiele brakowało, by wstała z łóżka, aby pomóc Leonardzie w zajęciu się noworodkiem.

- Tyle się wycierpiałam, kiedy rodził się mały Filip! Czy naprawdę można wydać na świat dziecko w tak krótkim czasie?

- Jak widać! - powiedziała Leonarda ze śmiechem. - Pierwszy poród jest zawsze dosyć długi, ale nasza mała panienka najwyraźniej bardzo spieszyła się na ten świat. Och, moje jagniątko, jest taka podobna do ciebie!

I Leonarda, która skończyła opatulanie dziewczynki, zaczęła płakać, kołysząc ją w ramionach. Na ten widok Florent, przyszedłszy z naręczem polan do kominka, upuścił je na ziemię.

- Dlaczego tak płaczesz, pani Leonardo? Czy dziecko nie...

- Nie, czuje się bardzo dobrze, ale obudziło we mnie tyle wspomnień! Nie byłaś wiele starsza, Fioro, kiedy po raz pierwszy wzięłam cię na ręce, a teraz mam wrażenie, że wszystko zaczyna się od początku!

- Bogu dzięki, okoliczności nie są takie same - powiedziała Fiora łagodnie.

- Niewątpliwie są mniej tragiczne, ale prawie równie smutne. Ta dziewczynka nie będzie cię nazywać matką, tak jak ty nie nazywałaś nią swojej.

Teraz z kolei oczy Fiory wypełniły się łzami. Uświadomiła sobie, że aż do chwili pierwszego krzyku, dziecko, które nosiła, wydawało się jej przeszkodą, pokutą, a nawet zagrożeniem, jako że jego pojawienie się mogło spowodować powstanie zapory nie do pokonania między nią a mężczyzną, którego kocha. Nie oczekiwała go z taką radością, z taką dumą, jak małego Filipa. Ale teraz nie było już abstrakcją: to była żywa istotka, ciało z jej ciała, krew z krwi, i kiedy Leonarda delikatnie położyła je w zagłębieniu jej ramienia, z prawdziwą czułością, prawdziwą miłością przytknęła drżące wargi do malusieńkiej okrągłej główki, na której puszyste brązowe włoski tworzyły jakby grzebyczek...

- Och, Leonardo - wykrztusiła - co z nami będzie? Jak mogłam choć przez chwilę myśleć, że będę mogła się z nią rozstać? Już ją Kocham...

- Wybacz mi, proszę, że w chwili, która powinna być szczęśliwa, dałam upust uczuciom, które starałam się przed tobą ukrywać przez cały ten czas. Nie wiedziałam, że to będzie dziewczynka. A kiedy się okazało, że tak... tama pękła.

- Myślałaś o mojej matce. I ja teraz o niej myślę. Jakże musiała cierpieć, wiedząc, że opuści ten świat, zostawiając mnie samą!

- Z tobą tak nie będzie. To dziecko będzie cię znać i nawet jeśli nie dowie się, że jesteś jego matką, jestem pewna, że cię pokocha... A właściwie, jak zamierzasz dać jej na imię? Powinna mieć florenckie imię, skoro zasadniczo jest córką siostrzenicy tego zacnego Agnola.

- To oczywiste. Lorenza... Lorenza-Maria po mojej matce.

Mimo wyrzutów Leonardy Fiora nie zgodziła się na rozdzielenie jej z córką. Aż do wschodu słońca tuliła ją do siebie, szeptała czule, delikatnie głaskała malusieńkie rączki i okrągłą buzię, która miała gładkość i barwę brzoskwini. Jej zdobyte z zaskoczenia serce przepełniała miłość i smutek. I kiedy rano Leonarda przyszła zabrać dziecko, by je przewinąć i nakarmić odrobiną wody z miodem, Fiora miała wrażenie, że traci część siebie samej.

- Zaraz przyniesiesz ją z powrotem, prawda?

- Nie, Fioro. Ty też powinnaś trochę się ogarnąć, nie mówiąc o odpoczynku. Lorenza pośpi trochę w swoim koszyku... ale ustawię go przy twoim łóżku, obiecuję.

- Nie poinformujesz od razu Agnola i Agnelle, prawda? Zostawisz mi ją na trochę?

W jej głosie było tyle lęku, że stara panna poczuła, jak jej serce się ściska. Od pierwszej chwili obawiała się tego wybuchu miłości macierzyńskiej. Widok tej zbolalej twarzy, na której wylane nocą łzy zostawiły bruzdy, głęboko ją poruszył.

- To nierozsądne. Im dłużej będziesz to odkładać, tym bardziej rozdzierające będzie rozstanie. Poza tym Agnelle pewnie umówiła już mamkę.

- Dlaczego miałabym przez jakiś czas nie karmić mojej córki? W końcu nie spieszy nam się chyba? Dobrze nam tutaj...

- Zapomniałaś o swoim synu? Mija sześć miesięcy, odkąd go opuściłaś, a nie można powiedzieć, żebyś z nim długo mieszkała. Nie brak ci go?

- Brak, oczywiście, ale wydaje mi się, że jeszcze bardziej Kocham tę malutką istotkę. On ma wszystko...

- Oprócz ojca! - powiedziała Leonarda poważnie. - Lorenza będzie miała oboje rodziców, nie licząc ciebie, która nie straci jej z oczu. No i nie zapominaj, że pochodzi ze znamienitego rodu, to prawdziwa florentynka i...

- Oczywiście, jest nią bardziej niż ja. Wyznam ci jednak, że zupełnie nie myślałam o jej ojcu, kiedy jej oczekiwałam, a nawet teraz... To dowód, że tak naprawdę nie kochałam Lorenza. A ona ma niewielką szansę, by kiedykolwiek go poznać.

- Nic o tym nie wiesz. Jaką ty sama, biorąc pod uwagę okropne okoliczności twego przyjścia na świat, miałaś szansę na poznanie Florencji? Pozwól, że wyślę ojca Aniceta do Paryża z wiadomością. Florent jest zbyt znany. Lepiej, żeby go nie widziano w tamtej okolicy akurat teraz.

Fiora rozpaczliwie płakała, a nawet błagała, ale Leonarda, pozornie bezlitosna, choć z rozdartym sercem, zabandażowała jej ściśle piersi, by powstrzymać napływ mleka, zauważając zresztą, że właściwie może nie jest to konieczne, gdyż po urodzeniu Filipa Fiora nie miała pokarmu. A ponieważ teraz jej łzy i błagania przerodziły się w gniew, głos gospodyni stał się surowy:

- Przestań się zachowywać jak dziecko! Ta mała potrzebuje pokarmu, a nie będziemy co dwie minuty przystawiać jej do piersi innej osobie. Pomyśl trochę o niej!

Trzeba było pogodzić się z sytuacją. Zresztą nazajutrz rano państwo Nardi, drżąc z radości, której nie śmieli okazywać wobec rozpachy młodej matki, przybyli do Suresnes z końmi i wygodnym powozem, aby noworodek odbył swą pierwszą podróż w jak najlepszych warunkach. Starannie wybrana mamka czekała już w domu przy ulicy des Lombards. Jak Trzej Królowie z Pisma Świętego przywieźli prezenty - niepraktyczne i urocze koronki i pomady dla Fiory - które były wyrazem ich miłości.

Kiedy Fiora, płacząc jak bóbr, sama podała swoją córkę Agnelle, ta ucałowała ją czule.

- Wiem, ile cię to kosztuje, droga przyjaciółko, ale bądź pewna, że Lorenza dostanie wszystko, czego dziecko może pragnąć, i że oboje z Agnolem będziemy ją kochać z całego serca. Zresztą, jeśli nie będziesz mogła jej wkrótce odwiedzić, obiecuję, że latem przyjedziemy z nią do Turenii...

- Nie wiem, czy to byłoby bardzo rozsądne - westchnęła Leonarda. - Już teraz widać, że Lorenza-Maria jest bardzo podobna do swojej matki...

- I całe szczęście - powiedział Agnolo - gdyż żal by mi jej było, gdyby przypominała swego znamienitego ojca, który jest wyjątkowo szpetny! Pozwólmy jednak, by natura uczyniła swoje, i zobaczymy, co będzie!

- Lorenza-Maria! - westchnęła Agnelle, kołysząc z rozgwieżdżonym wzrokiem białe zawiniątko, na które Fiora patrzyła z rozpaczą. - Jak ładnie! Tak więc tym imieniem zostanie ochrzczona dziś wieczorem w kościele Świętego Meredyka...

- Dziś wieczorem? - zdziwiła się Leonarda. - A kogo wskażecie jako rodziców?

- Nie mamy wielkiego wyboru - odpowiedział Agnolo. - Możemy ją zgłosić jedynie jako dziecko nieznanymi rodziców, a Agnelle i ja wystąpimy jako

rodzice chrzestni. Oczywiście dwoje sąsiadów będzie nam towarzyszyć w roli świadków.

- A więc nie będzie nosić swego prawdziwego nazwiska? - szepnęła Fiora. - Przecież mogłaby nazywać się dei Medici albo przynajmniej Beltrami.

- Tak słabo mnie znasz? - powiedział Agnolo. - Ksiądz dostanie pieniądze i tak to załatwię, żeby uznał mnie za ojca...

- No tak - zbuntowała się Agnelle - bardzo to miłe względem mnie! Tym bardziej że zasadniczo jest to córka twojej siostrzenicy!

- Nie obawiaj się - rzekł kupiec ze śmiechem. - Kiedy im się płaci, księża w kancelarii parafialnej nie są zbyt skrupulatni, a to pozwoli temu aniołkowi na noszenie naszego nazwiska: będzie się nazywała Lorenza-Maria dei Nardi. Czy to nie najważniejsze?

- Oczywiście! Ty masz zawsze najlepsze pomysły... Kiedy opuścili gospodarstwo, dom wydał się pusty, jakby zabrali ze sobą całe światło i ciepło. Oparta na poduszkach, od których odcinał się jej gruby czarny warkocz, Fiora w milczeniu patrzyła na swoje wyciągnięte ramiona, na dłonie spoczywające na cienkim prześcieradle wnętrzem ku górze. Były puste i nagle stało się to dla niej nieznośne. Podnosząc powieki, spojrzała na Leonardę, która opadła na ławkę i płakała, podparta łokciami na kolanach, z głową w dłoniach. Florenta oparty o okap kominka patrzył niewidzącym wzrokiem na dogasający ogień. Oboje zastygli nieruchomo, a ten bezruch zdawał się nie mieć końca. Nie śmieli odwrócić się w kierunku łóżka... Można było odnieść wrażenie, że również ich życie zatrzymało się z chwilą odjazdu powozu, którego ciche skrzypienie słyszeć jeszcze było, kiedy oddalał się w kierunku starego romańskiego mostu.

Nagły poryw gniewu wyrwał młodą kobietę z gorzkich rozmyślań. Nie będzie tkwić tak nieruchomo i głupio czekać, aż przestanie ją boleć serce. Jej donośny, jasny, rozkazujący głos sprawił, że tamtych dwoje podskoczyło.

- Podaj mi szlafrok, moja droga Leonardo! Chcę wstać. Stara panna natychmiast znalazła się przy niej, na wpół zaniepokojona, na wpół rozgniewana.

- Nawet o tym nie myśl! Zaledwie dwa dni temu urodziłaś.

- I co z tego? Petronela opowiadała mi kiedyś o znajomej wieśniaczce, która poczuła bóle porodowe w chwili, gdy zrywała czereśnie. Urodziła dziecko, a dwa dni później pojechała sprzedawać te czereśnie na targu w Notre-Dame-la-Riche. Nie sądzę, bym była bardziej słabowita od niej.

- Jeszcze trochę cierpliwości. Może chociaż dwa lub trzy dni?

- Nawet jednego! Zrozum, że nie mogę znieść tego domu teraz... kiedy jej tu nie ma. Jutro rano ruszymy w podróż powrotną do domu. Jedyne proszę was

oboje, by dom został uporządkowany i by o świcie wszystko było gotowe do wyjazdu.

- To nie zajmie wiele czasu - powiedziała ze smutkiem Leonarda. - Niewiele tu naszych rzeczy...

- Naprawdę chcesz wyjechać, donno Fioro? - zapytał Florent, który badawczo przyglądał się jej bladej twarzy i szarym oczom powiększonym przez niebieskawe cienie.

- Nie podoba ci się to, że źle wyglądam? Sądzę, że to dobrze się składa, bo przecież mam sprawiać wrażenie osoby, która przebyła ciężką chorobę. Byłoby fatalnie, gdybym wróciła rumiana i z zaokrąglonymi policzkami. Myślę, że w domu będę mniej cierpieć!

Po tej uwadze Fiora postanowiła, że wyruszą przed świtem, aby nikt ich nie dostrzegł, gdyż nie miała najmniejszej ochoty przebierać się w lesie. Nikt jej nie widział w trakcie tego sześciomiesięcznego pobytu i uważała, że dobrze będzie, jeśli tak pozostanie. Podczas gdy Florent po załadowaniu niewielkiego bagażu kończył zakładać uprzęż mułom, posłała jednak Leonardę po ojca Aniceta.

Człeczyna wykazywał się wzorową wręcz dyskrecją do tego stopnia, że kiedy Fiora schodziła do ogrodu, gdy on sam się tam znajdował, gwizdał na swego psa i odwróciwszy się na pięcie, odchodził. Młoda kobieta zamierzała mu za to podziękować.

- Opuszczam ten dom - powiedziała do niego - i nigdy więcej tu nie wrócę. Nigdy więcej zatem się nie zobaczymy, ale przed wyjazdem chciałabym dowieść ci swej wdzięczności za ciszę i samotność, których nie zakłócałeś.

Ojciec Anicet spojrzał na szczupłą, czarną postać, zawiniętą w długi ciemny płaszcz, którego kaptur podbity płowym lisem skrywał połowę twarzy, a później na pięć sztuk złota, które dłoń w czarnej rękawiczce wsunęła do jego ręki. Na krótką chwilę jego powieki, zmarszczone jak u żółwia, uniosły się i odsłoniły zadziwiająco bystre, jak na człowieka w tym wieku, źrenice.

- Nigdy cię nie widziałem - powiedział wreszcie. - Czy naprawdę chcesz, bym pamiętał o tym, że ktoś mieszkał w tym domu?

- Nie. Wolę, żebyś o tym zapomniał, ale trochę złota nigdy nikomu nie zaszkodziło.

- Słusznie! Toteż zaraz pójdę zapalić świeczkę świętemu Lutfrydowi, by podziękować mu za znalezienie tego złota w opuszczonym domu...

I skłoniwszy się niezgrabnie, ale zarazem mocno zacisnąwszy stwardniałą dłoń na błyszczących monetach, wyszedł z domu i podśpiewując, ruszył w dół ku rzece, by wyciągnąć sieci.

Kwadrans później troje podróżnych także oddaliło się od domu i powoli ruszyło wąską drogą biegnącą brzegiem Sekwany, którą mieli podążać aż do Meudon, a stamtąd, nie wjeżdżając do Paryża, jechać dalej głównym szlakiem do Orleanu. Krzyże na górze Valerien i dzwonnice opactwa świętego Lutfryda zniknęły za drzewami gęstego lasu, kiedy słońce, niby wielka czerwona kula, wtoczyło się na szare niebo, nadając mu różową barwę zapowiadającą wiatr.

Jedynym ustępstwem Fiory na rzecz Leonardy była zgoda, by nie jechali zbyt szybko. Leonarda posłużyła się argumentem swych dolegliwości reumatycznych, nasilonych z powodu panującej przez ostatnie dni wilgoci, bowiem wiedziała, że jeśli by nie powołała się na własne zdrowie, młoda kobieta narzuciłaby mordercze tempo. Toteż był już wieczór, kiedy trzy dni później podróżni zauważyli ciężki, czworoboczny donżon zamku, dzwonnice i wysoką kwadratową wieżę opactwa Matki Boskiej w Beaugency.

Przekroczywszy mury obronne - dosłownie w ostatniej chwili przed zamknięciem bram - zobaczyli, że w mieście panuje wielkie ożywienie, szczególnie na placu du Martroi, który wypełniony był służbą, końmi i powozami. Wszyscy tłoczyli się przed zajazdem z szyldem Ecu de France, gdzie Fiora zamierzała się zatrzymać na noc. Najwyraźniej właściciele starali się pomieścić w swej gospodzie świętę jakiegoś wielkiego pana.

- I co zrobimy? - zapytała Fiora. - Nie ma mowy, byśmy dziś jeszcze pojechali dalej.

- Są tylko dwa rozwiązania - westchnęła Leonarda. - Można poszukać innego, mniej obleganego zajazdu, albo poprosić o schronienie mnichów z opactwa na brzegu rzeki. Zajmij się tym, Florencie, a my pójdziemy pomodlić się do tego tu kościółka. Za bardzo bolą mnie plecy, żebyś mogła ci towarzyszyć w tych poszukiwaniach... Idziesz, Fioro?

Ta nie odpowiedziała. Przyglądała się z zainteresowaniem jakiemuś paziowi, za którym dwóch służących niosło w kierunku gospody pudła i kufry. Wszyscy trzej nosili tabardy z herbem swego pana i właśnie ten herb zwrócił uwagę Fiory, gdyż przypomniawszy sobie, że widziała go bardzo często, gdy przebywała w otoczeniu Karola Zuchwałego: był to wielki herb Burgundii przekreślony ukośnym pasem oznaczającym nieprawie pochodzenie. Nie miała czasu zastanowić się nad tym, gdyż jakiś wysoki mężczyzna, elegancki i majestatyczny mimo przekroczonej pięćdziesiątki, wyszedł z czapką w dłoni z kościoła uniesiony żegnany przez księży. Prawie nie zmienił się przez dwa lata i Fiora, niemal machinalnie, zeszła z muła, by mu się ukłonić. Był to ten, którego cała Europa nazywała Wielkim Bastardem - Antoni Burgundzki, niegdyś najlepszy i najwierniejszy z dowódców armii Karola Zuchwałego, jego

przyrodni brat, który walczył u jego boku do końca. Dostał się do niewoli po nieszczęsnej bitwie pod Nancy, ale szybko odzyskał wolność i mówiło się o nim jako o jednym z najbardziej gorących zwolenników powrotu Burgundii do Francji.

Od pierwszego spojrzenia rozpoznał Fiozę i uśmiechnąwszy się nagle, podszedł do niej z wyciągniętymi ramionami.

- Pani de Selongey! Cóż za zbieg okoliczności sprawia, że spotykam cię tutaj?

- Jestem w podróży, panie. Wracam do domu, do Turenii, po pobycie w Paryżu.

- Do Turenii? Czy nie powinnaś być w Burgundii? A może twój mąż już tam nie przebywa?

- Mijają dwa lata, odkąd nie widziałam Filipa, panie. Los uparł się, by nas rozdzielić...

- Jak to się stało?

- To długa i smutna historia, trudna do opowiedzenia w miejscu publicznym...

- Oczywiście, ale nie przy stole. Mam nadzieję, że uczynisz mi zaszczyt i zjesz ze mną kolację? Wygląda na to, że mamy sobie wiele do powiedzenia.

- Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność, panie, ale właśnie przyjechaliśmy do tego miasta - pani Leonarda, mój sługa i ja - i musimy znaleźć jakąś kwaterę.

- A tymczasem ja zająłem najlepsze? - powiedział ze śmiechem. - Łatwo to zorganizować. Jeden z moich urzędników z przyjemnością odda swój pokój dwóm damom. Zaś twój służący prześpi się w stajni, tak jak moi. Nie, nie! Nie uciekniesz mi. Złapałem cię i trzymam!

I podczas gdy jeden ze stajennych otrzymał polecenie, by wypatrywać Florenta, Fiora i Leonarda weszły do zajazdu, gdzie natychmiast zaoferowano im jeden z najlepszych pokojów.

- Jak to dobrze mieć znajomych w wyższych sferach - skomentowała Leonarda. - To bardzo uprzyjemnia podróż.

- Wszystko zależy od znajomych. Wcale nie przysłużyła nam się znajomość z kardynałem delia Rovere... a masz szczęście, że nie poznałaś papieża!

- Rzeczywiście, nie żałuję tego! W każdym razie naprawdę zastanawiam się, co tu robi ten wielki pan burgundzki.

Fiora dowiedziała się tego godzinę później, kiedy to siedziała naprzeciwko niego i delektowała się pasztetem ze szczupaka, swoim ulubionym daniem. Jedli kolację sami, a obsługiwał im jeden z paziów, który w miarę jak oberżysta

przysyłał na górę potrawy, przynosił je na stół. Zgadując bowiem, że jego gość może mieć jakieś poufne informacje, Wielki Bastard zdecydował się przyjąć ją na osobności, w swojej komnacie. Aby wzbudzić jej zaufanie zaczął od wyjaśnienia przyczyn swojej obecności w Beaugency: udawał się do zamku w Plessisles-Tours, aby podziękować królowi, który nie tylko potwierdził jego prawo własności do dotąd posiadanych ziem burgundzkich, ale przyłączył do nich kolejne.

- Nie sądzę - dodał - bym źle wybrał, uznając Ludwika XI za władcę. Gdyby moja bratanica Maria postanowiła panować sama nad Stanami Burgundii, z radością oddałbym mój miecz na jej służbę, ale nie mogę się zgodzić na jej chęć przyłączenia do cesarstwa niemieckiego posiadłości Wielkich Książąt Zachodu. Burgundia zrodziła się z Francji, jej książęta wywodzili się od Ludwika Świętego, a kwiaty lilii nie mogą służyć za karmę dla niemieckich orłów. Poza tym Maksymilian jest jedynie reprezentacyjnym naiwniakiem, podczas gdy Walezjusz jest wielkim władcą, nawet ze wszystkimi swymi wadami i znacznie mniej reprezentacyjną aparycją. Najwyższy czas, by Selongey zdał sobie z tego sprawę...

- Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek mu się to uda, panie. Obawiam się, że stan jego umysłu jest mi nieznany.

- Mówisz, że nie widzieliście się od dwóch lat? Co się takiego stało? Masz teraz wystarczająco dużo czasu, by mi opowiedzieć tę długą historię, i wierz mi, że nie kieruje mną niestosowna ciekawość, lecz przyjaźń, którą nadal żywię dla twojego męża, i szacunek, jaki powziąłem podczas tego tak straszliwego roku dla twojej odwagi. Ile masz lat, donno Fioro?

- Dwadzieścia jeden, panie.

- Ja pięćdziesiąt osiem. Mógłbym być twoim dziadkiem, a zależy mi, by to podkreślić, abyś wiedziała, że możesz spodziewać się po mnie zrozumienia... i wyrozumiałości.

- Będzie mi potrzebna, bo obawiam się, że to ja jestem odpowiedzialna za to, że Filip i ja rozstaliśmy się pod Nancy. Miałam wtedy nadzieję, że to koniec tej zbyt długiej rozłąki, a on myślał tylko o tym, by zamknąć mnie w Selongey, podczas gdy sam nadal będzie walczył dla pani Marii. Nie mogłam tego znieść i...

- I rozłąka się przedłużyła. Obiecałem ci wyrozumiałość, moja droga, ale kobieta jest przede wszystkim strażniczką ogniska domowego. Pani Joanna-Maria, moja nadobna małżonka, ani na chwilę nie opuściła przez wszystkie te trudne lata naszego zamku w Tournehem, który ma po ojcu. Wychowała tam

nasze dzieci... ale proszę cię o wybaczenie: historie starego człowieka są mało interesujące, a to ty miałaś mówić.

Fiora opowiadała długo, nie starając się umniejszać swych win względem męża, jednak starannie pomijając wątek namiętnego związku z Lorenzem i jego niedawnych następstw. Jej opowieść zatrzymała się na kartuzji Val-de-Benediction...

- Ślad Filipa urywa się na progu klasztoru i nikt nie może mi powiedzieć, co się z nim stało. Wyznam, iż obawiam się bardzo, że zgubiliśmy go na zawsze. Czy odbył z pielgrzymami całą drogę? Czy wraz z nimi wrócił? A później... dokąd mógł pójść? Czy ktoś ulitował się nad człowiekiem, który utracił pamięć? Myśl, że mógł umrzeć w nędzy na jakiejś odludnej drodze, często mnie prześladowała... ale gdzie go teraz szukać?

Jako że usługujący paż został już dawno odprawiony, Wielki Bastard nappełnił kielich Fiory, a później swój, i zatopił w wielkich oczach barwy chmur uśmiechnięte spojrzenie.

- Dlaczego nie w Brugii? - zaproponował.

- W Brugii? Ależ on już dawno opuścił to miasto.

- Ale na pewno chętnie by tam wrócił. Uważam, że to bardzo piękne miasto...

Ze ściśniętym sercem Fiora, rozczarowana i oburzona, spojrzała na niego zasepionym wzrokiem.

- To niepięknie, panie, że sobie ze mnie drwisz.

- Ależ ja sobie z ciebie nie drwię. Uważam nawet, że nasze spotkanie jest jeszcze szczęśliwszym zbiegiem okoliczności, niż sądziłem, i że Bóg odegrał tu jakąś rolę. Mogę cię zapewnić, a wiem to z pewnego źródła, że Selongey znajdował się w Brugii w czasie ostatniego Bożego Narodzenia.

- To niemożliwe?!

- A to dlaczego? Ktoś, kogo dobrze znam, widział go na dworze księżnej, a nawet z nim rozmawiał. Zapewniam cię, że zdawał się w pełni władz umysłowych, choć nie był bardzo rozmowny, jak mi mówiono.

- Ale kto go widział? Tę osobę mogło zwieść podobieństwo zewnętrzne.

- Musiałaby go nie znać. Tymczasem pani de Schulembourg, która jest teściową mojej córki Joanny i najlepszą przyjaciółką mojej małżonki, choć nie jesteśmy już w tym samym obozie, zna Selongeya od dziecka. Znalazła go bladym i posepnym. Na jej pytania nie odpowiedział ani słowem. To prawda, że ta zacna dama jest dość gadatliwa, ale mogę cię zapewnić, że to był on.

- Filip w Brugii! - wykrztusiła oszołomiona Fiora. - To nieprawdopodobne...

- Może, ale tak jest! Pani de Schulembourg była tak mocno poruszona tym spotkaniem, że spiesznie udała się do Tournehem, by o nim opowiedzieć mojej małżonce. Wiesz, że trwa rozejm między parą Maria - Maksymilian i królem Ludwikiem? Spotkania są więc łatwiejsze... Ale co ci jest?

Opadłszy na poduszki wyściełające jej fotel, Fiora - pobladła, z zaciśniętymi nozdrzami i zamkniętymi oczami - zdawała się tracić przytomność. Targały nią dwa sprzeczne uczucia: radość i gniew. Radość z powodu wiadomości, że Filip znów jest sobą, a gniew dlatego, że ledwo wydobył się z koszmaru, w którym omal nie stracił życia, nie miał nic pilniejszego do zrobienia, niż popędzić do swojej najdroższej księżnej! A to oznaczało, że nigdy nie wróci do niej i że ostatecznie przewrócił kartę, na której zapisane było imię Fiory...

Uczucie chłodu na czole sprawiło, że otworzyła oczy. Antoni Burgundzki zwilżał jej skronie za pomocą mokrej serwetki, a jego niepokój był tak widoczny, że aż się uśmiechnęła.

- Bardzo dziękuję, panie, ale to nic takiego... to tylko radość. Istotnie to Bóg sprawił, że cię spotkałam.

- Ja też tak sądzę, ale napij się trochę tego hiszpańskiego wina, którego kilka butelek zawsze zabieram w podróż! Dobrze ci robi, a Bóg nie zobaczy w tym niczego niestosownego.

Fiora wypiła, czując jednak, że jej gniew tylko rośnie. Poprosiła więc o pozwolenie na odejście, tłumacząc to jakże naturalną potrzebą wypoczynku. Książę dwornie odprowadził ją do samych drzwi, trzymając za rękę.

- Czy jutro ruszymy razem w drogę, skoro jedziemy w tę samą stronę?

To proste pytanie natychmiast zmieniło najbliższe plany Fiory, która zresztą nie bardzo wiedziała, co czuła jeszcze przed chwilą.

- Nie, panie, żałuję, ale chcę udać się do Brugii. Natomiast, jeśli by Wasza Wysokość zechciał odprowadzić panią Leonardę do mojego dworu w Rabaudiere, byłabym nieskończenie wdzięczna. Cierpi na bóle zbyt silne, by znieść kolejną długą podróż...

- Z przyjemnością, lecz czy sądzisz, że to rozsądne: ruszać samej w tak daleką drogę?

- Mój służący będzie mnie ochraniać, a poza tym nie zamierzam być długo nieobecna.

Trudno było namówić Leonardę do zgody na tę zmianę planów. Stara panna niemal dostała białej gorączki, zaklinała swoje jagniątko do zrezygnowania z tego bezsensownego zamiaru, jednak zbyt dobrze знаła wychowanek, by nie wiedzieć, że nic nie zmieni jej decyzji, że była gotowa odbyć podróż dookoła świata, by wykonać swój nieco odwetowy plan.

- Jesteś zadowolona, ale jeszcze bardziej rozgniewana, prawda? - zapytała.
- To prawda! Najwyższy czas, by Filip przypomniał sobie, że istnieję i że musi wybrać, i to niezwłocznie, między swoją księżną a mną!
- Nie jest dobrze stawiać ultimatum mężczyźnie, a zwłaszcza o takim charakterze. Już chyba wystarczająco żałowałaś poprzedniego.
- Tak, ale wtedy jeszcze wierzyłam w jego miłość...
- Przypomnij sobie to, co mi opowiedziałaś! Jego majaczenia, kiedy chory leżał w Villeneuve!

Fiora roześmiała się cicho ze smutkiem, ale ten śmiech natychmiast zmienił się w kolejny wybuch gniewu.

- No cóż, należy sądzić, że wspomnienie o mnie gości już tylko w jego koszmarach! Tylko że teraz mam córeczkę, którą kocham i z którą musiałam się rozstać, więc chciałabym, żeby moje poświęcenie chociaż czemuś służyło. Najwyższy czas, żebym ostatecznie się z Filipem rozmówiła...

- Zupełnie ostatecznie? Powiedz mu zatem przede wszystkim, że ma syna! Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby ta wiadomość nie zmieniła jego spojrzenia na sprawę! Ale... przyjmijmy najgorsze: co zrobisz, jeśli cię odtrąci?

Fiora nie od razu odpowiedziała. To brutalne pytanie smagnęło ją jak biczem, a ból, który poczuła, sprawił, że zrozumiała, iż nigdy nie zdoła wyrzucić ze swego serca obrazu Filipa. Jednakże w tej chwili wolałaby umrzeć, niż to przyznać. Z nagłą pasją rzuciła:

- W takim wypadku nic mnie tu nie zatrzyma! Wezmę na ręce moje dzieci i wrócimy do Florencji. Z tobą, oczywiście. Tam przynajmniej będę otoczona ludźmi, którzy mnie kochają!

Nazajutrz rano, pozostawiwszy Leonardę w towarzystwie kapelana Antoniego Burgundzkiego, by przy nim kontynuowała podróż do Domu w Barwinkach, Fiora w towarzystwie przeszczęśliwego Florenta ruszyła pędem drogą do Paryża, przez który chciała przejechać, nie zatrzymując się, by jak najszybciej dotrzeć do Flandrii.

Rozdział dziewiąty

W Brugii

Jeśli Leonarda po powrocie do domu starała się uspokoić swoje obawy nadzieją, że długa podróż przez północną część Francji uśmierzy gniew Fiory, to się myliła. Gdy koń - w Beaugency Fiora zamieniła muły na dwa solidne wierzchowce - niósł ją w kierunku pałacu Marii Burgundzkiej, młoda kobieta nieustannie rozpamiętywała swoje rozczarowanie i pretensje. Tym razem nikt nie mógł obarczyć jej najmniejszą odpowiedzialnością za dziwne zachowanie małżonka. Prawda jawiła się z oślepiającą jasnością i zawierała w kilku słowach: Filip nigdy naprawdę jej nie kochał!

Pożądał jej, tak, tego była pewna. Wystarczy wspomnieć, jakiego małżeńskiego prawa zażądał w chwili zawarcia małżeństwa: jedna jedyna noc! Rzecz jasna, kiedy później spotkał Fiorę będącą w niewoli Karola Zuchwałego, obudziła się w nim zazdrość na wieść o tym, co młoda kobieta nazywała „epizodem Campobassa” i po upadku Nancy kochał ją namiętnie... przez trzy noce. Ale później? No cóż, później było mu w głowie tylko jedno: walczyć dla księżnej Marii, pojechać do księżnej Marii, zostać rycerzem księżnej Marii... tej uprzykrzonej księżnej Marii, do której spieszo mu było powrócić, gdy tylko udało mu się umknąć

kartuzom z Villeneuve! I teraz to na dworze tej kobiety miała go odnaleźć! To ona była prawdziwą księżniczką, urodzoną pod złocistym sklepieniem pałacu, a nie na więziennej słomie. Poza tym mówiono, że jest zachwycająca, a jakby te atuty nie wystarczały, posiadała najjaśniejszą aureolę: była córką Zuchwałego, tego teraz niemal legendarnego księcia, którego Filip darzył większą czcią niż własnego ojca!

W miarę jak mijał czas i pod kopytami konia przesuwawała się droga, ta myśl zakotwiczyła się coraz mocniej w umyśle Fiory i stawała się oczywistością, drażniącą jak trudno gojące się oparzenie: drapiesz je, pogłębia się i powstaje rana...

Florent zaś, kiedy minęła pierwsza radość, poczuł, jak ogarnia go wciąż rosnący niepokój. Kobieta o zaciętej twarzy, surowym spojrzeniu, która cały dzień jechała obok niego bez słowa, która wraz z nadejściem zmroku zamykała się w pokoju w zajeździe, by nieco odpocząć, zostawiając go samego przez cały wieczór, nie była - nie mogła być! - tą donną Fiorą, którą po cichu uwielbiał. Nie wiedząc, co skłoniło ją do tej bezsensownej podróży w chwili, gdy ledwie co doszła do siebie po porodzie, młody człowiek domyślał się, że chodzi o coś poważnego, o coś, z powodu czego cierpiała. Toteż zaczął, z nadzieją i obawą

jednocześnie, wypatrywać na horyzoncie Brugii, którą trochę znał, jako że kiedyś był tam z Agnolem Nardim w interesach. Jedno wydawało się pewne: Fiora zmierzała ku temu miastu jak na spotkanie z wrogiem. Kiedy po przebyciu równiny usianej wielkoskrzydłymi wiatrakami i poprzecinanej długimi kanałami, których tęczowo połyskująca powierzchnia odbijała niebo, zobaczyli Brugię, Fiora zatrzymała konia i przystanęła, by lepiej przyjrzeć się nieprzyjaciółce. Musiała przyznać, że jest bardzo piękna, i ten podziw sprawił, że jej uraza jeszcze się nasiliła...

Położona nad rzeką Reye i nad jeziorem, jak Wenecja nad laguną, perła Flandrii odcinała się na tle zmiennego nieba koroną białego i różowego kamienia. Strzelista, nieco pochylona wieża Beffroi była tak wysoka, że strażnikom zdawało się, iż znajdują się w połowie drogi do nieba. Poniżej widać było złociste szczyty domów wieńczące z przepychem dachy z cielistej dachówki, które ze względów bezpieczeństwa od czasów Filipa Dobrego zastąpiły słomę i drewno. Położony nad głębokim nurtem rzeki pas murów obronnych zdobiły srebrzyste wierzby, bluszcz i kępy rudych lewkonii. Zresztą, za sprawą wody dzielącej ją od stałego lądu, Brugia właściwie nie potrzebowała fortyfikacji.

W świetle zachodzącego słońca miasto żyło, wibrowało, brzęczało jak jesienny las. Był to widok o pięknie tak uderzającym, że Fiora uznała je za bezczelne. To miasto, jedno z najbogatszych na świecie, okazało się także jednym z najwspanialszych. Splendor dawnych książąt Burgundii ukazywał się w całej okazałości, najwyraźniej nienaruszony. Legenda robiła wrażenie zaklętej w kamień.

- Piękne, prawda? - ośmielił się zapytać Florent.

- Aż za bardzo! Rozumiem, że można pragnąć tu powrócić. Ale to nie jest wystarczający powód...

I po tych zagadkowych słowach, które do reszty zbiły z tropu nieszczęsnego chłopca, Fiora spięła konia i ruszyła w kierunku Brugii, jakby chciała ją zdobyć szturmem. Galop trwał aż do bramy de Courtrai, którą trzeba było przekroczyć w nieco spokojniejszym tempie. Później Fiora zatrzymała się nagle i zwróciła do swego towarzysza:

- Co teraz robimy?

- Ale... czy to nie ty, donno Fioro, powinnaś mi to powiedzieć? Nie mam pojęcia o twoich planach...

- To prawda, ale zrozumiałam, że znasz to miasto? Potrzebujemy teraz jakiejś kwatery, oberży, zajazdu. Mają tu chyba takie przybytki?

- Oczywiście, i to bardzo dobre. Mistrz Agnolo bardzo lubi Jeżynową Koronę położoną przy ulicy aux Laines, czyli, jak tu mówią, Wollestraat. Sądzę nawet, że to najlepszy zajazd.

- Niech będzie Jeżynowa Korona! Jeźdź przodem, Florencie, i prowadź!

Słyszając ten despotyczny ton, Florent pomyślał, że ma szczęście, posiadając doskonałą pamięć, gdyż donna Fiora nie zdawała się skłonna mu wybaczyć, gdyby zablądził. Bez większego problemu odnalazł właściwą drogę, co było godne uznania, gdyż Brugia, decydujące ogniwo handlu północnego Zachodu, kipiała aktywnością mimo bezlitosnej wojny, jaką prowadziły francuskie okręty z dostawcami angielskiej wełny czy wyrobów portugalskich.

Jeszcze bardziej godne uznania było przekonanie ostatniego potomka dynastii Cornelis, która od ponad stu lat strzegła renomy zajazdu, by udostępnił pani de Selongey godny jej pokój oraz przyzwoitą kwaterę jej służącemu. Kwiecień zbliżał się bowiem ku końcowi, a przygotowania do słynnej procesji Saint-Sang, która zawsze odbywała się 2 maja, zatrzymywały w Brugii wielu podróżnych, nie mówiąc o tych, których oczekiwano.

- Mogę przyjąć panią hrabinę tylko na dwa dni - uściślił Cornelis. - Później będę musiał ją prosić o zwolnienie pokoju dla klienta, który go zarezerwował.

- Choć, jak sądzę, to tylko kwestia pieniędzy - powiedziała młoda kobieta ze wzgardą - myślę, że dwa dni powinny mi wystarczyć. A teraz odpowiedz na dwa pytania: gdzie rezyduje księżna Maria?

Oczy oberżysty zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- W Prinzenhof! Wszyscy to wiedzą!

- Ja nie, bo w przeciwnym razie chyba bym cię o to nie pytała. A gdzie się znajduje ten... Prinzenhof?

- Niedaleko stąd. Obok Mennicy.

- To dopiero wyjaśnienie! Przejdźmy do mojego drugiego pytania: kto tu prowadzi kantor banku Medyceuszy?

- To także jest łatwe: messer Tommaso Portinari. Mieszka przy Naaldenstraat, w dawnej kamienicy pana Bladelin, który był skarbnikiem zakonu Złotego Runa*.

*** Obecnie klasztor sióstr misjonarek.**

- Sprawdź z moim służącym, czy zna drogę! Ja trochę się odświeżę, po czym udam się do messera Portinari, jeszcze przed kolacją.

- Jeśli mogę sobie pozwolić na radę, szlachetna pani, to chciałbym powiedzieć, że interesy messera Portinariego nie idą najlepiej od czasu śmierci księcia Karola, któremu pożyczył dużo pieniędzy. Może inny florencki bankier byłby bardziej atrakcyjny...

- Kto powiedział, że potrzebuję atrakcyjnego bankiera? Interesuje mnie jedynie przedstawiciel Medyceuszy.

Zgaszony tymi słowami Cornelis skłonił się i osobiście zaprowadził wymagającą klientkę do jej pokoju. Chwilę później Fiora, oczyszczona z pyłu podróznego i ubrana skromnie w szatę z szarego sukna i rudych lisów, kazała się zaanonsować u bankiera jako Fiora Beltrami.

Widząc skwapliwość, z jaką ją przyjęto, pomyślała najpierw, że nazwisko jej zmarłego ojca jeszcze coś znaczy, ale wkrótce zrozumiała swój błąd, a także to, że florenckie ploteczki rozprzestrzeniają się po Europie z zadziwiającą szybkością. Najwyraźniej względy okazywane jej przez Tommasa Portinarię skierowane były raczej do najnowszej faworyty Lorenza Medyceusza niż do córki Francesca Beltramięgo.

W dużym, ascetycznie urządzonej pomieszczeniu, ozdobionym wprawdzie tapiserią, ale za jedyne umeblowanie mającym obity żelazem kufer, Fiora ujrzała kłaniającego się jej grubego mężczyznę o przeredzonych włosach i ciemnej cerze, podwójnym podbródku i wydatnym brzuchu wydymającym piękną szatę z wykwintnej, pąsowej materii ozdobioną futrem.

- Dlaczego nie uprzedziłaś o swojej wizycie, donno Fioro? - powiedział z wyrzutem, przysuwając jej obite błękitnym aksamitem krzesło. - Miałbym czas, by doprowadzić mój skromny dom do stanu godnego przyjęcia Gwiazdy Florencji...

- Nowiny nieprędko tu dochodzą - powiedziała Fiora z półuśmiechem. - Niedługo minie rok, odkąd opuściłam nasze drogie miasto, by uporządkować pewne sprawy we Francji.

- Stało się to, mam nadzieję, za zgodą dostojnego pana Lorenza?

- Za jego całkowitą zgodą, nie obawiaj się! Zresztą te same sprawy nieco niespodziewanie przywiodły mnie tutaj, ale nie zamierzając pozostawać w Brugii długo, przybywam zobaczyć się z tobą zaraz po przyjeździe. Nie aby prosić cię o gościnę, bądź spokojny, zatrzymałam się w Jeżynowej Koronie. Jednakże mógłbyś być mi pomocny.

- Aha! - powiedział, rzucając na kufer spojrzenie, które mówiło więcej niż wszelkie słowa. - Tylko że... nie mam teraz funduszy. Przypuszczam - powiedział z wyraźnym zakłopotaniem - że dostojny pan Lorenzo jest do mnie źle nastawiony, gdyż mimo jego rozkazów, mój bank przekazał złoto nieżyjącemu księciu Karolowi Burgundzkiemu. Ale powinien zrozumieć, że mieszkając w Brugii, nie mogłem odmówić uczestniczenia w wysiłku wojennym, jakiego od niej wymagano.

- I w którym to udziale Brugia odmówiła, podobnie jak inne miasta flamandzkie! Tak się składa, że przebywałam w bliskim otoczeniu księcia Karola w ostatnich miesiącach jego życia...

Portinari mocno poczerwieniał, a jego twarz przybrała interesującą barwę starej cegły.

- Ja nie mogłem odmówić, gdyż księżę zaszczycał mnie szczególną przyjaźnią. Z drugiej strony, zdaje mi się, że twój ojciec sam przekazał sporą kwotę... Mówiło się o stu tysiącach florenów w złocie...

- To był mój posag - ucięła Fiora sucho - oferowany przez mego małżonka, hrabiego de Selongeya, swemu władcy. W każdym razie, niezależnie od tego, w jak wielkiej jesteś nędzy, przypuszczam, że jesteś w stanie honorować ten weksel - dodała, wyciągając ze swojej sakiewki starannie złożony papier.

Po urodzeniu Lorenzy-Marii kazała Agnolowi Nardiemu wystawić dwa weksle, myśląc, że będzie może ich potrzebować, gdyż nieostrożnością byłoby podróżowanie z dużą kwotą pieniędzy.

Bankier wziął weksel i szybko przebiegł go wzrokiem, po czym jego twarz się rozjaśniła.

- Sto dukatów? Oczywiście! Nasze kufry zawierają zawsze co najmniej taką kwotę.

- Zatem doskonale, ale to nie wszystko. Potrzebuję sukni!

- Sukni? - zapytał bankier, nie ukrywając zdumienia. - Ale ja nie jestem krawcem...

- Oczywiście, ale dobrze znasz to miasto i możesz przekonać jakąś szwaczkę, by pracowała dla mnie w nocy. Co się zaś tyczy materii, to jestem przekonana, że jako prawdziwy florentczyk, posiadasz pewien ich wybór...

Było bowiem niemal tradycją u bogatych florentczyków kolekcjonowanie, obok wszelkiego rodzaju cennych przedmiotów, także rzadkich materii, które przechowywano w kufkach z drewna sandałowego lub cedru, aby móc je eksponować w oknach w dniach wielkich uroczystości lub skroić z nich wykwintny strój, gdy przydarzy się okazja.

- Z pewnością... ale dlaczego już tej nocy?

- Ponieważ nie chcę tu dłużej zostawać i zamierzam starać się, by już jutro przyjęła mnie księżna Maria...

- Księżna? - zapytał bankier z lekko pogardliwym uśmieszkiem. - Nie bardzo wiem, jakiego rodzaju względy mogłabyś od niej uzyskać. Jej władza tutaj jest właściwie żadna. Rada miasta myśli tylko o tym, jak odzyskać niezależność, podobnie jest w Gandawie, Ypres i... innych miastach flamandzkich. Pani Maria i jej małżonek lubią przebywać w tym mieście i urządzić tu różnego

rodzaju przyjęcia i bale. Są przyjemni w obejściu, tworzą wykwintny i radosny klimat, toteż są tu raczej mile widziani. Jednakże jest wiele osób, które nie zapomniały surowych rządów Karola Zuchwałego czy nawet bezwzględności, z jaką jego ojciec, książę Filip, stłumił ostatnie rewolty. Teraz to miasto dzierży władzę.

Nie budziło żadnych wątpliwości, że Portinari lubił księżną nie bardziej niż sama Fiora. Przede wszystkim zżerała go ciekawość i właśnie po to, by skłonić gościa do zwierzeń, wygłosił tę długą przemowę. Zupełnie na marne.

- Muszę się z nią zobaczyć w sprawie prywatnej, niemającej nic wspólnego z władzą, ale moim zdaniem pilnej. A przecież nie mogę pojawić się na dworze ubrana tak, jak teraz...

- Istotnie, nie byłoby ci łatwo uzyskać pozwolenia na audiencję. No cóż, jeśli zechcesz mi towarzyszyć, sądzę, że zdołam ci pomóc, ale...

- Jest jeszcze jakieś ale?

- Bardzo niewielkie, uwierz mi! Czy zgodziłabyś wstawić się za mną u dostojnego pana Lorenza? Zdaje się, że ma mi okropnie za złe moje zachowanie w ciągu tych ostatnich wojen. A poza tym... jest jeszcze ta nieszczęsna sprawa Sądu Ostatecznego, z powodu której naraziłem się na jego gniew, choć jestem niewinny.

- Sądu Ostatecznego? A o co chodzi?

- O tryptyk wielkiego flamandzkiego malarza Hugo van der Goesa, który mój poprzednik, Angelo Tani, kupił, by przekazać w darze kościołowi San Lorenzo we Florencji. To było sześć lat temu, i to ja miałem zapakować i wysłać ten obraz... który nigdy nie dotarł na miejsce.

- A co się stało?

- Statek został zaatakowany wkrótce po wypłynięciu z portu przez dwóch korsarzy Hanzy i Sąd Ostateczny zdobi teraz wnętrze kościoła Matki Boskiej w Gdańsku*.

* W rzeczywistości w Gdańsku znajduje się Sąd Ostateczny innego flamandzkiego malarza z tej epoki Hansa Memlinga, którego van der Goes był mistrzem {przyp. red.}.

Uznano, że to ja jestem za to odpowiedzialny...

- Zasugerowano, że... atak był zaplanowany i że to ty sprzedałeś tryptyk?

- Zgadłaś. Jak stawić czoło takiemu oskarżeniu? Dlatego bardzo potrzebny mi jest ktoś, kto stanie w mojej obronie, w przeciwnym razie obawiam się, że nie będę mógł już nigdy wrócić do Florencji. A ta myśl jest dla mnie nie do zniesienia.

- Rozumiem cię lepiej, niż myślisz. Oczywiście nic nie mogę zrobić w kwestii tego skradzionego obrazu, ale mogę powiadomić pana Lorenza, że udzieliłeś mi cennej pomocy. Zresztą będzie to szczerą prawdą.

- O nic więcej nie proszę. Będziesz miała swoją suknię... Mam nadzieję, że pozwolisz, by była ona prezentem ode mnie?

Fiora zmarszczyła brwi. Zdanie to było co najmniej niezręczne. Nie mogąc w żaden sposób sprawdzić, czy Portinari jest uczciwym i po prostu oddanym Zuchwałemu człowiekiem, czy łajdakiem, który wierząc w zwycięstwo Wielkiego Księcia Zachodu, opowiedział się po niewłaściwej stronie wbrew polityce swego kraju, nie zamierzała przyjmować od niego żadnych prezentów. Napisze do Lorenza, ale najpierw porozmawia z Agnolem Nardim.

- Z pewnością nie! - powiedziała oschle. - Jeśli chcesz, bym udzieliła ci pomocy, w żadnym wypadku nie mogę mieć względem ciebie zobowiązań. W każdym razie nie tego rodzaju.

- Będzie, jak sobie życzysz.

Nazajutrz rano dwie młode kobiety, przysłane przez najlepszą krawcową w Brugii, przyniosły do Jeżynowej Korony to, czego potrzebowała Fiora, by godnie wyglądać przed księżną Marią, podczas gdy Florent biegał po mieście, by zdobyć stosowny strój dla siebie. Około południa Fiora, odziana w śliwkowy aksamit zdobiony srebrem i białym jedwabiem, w białym jedwabnym heninie okrytym usztywnionym muślinem, wyruszyła konno wraz ze swoim młodym towarzyszem w kierunku pałacu kobiety, którą uważała za rywalkę. Czowała zdecydowanie i pewność siebie. Obraz, jaki ujrzała przed chwilą w zwierciadle i naiwny podziw widoczny w oczach dwóch młodych szwaczek, kiedy pomagały jej się ubierać, dodały jej odwagi. Fiora mogła wytrzymać porównanie z każdą inną kobietą, choćby ta nosiła koronę, a gdyby przypadkiem Filip znalazł się na jej drodze, dysponowała wszystkimi swymi atutami. A to było najważniejsze...

Podczas drogi pozwoliła sobie na podziwianie Brugii. Miasto było piękne, z brukowanymi ulicami i mnóstwem ogrodów, z których większość wychodziła na któryś z kanałów i poprzez kilka kamiennych schodków docierała aż do wody, w której przeglądały się srebrzyste liście wierzb, wiotkie pnie brzoź lub gęste kępy roślin o liściach zbyt jeszcze młodych, by je zidentyfikować. Spod mostów tak niskich, iż zdawało się, że może pod nimi przepłynąć tylko człowiek, wyłaniały się wielkie barki, przecinając czarną wodę i zielonkawą kipieli piany. Te kanały, tworzące labirynt zdający się nie mieć wyjścia, fascynowały florentynkę. Wyglądały jak migotliwe refleksy na poszarzałej fasadzie jakiegoś pałacu czy śnieżnych murach nowego kościoła. Jeden pluskał

u stóp murka, na którym spał kot, inny unosił niestarannie przywiązaną łódź, jeszcze inny przepływał przez kępę trzin, gdzie buszował sum. Wszystko tu tchnęło spokojem i sielskością, a przecież Brugia, zbudowana dla czystej przyjemności, była miastem burzliwym, które samej Florencji potrafiło pokazać, co potrafi...

Prinzenhof - Dwór Księcia - był szerokim czworobokiem, w który wpisywał się pałac, kaplica z wysoką dzwonnica, ogrody i oczywiście budynki gospodarcze. Po przekroczeniu dyskretnej bramy, nad którą górował posąg Najświętszej Panny w otoczeniu aniołów, wjeżdżało się na paradny dziedziniec otoczony krużgankami, na który wychodził bezpośrednio książęcy pałac zbudowany z czerwonej cegły ze wzmocnieniami z białych kamieni, tak jak dwór w Rabaudiere.

To podobieństwo ośmieliło Fiorę. Dotarwszy do posterunku gwardzistów, zatrzymała się, a jeden z żołnierzy, najwyraźniej pod wpływem wyglądu gościa, przebiegł dziedziniec co sił w nogach, by powiadomić szambelana. Czekala cierpliwie, obserwując to, co dzieje się na dziedzińcu. Gromadziły się na nim powozy, masztalerze prowadzili konie w kosztownej uprzęży, panowie i kilka dam w strojach myśliwskich nadciągali zewsząd, a sokolnicy nieśli na dłoniach w grubych, skórzanych rękawicach sokoły, sępy i krogulce w kapturkach z aksamitu wyszywanego złotem lub srebrem. Wszyscy nawoływali się wesoło, witali, śmiali i rozmawiali, a obszerny plac napełniał się wrzawą i radością.

- Przyjechaliśmy w niewłaściwej chwili - szepnął Florent. - Książę chyba szykuje się do wyjazdu na polowanie.

- Zapewne, ale to nie z księciem chcę się spotkać, a z księżną.

- A może ona też poluje?

- To bardzo możliwe.

Gwardzista wrócił w eskorcie bardzo podekscytowanego szambelana, który dysząc, spiesznie uklonił się gościowi.

- Czy ten człowiek dobrze zrozumiał? Jesteś hrabiną de Selongey, pani?

- Tak. Czy to tak niezwykle?

- No cóż, przede wszystkim nieoczekiwane. Księżna pani właśnie ma ruszać na polowanie i...

- I nie może mnie przyjąć. Przekaż jej, proszę, moje przeprosiny i wyrazy ubolewania, ale nie sądzę, bym bardzo opóźniła jej wyjazd. Pragnę tylko krótkiego spotkania.

- Czy nie można by... odłożyć tego na później?

- Przykro mi, że nalegam, ale przyjechałam do Brugii tylko na kilka godzin, a przybywam z daleka.

Szambelan robił wrażenie bardzo nieszczęśliwego. Być może jeszcze przez chwilę próbowały ją przekonywać, gdyby nie pojawiła się z kolei jakaś dama w średnim wieku ubrana z przepychem, unosząca oburącz spódnicę z mięsistej, ciemnozielonej tafty w szaro-złoty wzór liści, co pozwalało jej iść szybciej. Jej przybycie wyraźnie sprawiło wielką ulgę szambelanowi.

- Ach! Pani d'Hallwyn! Czy to Jego Wysokość cię przysłała?

- Naturalnie! Uznał, iż jest rzeczą niestosowną kazać czekać, jak byle modystce, damie tej rangi... jeśli nie zaszła pomyłka!

- A co ty o tym sądzisz? - powiedziała Fiora z wyniosłością, która wywołała lekki uśmiech na ustach damy dworu. Jej niebieskie oczy już oceniły urodę nowo przybyłej, jej elegancję i pełną dumy postawę, która świadczyła o szlacheckim pochodzeniu.

- Że nie ma żadnych wątpliwości. Tylko kobieta tak piękna, jak ty, mogła skłonić pana Filipa do małżeństwa. Zechcesz pójść ze mną? Księżna pani cię oczekuje.

Podążając za swoją przewodniczką, Fiora straciła orientację. Wchodziły po schodach, przemierzały krużganki i wielkie komnaty obite najpiękniejszymi tapiseriami, jakie kiedykolwiek widziała. Zeszły do ogrodu, w którym cyprysy górowały nad krzakami róż. Przeszły obok wielkich wolier i w końcu dotarły do odrębnego, otoczonego murem budynku, którego spadziste dachy i wieżyczki kryte były zielonymi dachówkami. Nad nimi powiewały proporce w jaskrawych barwach. Mrowie służących wypełniało dziedzińce, ogrody i wnętrza.

- Ten pałac jest ogromny! - zauważyła Fiora. - Znacznie obszerniejszy, niż na pierwszy rzut oka się wydawał!

- To z powodu bramy, która jest niepozorna, ale zmarły książę Filip uważał, że tak jak wejście do raju, wejście do jego pałacu musi być wąskie dla większego bezpieczeństwa. Jesteśmy na miejscu: to Zielony Dom, nazwany tak z powodu koloru swoich dachów. Pani Maria uważa, że pałac jest zbyt duży i woli nieco bardziej intymną siedzibę...

Była może intymna, lecz urządzona z równym przepychem, jak reszta pałacu. Choć wojny Karola Zuchwałego zrujnowały jego rodzinę i Burgundie, nie było tego widać po tym budynku wyposażonym z ogromnym luksusem. Pani d'Hallwyn najwyraźniej rozkoszowała się zaskoczeniem swej towarzyszki.

- Szkoda, że nie będziesz miała okazji podziwiać łaźni. To coś wyjątkowego - oprócz pokoiów kąpielowych są tam sauny parowe i niezwykle komfortowe komnaty do wypoczynku. Ale jesteśmy na miejscu.

Chwilę później, w galerii jasno oświetlonej przez wysokie ostrołukowe okna o różnobarwnych witrażach, Fiora skłaniała się głęboko przed młodą, dosyć wysoką kobietą, która zapewne była mniej więcej w jej wieku. Musiała przyznać, choć nie sprawiało jej to najmniejszej przyjemności, że Maria Burgundzka była urocza: szczupła i wdzięczna, miała olśniewająco białą cerę, mały nosek, piękne, żywe, jasnoorzechowe oczy i bujne włosy w zachwycającym kolorze złocistego kasztanu, które ledwie ujarzmiła nakrycie głowy z zielonego aksamitu i białego muślinu. Najwidoczniej musiała być podobna do swojej matki, Izabeli Burbońskiej, którą utraciła, gdy była dzieckiem, i która była największą i jedyną miłością Karola Zuchwałego. Po nim odziedziczyła pełne usta z opuszczonymi kącikami znamionującymi upór i zaokrąglony podbródek nadający jej twarzy kształt zbliżony do serca.

Przez chwilę przyglądała się młodej kobiecie trwającej w głębokim ukłonie z ciekawością, której nawet nie próbowała ukryć.

- Często się zastanawiałam, czy pewnego dnia cię ujrzę, pani - powiedziała jasnym głosem. - Tak więc to ty jesteś tą Fiorą de Selongey, która tak długo była przyjaciółką mego ojca?

- Bardziej właściwe byłoby określenie „zakładniczka”, Wasza Wysokość. Nie z własnej woli znalazłam się w obozie księcia Karola!

- Wstań! Mówiono mi o tym, istotnie... jednakże miałaś szczęście przebywać w jego otoczeniu... aż do końca.

- Wasza Wysokość może powiedzieć, że aż do ostatniej chwili. Widziałam księcia rankiem w Nancy, jak dosiadał swego konia Moro i oddalał się we mgle ku ostatniej bitwie. Miałam także zaszczyt brać udział w jego pogrzebie...

W miarę jak mówiła, nieruchoma dotąd twarz Marii ożywiła się i nabierała blasku.

- Dlaczego nie przyjechałaś wcześniej? Mój Boże! Jest tyle pytań, które chciałabym ci zadać, tyle rzeczy, które chciałabym ci powiedzieć. Wiem, że mój ojciec szanował twoją odwagę...

- Mój mążnek nigdy nie wyraził chęci przedstawienia mnie Waszej Wysokości, a nie ukrywam, że między nami powstało poważne nieporozumienie. Ale teraz nie ma to wielkiego znaczenia, a jako że nie chcę bardziej opóźniać polowania...

- Mój Boże, prawda, polowanie! Pani d'Hallwyn, proszę powiedzieć mojemu panu małżonkowi, by ruszał beze mnie. Nie będę dziś polować.

- Ależ - przerwała Fiora - nie ma potrzeby, by Wasza Wysokość rezygnowała...

- Polować mogę każdego dnia, jeśli mi przyjdzie ochota. Dziś wolę porozmawiać z tobą... chyba że zechciałabyś zatrzymać się tu, w pałacu, na kilka dni?

- Nie, Wasza Wysokość. Przyjmij wyrazy wdzięczności, ale jeśli mego małżonka nie ma w Brugii, jutro stąd wyjeżdżam.

Maria Burgundzka ponownie uważnie spojrzała na swego gościa, szukając być może na jego twarzy śladu emocji, lecz go nie znalazła.

- Chodź ze mną! Naprawdę musimy porozmawiać.

Podążając za księżną, Fiora przemierzyła wielką, umeblowaną z przepychem komnatę, gdzie dwie damy wysokiego rodu - które na ich widok natychmiast głęboko się skłoniły - krzątały się, porządkując suknie i czepce. Później weszła do małego pokoju obitego czerwonym aksamitem ze złotymi frędzlami, przypominającego jej, choć był oczywiście mniejszy, wielki paradny namiot Zuchwałego, w którym po raz pierwszy ujrzała księcia. Na jego wyposażenie składały się głównie książki, biurko i ustawiona przed kominkiem ławeczka wymoszczona poduszkami, na której Maria usiadła, wskazując Fiorze miejsce obok siebie.

- Filip de Selongey jest człowiekiem niezbyt rozmownym - westchnęła - i niewiele zrozumiałam z twojej i jego historii, ale ponieważ nie chcę zmuszać cię do zwierzeń, powiedz mi tylko, od jak dawna nie widziałaś swego męża?

- Od dwóch lat, Wasza Wysokość. Życie z upodobaniem nieustannie nas rozdziela, a ja bardzo z tego powodu cierpię. Dlatego tak bardzo chciałabym go odnaleźć.

- Co cię skłoniło do myślenia, że jest tutaj?

- Naprowadził mnie na to Wielki Bastard Antoni, którego spotkałam przypadkiem.

Błysk gniewu pojawił się w orzechowych oczach, a ładne, pełne usta zacisnęły się.

- Mój drogi wuj, który ledwie mego ojca złożono w ziemi, pospiesznie dołączył do mego ojca chrzestnego, króla Ludwika! Naprawdę dziwną tworzymy rodzinę, w której ojciec chrzestny ograbia córkę chrzestną, a najlepsi przyjaciele jej ojca pomagają mu w tym działaniu...

- Jego Wysokość książę Antoni uważa, że ziemie należące kiedyś do Francji powinny do niej wrócić. Wielka szkoda, pani, że nie mogłaś poślubić delfina Karola. Byłabyś wielką królową...

- Wyobrażasz sobie, że miałabym poślubić ośmioletniego chłopca? - zawołała ze śmiechem Maria. - Oczywiście, kusząca była perspektywa francuskiego tronu, ale myślę, że będę, w każdym razie mam taką nadzieję, dobrą cesarzową Niemiec. Ale wracając do tematu: powiedziano ci prawdę. Pan Filip był tutaj w czasie Bożego Narodzenia. Przypuszczam, że Wielki Bastard dowiedział się o tym od pani de Schulembourg? Jest bardzo zaprzyjaźniona z jego żoną....

- Rzeczywiście, od niej. Czy mogę zapytać, gdzie jest teraz mój małżonek?

Księżna wstała i dwa lub trzy razy okrążyła pomieszczenie, po czym zatrzymała się przed Fiorą.

- Skąd miałabym to wiedzieć? Był tu zaledwie kilka dni. Wy, Selongeyowie, zdajecie się niezdolni do usiedzenia w miejscu przez jakiś rozsądny czas.

- Gdzie potem pojechał?

- Nie mam pojęcia! I nawet nie bardzo wiem, po co właściwie przyjechał. Obnosił się z ponurą miną, i to w okresie najprzyjemniejszych świąt w roku!

Fiora powstrzymała wzgardliwy uśmiech. Ta księżniczka miała w sobie wprawdzie gorącą krew Karola Zuchwałego, ale kto by to podejrzewał! Ze swoją porcelanową cerą, marzycielskim spojrzeniem i w sukniach skrojonych na modłę niemiecką, które spłaszczają jej piersi nawąłem złotych koronek i poszerzały talię, niczym nie przywoływała tragicznej i wspaniałej legendy ostatniego księcia Burgundii. Obnosił się z ponurą miną? Naprawdę? Czy oczekiwała, że człowiek, który tyle wycierpiał, przyjedzie do niej radosny i gotów płaść na dworskich balach?

- Sądzę, pani - powiedziała z goryczą - że przybył tu po coś niemożliwego do zdobycia. Po coś, czego nie byłaś zdolna mu dać.

- A czegoż to chciał?

- Miłości. Myślę, że on kocha Waszą Wysokość, że zawsze cię kochał i że nie mógł znieść widoku ciebie zamężnej i szczęśliwej. Jesteś bowiem szczęśliwa, nieprawdaż, pani?

- Nieskończenie! Miałam szczęście dać syna mojemu drogiemu małżonkowi i możliwe, że wkrótce dam mu kolejnego.

- To naturalne. Ale on, który przez tyle lat dzielił marzenia twego ojca, musiał zrozumieć, że nie ma tu już miejsca na te marzenia! Wyznam, że jestem rozczarowana, pani. Miałam nadzieję, że chociaż wysłałaś go gdzieś daleko z jakąś misją.

- Nic takiego nie zrobiłam. Mamy rozejm z królem Francji. Jaką misję mogłabym mu powierzyć?

- Sądzę - powiedziała Fiora chłodno - że księżę Karol, niech Bóg ma go w opiece, wiedziałby, jak wykorzystać człowieka tej klasy, człowieka, który w służbie Waszej Wysokości omal nie dokonał zycia na szafocie. Burgundia ci się wymknęła, prawda? Myślę, że jeśli nie będziesz umiała docenić swoich sług, nie zachowasz nic z ziem, które nieomal stały się królestwem. Ma się takich poddanych, na jakich się zasługuje.

Księżna, której ładna buzia poczerwieniała, nie zdążyła odpowiedzieć. Młody, długonogi mężczyzna o dosyć surowej twarzy i gęstwie jasnych włosów obciętych na modłę niemiecką, wpadł z impetem do komnaty i podbiegł do Marii.

- Czegóż to się dowiaduję, moja duszko! Rezygnujesz z polowania? Chcesz mnie pozbawić swojego towarzystwa? Cóż to za kaprys?

- To nie kaprys, mój drogi. Pragnęłam przyjąć tę oto damę. Jest ona małżonką hrabiego de Selongeya.

Zrozumiawszy, z kim ma do czynienia, Fiora skłoniła się z należyty szacunkiem przed synem cesarza Fryderyka, on zaś uśmiechnął się do niej z miną konesera.

- Witaj, pani. Twój małżonek ma naprawdę więcej szczęścia, niż zasługuje, gdyż jesteś bardzo ładna! Jednak, jeśli pozwolisz, porwę księżnę, bowiem nie mógłbym polować bez niej. Będziecie miały dużo czasu na rozmowy, kiedy wrócimy...

- To zbędne, Wasza Wysokość - powiedziała Fiora. - Księżna pani powiedziała mi wszystko, czego mogłam od niej oczekiwać.

Uśmiech Maksymiliana stał się jeszcze szerszy, jeśli to możliwe. Biorąc żonę za rękę, pociągnął ją w kierunku drzwi.

- A zatem wspaniale! Pojutrze wydajemy bal. Przyjdź potańczyć, zapraszam wieczorem! Zegnam cię, pani hrabino.

Para książęca znikła i Fiora znalazła się sama w towarzystwie pani d'Hallwyn, która pojawiła się jednocześnie z księciem. Mimo intymnego ciepła tego wygodnego i przyjaznego wnętrza poczuła się zmrożona do kości i pozostała przez chwilę nieruchoma, przyglądając się płomieniom atakującym polana. Dama dworu zakasłała.

- Czy mogę cię odprowadzić, pani? Przynajmniej do ogrodu?

- Dlaczego do ogrodu? - szepnęła zaskoczona Fiora. - Dlaczego nie do bramy?

- Ponieważ w ogrodzie znajduje się ktoś, kto bardzo pragnie z tobą porozmawiać... i kto zobowiązał się odprowadzić cię do wyjścia.

- Kto taki?

- Pani de Schulembourg. Widziała cię, kiedy przyjechałaś...

Fiora dała znak, że zrozumiała. Przyjeżdżając do Brugii, zamierzała odszukać tę damę, ale spotkanie z księżną wydawało jej się ważniejsze i pilniejsze. Wobec mizernego wyniku tego spotkania może dobrze byłoby nie odkładać rozmowy z panią de Schulembourg. Kiedy w ślad za panią d'Hallwyn schodziła do ogrodu, dotarły do niej radosne odgłosy wyjazdu na polowanie - dźwięk trąbek, szczekanie psów, krzyki myśliwych - które stopniowo zlewały się z gwarem miasta. Fiora pomyślała, że naprawdę nie można było weselej tracić imperium. W przypadku tej pary zakochanych, predestynowanych do noszenia korony Karola Wielkiego, nie było miejsca na nostalgię wojowników...

- Co ci powiedziano? - spytał ktoś z niepokojem i spostrzegła, że jej towarzystwo się zmieniło i że teraz ma obok siebie starszą już kobietę, opatuloną jak w środku zimy w aksamit i czarne lisy, wspartą na lasce. Jasne oczy patrzyły na nią współczująco. Zmusiła się do uśmiechu, z mizernym skutkiem.

- Niczego, czego bym już nie wiedziała od pana Antoniego Burgundzkiego: mój małżonek był tu pod koniec roku. A, nie... Dowiedziałam się jeszcze czegoś! Księżna pani była łaskawa powiadomić mnie, że był tu niedługo, że jego ponura mina szokowała w okresie świątecznym i że wyjechał, nie mówiąc dokąd.

- Biedne dziecko! To tak niewiele... Przejdźmy się trochę, dobrze? Podaj mi ramię...

Zrobiły kilka kroków po pięknej, wysypanej piaskiem alejce, oddalając się od ogrodników, którzy przycinali krzewy otaczające klomby.

- Nie powiedziano ci o kłótni, prawda?

- Kłótni? Między Filipem i...

- I arcyksięciem Maksymilianem! Zastał on twego małżonka klęczącego u stóp pani Marii. Wpadł w szal i zażądał jego wyjazdu, nie chcąc słuchać jakichkolwiek wyjaśnień. Jednak hrabia nie należy do osób, które pozwalają się tak przegonić. Zanim wyszedł, trzaskając drzwiami, powiedział księciu, że jest absolutnie niegodny bycia zięciem zmarłego księcia Karola i że wolałby umrzeć, niż służyć takiemu władcy. Ledwie miał czas wyjść, a to że, nie został pojmany, zawdzięcza jedynie prośbom księżnej.

Jednak Fiora myślała tylko o pierwszych słowach pani de Schulembourg, które boleśnie potwierdzały to, co myślała wcześniej: Filip kochał księżniczkę i ośmielił się jej to wyznać. Zresztą ona nie protestowała, kiedy przed chwilą

Fiora jej powiedziała, co sądzi o uczuciach Filipa. Świadoma, że między nią a jej towarzyszką zapanowało milczenie, zdławiła łzy.

- Jakie to dziwne! - powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał pewnie. - Widziałam się z księciem i był... bardzo miły. Zaprosił mnie nawet na bal pojutrze!

Starsza pani się roześmiała.

- Nie bądź zdziwiona! To do niego bardzo podobne. Jest bardzo niekonsekwentny. Poza tym, choć wygląda na bardzo zakochanego w żonie, nie zmniejsza to jego wrażliwości na kobiece wdzięki. Perspektywa tańczenia z żoną człowieka, którego teraz uważa za wroga, musi wydawać mu się przyjemna. Weź też pod uwagę, że lubi się śmiać i uwielbia wydawać przyjęcia...

- Dobrze, mogę się z tym zgodzić, ale dlaczego księżna Maria nic mi nie powiedziała?

- Pewnie obawiała się, że zażadasz kolejnych wyjaśnień, co by było dla niej niezręczne. Ponadto ryzykowałaby ponowne wywołanie gniewu małżonka, którego kocha całym sercem. Jej jedynym pragnieniem jest, by był szczęśliwy przy niej i księciu Filipie. Tak więc wszystko, co mogłoby stanąć na drodze tego spokojnego szczęścia... Nie zapominaj, że nie zaznała prawdziwego życia rodzinnego. Niełatwo było być najbogatszą dziedziczką Europy...

- Spadek stopniał - powiedziała Fiora oschle - a ona nie wydaje się nadmiernie tym przejęta. Tak naprawdę zastanawiam się, dlaczego mnie przyjęła?

- Nie bierzesz pod uwagę zwykłej ciekawości? Jak się oprzeć chęci poznania tajemniczej pani de Selongey, tej florentynki, o której opowiadano cuda i którą Zuchwały ciągał ze sobą od bitwy do bitwy, jak uwięzioną królową? Z pewnością czujesz, że teraz o tobie rozmawiają.

- Prawdę mówiąc, nie. A zresztą to bez znaczenia...

- Zatem o co chodzi?

- O los Filipa. O to, co się z nim stało. Szukam go od miesięcy, a on zdaje się uciekać przede mną. Ty, pani, widziałas się z nim, rozmawiałaś, może więc możesz mi powiedzieć, dokąd się udał, kiedy opuścił Brugię?

Pani de Schulembourg przyjrzała się młodej kobiecie z głębokim współczuciem. Z każdą chwilą rosła jej sympatia dla pięknej istoty, w której wyczuwała ten rodzaj hartu ducha, który zawsze ceniła:

- Gdybym wiedziała, to już bym ci to powiedziała - westchnęła. - Jeśli jesteś zdecydowana kontynuować poszukiwania, to powinnaś skierować swe kroki w kierunku Burgundii.

- Myślisz, że tam wrócił? Byłoby to szaleństwem, gdyż tylko cudem uniknął śmierci na szafocie, a z tego co wiem, król Ludwik ma teraz w ręku cały ten region. Mówią nawet, że Franche-Comte, ten ostatni bastion, także padł.

- Owszem, ale myśl o Burgundii zajętej przez wojska francuskie tkwi w sercu hrabiego de Selongeya jak zadra, która nieustannie sprawia ból.

Mimo że szły powoli, dwie kobiety dotarły już do furtki prowadzącej na krużganki paradnego dziedzińca, teraz niemal pustego.

- Mogę cię poprosić o radę? - spytała Fiora. - Co zrobiłabyś na moim miejscu?

- Jeśli naprawdę chcesz go odnaleźć albo odszukać chociaż jakiś ślad, trzeba jechać do Selongey. W chwili rozterki człowiek zawsze chce wrócić do korzeni, do swego domu rodzinnego...

- Myślałam o tym, oczywiście, ale pan de La Tremoille pewnie strzeże zamku.

- On już nie jest gubernatorem miasta, teraz jest nim pan d'Ambroise, który jest znacznie bardziej ugodowy. Ale gdzie mieszkasz ty sama?

- W Turenii. Gdyby do mnie przyjechał, wiedziałabym chociaż, gdzie jest. Tyle czasu minęło od Bożego Narodzenia...

- Pojedź więc do Burgundii i zacznij od Selongey! Byłoby dziwne, gdybyś nie znalazła tam przynajmniej wskazówki. Jednak bez wątpienia będziesz miała problem, by spotkać się z mężem, gdyż pewnie się ukrywa. Nieuchronnie narazisz się na niebezpieczeństwa, być może niepotrzebnie. Właściwie najrozsądniej postąpiłabyś, wracając do domu i czekając...

- Na co? Aż wróci? On nie wróci.

- W takim razie dlaczego się upierasz? Gdybyś chociaż miała dzieci!

- Mam syna! - powiedziała Fiora. - Bóg mi świadkiem, że niewiele czasu spędziliśmy razem, jednakże to bezsensowne małżeństwo zostało pobłogosławione narodzinami dziecka. Tylko że Filip o tym nie wie.

- A więc trzeba pojechać i powiedzieć mu o tym. Szukaj go i znajdź, ale jeśli twoje poszukiwania pozostaną daremne, wróć do twego dziecka, by nie zostało sierotą. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moja droga! Będę się za ciebie modlić!

Przytuliwszy Fiorę do obfitej piersi, pani de Schulembourg ucałowała ją, nakreśliła kciukiem znak krzyża na jej czole, po czym owinąwszy się szczelniej podbitą futrem peleryną, pokuśtykała z powrotem w kierunku ogrodu. Fiora patrzyła, jak odchodzi, po czym rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ten wspaniały pałac zbudowany przez wielkich książąt Zachodu, będący teraz jedynie nic

nieznaczącą dekoracją z czasów dawnej świetności, podeszła do Florenta, który czekał na nią z końmi na dziedzińcu.

Od chwili wyjazdu Fiora przyzwyczała młodego człowieka do milczenia. Nie śmiał zadawać jej żadnych pytań, kiedy wróciła z oczami pełnymi z trudem powstrzymywanych łez, zrozumiał jednak, że spieszno jej teraz opuścić tę książęcą siedzibę, do której niewątpliwie przybyła z wielkimi nadziejami. Gdyby było inaczej, po cóż by jej była ta wspaniała toaleta? Skwapliwie pomógł jej usiąść w siodle i delikatnie włożył wodze w dłonie. Wskoczywszy na swojego wierzchowca, ruszył przodem, by otworzyć młodej kobiecie bramę, odsunął się, by puścić ją przodem i ruszył za nią. Kiedy dotarli przed Jeżynową Koronę zobaczył, że po jej pozbawionej wyrazu twarzy cicho spływają wielkie łzy. Wypływały z szeroko otwartych szarych oczu i toczyły się jedna po drugiej. Tego już nie mógł znieść.

- To się musi skończyć! - wymamrotał.

Pomógł Fiorze zejść z konia i przywoławszy jednego z masztalerzy, polecił mu zająć się zwierzętami. Później wziął za rękę młodą kobietę, która nie stawiała żadnego oporu i robiła wrażenie odrętwiałej, zaprowadził ją do jej pokoju, wszedł z nią do środka, posadził ją, zamknął drzwi i uklękawszy przed nią, wziął w dłonie jej ręce zimne jak lód.

- Donno Fioro! - powiedział proszącym tonem. - Sądziłem, że masz do mnie zaufanie.

Jak obudzona ze snu, spojrzała na młodego człowieka niewidzącym wzrokiem:

- Mam zaufanie, Florencie - powiedziała bezbarwnym głosem. - Dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ wydaje mi się, że stałem się dla ciebie nie tylko obcym człowiekiem, ale czymś w rodzaju mebla. Odkąd opuściliśmy Beaugency, zdajesz się nawet mnie nie dostrzegać. Pędziliśmy tu jak szaleni, a ty nawet nie zechciałaś poinformować mnie o swoich zamiarach.

- A powinnam była?

- Nie, jeśli jestem dla ciebie tylko sługą, ale wiesz, jak bardzo jestem ci oddany. Nie pozwolę ci cierpieć samej i w milczeniu. Gdyby pani Leonarda tu była - nigdy tak nie żałowałem jej nieobecności! - czy ona także musiałaby znosić twoje milczenie? Nie, prawda? Zwierzyłabyś się jej... Och, wiem, że nie mogę jej zastąpić, ale powiedz mi, jak ci pomóc, jak uczynić cię mniej nieszczęśliwą, bo przecież widzę, jak cierpisz.

Fiora potrząsnęła głową i lekko pogładziła palcem policzek chłopaka.

- Jakich wskazówek mogłabym ci udzielić, skoro sama nie wiem już, co robić? Wstań, Florencie! I przynieś nam coś do picia, tylko nie piwo, proszę. Przynieś nam wina, a potem razem spróbujemy opracować jakiś plan, podjąć jakieś decyzje...

- Nie wracamy do domu?

- Raczej nie. Przynajmniej nie teraz.

- Dokąd pojedziemy?

- Do Burgundii. Nadszedł może czas, żebym pojechała do Selongey. Byłam tam przejazdem... dosłownie przez chwilę, kiedy przed czterema laty przybyłam z Florencji.

- I nigdy więcej tam nie pojechałaś?

- Nie. Prawda, że to dziwne? Nosić tytuł, nazwisko i nie wiedzieć nic lub prawie nic o tym, co one oznaczają.

Godzinę później, rozgrzani doskonałym winem z Beaune, Fiora i Florent postanowili wspólnie, że wizyta w Selongey jest konieczna.

- To jedyne miejsce, gdzie możemy pojechać - stwierdził młodzieniec - ponieważ to, jak sądzę, ostatnie możliwe schronienie dla twego małżonka.

- Ludzie króla na pewno strzegą zamku...

- Możliwe, ale jest jeszcze wieś i okolica. Jeśli pan Filip był tam lubiany...

- Tak sądzę. Tak przynajmniej mówiła mi Leonarda, która pochodzi z tamtych stron...

- No więc? Wyznam, że nawet nie rozumiem, dlaczego nie jesteśmy jeszcze w drodze? Ani dlaczego jesteś taka zgnębiona?

- Trudno to wyjaśnić, Florencie, ale mam wrażenie, że gonię cię...

Nie dodała, że czuje się zmęczona przemierzaniem dróg, wąskich i szerokich, na które wyrusza się z nadzieją w sercu, a one prowadzą tylko do kolejnych rozczarowań, do jeszcze większego smutku, wszystkich tych dróg bez wyjścia, które wyznaczały jej życie. Ruszała w jeszcze jedną podróż, lecz czego miała dowiedzieć się u celu? Ze Filip nigdy jej nie kochał i że jej życie jako żony skończyło się, zanim się zaczęło?

Rozdział dziesiąty

Grób zuchwałego

W Saint-Dizier Fiora postanowiła zmienić trasę. W oberży, gdzie zatrzymali się na popas i jedli z Florentem wieczorny posiłek w wielkiej kuchni, jak zwyczajni towarzysze podróży - teraz zresztą się nimi stali, jako że Fiora postanowiła ponownie założyć męski strój - zainteresowała się rozmową lotaryńskich kupców udających się do Troyes. Mężczyźni ci, nie zaprzestając zaspokajania swoich nielichych apetytów, obsypywali pochwałami młodego księcia Rene II Lotaryńskiego, który od czasu bitwy w styczniu 1477, w której poniósł śmierć Zuchwały, stara się odbudować Nancy, wznowić handel i uchwalić prawa mogące zaleczyć okrutne rany, jakie odniosło miasto. Pragnie przywrócić jego mieszkańcom zarówno chęć do pracy, jak i chęć do życia w ogóle.

- Nigdy żaden książę - powiedział jeden z nich - nie był bardziej wielkoduszny i szczodry, a przecież sam mieszka z rodziną w pałacu, z którego ocalał tylko fragment. Jednak miasto jest dla niego ważniejsze od pałacu. Stara się także pomóc w powrocie do życia klasztorom, z których część została uszkodzona.

- Nie ma co się rozczulać nad kanonikami kolegiaty Świętego Jerzego. Są tak samo grubi, jak byli - rzekł drugi.

- Toteż wspiera raczej tych kilku benedyktynów, którzy pozostali jeszcze w kościele Matki Boskiej. Mają oni za zadanie modlić się za poległych w wojnach burgundzkich, ale z tego przecież nie wyżyją.

- Modlą się także za grzeszną duszę Karola, który bardzo potrzebuje modlitwy z powodu całego zła, jakie uczynił. Mówią, że Jego Wysokość Rene dosyć często chodzi na grób Zuchwałego, przy którym świece płoną dzień i noc. To właśnie benedyktyni zajmują się utrzymaniem grobu, ale ponoć książę myśli o ufundowaniu klasztoru franciszkanów, którego kaplica stałaby się miejscem pochówku dla niego i jego potomków. Nie chce być pogrzebany obok swego wroga.

- Można go zrozumieć, ale czy nie byłoby prościej przenieść Burgundczyka do Dijon?

- By wywołać tam poruszenie? Lepiej, by Zuchwały, nawet martwy, pozostał więźniem!

- Nie jestem pewny, czy to dobre rozwiązanie. Ludzie przyjeżdżają zewsząd, by zobaczyć jego grób. Wkrótce to miejsce stanie się celem pielgrzymek.

Dwaj mężczyźni zakończyli posiłek, wstali i skierowali się do wyjścia, ukłoniwszy się wprzód towarzystwu. Fiora śledziła ich wzrokiem, po czym gestem przywołała oberżystę.

- Czy daleko jest stąd do Nancy? - zapytała.

- Około dwudziestu mil. Niewiele jak na solidne nogi twego konia, paniczu. Ty też masz ochotę zobaczyć grób księcia Karola?

- Może...

A ponieważ zaskoczony Florent patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, uśmiechnęła się do niego miło.

- Myślę - powiedziała - że zboczymy nieco z drogi i pojedziemy do Nancy. W końcu aż tak bardzo nam się nie spieszy.

- Naprawdę masz ochotę tam wrócić? - spytał osłupiały młodzieniec. - Przecież nie byłeś w tym mieście szczególnie szczęśliwa.

Istotnie, kiedy z Leonarda odnaleźli Fiorę w lotaryńskiej stolicy, wówczas znajdującą się w rękach Zuchwałego, była wówczas nie tylko w niewoli księcia, lecz także ranna i w opłakanym stanie.

- Kiedy przyjechaliście, rzeczywiście nie byłam, jednak po śmierci księcia przeżyłam trzy dni szczęścia. Trzy dni to niedużo, ale te są dla mnie nieskończenie cenne. Poza tym jest tam ktoś, w odniesieniu do kogo złożyłam w Rzymie pewne przyrzeczenie. Przyznam, że trochę o tej obietnicy zapomniałam, ale skoro nasza droga wiedzie tak blisko, nie do wybaczenia byłoby, gdybym jej nie dotrzymała.

Zamilkła. Florent zrozumiał, że więcej nic na ten temat nie powie i nie zadał żadnego pytania. Zadowolony się odprowadzeniem młodej kobiety do jej pokoju i życzeniem jej dobrej nocy. Nazajutrz, zamiast jechać nadal w kierunku Joinville i Chaumont, podróżni ruszyli na wschód, by dotrzeć do Nancy.

Dwa lata nie mogły wystarczyć, by zagoiły się niezliczone rany odniesione przez Księstwo Lotaryńskie. Wzdłuż drogi widać było wiele śladów wojny: spalone wsie, w których dzielnie wyrastały z ruin pojedyncze, kryte strzechą, nowe domy, na wpół zburzone zamki, opactwa i kościoły przekształcone w place budowy, gdzie mnisi, wspinawszy się na drabiny i podwinawszy rękawy habitów, pracowali, posługując się kielniami, kilofami i heblami; drogi tak zniszczone przez transporty wojskowe, że trawa nie odrastała, jak za koniem Atylli. Na polach pracowało wiele kobiet zastępujących mężczyzn, którzy już nie wrócą. Zbyt wiele także było nowych krzyży na cmentarzach, a nawet przy ścieżkach, w miejscach, gdzie padli bezimienni żołnierze. Jednakże w wiosennym słońcu wszyscy ci ludzie trudzący się na ponownie obsianych

polach byli symbolem nadziei i dawali kolejny dowód hartu ducha Lotaryńczyków.

Widok Nancy także był pokrzepiający. Zasypano transeje wykopane przez Burgundczyków, a na przedmieściach, które ucierpiały równie mocno jak mury obronne, pracowało wielu ludzi. Choć widoczne pozostały poważne straty poniesione przez miasto, które walczyło do utraty sił, aż do zwycięstwa, to pod niebieskim niebem usianym lekkimi białymi obłokami widać było lśniące nowe dachy. Na murach obronnych połyskiwała broń straży, kontrastując ze spokojnymi twarzami przechodniów, którzy nie mieli czego się obawiać: już żaden nieprzyjaciel nie spadnie na nich od strony wyżej położonych Laxou czy Maxeville, nie powstanie już żaden ogromny obóz złożony ze wspaniałych pawilonów z powiewającymi nad nimi fioletowo-czarno-srebrnymi proporcami. Stada, którym nie zagrażało wybicie, pasły się spokojnie, a staw Świętego Jana, obok zrujnowanej komandorii, został oczyszczony z trupów pozostawionych przez wojnę.

Miasto było dobrze strzeżone. Podróżni spostrzegli to, kiedy przekraczając Bramę de la Craffe, wiodącą do głównej ulicy Nancy, zostali zatrzymani przez strażników. Jakiś dryblas uzbrojony od stóp do głów spytał, po co przyjechali do miasta.

- Z pielgrzymką - odrzekła Fiora. - Przybywamy pomodlić na grobie ostatniego księcia Burgundii. Czy to zabronione?

- Ależ nie, ależ nie... Jednak takich ludzi, jak wy, przyjeżdża tu coraz więcej. Jesteście oczywiście z Burgundii?

- Prawie. Jestem hrabiną de Selongey, a księżę Rene bardzo dobrze znał mojego małżonka. Mnie zresztą także, ale za żadną cenę nie chcę go zmuszać, by mnie przyjął. Pragnę tylko pomodlić się przy grobie...

- Gdzie zamierzacie się zatrzymać?

- Nie mam pojęcia. Nie zostało wiele zajazdów, kiedy księżę Rene odbił miasto, ale przypuszczam, że teraz kilka istnieje?

- Taaa... Ale skoro byłeś tu w trakcie oblężenia, może tu kogoś znasz?

To swego rodzaju przesłuchanie zaczynało drażnić Fiorę, już zmęczoną podróżą. Tym bardziej że podczas gdy ją wypytywano, inni ludzie, zdający się przybywać z daleka, wchodzili przez nikogo niezatrzymywani.

- Co oznaczają wszystkie te pytania? - rzekła wyniośle. - Jeśli budzę najmniejsze wątpliwości, wyślij do pałacu jednego z tych ludzi, którzy tak spokojnie grają sobie w kości, żeby zapytał, czy mogę udać się do kolegiaty Świętego Jerzego! Podałam ci nazwisko, a to już duże ustępstwo.

- Kłopot w tym, że trudno ci uwierzyć. Wyglądasz jak chłopak, a mówisz, że jesteś... kim?

- Hrabinią de Selongey. Podróżuję w męskim stroju, gdyż tak jest wygodniej, ale skoro mi nie wierzysz...

Zdjęła z głowy wysoką czapkę i spuściła na ramię długi, lśniący warkocz, któremu mężczyzna przyjrzał się z zainteresowaniem.

- Czy to ci wystarczy? Wydaje mi się, że niewielu mężczyzn posiada tak długie włosy?

- Pewnie, pewnie - powiedział tamten z uporem - ale właśnie dlatego cała ta sprawa jest coraz mniej jasna! Kobieta przebrana za mężczyznę! Czy ktoś kiedyś słyszał o czymś podobnym?

- Wyobraź sobie, że tak. Ale ty chyba nie jesteś Lotaryńczykiem?

- Ja nie jestem Lotaryńczykiem? Ja, który urodziłem się w Toul?

- Nie słyszałeś zatem o Joannie d'Arc? Domremy nie jest tak daleko... Nieczęsto widywano ją w falbankach!

- Pewnie, pewnie! - powiedział żołnierz, który zdawał się szczególnie lubić ten przysłówek. - Ale ona walczyła na wojnie... tymczasem ty wyglądasz mi raczej na szpiega!

- Nie przekonamy go! - szepnęła Florent z przygnębieniem.

Fiora nie zamierzała pozwolić, by zatrzymał ją byle tępą wojak. Wchodząc do pomieszczenia straży, dostrzegła na stole papier i pióro zatknięte w kałamarzu. Usiadła bokiem na zydlu i szybko napisała kilka linijek, podpisała i powróciwszy do cerbera, podała mu list.

- Zechciej łaskawie - powiedziała słodkim głosem - kazać zanieść to do pałacu, do którego są dwa kroki i który dobrze znam, gdyż tam mieszkałam. Poczekam tu na odpowiedź.

Strażnik z niezdecydowaniem obracał list w dłoniach, kiedy jakiś starszy już mężczyzna, elegancko odziany w strój z wykwintnej ciemnoczerwonej tkaniny i w narzuconym niedbale na ramiona obszernym płaszczu, wszedł do pomieszczenia straży.

- Sierżancie Gachet - powiedział - przybyłem, by cię uprzedzić, że oczekuję na transport dachówek, które zamówiłem na spółkę z panem de Gerbevillers, sędzią, i mam nadzieję, że przepuścisz je z mniejszymi ceregielami, niż moją mąkę w ubiegłym tygodniu.

- Oczywiście, panie Marqueiz, oczywiście! - powiedział tamten, już cały w uśmiechach, gotów zgiąć się wpół, gdyby nie przeszkadzała mu w tym zbroja. - Wiesz dobrze, że jestem na twoje rozkazy...

Ale nowo przybyły już go nie słuchał. Spojrzał na fałszywego młodzieńca i z szerokim uśmiechem na pobrużdżonej drobnymi zmarszczkami twarzy wyciągnął ramiona w geście powitania.

- Donna Fiora! To ty, prawda?

- To ja, messire Marqueiz - zawołała, spontanicznie podając mu obie ręce w odpowiedzi na to ciepłe powitanie. - Jestem szczęśliwa, że cię widzę...

- Mam nadzieję, że przyjechałaś do nas?

- Nie pozwoliłabym sobie na to. Już kiedyś zbyt długo nadużywałam gościnności twojej i pani Nicole.

Istotnie, to właśnie do domu ławnika Jerzego Marqueiza i jego żony została przewieziona ranna po pojedynku między Filipem de Selongeyem i Campobassem. Zaznała tam najserdeczniejszej gościnności i to właśnie w ich domu rok później przeżyła z Filipem te trzy dni, które tak głęboko wryły się w jej pamięć. Ławnik otworzył drzwi swego domu, jednego z niewielu nienaruszonych po oblężeniu, pozwalając na umieszczenie w nim doczesnych szczątków Zuchwałego, kiedy jego zwłoki ze zmiażdżoną twarzą i na wpół pożarte przez wilki, znaleziono w skutych lodem zaroślach nad stawem Świętego Jana.

- Tylko nie mów tego Nicole! - powiedział ławnik. - Oczywiście zabieram cię ze sobą. Będiesz pamiętać o mojej przesyłce, sierzancie Gachet?

- Pewnie, panie! Zrobi się tak, jak sobie życzysz! Chwilę później Fiora szła ulicą Neuve ramię w ramię z dawnym przyjacielem, a za nimi kroczył Florent prowadzący za uzdy konie. Wolałyby może przemknąć niezauważona przez to miasto, które odegrało tak wielką rolę w jej życiu, ale to spotkanie okazało się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Dowiedziała się bowiem, że księżę Rene wyjechał z miasta, udawszy się do Neufchateau. Jej list nie dotarłby do adresata i może utknęłaby na długo na posterunku straży, chyba że sierżant Gachet po prostu by ją przepędził.

Dom, położony obok kościoła Świętego Apra, który w przeciwieństwie do innych, niezbyt ucierpiał z powodu wojny, przywołał w umyśle Fiory słodko-gorzkie wspomnienia, ale nie umiała powiedzieć, który smak przeważa. Leczyła tu ranę ramienia, ale zarazem odzyskała Leonardę przybyłą na przekór wiatrom i burzom, by być przy swoim jagniątku. To tu przeżyła płomienne chwile pojednania z Filipem, lecz także, niestety, rozstanie z nim, to rozstanie, które teraz wyrzucała sobie nieustannie jako największy błąd swego życia.

Pani Nicole przyjęła ją tak naturalnie, jakby rozstały się zupełnie niedawno. Ta wysoka mieszcza, na ogół chłodna i utrzymująca dystans, uściskała ją tak, jakby była jej siostrą, i Fiora wywnioskowała z tego, że naprawdę jest tu mile

widziana. Jednak kiedy gospodyni otworzyła przed nią drzwi pokoju, z którego pewnego zimowego ranka wybiegła owinięta zerwanym z łóżka prześcieradłem, wybuchnęła łkaniem.

Oślupiała Nicole Marqueiz objęła ją ramieniem i chciała odciągnąć sprzed drzwi.

- Wybacz mi! - wyszeptała. - Przygotuję ci inny pokój.

- Nie, nie, błagam cię! Niczego nie zmieniaj! - powiedziała Fiora, starając się powstrzymać łzy. - To był pierwszy odruch, którego nie mogłam powstrzymać, ale taki powrót do przeszłości dobrze mi robi, nawet jeśli jest nieco okrutny. W istocie bowiem to pielgrzymka do przeszłości sprowadza mnie dziś do Nancy.

- Nie mów, że ty także przybyłaś z pielgrzymką do grobu księcia Karola?

- Właściwie nie. Chociaż może trochę. Czy pamiętasz młodego Battistę Colonnę, pazia, który mnie strzegł?

- I który tak cię lubił? Pamiętam go tym lepiej, że nie wyjechał z naszego miasta i wstąpił do klasztoru Matki Boskiej ...

- Nie wiesz, czy złożył śluby?

- Trudno się dowiedzieć, co się dzieje w klasztorze benedyktynów, ale w tym przypadku myślę, że raczej nie. Z pewnością mnichów jest teraz mniej niż przed wojną, lecz jeśli ten chłopiec złożył śluby, od których nie ma odwrotu, nie mógłby wychodzić z klasztoru. Tymczasem co rano chodzi modlić się w kolegiacie, gdzie z kilkoma towarzyszami czuwa, aby ci wszyscy ciekawscy przyjeżdżający obejrzeć grób nie spowodowali żadnej szkody w świątyni. Kanonicy, niezbyt chętni do pełnienia takiej straży, z radością korzystają z tej pomocy. Jeśli chcesz go zobaczyć, możesz iść na pierwszą mszę u Świętego Jerzego. Z pewnością go spotkasz.

Nazajutrz, owinąwszy głowę ciemnym woalem, Fiora udała się na mszę odprawianą o świcie. Zanim uklękła przed głównym ołtarzem, poszukała wzrokiem książęcego grobu i bez problemu dostrzegła go w miejscu, które opisała Nicole: wielka, lekko uniesiona płyta leżąca przed ołtarzem świętego Sebastiana. Kilka świec, zapalonych zapewne przez byłych żołnierzy, pełniło przy niej migotliwą straż, a na samym grobie czerwieniła się lampka oliwna. Nie było przy nim nikogo, lecz kiedy Fiora po zakończonym nabożeństwie ponownie odwróciła się w tamtym kierunku, zauważyła szczupłą postać w szacie z grubej białej tkaniny klęczącą przed grobem i gorąco się modlącą z twarzą ukrytą w dłoniach. Obok młodego mnicha stała butelka z oliwą, z której uzupełnił zapas w lampce. Fiora podeszła do niego cicho. Modlący się był

wyższy niż jej dawny paż, lecz Battista musiał mieć teraz już około siedemnastu lat. Była pewna, że to on.

Opuściwszy ręce, pochylił się, by ucałować ziemię, a kiedy się wyprostował, młoda kobieta lekko dotknęła jego ramienia.

- Battisto - szepnęła. - Możemy chwilę porozmawiać? Podskoczył jak użądłony przez osę i wstał tak szybko, że stopy zaplątały mu się w habit i omal nie upadł. Fiora przytrzymała go, a jej serce ścisnęło się na widok tej młodej twarzy, którą zapamiętała tak radosną, otwartą, piękną, a która przez dwa lata pokuty zapadła się, pobladła, postarzała. Także głos był nie ten sam.

- Donna Fiora!... Co ty tu robisz?

- To tobie, przyjacielu, trzeba by zadać to pytanie. Co ci przyszło do głowy, by pogrzebać się tu za życia, zamiast wrócić do domu, do Rzymu, gdzie czeka na ciebie rodzina?

- Poświęciłem moje życie księciu Karolowi i po prostu nadal mu służę.

- Tam, gdzie jest teraz, nie jesteś mu potrzebny.

- Co ty o tym wiesz? Zresztą nie jestem sam: spójrz na ten grób obok! To grób Jeana de Rubempre, który był mianowanym przez niego gubernatorem Nancy i którego ciało zostało odnalezione niedaleko zwłok księcia. Bogobojny książę Rene, który jest prawdziwym rycerzem, chciał, by spoczywał w otoczeniu swoich ludzi. Inni spoczywają na miejskim cmentarzu, kilku nawet na cmentarzu naszego klasztoru.

- Mam więc rację. Cień strzeżony przez inne cienie, niemający nic wspólnego ze światem żywych, a w Rzymie...

- Rzym to kloaka! - rzucił młodzieniec z nagłym gniewem. - Zostaw mnie, donno Fioro! Muszę wrócić do moich obowiązków...

- Ale...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Podkasawszy habit, Battista ruszył biegiem przez kościół i zniknął, jakby deptał mu po piętach sam diabeł. Zdumiona tą gwałtowną reakcją Fiora patrzyła na jego nieprzytomną ucieczkę i omal nie rzuciła się w pogoń, ale zrezygnowała. Teraz ona z kolei uklękła przy płycie nagrobnej i pomodliła się o spokój duszy człowieka, którego początkowo tak nienawidziła, lecz którego czarowi, jak tylu innych, w końcu uległa tak bardzo, że przyjęła jego przyjaźń i opłakiwała śmierć z sercem wolnym od jakiegokolwiek urazy. Zawsze będzie go widziała takiego, jakim ujrziała go po raz ostatni, rankiem w dniu decydującej bitwy - jako złotego rycerza w hełmie ozdobionym sylwetką stojącego na tylnych łapach lwa, zagłębiającego się powoli w marznącej zimowej mgle, unoszącego ramię w

geście pożegnania. Gęsta mgła rozstąpiła się przed nim, by wpuścić go do mrocznej krainy śmierci...

Często zastanawiała się, jak wyglądałaby przyszłość, gdyby księżę przeżył. Czy udałoby mu się znaleźć środki na kontynuowanie nieustannych wojen? Zważywszy, jak wykrwawiona była Burgundia, z pewnością nie, ale aż do wyczerpania zasobów finansowych kontynuowałby walkę, dążyłby do realizacji swoich marzeń o hegemonii, choćby miał przy tym zginąć, a wraz z nim ostatni wierni mu towarzysze. W gruncie rzeczy dobrze się stało, a tragiczna wielkość jego śmierci zapewne by go satysfakcjonowała. Nie było jednak rzeczą słuszną, by Battista pozostawał zniewolony tym dramatem i mistyczną aurą nadaną mu w legendach.

Fiora uznała rozmowę z chłopakiem za niedokończoną. Opuściwszy kościół, poszła na plac la Halle. Zatrzymała jednego z przechodniów pytaniem o drogę do klasztoru Matki Boskiej. Mężczyzna wskazał jej ulicę, w głębi której istotnie widać było kaplicę o dzwonnicy zburzonej do połowy przez kulę armatnią.

Wejście do klasztoru znajdowało się przy samym kościele. Fiora pociągnęła sznur dzwonka wiszącego przy starej, ciężkiej i wybijanej żelaznymi gwoździami furcie, wyglądającej jak wejście do więzienia. W wyciętym w niej zakratowanym okienku pojawiła się nalana twarz mnicha, któremu młoda kobieta powiedziała, że uprasza ojca przeora tego świętego przybytku o krótkie spotkanie. Okienko się zamknęło i musiała czekać długie minuty, zanim uchylono bramę na tyle, by mogła wejść do środka. Po drugiej stronie brat furtian, o postaci równie pulchnej jak twarz, dał jej znak, by poszła za nim, i bez słowa zaprowadził do niewielkiej, niskiej i wilgotnej komnaty, pozbawionej jakichkolwiek mebli. Tylko duży krucyfiks z czarnego drewna wskazywał, że nie jest to piwnica. Cały budynek czuć było saletrą i pleśnią, ale to pomieszczenie, do którego schodziło się po kilku stopniach miało tak nędzny wygląd, że serce młodej kobiety ścisnęło się z żalu. To, że uroczy Battista tkwi uwięziony w tym grobowcu od ponad dwóch lat, wydało jej się nieprawdopodobnym nonsensem! Musiał naprawdę kochać Zuchwałego, by skazać się na to powolne umieranie!

Wysokiemu mnichowi w czarno-białym stroju, który pojawił się tak cicho, że tego nie zauważyła, przedstawiła swoją prośbę: pragnie porozmawiać przez chwilę z młodym nowicjuszem, który w życiu świeckim zwał się Battista Colonna.

- Przybywam z Rzymu - powiedziała z pewnością siebie - i mam dla niego wiadomość od rodziny.

Kłamstwo wpłynęło jej na wargi zupełnie naturalnie z tego prostego powodu, że gotowa była użyć wszelkiej broni, byle tylko wyrwać tego chłopca ze świata beznadziei, dla którego nie był stworzony. Zresztą, czy było to kłamstwo? Antonia, która ją wysłała, była naprawdę kuzynką Battisty...

- Czy nie możesz powierzyć tej wiadomości mnie? - zapytał przeor, przyglądając się młodej kobiecie z natarczywością, którą uznała za antypatyczną.

- Nie chodzi o list, lecz o wiadomość ustną, która nie mogłaby nabrać w twoich ustach właściwego znaczenia, wielebny ojciec. Zechciej wybaczyć mi tę szczerłość.

Jednak zakonnik nie zamierzał tak łatwo się poddać.

- Rodzina to pojęcie obejmujące wiele osób. Przypuszczam, że w tej sytuacji chodzi o jednego z jej członków. Czy powiesz mi przynajmniej o kogo? Zrozum, córko, że jestem odpowiedzialny za duszę tego młodego chłopca i nie chcę, by zakłócono spokój, który uzyskał z pewnym trudem - dodał pospiesznie, widząc, że młoda kobieta marszczy brwi.

- Obawiasz się zatem, że ten spokój jest kruchy? Jeśli jest prawdziwy, głęboki, nie może go naruszyć żaden znak dochodzący ze świata żywych. Mogę ci powiedzieć jedno: żaden z członków rodziny Colonna - a zgadzam się, że jest ich wielu - nikt, powtarzam, nie rozumie, dlaczego piętnastoletni chłopiec zdecydował się zostać tutaj, z dala od domu i bliskich...

- Wiemy o tym od dawna, pani. Książę Colonna przybył tu osobiście i Battista odmówił spotkania z nim... Ale przypuszczam, że o tym wiesz?

- To nie on mnie przysłał.

- Zatem kto?

- Za pozwoleniem, wasza wielebność, powiem to samemu Battiście - powiedziała Fiora, zaczynając tracić cierpliwość. - Chcę z nim rozmawiać, i nic nie przyjdzie mu z ukrywania się w tych murach czy uciekania, jak to zrobił przed chwilą. Chyba że naprawdę nie jest już taki jak kiedyś, że stracił całą odwagę, nawet tę, albo przede wszystkim tę, która polega na patrzeniu prawdzie w oczy!

Potężna postać przeora jakby się rozdzieliła, ukazując biały cień: samego Battistę, który musiał wejść niepostrzeżenie, równie cicho jak jego przełożony.

- To prawda, że nie jestem już taki, jak byłem, donno Fioro, ale nigdy nie zgodzę się, by oskarżano mnie o brak odwagi...

Mimo ciężkiego smutku panującego w tym niskim pomieszczeniu Fiora musiała powstrzymać uśmiech. Jeśli młody Colonna zachował zdrowy zwyczaj

podśluchiwania za drzwiami, to zmienił się znacznie mniej, niż sądził, i być może została jeszcze jakaś nadzieja.

- Dlaczego uciekłeś przede mną przed chwilą w kościele? Byliśmy przyjaciółmi...

- Niegdyś tak. Wydaje mi się, że to było bardzo dawno...

- Minęły dwa lata, Battisto. To niewiele wobec ludzkiego życia.

Zamilkła, patrząc na przeora tak nieustępliwie, że na jego zapadniętych policzkach pojawiły się czerwone plamy. Zrozumiawszy, że w jego obecności nie powie nic więcej, zdecydował się wreszcie wyjść.

- Znajdziesz mnie w kaplicy, mój synu - szepnął. - Będę się modlić, aby Pan odsunął od ciebie pułapki tego świata.

- Dziękuję ci za to, mój ojcze, ale mam nadzieję znaleźć w sobie dosyć sił, by z Bożą pomocą pokonać je samodzielnie!

- Bardzo to miłe! - zauważyła Fiora zgryźliwie. - Nie przypominam sobie, żebym zastawiła na ciebie jakąś pułapkę.

- Wiem, donno Fioro, i proszę cię o wybaczenie, jeśli cię zraniłem... ale nie przyzwyczaiłaś mnie także do kłamstw z twoich ust.

- Kłamstw? Kiedy kłamałam?

- Ależ... dosłownie przed chwilą. Czy nie powiedziałaś, że przybywasz z Rzymu? Ty w Rzymie? Cóż byś tam robiła?

- Będiesz musiał jeszcze raz przeprosić, Battisto! Nie jadę stamtąd bezpośrednio, przyznaję, ale jednak przebywałam tam, zresztą zupełnie wbrew mojej woli, przez kilka miesięcy. Inaczej gdzie mogłabym spotkać twoją kuzynkę Antonię?

Nagle uderzenie krwi przywróciło na chwilę młodemu nowicjuszowi zdrowy wygląd z dawnych czasów, a jego czarne oczy zaśniły, trwało to jednak tylko chwilę...

- Antonia! - westchnął. - Zatem martwi się o mnie?

- Znacznie bardziej, niż sądzisz.

- Jakoś trudno mi uwierzyć w to stwierdzenie. Doszło do mnie, że ma zostać wydana za mąż.

- Te wiadomości są już nieaktualne. Antonia nosi obecnie imię siostry Serafyny, przebywa w klasztorze San Sisto i tam połączyła nas przyjaźń.

- Antonia zakonnica? Ależ to nieprawdopodobne!

- Prawie tak, jak widok ciebie w tym zakonnym habicie. Dodam, że wstąpiła do klasztoru nie z własnej woli. Papież chciał ją zmusić do poślubienia jednego ze swoich bratanków, Leonarda, najmniej udanego z całej tej bandy. Woląca zostać mniszką. Nadto jej ojciec, aby uspokoić papieski gniew, musiał oddać

większą część jej posagu. Dodam, że do dziś nie złożyła ślubów... i że od ciebie zależy, czy kiedykolwiek je złoży. To na jej prośbę przyjechałam.

Oddalwszy się od Fiory, Battista oparł się plecami o ścianę, którą przecinał wielki krucyfiks, jakby chciał się pod nim schronić. Pobladł jeszcze bardziej i młoda kobieta poczuła, jak opanowuje ją ogromna litość.

- Kiedyś do niej pisywałeś, prawda? - powiedziała łagodnie. - Dlaczego przestałeś?

- Przestałem, kiedy dowiedziałam się, że wychodzi za mąż. Bardzo ją... lubiłem i wolałem zerwać wszystkie więzy między nami. Wydawało mi się, że tak będzie łatwiej, i rzeczywiście przez jakiś czas było. Przy księciu Karolu sprawy wyglądały inaczej, z nim wszystko było możliwe, nawet najpiękniejsze rycerskie sny. Takie życie mi odpowiadało, czułem się niemal szczęśliwy. A potem pojawiłaś się ty i przy tobie przeżyłem najpiękniejsze dni mego życia...

- Wtedy jeszcze do niej pisałeś, przecież nawet opowiedziałeś jej o mnie - powiedziała Fiora surowo.

- To prawda. Zaprzestałem pisania wkrótce po twoim przyjeździe. Nie miałem wiadomości od niej od pewnego czasu i myślałam, że jest już zamężna. Dlaczego nic mi nie powiedziała?

- Może dlatego, że ze zbyt wielkim entuzjazmem pisałeś hymny pochwalne na moją cześć. To było wielkie głupstwo, przyjacielu!

- Ale ja wierzyłem w każde słowo, które pisałem. Rozpaliłaś moją wyobraźnię... a także moje serce. Troszeczkę.

- Antonia uznała, że bardzo, i na tym polega twoja głupota. Ona cię kocha, kocha cię całą duszą, a taka dusza jak jej nigdy się nie zmienia!

Bez fałszywego wstydu młodzieniec ukrył twarz w dłoniach. Po drzeniu ramion Fiora poznała, że płacze, i powoli podeszła do niego. Miała ochotę przytulić go do siebie, ukołysać jak nieszczęśliwe dziecko, którym w istocie był, ale nie śmiała: zmienił się i obawiała się, że go urazi.

- Jeśli dobrze rozumiem - szepnęła - do wstąpienia tutaj skłoniło cię straszliwe nieporozumienie. Ty także ją kochałeś?

- Sam już teraz nie wiem. Wiem tylko, że tego przekłętą styczniowego dnia zobaczyłem, jak ginie mój książę, podczas gdy ja pozostałem przy życiu... a później straciłem także ciebie. To było dla mnie za dużo i powrót do Rzymu mnie przerażał.

- Dlaczego nie chciałeś spotkać się z ojcem?

- Z tego samego powodu. Miałbym wrócić do tego okrytego hańbą miasta... po co?

- Może po to, by walczyć u boku twoich bliskich - burknęła Fiora, która postanowiła przyprzeć go do muru. - Odwieczna wojna między rodami Colonnów i Orsinich wkracza w fazę tym niebezpieczniejszą, że ci ostatni mają całkowite poparcie papieża. Naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia ten, kto zabija Orsiniego, ale niewiele ryzykuje zabijający Colonnę. Wasz pałac del Vaso całkowicie bezprawnie trafił w ręce jednego z bratanków Sykstusa IV. Słyszałam też, że papież chce się pozbyć twego wuja, protonotariusza, który pozwala sobie mieć własne zdanie...

- Mój Boże! Nie miałem o tym pojęcia.

- Dowiedziałbyś się wszystkiego, gdybyś zgodził się na spotkanie z ojcem. Czy kochasz Boga tak bardzo, by poświęcić Mu swoje życie i utknąć tutaj? Nie będziesz mógł opuścić klasztoru, jeśli złożysz śluby... a kiedyś będziesz musiał je złożyć. Skończą się wtedy romantyczne odwiedziny grobu księcia Karola. Zresztą nie wiadomo, czy tutaj zostanie.

- Wiesz coś na ten temat? - wyjąkał poblady Battista.

- Wiem tyle, ile mówią ludzie na ulicach i w zajazdach w Brugii, skąd przybywam. Księżna Maria pragnie gorąco, by ksiązę Rene oddał jej ciało ojca, by mogła je pochować w kartuzji w Champmol w pobliżu Dijon*.

* Ksiązę ostatecznie został pochowany w kościele Matki Boskiej w Brugii, gdzie nadal spoczywa obok swojej córki.

- Byłaś w Brugii? A więc dużo podróżujesz, donno Fioro?

- Więcej, niżbym chciała. Pojechałam do Brugii, gdyż spotkawszy Wielkiego Bastarda Antoniego, dowiedziałam się, że podczas Bożego Narodzenia widziano mego małżonka u księżnej. Od miesiący szukam Filipa. Wcześniej byłam w pobliżu Awinionu, a teraz, nie wiedząc już, co robić, jadę do Selongey w nadziei, że może tam trafię na jakiś jego ślad... Ale zostawmy to! Nie jestem tu po to, by rozmawiać o sobie, lecz o tobie. Czy zrozumiałeś to, co ci powiedziałam? Colonnowie potrzebują pomocy wszystkich członków rodziny, a Antonia potrzebuje ciebie. Ona cię kocha, powtarzam raz jeszcze i będę powtarzać nadal.

Battista podniósł na Fiorę oczy, w których lśniło coś, co przywróciło młodej kobiecie nadzieję, zwłaszcza kiedy zapytał:

- Czy ona... czy ona nadal śpiewa?

- Tylko na chwałę Pana. Jej głos budzi zachwyt w San Sisto, ale myślę, że tysiąc razy wolałaby nucić kołysanki waszym dzieciom!

Tym razem nowicjusz oblał się pąsem i odwrócił wzrok.

- Dziękuję, że zadałaś sobie trud przywiezienia mi tych wieści, donno Fiore. Czy zechciałabyś teraz zostawić mnie samego? Chciałbym... pomodlić się, zastanowić.

- To oczywiste i ja też będę prosić Boga, by cię oświecił i poprowadził najlepszą drogą. Możliwe, że więcej się nie zobaczymy... Bardzo cię lubię, Battisto Colonna!

- Zaczynam w to wierzyć. Ach, byłbym zapomniał! Gdzie się zatrzymałaś?

- Tam, gdzie poprzednio: w domu Jerzego Marqueiza. Zamierzam zostać jeszcze dwa lub trzy dni.

- To dobrze...

Nic więcej nie mówiąc, ukląkł u stóp wielkiego krucyfiks i ukrywszy twarz w dłoniach, pogrążył się w głębokiej modlitwie. Fiore przyglądała mu się przez chwilę, po czym na palcach opuściła ponure pomieszczenie.

Wieczorem, kiedy mieszkańcy domu ławnika Marqueiza mieli zasiąść do stołu, służący przyniósł liścik do Fiory.

Byłaś dziś na porannej mszy w kolegiacie - pisał Battista. - Czy mogłabyś jutro zrobić to samo i spotkać się ze mną w tym samym miejscu? Byłbym Ci nieskończenie wdzięczny...

Nie napisał nic więcej, ale tej nocy Fiore zupełnie nie mogła zasnąć - tak bardzo obawiała się spóźnić na spotkanie wyznaczone przez młodego przyjaciela. Ledwie noc zaczęła jaśnieć na wschodzie, gdy eskortowana przez Florenta, niegodzącego się, by sama biegła po ciemnych ulicach, weszła po schodach do kościoła Świętego Jerzego. Powietrze było zimne, a drobny, nieustający deszcz skapywał z dachów. Mokry bruk lśnił w żółtawym świetle bladej latarni. Musiała nawet poczekać chwilę, aż nie całkiem rozbudzony zakrystianin otworzy stare wrota, podczas gdy z okolicznych wsi dobiegały zachrypnięte pienia nowego pokolenia kogutów, jako że wszystkie poprzednie skończyły tragicznie w rosole.

Wszedłszy do kościoła, Fiore poszukała wzrokiem grobu. Pomiędzy zgaszonymi świecami zdawał się on drzemać w wyniosłej samotności, nad którą czuwała nigdy niegasnąca lampka oliwna.

- Co teraz robimy? - szepnął Florent mimo woli poruszony majestatem miejsca.

- Weźmiemy udział w mszy - powiedziała Fiore tym samym tonem - a ty nie ruszysz się z miejsca, dopóki cię nie zawołam. Zrozumiałeś?

- To dosyć jasne - westchnął z rezygnacją. - Nie ruszam się, jeśli mnie nie zawołasz...

Wysoki głos srebrnego dzwoneczka zapowiedział wejście księdza, który podszedł do słabo oświetlonego ołtarza, osłaniając Przenajświętszy Sakrament zieloną stulą ozdobioną złotą taśmą. Fiora i Florent uklękli jednocześnie na posadzce i nabożeństwo się rozpoczęło.

Po Podniesieniu młoda kobieta poczuła za sobą czyjąś obecność. Odwróciwszy się lekko, zauważyła Battistę, którego z trudem rozpoznała, gdyż biały habit zniknął, a wraz z nim wygląd nowicjusza. Młodzieniec stojący za nią, skromnie ubrany w podniszczoną tunikę z szarego sukna, ściśniętą w talii skórzanym pasem, wydał jej się, mimo tego uboższego stroju, wspanialszy niż księżę z bajki – księciem był bowiem z urodzenia. Musiała przywołać całe swoje opanowanie, by nie rzucić mu się na szyję. Udało jej się! Battista opuszczał klasztor i może za kilka miesięcy bramy San Sisto otworzą się przed małą Antonią, zaróżowioną z radości. To szczęście będzie dziełem jej, Fiory, która nigdy nie była zdolna zbudować własnego. Z sercem pełnym radości i wdzięczności przyjęła ciało Chrystusa.

Po zakończeniu mszy podeszła do młodzieńca i naturalnym gestem wzięła go pod ramię, aby razem z nim ruszyć do wyjścia.

- Sprawiasz mi wielką radość, Battisto... ale uważam, że jesteś niewystarczająco przygotowany do długiej drogi. Mam nadzieję, że pozwolisz, by twoja starsza siostra się tym zajęła? Odbędziemy część podróży razem... może chociaż do Burgundii?

- Chętnie przyjmę pomoc, gdyż jestem bez grosza, ale nie sądzę, żebyś dotarła aż do Burgundii, donno Fioro.

- A to dlaczego?

- Zaraz ci powiem. A na razie, czy moglibyśmy ostatni raz pomodlić się przy grobie księcia Karola?

Wyraziła zgodę uśmiechem i oboje, a za nimi Florent, skierowali się ku kaplicy. Świece zostały znów zapalone, lampka lśniła nowym blaskiem, a inny przyszedł mnich stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym Fiora poprzedniego dnia zobaczyła Battistę. Ten jednak wydawał się znacznie wyższy, a ramiona okryte zgrzebną białą tkaniną były szerokie i silne. Krótkie brązowe włosy i nieco arogancki sposób trzymania głowy sprawiły, że serce Fiory zabiło szybciej, choć sama nie wiedziała dlaczego. Później wypadki potoczyły się szybko.

Puściwszy jej ramię, Battista podszedł do swego dawnego towarzysza, nic nie powiedział, ale dotknął jego ramienia. Wówczas ten powoli się odwrócił, a Fiora na oślep oparła się drżąca dłońią o jeden z filarów. Tym mnichem był Filip...

Wyprostowany, w tej szacie, która czyniła go jeszcze wyższym i podkreślała dumne rysy jego twarzy, tak ogorzała, że nie zdołała zblednąć mimo mroku klasztoru, patrzył na nią, ale w jego orzechowych, złociście lśniących w blasku świec oczach, Fiora nie znalazła żadnego śladu dawnej namiętności. A kiedy zapominając o miejscu, w którym się znajduje, porwana miłością, chciała paść mu w ramiona, wyciągnął ręce, by utrzymać ją na dystans.

- Nie, Fioro. Nie możesz się do mnie zbliżyć. Została na miejscu jak rażona piorunem, z wrażeniem, że jej serce rozpada się na kawałki, a jej życie rozsypuje się w popiół.

- Ale dlaczego?... dlaczego? - zapytała głosem, w którym już słyhać było łzy.

Wzruszył ramionami i ze spokojem wsunął dłonie w szerokie rękawy.

- Wydaje mi się, że to oczywiste. Ani to miejsce, ani strój nie pozwalają na wylewność.

- Nie zawsze tak uważałeś. Zapomniałeś o kościele Santa Trinita? Mało się przejmowałeś świętością miejsca tego ranka, kiedy pokazałeś mi, czym jest pocałunek.

- Nie, nie zapomniałem, ale nie nosiłem wówczas habitu, a kościół był po prostu kościołem. Ta kaplica jest uświęcona obecnością tego, który tu spoczywa...

- Czy musi tak być, by do końca świata Zuchwały stał między nami? - szepnęła Fiora z goryczą. - On nie żyje, Filipie, a ten przedziwny kult, którym uparcie go otaczasz, nie przywróci mu życia.

- On jest bardziej żywy niż wy wszyscy. Tylko przy nim swobodnie oddycham!

- Co za szaleństwo. Battista zrozumiał, że powinien żyć dla innych...

Odwróciła się, szukając młodzieńca, by wezwać go na świadka swych słów, ale obaj z Florentem odeszli na bok, zrozumiałwszy, że ich obecność jest niepożądana.

- Battista wie teraz, że jest potrzebny...

- A czy ja nie potrzebuję ciebie? - Nie.

- A twój syn? Bo masz syna, Filipie. Sądzisz, że on nie potrzebuje ojca?

Po raz pierwszy w zimnych oczach Selongey a pojawił się błysk, a twardy głos złagodniał.

- W więzieniu w Dijon, w przeddzień zaplanowanej egzekucji, dowiedziałem się, że oczekujesz dziecka, ale nie wiedziałem, że to chłopiec. Jestem z tego powodu szczęśliwy... ale tam, gdzie jest, nie potrzebuje mnie. Nie

powinnaś była o nim wspominać, nie czuję najmniejszej radości z powodu bycia ojcem przyszłego kupca florenckiego.

- Przyszłego kupca florenckiego? Zatem, twoim zdaniem, gdzie przebywa twój syn?

- We Florencji, oczywiście. Tam, gdzie go zawiozłaś w zeszłym roku.

- Ja zabrałam małego Filipa do Toskanii? Na ten grób, który zdajesz się czcić, przysięgam, że nasze dziecko jest teraz w dworze Raibaudiere, w pobliżu Tours, gdzie czuwa nad nim stara Leonarda, moja dawna niewolnica Khatoun i para zacnych, oddanych ludzi.

Dawny ironiczny uśmiech uniósł prawy kącik wzgardliwych ust Filipa.

- W Tours? To niewiele mniej godne ubolewania. Mylisz się, Fioro, kiedy mówisz, że księżę Karol nadal stoi między nami. Tym, kto nas dzieli, jest król Francji. Wiesz, że nigdy nie zgodzę się mu służyć, a wychowujesz mego syna na jego dworze.

- Wychowuję twego syna u siebie, w domu, który mi ofiarowano...

- ...w podziękowaniu za dobrą i lojalną służbę w łóżku Campobassa!

- Mój Boże! Czy ty nigdy nie zapomnisz o tej okropnej historii?

Zrobiwszy krok w stronę grobu, Fiora opadła na kolana obok lampki z brązu.

- Król przeniósł na mnie uczucie szacunku, które żywił dla mojego ojca. Podarował mi ten dwór, ponieważ wiedział, że wszystko straciłam.

- Miałaś Selongey. To tam powinnaś była wydać na świat mego syna. Ale za bardzo obawiałaś się żyć z dala od wrzawy światowego życia, które zawsze prowadziłaś...

- Gdybym zgodziła się pojechać tam za tobą, teraz może byłabym w nędzy i bez domu. Zapominasz, że zostałam skazany na śmierć, bo marzyłam tylko o tym, żeby kontynuować walkę, żeby poświęcić się w służbie twojej ukochanej księżnej Marii. Ja się nie liczyłam, mogłeś mnie upchnąć w Selongey, jak kłopotliwy bagaż... Mimo to głęboko żałowałam, że spowodowałam nasze rozstanie... ponieważ... niech Bóg będzie mi świadkiem, i ty także, panie, który śpisz pod tą płytą... ponieważ cię kocham i zawsze kochałam tylko ciebie, Filipie. Szukam cię od miesięcy!

- Od miesięcy? A dlaczego nie od lat? Myślę, że jako prawdziwa florentynka, trochę przesadzasz. Nie szukałaś mnie we wrześniu ubiegłego roku, kiedy byłaś we Florencji, u Medyceusza, twojego kochanka, gdzie zawiozłaś mojego syna i wszystkich domowników.

Oburzenie i zdumienie poderwały Fiorę na nogi.

- Ja byłam we Florencji we wrześniu? Kto mógł ci powiedzieć podobną bzdurę?

- Mężczyzna, którego spotkałem dwa kroki od twego domu... tego, który nazywają Domem w Barwinkach. Zgadza się?

- Przyjechałeś... do mnie we wrześniu? To niemożliwe.

- Naprawdę? Posłuchaj więc. Kiedy uciekłem z zamku Pierre-Scize, w którym zamknął mnie twój król...

- Dzięki porozumieniu z córką dozorczy, wiem.

- Wygląda na to, że sporo wiesz.

- Więcej, niż myślisz. Chciałabym dowiedzieć się tylko, co zrobiłeś, kiedy opuściłeś kartuzję Val-de-Benediction, gdzie byłeś leczony i gdzie powiedziano mi, że straciłeś pamięć.

- Naprawdę tam byłeś?

- W towarzystwie Douglasa Mortimera. Pewnie go pamiętasz. Ojciec przeor powiedział nam wszystko, co wie o tobie, ale niewiele tego było... Tylko że ich okłamałeś. Nie straciłeś pamięci, prawda?

- Nie, ale nie wszyscy mnisi są godni zaufania, a to było jedyne możliwe zachowanie w przypadku więźnia, który zbiegł z królewskiego więzienia. Co jeszcze wiesz?

- Zew czasie Dni Błagalnych skorzystałem z przybycia licznych pielgrzymów zmierzających do Composteli, by ukradkiem opuścić kartuzję.

Zamilkła. Oczy Filipa ponad jej głową wbite były w coś, czego nie widziała. Spojrzała ich śladem i spostrzegła grupę mężczyzn, która z czapkami w dłoniach zmierzała w kierunku grobu.

- Chodź! - szepnął Filip. - Oddalmy się! Reszta kościoła jest pusta o tej porze...

Odpowiedziawszy skinieniem głowy na pełne szacunku ukłony wiernych, poszedł przodem w kierunku chóru, a później poczekał, aż młoda kobieta do niego dołączy. Razem zaczęli powoli iść obok siebie, a Filip opowiedział, jak doszło do tego, że przyłączył się do pielgrzymów zmierzających do dalekiej Galicji.

- Szedłem z nimi aż do Tuluzy. Była to moja jedyna szansa na przeżycie, gdyż nie miałem ani miedziaka, a dzięki nim żyłem z datków. Przez chwilę myślałem, żeby iść z nimi aż do celu, ale coś silniejszego ode mnie zatrzymywało mnie na tej ziemi, na której, jak sądziłem, się znajdujesz. Cierpiałem tak bardzo, że zapominałem przez to o mojej nienawiści do Ludwika XI. Chciałem tylko jednego: odnaleźć ciebie...

- Filipie!

- Zamilcz! Pozwól mi dokończyć! W Tuluzie udałem, że boli mnie noga, i moi towarzysze poszli dalej beze mnie. Zostałem w szpitalu Świętego Jakuba,

gdzie otrzymywałem pożywienie w zamian za drobne posługi. Czekałem na pielgrzymów wracających na północ, najlepiej w stronę Tours. Kiedy się pojawili, ruszyłem z nimi i w ten sposób nareszcie dotarłem do gniazda... Ludwika XI! - warknął głosem pełnym takiej nienawiści, że przeraził Fiorę.

- Czy habit, który nosisz, nie skłania do wybaczenia i miłosierdzia? - zapytała z łagodnym wyrzutem.

- Niewątpliwie... ale nie jestem pewien, czy naprawdę dostąpiłem łaski bożej - odpowiedział z gorzkim uśmiechem. - Jednakże podszedłem do łuczników strzegących zamku. Chciałem rozmawiać z tym Szkotem, którego przed chwilą wspomniałaś, a którego zachowałem w pamięci jako walecznego żołnierza, ale powiedziano mi, że wyjechał. Wówczas to podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał, czego szukam. Odpowiedziałem, a on zaproponował, że wskaże mi twój dom... ale kiedy tam szliśmy, powiedział, że ciebie już w nim nie ma, że wyjechałaś na zawsze z powrotem do Florencji ze swoim synem i służbą. A ponieważ zdziwiłem się, że wróciłaś do miasta, które tak źle cię potraktowało, zaczął się śmiać: „Nie ma nic, czego kobieta tak piękna jak donna Fiora, nie może uzyskać od mężczyzny, a Lorenzo Medyceusz jest wszechmocny. Już od dawna jest jej kochankiem...”.

- Mój Boże! - westchnęła przerażona Fiora. - Któż mógł powiedzieć coś podobnego?

- Człowiek, który najwyraźniej dobrze cię zna, doradca króla, ponoć także jego cyrulik...

- Oliwer le Daim! Ten nędznik, który mnie nienawidzi i próbował nas zabić, Leonardę i mnie, ośmielił się tak ci powiedzieć?

- Omal go nie udusiłem, ale przysięgał na wszystkich świętych w niebiosach, że mówi prawdę, a ponieważ dodał, że Dom w Barwinkach należy teraz do niego i że jeśli chcę, może mnie w nim gościć, zostawiłem go i uciekłem. Gdybym został, to pewnie w końcu bym go zabił i poszedł podłożyć ogień pod ten przeklęty dom...

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? Zaoszczędziłbyś nam obojgu wielu cierpień. Gdybyś poszedł do Rabaudiere, zobaczyłbyś otwarte okna, a w ogrodzie Leonardę z naszym dzieckiem... Przysięgam, że tam byłam! Zresztą, jeśli mi nie wierzysz, chodź ze mną. Towarzyszący mi służący odpowie na twoje pytania, ja nawet nie otworzę ust! Chodź, błagam cię!

- Nie... Nie zniżę się do wypytywania służącego. Wolę ci uwierzyć!

Fiora patrzyła z rozpaczą na tę zaciętą twarz, ten nieruchomy profil wyraźnie odcinający się na niebiesko-purpurowym tle witraża. Jej serce biło jak oszalałe, czuła, że zamiast ich zbliżyć, każde z słów, które wymieniali, jeszcze bardziej

pogłębia dzielącą ich przepaść. Aby dać sobie trochę czasu na zastanowienie, szepnęła zdławionym głosem:

- Co zrobiłeś później?

- Wziąłem znów do ręki kij pielgrzyma i ruszyłem w drogę. Straciłem chęć do życia. Nęciła mnie pobliska rzeka, ale rycerz, nawet znalazłszy się w nędzy, nie ma prawa popełnić samobójstwa. Mogłem jeszcze walczyć. Przypomniałem sobie wówczas o krewnym matki, którego zamek znajdował się w pobliżu Vendôme. Jeśli jeszcze żył, mógł mi dać to, czego tak potrzebowałem: konia, miecz i możliwość dotarcia do Flandrii, by móc podjąć walkę dla księżnej Marii...

- Domyślałam się, że twoje pragnienie się spełniło - powiedziała Fiora - ponieważ w czasie Bożego Narodzenia pani de Schulembourg widziała cię w Brugii. Ja także ją tam spotkałam, opowiedziała mi, co się wydarzyło. Myślę, że kochałeś panią Marię od dawna...

Teraz z kolei Filip się zdziwił.

- Ja? Ja kocham księżną od dawna? Ach, prawda - dodał z pogardliwym uśmiechem - klęczałem przed nią, kiedy wszedł ten niemiecki prostak, którego poślubiła, ale nie wyznawałem jej miłości.

- Naprawdę?

- Przysięgam na honor! Błagałem ją o ponowne podjęcie walki o naszą Burgundie opanowaną przez ludzi króla.

Błagałem, by powierzyła mi solidny oddział wojska i broń. Dzięki temu wznieciłbym bunt w regionie Selongey, a wtedy bez wątpienia inni poszliby w nasze ślady...

Kiedy mówił o swoim marzeniu, w jego oczach znów pojawił się blask, ten blask, którego nie wywoływała już miłość do żony. Ta konstatacja obudziła zazdrość Fiory i wywołała jej gniew.

- Szaleństwo! Nigdy by ci się to nie udało. Zostałbyś pokonany i tym razem nie zszedłbyś z szafotu żywy.

- No i co z tego? - burknął. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo żałuję, że nie umarłem. W każdym razie księżna nie wysłuchała mojej prośby, gdyż myśli, patrzy i oddycha tylko za pośrednictwem swego małżonka, tego ufryzowanego blondyna, tego Niemca, którego interesują jedynie Flandria i Artois.

- Brak ci logiki - powiedziała Fiora chłodno. - Gdyby wysłuchano twojej prośby, walczyłbyś właśnie dla tego Niemca. To w jego ręce trafiłaby twoja kochana Burgundia. Wielki Bastard nie mógł znieść tego, że czarne orły depczą kwiaty lilii. Twoi uwielbiani książęta, na tym, który tu spoczywa, skończywszy, byli Walezjuszami, dokładnie tak jak król Ludwik, a matka

twojej księżnej Marii była Francuzką. Nie przerobisz historii na swoją modłę, Filipie de Selongey, a teraz powinieneś pomyśleć o swoim synu, twoim synu, który absolutnie nie uczy się być sklepikarzem!

Jako że tym razem Filip zachował milczenie, Fiora, czując, że dotknęła czulej struny, chciała wykorzystać swoją przewagę.

- Uważasz, że własny brat Zuchwałego i jego najwierniejszy dowódca, uważasz, że ludzie tacy jak Filip de Crevecceur, jak bracia Croy i tylu innych, przyłączyliby się do króla Ludwika, gdyby nie widzieli w nim władcy godnego tego, by mu służyć? Nie proszę o tak wiele, ale wróć do nas, Filipie! Nie musimy mieszkać w Turenii. Pojedziemy do Selongey, by spędzić tam razem resztę życia!

Obeszli już całą kolegiatę i ponownie znaleźli się przy grobie, przy którym nie było teraz nikogo. Filip machinalnie zapalił zgasłą świecę...

- Przy nim jest mi dobrze, Fioro! Kiedy opuściłem Brugię, przejęty odrazą do tej pary skoncentrowanej na życiu rodzinnym i myślącej tylko o polowaniu lub urządzaniu przyjęć, chciałem pomodlić się na grobie księcia i poprosić go, by wskazał mi drogę. Byłem spragniony wielkości, poświęcenia. I zobaczyłem nadchodzącego Battistę w habicie nowicjusza. Pojąłem, że to odpowiedź, na którą czekałem. Zostałem...

- Nie kochasz mnie! Nigdy mnie nie kochałeś! - zawołała Fiora, a z jej oczu znów popłynęły łzy.

Wtedy, po raz pierwszy od długiego czasu, spojrzał na nią i Fiora, półprzytomna ze wzruszenia, zrozumiała, że się myli, że miłość nie umarła. Filip powoli położył na płycie długą, szczupłą dłoń.

- Na tego, który tu spoczywa i na wierność, którą mu poprzysiągłem - kochałem tylko ciebie!

- Wróć więc, błagam cię! Wróć ze mną! Zmierzałam do Selongey, pojedźmy tam razem i poślijmy po naszego syna! Nie pojedę więcej do Rabaudiere, ale wróć, błagam! Nie karz nas obojga! Możemy jeszcze być tacy szczęśliwi...

- Tak myślisz?

- Jestem tego pewna, mój kochany... Zapanowało między nimi milczenie bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa, gdyż takie milczenie koi rany i budzi nadzieję. Fiora nie śmiała się poruszyć, czekając na jakiś gest, uśmiech, by paść w ramiona mężowi.

- A więc teraz ty musisz przysiąc - poleci! Filip. - Przysięgnij przed Bogiem, że nigdy nie byłaś kochanką Lorenza Medyceusza!

Cios, który spadł na młodą kobietę, był tak silny, że się zachwiała, a krew odpłynęła jej z serca. Światelko, które dopiero co rozbłysło, zgasło. Nadzieja znikła... Fiorze nawet przez myśl nie przeszła pokusa krzywoprzysięstwa.

Zdawała sobie sprawę, że kiedyś może wydać się tajemnica narodzin Lorenzy, a nawet pogłoski z dalekiej Florencji mogą pewnego dnia dotrzeć do uszu jej męża.

- No więc? - zniecierpliwił się Filip.

Nie odpowiedziała i odwróciła wzrok, by uniknąć jego spojrzenia, płonącego teraz zarazem z gniewu i rozpacz.

- Nie... nie mogę! Ale...

- Żadnego ale! Żegnaj, Fioro! - Nie!

Był to rozdzierający krzyk, ale Filip nie chciał go słyszeć. Z gestem, który zepchnął młodą kobietę na dno rozpacz, wybiegł z kościoła, a wrota kolegiaty zamknęły się za nim tak ciężko, jak kamień nagrobny.

Porzucona Fiora padła na kolana, a potem całym ciałem, jakby chciała się z nią złączyć, przyłgnęła do zimnej płyty, do tego grobu, o który roztrzaskało się jej życie.

I to tam wkrótce potem znaleźli ją Florent i Battista...

Rozdział jedenasty

Pusty dom

Fiora nigdy by nie pomyślała, że można aż tak cierpieć. Leżąc bezwładnie w łóżku, nie czując nieustannie spływających łez moczających jej włosy i poduszkę, nie mogąc spać ani jeść, pozwalała, by jedna jedyna myśl rozpaliała jej umysł i stopniowo unicestwiała: Filip ją odepchnął i to na zawsze. Wolał nędzny klasztor i grób, przy którym zamierzał spędzić resztę swoich dni, niż ją. Słodkie chwile zapomnienia z Lorenzem nakładały na grzesznicę okrutną pokutę, na zawsze rozdzielając ją z jedynym mężczyzną, jakiego kochała.

Trwała tak w czeluści swego poniżenia, ani przez chwilę nie wyobrażając sobie, że być może Filip właśnie teraz zmaga się ze wszystkimi demonami wściekłej zazdrości. Nie chciała słuchać pocieszeń przyjaciół, nie zgadzała się na opuszczenie pokoju, a zwłaszcza tego miasta, w którym i on przebywał, dwa kroki od domu, od niej pograżonej w cierpieniu.

Odkąd zabrali ją z kościoła, ledwie świadomą, Battista i Florent nie wiedzieli, co robić, podobnie jak Nicole Marqueiz, którą w kilku słowach wprowadzili w sytuację. Ledwie Fiora schroniła się w swoim pokoju, młody Colonna popędził do klasztoru, by powiedzieć Selongeyowi, co się dzieje, i postarać się go zmiękczyć, ale zderzył się z prawdziwym murem.

- Ta kobieta dla mnie umarła - rzucił Filip z gwałtownością, która zaskoczyła młodzieńca. - Wzniosła między nami przeszkodę nie do pokonania. Raz jej wybaczyłem, ale drugi raz nie wybaczę.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, myślała, że nie żyjesz, a poza tym przeszła straszne rzeczy...

- Kiedy oddała się Campobassowi, dobrze wiedziała, że żyję. To, że uznała mnie za zmarłego, nie jest wytłumaczeniem. Gdybym zdecydował się z nią żyć, jak długo byłaby mi wierna? Jej uroda przyciąga mężczyzn, a ona daje się przyciągać ich miłości.

- Kocha tylko ciebie.

- Może dlatego, że nigdy nie miała nade mną władzy. Jak byłoby, gdyby nadeszła monotonia życia codziennego? Komu pozwoliłaby dostarczyć sobie rozrywki? Jakiego mężczyznę musiałbym zabić... jeśli nie zabiłbym jej samej? Nie, Colonna, nie chcę doświadczyć tego wszystkiego! Nie chcę zwariować...

- A czy tutaj nie zwariujesz? Nie jesteś stworzony do życia zakonnego... podobnie zresztą jak ja. Teraz wiem, że się myliłem, sądząc, że moje miejsce jest w klasztorze.

- Wybrałeś jedyne schronienie godne rycerza, ale teraz widzisz inny sens życia. Ja będę nadal pełnił milczącą wartość przy jedynym panu, jakiego kiedykolwiek uznawałem. Jeśli nie zaznam spokoju, wyjadę i poszukam śmierci, walcząc z Turkami.

- A twój syn? Godzisz się z tym, że nigdy go nie zobaczysz?

Oczy Filipa nagle rozbłysły, a potem zgasły za zasłoną powiek.

- Przerażliwie pragnę go zobaczyć! - burknął. - Ale gdybym go ujrzał, dotknął, nie dałbym rady się z nim rozstać. Musiałbym wówczas pozbawić go matki. Wolę nie ryzykować... Idź już, Colonna! Ruszaj ku swemu przeznaczeniu, a mnie zostaw mojej samotności...

- Nie chcesz przekazać jej choć jednego dobrego słowa? - szepnął Battista ze smutkiem. - Jest zrozpaczona, zdruzgotana, może się z tego nie podnieść.

- Powiedz jej... że powierzam jej mojego syna i że liczę na to, że uczyni z niego mężczyznę godnego jego przodków. Wiem, że ma szlachetne i waleczne serce. To naprawdę nie jej wina, że jej ciało jest słabe. I jeszcze powiedz, że będę się modlił za nią... za nich!

I to było wszystko. Chwilę później Filip de Selongey przekroczył drzwi prowadzące do klauzury i zniknął. Przybity Battista wrócił do Fiory, ale nie miał odwagi przekazać jej oschłej i smutnej wiadomości, którą mu powierzono. Nazajutrz z kolei Florent, niesiony wściekłym gniewem, pobiegł do klasztoru, zdecydowany zmusić uparciucha do wysłuchania tego, co nazywał głosem rozsądku. Nie został jednak wpuszczony i musiał odejść z niczym. Jerzy Marqueiz, który z przyjaźni do Fiory podjął podobną próbę, nie miał więcej szczęścia. Filip najwyraźniej postanowił obwarować się murem milczenia.

Rankiem, czwartego dnia odosobnienia Fiory, pani Nicole, Battista i Florent wspólnie postanowili, że należy interweniować. Było rzeczą oczywistą, że młoda kobieta postanowiła umrzeć z głodu.

- Nie zgadzam się - oświadczyła żona ławnika - patrzeć, jak kona w moim domu. Chodźcie obaj ze mną i nie gniewajcie się, jeśli mój język wyda wam się nieco zbyt ostry.

Uzbrojona w tacę zastawioną lekkimi potrawami i karafką z winem wkroczyła na schody prowadzące do pokoju desperatki.

Choć w kominku płonął ogień, który rozpalono, by pozbyć się wilgoci wynikającej z wyjątkowo deszczowej ostatnio pogody, pokój był pogrążony w ciemnościach. Pani Nicole skinęła na Florenta, aby rozsunał ciężkie zasłony. Szare i smutne światło poranka nie było wcale zachęcające, ale jednak było to światło dzienne. Ukazało się w nim łóżko i leżąca na nim Fiora, tak nieruchoma, jakby już umarła. Jej zapadłe od nieustannie płynących łez

policzki sprawiały, że wyglądała starzej, i obaj mężczyźni poczuli ucisk w sercu.

- Chętnie bym go udusił, tego oprawcę! - warknął Florent. - Jak pomyślę, że od czterech dni zgadza się tylko wypić trochę wody! Mam ochotę walić głową w ścianę!

- Niczego by to nie zmieniło. Zresztą zabicie pana Filipa również nie - zauważył Battista. - Nie byłaby dzięki temu mniej nieszczęśliwa.

W tym czasie Nicole postawiła tacę na łóżku i zaczęła podnosić Fiore, chwytając za poduszki.

- Dostyc tych płaczów! - oświadczyła. - Teraz coś zjesz, choćbym miała cię karmić łyżeczką jak małe dziecko.

Głos, który usłyszeli, zdawał się dochodzić z głębi łóżka. Był słaby, jednak pełen uporu.

- Zostaw mnie, Nicole! Nie chcę jeść! Nie będę już nigdy jadła.

- Naprawdę? No to posłuchaj uważnie tego, co ci powiem! Chcesz umrzeć, prawda? Tylko że ja nie zgadzam się mieć za kilka dni twojego trupa na głowie. Idź sobie dogorywać, gdzie chcesz, byle nie u mnie!

Mimo słabości Fiora otworzyła wielkie oczy pełne zaskoczenia i bólu.

- Co masz na myśli?

- To chyba jasne? Przed kilkoma dniami przyjąłm przyjaciółkę, której goszczenie sprawiło mi radość. Tymczasem ta przyjaciółka przejawia teraz chęć dokonania żywota pod moim dachem, a na to nie mogę się zgodzić. Choć jestem dumna, nie bez powodu, z mojej gościnności, to nie posuwa się ona aż do tego, by pozwolić na popełnianie w moim domu samobójstwa. Istnieje ze sto sposobów na pożegnanie się z tym światem, ale dom Marqueizów nie jest odpowiednim miejscem do ich realizacji. Zatem jeśli tak bardzo zależy ci na poświęceniu się dla tego tępego człowieka, to idź zrealizować tę decyzję gdzie indziej!

- Chcesz, żebym się wyprowadziła? Och, Nicole!

- Słuchaj, Fioro, wybór jest prosty: albo zgodzisz się jeść i dam ci czas konieczny na odzyskanie sił, albo ci chłopcy i ja nakarmimy cię siłą, abyś była w stanie pokonać kilka mil drogi.

- Jak możesz być tak okrutna?

- Ja okrutna? Spójrz na siebie!

Pani Nicole żwawo poszła po ręczne lustro, które podstawiła młodej kobiecie przed nos.

- Spójrz, jak wyglądasz po czterech dniach cierpienia! Jaki mężczyzna jest wart tego świadomego samozniszczenia? Z najładniejszej kobiety, jaką znam,

zmieniasz się w ludzki wrak. A jakbyś tak pomyślała trochę o twoim synu? Już nie ma ojca, a ty teraz chcesz jeszcze pozbawić go matki?

- Ojciec będzie dla niego znacznie bardziej użyteczny niż ja!

- Możesz tak myśleć, jeśli chcesz. Ja natomiast uważam, że dosyć płakałaś po panu de Selongey. Jeśli nadal chce obnosić się ze swą godnością i opłakiwać księcia, którego śmierć niektórzy uważają za wyzwolenie, wolna droga! Ale ty jesteś młoda... i piękna, i jeśli przestaniesz się wygłupiać, masz całe życie przed sobą. A jakbyś tak posłuchała, co Battista ma ci do przekazania?

- Rozmawiałaś z nim, Battisto? Widziałeś go?

- Widziałem. Rozmawiałem z nim... ale nic ci nie powiem, dopóki czegoś nie zjesz! - oświadczył paż stanowczo, postanowiwszy kroczyć drogą wyznaczoną przez panią Nicole.

- Naprawdę chcesz mnie zmusić, bym żyła?

- Właśnie! A więc jedz! Później porozmawiamy.

Podtrzymywana przez przepelnionego litością Florenta, który nie wiedząc, po której stronie się opowiedzieć, zachował milczenie, Fiora zjadła kilka łyżek zupy chlebowej słodzonej miodem, do której Nicole wbiła dwa żółtka, wypila kilka łyków wina, schrupała dwie smażone w cukrze morele i bez sił opadła na poduszki. Jej policzki były teraz lekko zaróżowione.

- Usłuchałam cię - westchnęła. - A teraz mów, Battisto! Pomijając starannie to, czego nie powinna usłyszeć, młodzieniec odtworzył ostatnie przesłanie Filipa i zakończył:

- Musisz go posłuchać, donno Fioro, a przede wszystkim musisz pomyśleć o sobie i dziecku! Bóg mi świadkiem, że żywię dla twego małżonka ogromny szacunek i podziw, ale to mężczyzna w średnim wieku, a ty jesteś młoda. Musisz żyć! Jeszcze tyle pięknych dni przed tobą!

Fiora milczała przez chwilę, słuchając, jak wybrzmiewa w niej echo mądrych słów dawnego pazia.

- Co zatem mi radzisz?

- Przed wszystkim, żebyś wróciła do domu. Jakkolwiek serdeczna byłaby gościnność pani Nicole, nigdy tu nie wyzdrowiejesz! Jesteś zbyt blisko... niego. Wyjedź! Kiedy będziesz daleko, znów staniesz się sobą, a tylko tego pragniemy my, którzy jesteśmy tu przy tobie.

Po raz pierwszy na jej bladych wargach pojawił się słaby uśmiech.

- Powinieneś być już daleko stąd, Battisto! Nie po to zaklinałam cię, byś opuścił klasztor, żebyś zajmował się mną.

- Wiem, ale nie opuszczę cię, dopóki nie wyruszysz w drogę do Turenii.

Młoda kobieta objęła spojrzeniem twarze tych, którzy otaczali jej łóżko, i poszukała ręki Nicole, by przyciągnąć ją do siebie.

- Jesteście okropnymi przyjaciółmi! - westchnęła. - Ale nigdy nie zdołam podziękować niebiosom za to, że was poznałam...

Dwa dni później, podziękowawszy gorąco Marqueizom za ich gościnność i przyjaźń, Fiora i jej dwaj towarzysze opuścili Nancy. Ponieważ młodzieńcy z największą stanowczością przeciwstawili się zamiarowi złożenia ostatniej wizyty w kolegiacie Świętego Jerzego, objechali hale i ulicą du Four Sacre dotarli do pałacu książęcego i długiej ulicy Neuve, u której końca znajdowała się Brama Craffe. Fiora dzielnie zmusiła się do nieodwracania głowy, kiedy przekroczyli fosę, na którą wychodziły mury klasztoru Matki Boskiej. Musiała spróbować zapomnieć Filipa i choć zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe, miała nadzieję, że z upływem czasu ten tak drogi jej sercu i tak okrutny obraz ulegnie zatarciu.

Zgodnie z pouczeniami Jerzego Marqueiza, który wiele podróżował, trójka towarzyszy miała jechać razem aż do Joinville, gdzie ich drogi się rozchodziły. Battista, odpowiednio wyposażony i zaopatrzony w sakiewkę wystarczającą na podróż do Rzymu, miał ruszyć na południe i przez Chaumont, Langres, Dijon, Lyon i dolinę Rodanu dotrzeć do portu w Marsylii. Fiora i Florent pojechać mieli na zachód i przez Troyes, Sens, Montargis i Orlean dotrzeć do głównego szlaku wzdłuż Loary, który dobrze znali.

Aby zanadto nie męczyć Fiory, ciągle jeszcze słabej po dobrowolnej głodówce, poświęcili dwa dni na pokonanie osiemdziesięciu mil dzielących lotaryńską stolicę od pagórków Joinville. Obfite deszcze się skończyły i pogoda, choć niezachwycająca, była niemal przyjemna.

- Wkrótce zobaczysz błękitne morze i rzymskie słońce - westchnęła Fiora, kiedy u stóp zamku książąt de Vaudemont żegnali się, z nadzieją, że nie na zawsze...

- Minęło tak wiele czasu, że od niego odwykiem - powiedział młodzieniec. - Możliwe, że nie będę mógł go znieść.

- Nie zapominaj zatem, że masz we Francji przyjaciół i jeśli po poślubieniu Antonii będziesz chciał znaleźć się w chłodniejszym klimacie... lub umknąć siepaczom papieża, nie wahaj się i przyjeżdżaj.

- Bądź pewna, że o tym nie zapomnę. Pozwól, że uściskam cię w imieniu Antonii i własnym! Niech Bóg cię błogosławi, donno Fioro, i da ci wreszcie szczęście, na które zasługujesz!

- Musiałby zadać sobie wiele trudu. Sądzę, że nie jestem do tego stworzona, wiesz? Ale spróbuję się dostosować...

Stojąc na skrzyżowaniu dróg i trzymając konia za uzdę, śledziła wzrokiem młodzieńca oddalającego się galopem wzdłuż Marny, której jasne wody odbijały zmienne, pokryte obłoczkami niebo. Myślała, że wyroki boskie są naprawdę nieodgadnione: pozwoliły jej przywrócić pasję życia Battisście, gdy tymczasem jej własna egzystencja legła w gruzach.

- I co? - zapytał Florent, który dyskretnie stał na uboczu. - Co teraz robimy?

- Cóż... wracamy do domu, Florencie.

- Oczywiście, ale co potem?

- Potem? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Muszę się zastanowić, a przede wszystkim odpocząć. Jeszcze nigdy nie czułam się taka zmęczona...

- To naturalne. Toteż będziemy wracać spokojnie, krótkimi etapami. Przecież nam się nie spieszy...

Fiora była szczerą, gdy mówiła, że nie wie, jak od tej pory będzie wyglądać jej życie. Ból mieszał się teraz z gniewem na tego, który porzucił ją i obarczył odpowiedzialnością za wszystko, z jednym tylko przykazaniem: uczynić z jego syna mężczyznę godnego przodków, co z założenia wykluczało z tego grona zacnego Francesca Beltramiego, który nie posiadał tytułu szlacheckiego. Ale po zastanowieniu Fiora stwierdziła, że nic nie wie o rodzie Selongeyów i choć namiętnie kochała jedyny jego egzemplarz, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia, przyznawała, że nie był on wzorem chrześcijańskiego miłosierdzia ani choćby zwykłej ludzkiej dobroci. Ściśle wypełniał rycerską powinność i to wszystko. Co do jej własnych przodków, de Brevailles'ów, to przykład w postaci starego Piotra nie był wcale bardziej zachęcający.

Ponadto Filip w swoich planach na pewno nie brał pod uwagę, że jego syn miałby służyć królowi Francji. Co więc robić? Co postanowić? Co wybrać?

Podczas podróży powrotnej do domu w ciepłym, pełnym blasku, wiosennym powietrzu, Fiora stopniowo zaczęła szkicować plan przyszłości. Nieważne było, co Filip myślał o swoim florenckim teściu, nieważna była ledwie ukrywana wzgarda dla ludzi traktujących handel jak jedną ze sztuk pięknych! Budziła się w niej obywatelka Florencji i pomyślała, że gdyby Lorenzo Medyceusz wygrał wojnę z papieżem, byłoby przyjemnie wrócić tam ze swoimi dziećmi, Leonardą i wszystkimi, którzy chcieliby jej towarzyszyć. Myśl o odebraniu małej Lorenzy napędzała ją radością. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej wprawdzie, że odbieranie jej teraz z naczym Nardim byłoby straszliwym okrucieństwem, ale tłumiała go wytłumaczeniem, że pewnie Agnolo pragnął dokonać żywota w swoim rodzinnym mieście, które jego żonie bez wątpienia się spodoba. Trzeba by było to rozpatrzyć. Zresztą nic nie wiedziała na temat wojny... może daleko jej było do zakończenia.

Tak rozmyślała Fiora, podczas gdy droga przesuwiała się pod końskimi kopytami, ale im bliżej było okolic Loary, czuła coraz bardziej gorączkową niecierpliwość, by zobaczyć dom i ogród, zapewne cały ukwiecony i pachnący, by schronić się wygodnie w tym własnym raju i by, przede wszystkim, nie ruszać się z niego przez długie, bardzo długie miesiące...

Toteż, kiedy przekroczyli wschodnią bramę Tours i opuścili brukowaną drogę prowadzącą do królewskiego zamku w Plessisles-Tours, żeby wjechać na trakt wiodący do jej domu, Fiora, jakby prowadziła oddział do natarcia, wydała tak głośny okrzyk radości, że spłoszyła kruki z pola, i puściła konia galopem. Ponad zieloną falą drzew dostrzegła łupkowe dachy i szczyt wieżyczki. Nie zwalniając, wjechała w zapadniętą aleję obrośniętą omszałymi dębami i dopiero na widok drzwi wstrzymała konia, który stanął dęba.

- Leonardo! Petronelo! Khatoun! Stefanie!... Jesteśmy!

Nikt jej nie odpowiedział...

A później nagle z kuchni wybiegła Petronelai ruszyła pędem w kierunku przybyłych, krzycząc i płacząc:

- Uciekajcie! Na miłość boską, uciekajcie! Nie pozwólcie się złapać!

Fiora i Florent nie zdążyli zadać jakiegokolwiek pytania. Z domu wybiegło dwóch łuczników, starając się ją dogonić. Na ich wezwanie zza domu wyłoniło się dwóch innych żołnierzy. Rzucili się do koni i pochwycili je za uzdy mimo wysiłków dwojga podróżnych, by im w tym przeszkodzić.

- Co to ma znaczyć? - zawołała rozjuszona Fiora. - Czego ode mnie chcecie?

Żołnierzom udało się schwytać Petronełę, którą zawlekli do domu, szlochającą i wydającą nieartykułowane okrzyki.

- To znaczy, że zostałam zatrzymana... - odezwał się głos, w którym Fiora usłyszała tryumfalną radość.

Choć w pierwszej chwili nie wierzyła własnym oczom, był to Oliwer le Daim, który w towarzystwie żołnierza wyszedł przez wdzięczne, zwieńczone łukiem drzwi i niespiesznie zbliżał się do Fiory. Dwaj łucznicy, po raczej bezceremonialnym ściągnięciu z konia, trzymali ją za ramiona.

- Zatrzymana? Ja? A to dlaczego? - zawołała młoda kobieta.

- Nasz Sire król ci to wytłumaczy... może. Ja mogę ci tylko powiedzieć, że twój przypadek jest poważny... i że chodzi co najmniej o zdradę...

- Gdzie jest mój syn? Gdzie jest pani Leonarda i Khatoun?

- W bezpiecznym miejscu, nie obawiaj się. I są bardzo dobrze traktowani...

- A ja? - zawołał Florent, daremnie starając się uwolnić Fiore. - Czy ja też jestem zatrzymany?

- Ty? - powiedział królewski cyrulik z pogardą. - Ty jesteś niczym... zwykłym sługą. Idź sprawdzić, czy cię nie ma gdzie indziej.

- Nigdy! Nigdy nie opuszczę donny Fiory, a jeśli chcesz ją gdzieś zabrać, to mnie zabierzesz wraz z nią.

- Sierzancie! - westchnął le Daim, przybierając zbolaną minę wielkiego pana, któremu ktoś zawraca głowę. - Zabierzcie mi stąd tego chłopaka! Przywiążcie go w stajni. Później zobaczymy, co z nim zrobić...

Podczas gdy stawiającego energiczny opór młodzieńca wleczono w kierunku zabudowań, Fiora ze związanymi rękami stała pomiędzy łucznikami. Cios, który jej zadano, był tak nieoczekiwany, że nawet nie myślała o stawianiu jakiegokolwiek oporu, jednak nie mogła sobie odmówić przyjemności zmierzenia pogardliwie od stóp do głów niepozornego człowieczka, który bezwstydnie upajał się sytuacją

- Dostałeś to, czego chciałeś, prawda? Jeśli dobrze rozumiem mieszkasz w moim domu?

- Twoim domu? Król ma zawsze prawo odebrać to, co podarował, jeśli ktoś zdradzi jego zaufanie.

- Ty natomiast go nie zdradzasz?

- Szczerze powiedziawszy... nie. Jeśli sprawi ci to przyjemność, to informuję, że jeszcze się nie wprowadziłem, czego żałuję, gdyż dom jest naprawdę uroczy. I urządzony z takim smakiem! Przyjechałem tylko na krótko, ale bądź pewna, że wkrótce będę tu na stałe...

- Nie ciesz się na zapas! Nie warto dzielić skóry na niedźwiedziu, zanim się go zabije. Ale zmieniając temat: dokąd zostaną zawieziona? Do Loches?

- Nie, niestety! Wolałbym, żeby tak było, ale król rozkazał, by pojmano cię zaraz po powrocie i zawieziono do więzienia w Plessis. Sądzę, że chce cię mieć pod ręką...

Gwałtowny lęk ścisnął serce Fiory i nieco stłumił jej dumę.

- Skoro uważasz, że wygrałeś, to mógłbyś okazać się wspaniałomyślny albo chociaż po ludzku przyzwoity i powiedzieć mi, gdzie jest mój syn. Chyba rozumiesz, że się niepokoję?

- Naprawdę? Przecież wcale się nim nie zajmujesz? Zresztą podobnie, jak swoją córką...

Fiorze udało się nie okazać, jak to stwierdzenie nią wstrząsnęło, ale trafił celnie. Skąd ten demon mógł dowiedzieć się o Lorenzy? Czy była śledzona, szpiegowana od chwili wyjazdu z Rabaudiere i przez cały czas później? To było prawie niemożliwe, ale przecież wiedziała od dawna, że Ludwik XI wykreślił słowo „niemożliwe” ze swojego słownika. Rezygnując z zadawania

kolejnych pytań, które sprawiłby zbyt dużą satysfakcję temu nędznikowi, zwróciła się do sierżanta:

- Skoro mam iść do więzienia, czy zechcesz mnie do niego zaprowadzić? Tam czy gdzie indziej, bardzo potrzebuję odpoczynku...

Ruszyli w drogę, słysząc dobiegające z oddali wściekłe krzyki Florenta, którego musiano przywiązywać w stajni. Pół godziny później Fiora i jej eskorta weszli na paradny dziedziniec zamku. Młoda kobieta myślała, że zostanie zamknięta w dużej, samotnej wieży, tej, którą zwano Sprawiedliwością Króla, ale tak się nie stało. Przecięli tylko plac, na którym znajdowały się pomieszczenia gwardii szkockiej i gdzie pośród wrzawy i okrzyków zachęty wielu z walecznych synów tego narodu próbowało się na szable. Na darmo szukała wzrokiem wysokiej sylwetki swego przyjaciela, Mortimera, a nie dostrzegłszy go, przestała interesować się tym, co widzi.

Inne, mniejsze więzienie znajdowało się na styku paradnego dziedzińca i ogrodów, w murze obronnym zamku. Musiało być zastrzeżone dla ważniejszych więźniów, więc nowo przybyła, spodziewająca się lochu, była przyjemnie zaskoczona. Pomieszczenie, do którego ją wprowadzono, nie robiło wrażenie luksusowego: podłogę zrobiono z grubo ciosanych płyt, w drzwiach zaopatrzonych w żelazne rygle i ogromne zawiasy widniał mały, zakratowany otwór. Wąskie okno, usytuowane tak wysoko, by zniechęcać do wspinania się do niego, zaopatrzone było w dwa skrzyżowane pręty grube jak ręka dziecka. Jednakże znajdowało się tam łóżko z zasłonkami i pościelą, stolik do toalety, drugi do jedzenia, kufer na ubrania i dwa meble do siedzenia: krzesło z podłokietnikami i zydeł. Wreszcie dozorca przyjmujący więźniarkę przypominał istotę ludzką, a nie gotowego gryźć molosa. Kiedy otworzył przed nią drzwi celi, podał jej rękę, przestrzegając, by uważała na próg. Podziękowała mu z uśmiechem, po czym spostrzegłszy łóżko, wyciągnęła się na nim wyczerpana, zapadając natychmiast w głęboki sen.

Obudziła się dopiero nazajutrz rano z powodu łaskotu otwieranych rygli, kiedy dozorca wszedł do pokoju, by przynieść jej posiłek.

- Musisz być głodna - powiedział w tym eleganckim języku, którym mówią ludzie w Tureni. - Wczoraj przyniosłem ci kolację, ale widzę, że jej nie ruszyłaś. Naprawdę mocno spałaś...

- To prawda - powiedziała Fiora. - Jestem głodna, ale gdybym mogła dostać trochę wody, by móc się umyć, byłabym ci wdzięczna.

Sięgnąwszy do sakiewki, wyciągnęła srebrną monetę, którą chciała mu dać, ale odmówił:

- Dziękuję, szlachetna pani. Nasz Sire rozkazał, by niczego ci nie brakowało. Opiekując się tobą, wykonuję tylko mój obowiązek...

- Żeby mi niczego nie brakowało? Obawiam się, że nie możesz mi dać tego, czego brakuje mi najbardziej: mojego syna...

Zacny człowiek robił wrażenie niepokieszonego.

- Niestety nie! Mogę ci dać tylko to, co pozwolono mi dostarczyć. Wierz mi, że przykro mi z tego powodu... Przyniosę ci ciepłą wodę, ręczniki i mydło. Ale nie czekaj, jedz!. Posiłek ci ostygnie.

Na posiłek składało się gorące mleko, chrupiący, jeszcze ciepły chleb, miód i mały kawałek masła zawinięty w liść winorośli, na który Fiora spojrzała ze szczerym zdumieniem.

- Czy wszystkich więźniów tak dobrze karmicie? Niewiele znam oberży o dobrej renomie, które tak podejmują gości!

- Jesteś teraz jedyną osobą w tym więzieniu, a moja żona ma pozwolenie na branie jedzenia dla nas z kuchni zamkowej. Dla ciebie też. A poza tym to nie jest takie więzienie jak inne, niewiele osób tu przebywa. Sporo się różni od donżonu na pierwszym dziedzińcu. Poza tym, jak mówiłem, dostałem rozkazy.

- Czy wolno mi przyjmować odwiedzających? Chciałabym zobaczyć się z sierżantem Mortimerem z gwardii szkockiej.

- Z Zawieruchą? - powiedział dozorca ze śmiechem. - Wszyscy go tu dobrze znają. Niestety, nie jest to możliwe. Po pierwsze dlatego, że przebywasz tu w tajemnicy. Po drugie dlatego, że nie ma go w Plessis... Pójdę po wodę dla ciebie.

- Jeszcze słówko! Powiedz mi chociaż, jak się nazywasz.

- Grzegorz, pani. Grzegorz Lebret, ale imię wystarczy. Jestem całkowicie na rozkazy pani hrabiny.

I z czymś w rodzaju ukłonu zaskakujący dozorca zostawił Fiorę, która rzuciła się na ten, jeszcze bardziej zaskakujący posiłek. Jedząc, próbowała uporządkować myśli. Wyraźnie okazywano jej pewne względy, ale jednak nie zawahano się przed odebraniem dziecka, drogiej Leonardy i domu. A choć przypomniawsza sobie brutalność, z jaką poprzedniego dnia łuczniczki odciągnęły Petronele i ton użyty przez obmierzłego Oliwera le Daim, to pewne było, że król wydał w odniesieniu do niej dokładne rozkazy, których naruszania cyrulik się wystrzegał, niezależnie od tego, jaką miał na to ochotę? Ale dlaczego? Jaką zbrodnię mogła popełnić? Le Daim mówił o zdradzie i dodał, że przypadek jest poważny. Ale w jaki sposób, w czym mogła zdradzić króla czy nawet Francję? Odrażający osobnik zrobił też aluzję do Lorenzy, co w tamtej chwili wprowadziło Fiorę w drżenie. Jednakże te narodziny, które trzeba było spróbować utrzymać

w tajemnicy, nie mogły urazić Ludwika XI do tego stopnia, by skłonić go do aż takiej surowości. Chodziło zapewne jedynie o jakieś nieporozumienie, zrzęcznie wykorzystane przez cyrulika lub inną osobę, która źle jej życzyła. A może o jakąś kalumnię? Fiora wiedziała, że król jest skrajnie nieufny i jeśli czuje się oszukiwany, zdolny jest przechodzić od wielkiej dobroduszości do ogromnej surowości. Jeśli tak było, to powinna jak najszybciej rozmówić się z nim...

Kiedy Grzegorz wrócił z przyborami toaletowymi, Fiora zapytała go, czy zgodziłby się przekazać królowi, że błaga go, by wysłuchał jej najszybciej, jak to możliwe. Jednak tego również dozorca nie mógł zrobić: król przebywał nie w Plessis, lecz w Amboise, przy królowej, która była zatroskana o zdrowie delfina.

- Myślisz, że zostanie tam długo?

- W zasadzie nie powinien, ale jeśli stan zdrowia małego księcia się pogorszy? Uzbrój się w cierpliwość, pani hrabino! Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby zaraz po powrocie nie posłał po ciebie...

Cierpliwość! Tą cnotą, tak wychwalaną przez Demetriosa, Fiora nigdy nie była w stanie się wykazać, kiedy znajdowała się w przykrym położeniu! Lubiła podejmować decyzje, a później wszystko powinno odbywać się szybko. Dziewięć miesięcy oczekiwania na dziecko wydawało jej się siedmioma wiekami. Ta postawa zawsze bawiła Leonardę. Tym razem cierpliwość miała być jeszcze jedną ciężką próbą, bo która matka może dłużej znieść brak informacji o tym, gdzie się znajduje jej dziecko?

A jednak musiała czekać. Dla tej młodej, pełnej życia kobiety, zmuszonej do całkowitej bezczynności, każda godzina zdawała się nie mieć końca. Grzegorz nie był w stanie dostarczyć jej książek - jedynej rzeczy, która mogła sprawić, by czas płynął nieco szybciej. Nie po raz pierwszy była uwięziona, ale nigdy nie cierpiała z tego powodu tak bardzo, bowiem poprzednio bała się tylko o siebie, a nie o swoich bliskich. Gdzie mogli być Leonarda, Khatoun i mały Filip? Król wiedział, że rozdzielając ją z nimi i nie informując o miejscu ich pobytu, wymierzał jej najcięższą z kar, co czyniło niepotrzebnymi jakiekolwiek sankcje fizyczne i tłumaczyło, przynajmniej w części, przyzwoity pokój, dobre wyżywienie, a nawet ubrania - te, które zostawiła w Rabaudiere, a teraz znalazła w kufrze w swoim więzieniu. Jednym się pocieszała: Ludwik za bardzo kochał i szanował dzieci, by skrzywdzić jej syna. Filip był na pewno jeszcze lepiej traktowany niż jego matka. Jak długie wydawały się jej jednak godziny w czasie tych ośmiu dni, które musiała spędzić jedynie w towarzystwie swego dozorca!

Fiora zmuszała się do starannej toalety każdego ranka, do noszenia czystej bielizny i sukien. Zona Grzegorza zajmowała się praniem i prasowaniem. Był to jakiś sposób na zachowanie godności; poza tym nie chciała zostać zaskoczona w niedbałym stroju, kiedy wreszcie przyjdą, by zaprowadzić ją przed oblicze sędziego... lub sędziów...

Wieczorem dziewiątego dnia przybiegł zdyszany Grzegorz:

- Król, pani hrabino! Król! Najeżdża!...

Fiora już to wiedziała. Usłyszała warkot werbli, dźwięk srebrnych trąbek i całą tę wrzawę, jaką wywołuje duży oddział jeźdźców, zwłaszcza gdy towarzyszy mu sfera psów i wozy z bagażami, zawsze przemierzające się za władcą w czasie podróży. Jej serce zabiło mocniej. Nareszcie, nareszcie dowie się, o co jest oskarżona!

Jednak minęły jeszcze dwa dni, dwa niekończące się i jeszcze dłuższe od poprzednich dni, i wciąż nie wiedziała, czy ktoś się nią zainteresuje, czy nie zostanie po prostu pozostawiona sama sobie w tym więzieniu.

Tego wieczora, po krótkiej toalecie i modlitwie, położyła się z ogromnie ciężkim sercem, nie wiedząc już, co myśleć. Wewnętrzne napięcie nie pozwalało jej zasnąć.

Wyciągnięta na łóżku, nerwowo okręcała na palcu koniec długiego czarnego warkocza leżącego na jej piersi i słuchała zegara wydzwaniającego godziny w małym klasztorze przyległym do właściwego zamku. Jak wszyscy więźniowie żyła tym, o czym informował ją słuch... Nagle drgnęła i gwałtownie usiadła: ktoś otworzył jej drzwi, a zbliżała się już północ.

Pojawił się w nich Grzegorz uzbrojony w latarenkę, a zanim zamknął za sobą drzwi, Fiora zdołała co najmniej dwóch halabardników oświetlonych pochodniami...

- Szybko, szybko! - zawołał Grzegorz. - Załóż coś na siebie, pani. Król cię wzywa!

Fiora, wyskoczywszy z łóżka, znalazła się nos w nos z przestraszonym dozorcą, który uniesioną latarenką oświetlał twarze ich obojga.

- O tej porze? - spytała.

- Tak. Bogu dzięki nie spałaś! Ale błagam, pospiesz się!

Fiora gorączkowo włożyła suknię i buty, po czym rezygnując z czesania się, okręciła wokół głowy woal. Wszystko to nie zabrało więcej niż dwie minuty. Przed drzwiami istotnie czekali na nią strażnicy, z których dwóch uplasowało się przed nią, a dwóch za nią, i w takim towarzystwie pokonała dwa piętra dzielące więzienie od poziomu ziemi, a potem wkroczyła na paradny dziedziniec, pusty i cichy o tej późnej porze. Słysać było tylko miarowy krok

strażników czuwających na murach i odgłosy dobiegające z pobliskich pól. Noc była piękna, jasna, rozgwieżdżona, i po okresie przebywania w zamknięciu Fiora z niespodziewaną przyjemnością wdychała jej świeże zapachy. Jak pięknie pachniały lipy i wiciokrzew!

Z wyjątkiem światła jaśniejącego w apartamentach królewskich i dwóch pochodni płonących przy wejściu do ośmiokątnej wieżyczki, w której mieściły się schody, Plessis pogrążone było w ciemnościach. Gdzieś po drugiej stronie Loary zaszczekał pies i we wnętrzu zamku odpowiedział mu jeden, potem dwa, w końcu trzy.

Kilka chwil później drzwi do królewskiej komnaty, przed którymi czuwało dwóch gwardzistów szkockich, zostały otwarte przez lokaja, który zaprosił Fiorę do środka i zaraz znikł, zamykając za sobą rzeźbione, dębowe skrzydło.

Opatulony, mimo dość wysokiej temperatury, w opończę z czarnego sukna podbitą futrem kuny, w wełnianej czapce wbitej aż po krzaczaste brwi, Ludwik XI siedział na drewnianym tronie wyłożonym poduszkami, przy monumentalnym kominku, na którym płonął jasny ogień. Wraz ze świecami w pięcioramiennym świeczniku z kutego żelaza, stojącym obok króla, płomienie te stanowiły jedyne oświetlenie obszernej komnaty. Pomieszczenie, w trzech czwartych pogrążone w ciemnościach, wydało się Fiorze ogromne.

Król nie patrzy! na nią. Patrzył na ogień i jego budzący obawę profil o długim, spiczastym nosie, mocnym, stanowczym podbródku i pogardliwie wykrzywionych ustach odcinał się na tle płomieni, podkreślających jego wystające kości policzkowe i ciężkie powieki, pomarszczone jak u żółwia, spod których sączył się ołowiany blask spojrzenia. Wyciągał w kierunku płomieni długie, żyłaste dłonie, cudownie oszczędzone przez czas, i od czasu do czasu pocierał jedną o drugą.

Jako że nadal nie zwracał spojrzenia ku Fiorze, zrobiła ona kilka kroków, stłumionych przez gruby dywan, na którym leżały psy. Wszystkie podniosły łby, wietrząc w powietrzu obecność obcej osoby i czekając może na jakieś polecenie, które nie padło, tak jak Fiora czekała na słowa, które także nie padły.

Wiedząc, jak straszny może być jego gniew, nie śmiała przerwać tej ciszy, która stawała się nieznośna. Przyklęknęła w głębokim ukłonie i czekała na pozwolenie powstania. Król nadal milczał. Wówczas, na wpół żywa ze strachu, mimo gniewu, który mogła na siebie ściągnąć, wyszeptała:

- Sirel... Nie wiem, dlaczego król odwraca ode mnie spojrzenie i jakie uchybienie mogłam popełnić, by narazić się na jego gniew, lecz pokornie błagam, by powiedział mi chociaż... co się dzieje z moim synem?

Znowu przeraźliwa cisza. Poczwała, jak coś ściska ją za gardło, a łzy, które starała się powstrzymać, napłynęły jej do oczu. A później, nagle, Ludwik XI odwrócił głowę w jej stronę i rzucił jej prosto w twarz ostre spojrzenie płonące gniewem, który powstrzymywała tylko siła woli.

- Twój syn? - burknął król z pogardą, która była dla młodej kobiety jak policzek. - Najwyższy czas, żebyś się o niego zatroszczyła. Wkrótce skończy dwa lata, a ile dni w tym czasie spędziłaś z nim?

- Zdecydowanie za mało, ale przecież król wie...

- Nic nie wiem! I podnieś się! Za bardzo przypominasz skazaną, którą jeszcze nie jesteś.

- A naprawdę mam nią być? W czym uchybiłam królowi?

Znowu odwrócił wzrok od tej szczupłej postaci w czerni, tak pełnej wdzięku, i od tych wielkich, szarych oczu, lśniących od łez.

- Uchybiłaś? To za słabe słowo, pani! Ubliżyłaś mi, zdradziłaś mnie tak, jak zdradzić można tylko władcę, brałaś udział w spisku, by mnie zabić!

- Ja?

Był to tak spontaniczny okrzyk, że król drgnął. Nerwowy tik rozciągnął jego usta i poruszył wrażliwe nozdrza.

- Tak, ty! Ty, którą przyjąłem, kiedy odrzuciła cię Florencja, którą ulokowałem w moich włościach, osadziłem w swoim sąsiedztwie i, niech Bóg mi wybaczy, obdarzyłem pewną przyjaźnią! Jakby zdrowy na umyśle mężczyzna mógł oferować coś w rodzaju przyjaźni kobiecie!

Wypluł to słowo z taką pogardą, że Fiora poczuła, jak rodzący się gniew osusza jej łzy.

- Sirel Czy łono, które wydało na świat króla, nie należało do kobiety?

Spojrzenie, które zwrócił w jej stronę, było pełne urazy, a może także smutku.

- Królowa, moja matka, była świętą i szlachetną kobietą, która nie zaznała tego szczęścia, za którym gonicie wy wszystkie, a to z jednego powodu: była brzydka. Natomiast moja babka, Ysabeau la Bavaroise, była po prostu tym, co włosku nazywa się una granputana i jakby tego było mało, swego czasu sprzedała Francję Anglikowi! A ja, który nie chciałem kobiet w moim otoczeniu, zachowałem się jak szaleniec, pozwalając tobie się w nim znaleźć. Dlatego to odebrałem ci Rabaudiere...

- Ale mój syn, co będzie z moim synem?

- Zostanie wychowany stosownie do nazwiska, które nosi. Powierzę go Wielkiemu Bastardowi Antoniemu, który będzie umiał uczynić z niego mężczyzną...

- Darzę głębokim szacunkiem księcia Antoniego, ale póki żyję, odmawiam mu prawa do zajmowania się moim dzieckiem!

- Póki żyjesz? Czy jesteś pewna, że to jeszcze długo potrwa?

- Ach! Zatem król zamierza... skazać mnie na śmierć?

- Ty brałaś udział w spisku prowadzącym do mojej śmierci, pani!

- Nigdy! Przysięgam na zbawienie duszy, nigdy nawet nie chciałam twojej śmierci. Musiałabym być szalona!

- Albo sprytna! Nie urodziłaś się we Florencji, pani, ale stałaś się florentynką i wydaje mi się, że intrygowanie nie ma przed tobą tajemnic. Czy zaprzeczysz, że ostatniego lata napisałaś list, który powierzyłaś legatowi papieskiemu w Awinionie?

- Kardynałowi delia Rovere? Oczywiście, Sire, i nie mam żadnego powodu, by to negować.

- Do kogo był adresowany ten list?

- Do mojej bliskiej przyjaciółki, która pozwoliła mi ująć z życiem z Rzymu, dotrzeć do Florencji i w pewnym sensie uratować życie pana Lorenza, dając mu miecz, tak bardzo mu wtedy potrzebny: do madonny Catariny Sforzy, hrabiny Riario...

- Co miałaś jej tak pilnego do powiedzenia?

- Chciałam wyrazić moją spóźnioną wdzięczność. Zresztą to na usilne prośby kardynała napisałam ten list.

- Jakże to prawdopodobne! - powiedział król, wzruszając ramionami. - Dlaczego delia Rovere miałaby cię o to prosić?

- To dosyć proste. Darzy swą kuzynkę głębokim przywiązaniem, a podobno musiała ona wiele wycierpieć z powodu pomocy, której mi udzieliła. Kardynał-legat pragnął, bym zapewniając donnę Catarinę o mojej głębokiej przyjaźni, obiecała jej, że postaram się wpłynąć na króla, by nakazał przerwać wojnę między Rzymem i Florencją...

- Zresztą w bardzo prosty sposób: zabijając starego diabła - tak bowiem nazywałeś mnie w liście - co pozbawiłoby Florencję cennego wsparcia w postaci złota i armat...

- Nigdy nic podobnego nie napisałam! - zawołała Fiora zupełnie wyprowadzona z równowagi. - A z jakiego to powodu miałabym wymyślić podobną potworność?

- W nadziei że papież odda ci znacznie więcej, niż odebrała ci śmierć tego nieszczęsnego Beltramiego. Zobacz sama!

Z szerokiego rękawa wyciągnął duży arkusz papieru, który musiał przebyć długą drogę - jego załamania były zabrudzone, a pieczęć z zielonego wosku złamana. Podał go Fiorze:

- Czy to list od ciebie? To twoje pismo, prawda? A także twoja pieczęć: zielony wosk z odcisniętymi trzema barwinkami, twoje osobiste godło?

List rzeczywiście w najdrobniejszym szczególe przypominał ten, który przekazała Giulianowi delia Rovere. Było to istotnie jej pismo, jej mała, zielona pieczęć, ale tekst był zupełnie inny i czytając go, Fiora poczuła, jak blednie, gdyż trzymała w dłoniach własną zgubę. Przeczytała wiele razy straszliwe zdania, aby przekonać się, czy wzrok jej nie myli i czy przypadkiem nie ogarnia jej szaleństwo.

...i mogę zapewnić Jego Świątobliwość i Waszą Ekszelencję o oddaniu, na które mogą całkowicie liczyć. Za kilka miesięcy - muszę bowiem nawiązać kontakt ze środowiskiem zbuntowanym przeciwko francuskiej okupacji na ziemiach Burgundii - zrobię, co trzeba, by stary diabeł zasługujący na ogień piekielny zaprzestał szkodzenia reputacji Ojca Świętego. Wówczas Francja znajdzie się w rękach dziecka i przestanie stanowić problem dla książąt, których ten nędzny król jest jedynie groteskową kopią...

Tu następowwała oczywiście prośba o rekompensatę za tak wielką przysługę. Fiora podniosła na króla pełne przerażenia, lecz szczerze spojrzenie i podała mu list dłonią, która nie drżała.

- Czy król naprawdę uważa, że jestem zdolna do napisania podobnej niegodziwości? Ja, która nienawidzę papieża i jego otoczenia, z wyjątkiem donny Catariny?

- Jesteś kobietą, i to kobietą bardzo piękną. Takie jak ty są zdolne do wszystkiego, by uzyskać majątek pozwalający im na pielęgnowanie tej urody, tak przecież ulotnej, i zapewnienie jej godnej oprawy.

- Jestem bogata i nie potrzebuję darów papieża. Monsignore Lorenzo zwrócił mi niemal całość mojego majątku. I miałabym teraz paktować z tymi, którzy chcą jego zguby?

- Wojna między papieżem i Florencją nieprędko się skończy. Wiele w niej drobnych potyczek, to prawda, ale miasto Czerwonej Lilii traci w nich siły, gdy tymczasem Rzym je zyskuje. Zresztą od początku nie było równowagi sił i bardzo się obawiam...

- Na co więc czekasz, by bardziej jej pomóc? - zawołała Fiora porwana nagłym gniewem. - Wyślij wojska, wyślij jeszcze więcej złota, ale nie pozwól Florencji zginąć!

Na grubych ustach Ludwika XI pojawił się krzywy uśmiezek. Jednocześnie zaczął energicznie klaskać.

- Brawo! Ale z ciebie komediantka, donno Fioro! Naprawdę mógłbym się na to nabrać. To bardzo kuszące!

Ta okraszona uśmiechem wzgarda załamała Fiorę bardziej, niż zrobiłby to gwałtowny gniew. Padła na kolana

- A więc zabij mnie, Sirel Zabij mnie od razu... ale nie znieważaj mnie! Na głowę tego dziecka, które tak pragnę odzyskać, przysięgam, że nie ja pisałam ten list!

- Zapominasz, że już wcześniej do mnie pisałaś? Łatwo porównać...

- A czy trudno sfalszować list? Papież i jego klika są zdolni do wszystkiego, a zręcznych kopistów nie brakuje... W jaki sposób... jakimi słowami, w jakim języku mogłabym przysiąc, że nie napisałam tej... tego śmiecia?

Nagle przyszła jej do głowy myśl, która wyłoniła się z głębin pamięci:

- Sirel Kiedy pisałam list, o który mnie poproszono, ktoś przy mnie był...

- Kto taki?

- Pani Leonarda, która mnie wychowała, lecz której nie widziałam od wielu tygodni i nie wiem nawet, co się z nią dzieje. Wyznam, że miałam wiele problemów ze zredagowaniem tej epistoły, nie z powodu uczucia przyjaźni i wdzięczności, które chciałam w niej wyrazić, lecz dlatego, iż wiedziałam, że próba zachęcania cię do zakończenia wojny jest poza moimi możliwościami. Jak odebrałbyś moje usiłowanie mieszania się do twojej polityki?

- Bardzo źle. Poprosiłbym cię, żebyś zajęła się swoimi sprawami... Pani Leonarda, mówisz?

- Tak, Sirel

Zaklaskał w dłonie, co obudziło wszystkie psy i spowodowało pojawienie się tego lokaja, który wprowadził Fiorę. Przywołał go do siebie władczym gestem i szepnął mu kilka słów na ucho. Mężczyzna skinął głową, że zrozumiał, i wyszedł równie spieszenie, jak nadszedł. Król zdawał się nieco spokojniejszy, ale przygryzał dolną wargę, przyglądając się młodej kobiecie, nadal klęczącej między płowym spanielem i białym chartem, które tworzyły wraz z nią figurę heraldyczną o zaskakującej urodzie.

- W każdym razie - powiedział po chwili - zdarzyło ci się już kiedyś wysłać do mnie kłamliwy list. Pamiętasz, co napisałaś, zanim wyjechałaś do Paryża? Jeśli nie był to stek kłamstw, to niech mnie kule biją!

Fiora opuściła głowę, nie odpowiadając, przypomniawszy sobie słowa Oliwera le Daim. Skoro cyrulik wiedział, że urodziła córeczkę, to król z pewnością także o tym wiedział.

- Przyznaję, Sire. Skłamałam.

- Ach! - powiedział tryumfalnym tonem. - Zdarza się zatem czasem, że się do tego przyznajesz? Powiedz mi zatem teraz, gdzie byłaś w czasie tej długiej zimy.

Fiora podniosła głowę: nie zamierzała wypierać się teraz niczego, nawet gdyby miało ją to kosztować życie.

- Początkowo w Paryżu, i w tym nie kłamałam. Później w Suresnes, w niewielkiej posiadłości należącej do mojego starego przyjaciela Agnola Nardiego, młecznego brata mego ojca... Wydałam tam na świat dziewczynkę, którą opiekują się Agnolo i jego żona Agnelle.

- No proszę! Wszystko jasne! - zawołał król, który zerwał się z tronu tak gwałtownie, jakby ukryta w nim była sprężyna i zaczął chodzić tam i z powrotem przed kominkiem. - Dziewczynka! A czyje to dziecko? Nie trudź się odpowiedzią, sam to powiem: ojcem jest twój małżonek, Filip de Selongey, z którym, wbrew temu, co twierdzisz, spotkałaś się potajemnie. I w tym miejscu ten przeklęty list nie kłamie! Nawiązałaś kontakt z, jak to określasz, „środowiskiem zbuntowanym”, innymi słowy ze swoim drogim małżonkiem, ale oczywiście trudno było ci poinformować mnie, że jesteś w ciąży, skoro nie miałem pojęcia, gdzie przebywa ten czart Selongey. To dlatego się ukryłaś... Jak widzisz, wiem wszystko!

Ogłuszona Fiora usiadła na piętach, nie przejmując się protokołem.

- Co to za brednie?! - zawołała bez owijania w bawełnę, acz niezbyt grzecznie. - Ja miałabym zadać sobie trud ukrywania narodzin córki mego małżonka? Córki, którą nazwałam Lorenza-Maria?

- Lorenza?

- Oczywiście. Wszyscy z mojego najbliższego otoczenia mogą to potwierdzić: to dziecko nie tylko nie jest owocem mojego związku z ukrywającym się buntownikiem, ale w dodatku to przed nim najbardziej staram się ukryć jego istnienie... gdyż urodziło się w wyniku mojego romansu z Lorenzem Medyceuszem. Przecież nie tałam przed tobą, że byłam jego kochanką?

- Istotnie, ale...

- Obecnie mój mąż wie już wszystko o moich relacjach z Lorenzem, a ponieważ jest dla mnie na zawsze stracony, nie ma żadnego powodu, bym pozbawiała się miłości mojej córeczki i zamierzam ją odzyskać.

- A więc prawdą jest, że spotkałaś się z hrabią de Selongey? Gdzie? Kiedy?

- Około trzech tygodni temu, w Nancy, w klasztorze Matki Boskiej.

- Na Boga! A więc to tam się ukrywa?

W jednej chwili Fiora była na nogach, poderwana przyływem dumy.

- Powiedziała królowi o tym, bo on się wcale nie ukrywa! Postanowił tam zamieszkać, by móc codziennie modlić się na grobie księcia Karola, ostatniego władcy Burgundii i jedyne go pana, jakiego kiedykolwiek uznawał. Pewnego dnia, może już nieodległego, złoży śluby wieczyste.

Powoli Ludwik XI podszedł z powrotem do tronu i wyciągnął się na nim, okrywając rękami dębowe, rzeźbione lwy stanowiące podłokietniki. Wydawał się pogrążony w głębokim zamyśleniu.

- Chce zostać mnichem? Czyżby już cię nie kochał? - powiedział z ironią, która zraniła młodą kobietę.

- Mogłam namówić go do wyjazdu - westchnęła. - Ale... ceną byłoby krzywoprzysięstwo.

- Jakie?

- Zażądał, żebym przysięgła... przed Bogiem, że nigdy nie należałam do Lorenza. Nie mogłam...

Pochłonięta wspomnieniem tej strasznej chwili Fiora nawet nie odwróciła głowy, kiedy drzwi otworzyły się ponownie z lekkim skrzypnięciem. Nagle rozległ się krzyk:

- Moje jagniątko!

W następnej chwili Fiora znalazła się w ramionach Leonardy, przytulając się do niej z cudownym uczuciem wyzwolenia i wyciszenia.

- Leonarda! Moja Leonarda! Och, mój Boże!

- Dosyć tego! - zagrział Ludwik XI. - Kobieto, nie sprowadziłem cię tutaj, by przyglądać się rozczulającym scenom, lecz po to, by zadać ci kilka pytań.

- Ja też ci jedno zadam, Sire! - zawołała Leonarda. - Co jej zrobiłeś, że jest w takim stanie?

Zdumionemu Ludwikowi XI odebrało głos w obliczu hardości starej panny, która ośmieliła zwracać się do niego tonem używanym przez strażnika wobec złapanego na ulicy złodziejaska.

- Na Boga, kobieto, chyba zapominasz, kim jestem?

- Nie... a jesteś wielkim królem. Ale ona, ta biedna mała, której odmówiono chyba wszelkiego szczęścia na tej ziemi, znaczy dla mnie więcej, niż gdyby była moim własnym dzieckiem! Zadawaj więc tyle pytań, ile tylko chcesz, ale nie rozdzielaj nas więcej!

- Jak dowiedzieć się prawdy? - wymamrotał król. - No cóż! Spróbujmy mimo wszystko!... Na początek, co wiesz o dziecku, które urodziło się tej wiosny w Suresnes?

- To, co można o nim wiedzieć, Sire. Nazywa się Lorenza. To mówi wszystko.

- Dobrze, dobrze! Przejdźmy do innej sprawy. Czy wiadomo ci coś na temat listu napisanego prawie rok temu przez panią de Selongey do donny Catariny Sforzy i powierzonego przez nią Jego Ekscelencji kardynałowi-legatowi?

- Kardynałowi delia Rovere? Oczywiście! Biedny aniołek, miała z tego powodu mnóstwo kłopotów...

- A więc rozpoznasz go bez trudu. Oto on! Leonarda, zmuszona wypuścić z Objęć Fiore, wzięła z szacunkiem z rąk króla podawany list, przeczytała go, a potem z obrzydzeniem rzuciła na podłogę u stóp króla...

- Co za obrzydlistwo! Mam nadzieję, Sire, że nie pomyślałeś, że to donna Fiora jest autorką tego haniebnego świstka?

- To jej pismo, jej pieczęć i...

- A przede wszystkim to dzieło genialnego fałszerza! Jeśli go znajdziesz, Sire, każ go natychmiast powiesić, najlepiej w towarzystwie tego, który dał ci ten szmatławy list.

- To jeden z naszych najwierniejszych doradców!

Bez najmniejszych zahamowań i ku przerażeniu Fiory, stara panna zaczęła się śmiać.

- Założę się, że tym wiernym doradcą jest ten Oliwer le Daim... czyli Diabeł, jak mówią tutejsi ludzie?

- Diabeł? - zapytał król, żegnając się pospiesznie kilka razy, a potem całując wiszący na jego szyi medalik.

- Trzeba przyznać, że to przezwisko dosyć dobrze do niego pasuje. Ponadto zrobiłby wszystko, by ten piękny Dom w Barwinkach, w którym byliśmy takie szczęśliwe, trafił w jego ręce. Próbował nawet nas zabić!

- Zostawmy to na razie. Twierdzisz zatem, że ten list jest fałszywy?

- Dałabym sobie za to rękę uciąć. Zresztą, jeśli zechcesz mi wybaczyć, wrócę za chwilę.

Zebrawszy długą suknię ze śliwkowego aksamitu, opuściła komnatę królewską tak szybko, jak jej na to pozwalały nogi, od dawna nie pierwszej młodości. Król i Fiora spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

- Ale... dokąd ona poszła? - szepnęła młoda kobieta, mówiąc raczej do siebie, niż pytając.

Ludwik XI odpowiedział jej, także z wielką naturalnością:

- Tam, gdzie ją umieściłem z twoim synem: do apartamentu zajmowanego przez moje córki, kiedy przebywają w Plessis, co nie jest częste. - I doda! z

nagłą złością: - Chyba nie myślałaś, mam nadzieję, że jestem tak okrutny, by wsadzić do więzienia dwuletnie dziecko?

Fioreę zalała fala wielkiej radości, sprawiając, że zapomniała, jak niepewne czy nawet niebezpieczne może być jej własne położenie, zależne od człowieka o takim charakterze, jaki miał ten dziwny władca. Mały Filip był tuż obok, może uda jej się uzyskać pozwolenie, by choć przez chwilę go przytulić?

Nie starczyło jej czasu na dalsze wątpliwości. Wróciła Leonarda, niosąc jakieś kartki. Rozwiązawszy owiniętą wokół nich wstążkę, podała je królowi z ukłonem, nieco może spóźnionym.

- Ja, Sire - wyjaśniła - niczego nie wyrzucam. Zwłaszcza tego, co jest napisane.

- Co to jest? Wygląda na jakieś brudnopisy.

- To są brudnopisy, Sire! Brudnopisy donny Fiory, kiedy tamtej nocy męczyła się z pisaniem tego przekłętego listu. Boże przenajświętszy! Trwało to bez końca! Ale król może zobaczyć, że nie ma tu nic, co uchybiałoby Jego Wysokości! Proszę spojrzeć szczególnie na ten! Brakuje tylko formułki końcowej... ale zrobił się kleks! Napisała więc od początku.

Król skrupulatnie przyjrzał się podanym kartkom, wziął ponownie list, porównał, po czym zwinął wszystko razem.

- Zachowam to... ale coś mówiłaś, pani Leonardo, że messire le Daim próbował was zabić?

- Gdyby nie pomoc pana Mortimera i pana Wielkiego Prewota udałoby mu się to i teraz gniłybyśmy kilka stóp pod ziemią w lesie w Loches.

- Jak to się stało, że Tristan l'Hermite nic nam nie powiedział? - zapytał król surowo.

Leonarda wzruszyła ramionami.

- Bo jest w takiej sytuacji, jak my, Sire: nie ma dowodów. Tylko zeznania jednego z bandytów, który nie znał nazwiska swego klienta.

- Rozumiem! No cóż... możesz odejść, pani Leonardo. Król ci dziękuje...

- Czy mogę ją zabrać ze sobą?

Otoczyła ramieniem Fioreę, która była tak zmęczona, że oparła głowę na jej piersi.

- Nie. Musimy to wszystko przemyśleć. Na razie donna Fiora zostanie odprowadzona do swojego więzienia...

- Sire! - poprosiła młoda kobieta. - Pozwól mi chociaż ucałować mojego synka! Albo... pozwól Leonardzie, by poszła ze mną. Khatoun wystarczy do opieki nad dzieckiem.

- Khatoun zniknęła! - powiedziała Leonarda z nieprzeniknioną twarzą. - Nie wiem, gdzie się podziewa.

- Ach! W takim razie idź szybko, droga Leonardo! Mój mały potrzebuje cię bardziej niż ja... Idź, mówię ci! Nie wolno sprzeciwiać się królowi. Nie zapominaj, że mój los jest w jego rękach.

- Całkowicie się z tym zgadzamy! Straże! - zawołał król mocnym głosem, co spowodowało natychmiastowe otwarcie drzwi komnaty.

Fiora skłoniła się głęboko i przygnębiona poszła za żołnierzami, którzy mieli odprowadzić ją do celi. Zabierała ze sobą obraz Ludwika XI siedzącego z ramieniem na podłokietniku i brodą wspartą na dłoni. Nigdy nie widziała u niego tak surowego wyrazu twarzy i tak lodowatego spojrzenia. Czy on chociaż cokolwiek zrozumiał z tego, co mówiła? Nie była tego pewna...

Jej wątpliwości jeszcze wzrosły, kiedy następnego dnia po południu strażnicy ponownie po nią przyszli. Tym razem zaprowadzono ją do paradnej sali zamku. Kiedy przekroczyła jej próg, zatrzymała się na chwilę zdumiona widokiem, który ujrzała.

Król, ubrany z większą niż zazwyczaj elegancją, zasiadał na tronie pod baldachimem z materiału w kwiaty lilii, w łańcuchu Orderu Świętego Michała na szyi. Otaczali go najbliżsi współpracownicy i dworzanie, wyłącznie płci męskiej, jak zawsze w czasie nieobecności królowej Szarloty. Ucieszyła się jednak, widząc Filipa de Commynes'a stojącego na jednym ze schodków u stóp tronu. Żołnierze gwardii szkockiej strzegli okien i drzwi, a kapitan Crawford stał w odległości kilku kroków od króla, opierając się na długim mieczu...

Kiedy pojawiła się więźniarka, zapadła taka cisza, że dałoby się usłyszeć przelatującą muchę. Powoli szła w stronę króla, zatrzymawszy się dopiero kilka kroków od tronu, by stosownie się ukłonić. Jej serce biło jak oszalałe, była pewna, że wśród całego tego przepychu odbędzie się sąd nad nią. Tak uroczysta audyencja nie mogła zapowiadać niczego dobrego...

Jednak drobny incydent rozluźnił nieco tę ciężką atmosferę. Drogi Przyjaciel, wielki biały chart, ukochany pies Ludwika XI, który jak zwykle leżał u jego stóp na poduszce, wstał, powolnym krokiem podszedł do Fiory i lekko polizał jej dłoń.

Wzruszona tym przejawem przyjaźni pogłaskała jedwabisty łeb, a do oczu napłynęły jej łzy. Czy ten piękny pies był jej ostatnim, jedynym przyjacielem w tym zgromadzeniu? Nawet Commynes wpatrywał się uparcie w czubki swoich butów...

- Do nogi, Drogi Przyjacielu! - polecił Ludwik XI, ale zamiast posłuchać, wielki chart usiadł spokojnie obok młodej kobiety, jakby chciał ustanowić się jej adwokatem.

Król nie ponowił komendy. Gestem polecił Fiorze, by powstała, odchrząknął i w końcu przemówił:

- Panowie, zgromadziliśmy się tutaj, w tym szlachetnym gronie, by być świadkami wielkiej troski, jaką budzi nasza sprawiedliwość. Obecna tu pani hrabina de Selongey, z domu Fiora Beltrami, została oskarżona o zdradę względem

Korony i zamiar zabójstwa względem naszej osoby. Głównym dowodem oskarżenia jest pewien list, ale pani de Selongey absolutnie zaprzecza, by go napisała. Inne przedmioty, dostarczone nam przez osobę trzecią, wskazywałyby raczej na niewinność wymienionej damy.

Przerwał, wyjął chusteczkę i wytarł nos tak hałaśliwie, że w panującej ciszy zabrzmiało to jak pomruk gromu. Nikt nawet nie pisnął. Po chwili kontynuował:

- Uwzględniając przejawy przyjaźni, jakimi obdarzyliśmy panią de Selongey, a jednocześnie uwzględniając fakt, że jej małżonek, kawaler Złotego Runa, zawsze działał względem naszych rządów jak rebeliant, nie umiemy prawidłowo ocenić tak szczególnej sprawy. Dlatego też postanowiliśmy odwołać się do sądu bożego!

Było to tak nieoczekiwane, że ciszę zakłóciły szepty i pomruki, a Commynes, podniósłszy głowę, zawołał:

- Sirel Czy król naprawdę chce odwołać się do tych przebrzmiałych praktyk?

- Jeśli chcesz powiedzieć, panie de Commynes, że wszechmogący Bóg jest przebrzmiały, to niedługo pozostaniesz w moim otoczeniu! - powiedział Ludwik XI z morderczym spojrzeniem. - Spokój więc i nie przerywaj nam więcej! Przez sąd boży nie rozumiemy ordaliów. Hrabina nie zostanie wrzucona do wody, nie będzie zmuszona chodzić, trzymając w dłoniach rozpalone do czerwoności żelazo, ani nie będzie skazana na żadną z tych praktyk, o których nigdy nie mieliśmy dobrego zdania. Jednak obciążające ją oskarżenia zostały wniesione przez dwie osoby... Panie pośle Florencji, czy zechciałbyś podjąć bliżej nas?

W tłumie, na który Fiora nie patrzyła, powstało poruszenie i Luca Tornabuoni, jak zwykle ubrany z przepychem, skłonił się przed królem, a ten szeroko się do niego uśmiechnął. Na jego widok Fiora nawet nie drgnęła. To, że jej dawny ukochany jest tutaj, przed nią, i że należy do jej oskarżycieli, nie zaskoczyło jej. Musiał sobie zadać mnóstwo trudu, by zostać wysłanym przez

Lorenza na dwór króla Francji, ale już w czasie ich ostatniego spotkania poczuła, że stał się jej wrogiem i zrobi wszystko, by się na niej zemścić za to, że nim wzgardziła... A ponieważ rzucił w jej kierunku spojrzenie, któremu towarzyszył cień uśmiechu, odwróciła oczy z przygniatającą pogardą...

- Powiedziałeś nam, panie pośle, iż wiesz z pewnego źródła, że pani de Selongey... którą znasz od dawna?

- Od dzieciństwa, Sire, i...

- Że pani de Selongey, jak mówiłem, potajemnie wydała na świat, w Paryżu, córkę, w czym nie byłoby nic dziwnego, gdyby poczęcie jej nie dowodziło, że mogła w wielkiej tajemnicy i w celu spiskowania spotkać się ze swym małżonkiem, tym notorycznym rebeliantem?

- Istotnie, Sire. Tak powiedziałem i potwierdzam te słowa, gdyż wiem o tym z najpewniejszego źródła...

- Od jakiejś służącej, tak? Byłej niewolnicy, która była względem ciebie... przychylna?

- Mówisz o Khatoun? - zawoła Fiora, nie potrafiąc się opanować. - O Khatoun, której omal nie zakatowałeś we Florencji, a która teraz miałaby być twoją kochanką?

Kpiący uśmieszek Tornabuoniego sprawił, że miała ochotę skoczyć mu do gardła.

- Dlaczego nie? Jest urocza i biegła w miłosnych igraszkach. Spotkałem ją tutaj pewnego dnia, bardzo zboląłą, gdyż opuściłaś ją, by wałęsać się gdzieś ze swoim służącym. Tyle że ona wiedziała, dlaczego jedziesz do Paryża...

- Owszem, wiedziała, lecz wiedziała także, że nie widziałam się z mężem od dwóch lat. Nie wiem, dlaczego skłamała...

- Skłamała? To ty tak mówisz, piękna Fioro. Zaś jeśli chodzi o mnie...

- Jeśli chodzi o ciebie - rzekł król surowym nagle głosem - to miejmy nadzieję, że możesz podtrzymać swoją... prawdę z bronią w ręku, walcząc z każdym, kto stanie do walki, by bronić sprawy pani de Selongey...

- Pojedynek? Ależ ja jestem posłem, Sirel.

- Poseł, który miesza się w to, co go nie dotyczy, musi zastosować się do naszego prawa jak każdy z naszych poddanych. W każdym razie zamierzamy powiadomić naszego kuzyna, pana Lorenza Medyceusza, o tym, że chcemy skłonić cię, byś swych twierdzeń bronił, stając w szrankach.

- Sirel

- Spokojnie! Nie będziesz sam. Mówiłem o dwóch osobach i sądzę, panie Oliwerze le Daim, że tobie też leży na sercu, by poddać pod sąd boży ten słynny list, który osobiście nam przekazałeś, poświadczając jego

autentyczność... i domagając się pewnej posiadłości jako nagrody za tę przysługę.

Z tłumu z kolei wyłonił się przestraszony cyrulik.

- Ależ, Sire, nasz królu... nie jestem rycerzem i nie umiem się bić!

- Nie jesteś rycerzem? A my mimo to ustanowiliśmy cię posłem w Gand? To poważny błąd, który będziemy sobie długo wyrzucać, ale bądź spokojny, zdążymy pasować cię na rycerza przed pojedyńkiem...

- Król naprawdę zamierza... wystawić mnie do walki?

- W towarzystwie pana Tornabuoniego. Będzie was dwóch przeciwko jednemu rycerzowi. Ta dziwna koncepcja wynika właśnie z tego, że nie masz wielkiego doświadczenia w posługiwaniu się mieczem.

- Natomiast w użyciu sztyletu, najchętniej od tyłu, nie ma sobie równych! - zawołał Douglas Mortimer, który porzuciwszy swój posterunek, stanął przed Fiorą. - Za twoim łaskawym przyzwoleniem, Sire, to ja będę rycerzem donny Fiory! I zabiję tych dwóch nędzników, jakem Douglas Mortimer z Mortimerów z Glenlivet... I innych też, jeśli król zechce przysłać mi pięciu czy sześciu podobnych wszeteczników!

Och, jaką radością było czuć przy sobie tę spokojną siłę, tego sprawdzonego przyjaciela! Fiora podniosła na Ludwika XI pełne nadziei spojrzenie... ale ten zmarszczył brwi.

- Spokój, Mortimer! Na Boga, jesteś na naszej służbie, a nie na służbie dam! Twoja krew może zostać przelana tylko dla Francji. Dlatego odrzucamy twoją propozycję... Musi się zgłosić inny rycerz. Od wyniku walki zależeć będzie los pani de Selongey... Zostań na swoim miejscu!

Władczym gestem Ludwik XI powstrzymał Filipa de Commynes'a, najwidoczniej gotowego, by stanąć do pojedynku.

- W tak poważnej sprawie - podjął - pośpiech jest niewskazany. Ten, kto stawia się przed nami dokładnie za miesiąc, musi wiedzieć, że jeśli zostanie pokonany, pani de Selongey zostanie stracona i że walka toczyć się będzie do ostatniej kropli krwi. Zatem, panowie, zastanówcie się i rozważcie waszą decyzję...

- Ja już zdecydowałem - wymamrotał Mortimer przez zęby. - Żadna ludzka siła nie przeszkodzi mi walczyć dla niej, nawet jakbym miał odejść ze służby!

Choć Szkot stał bardzo blisko króla, ten kontynuował, jakby nic nie usłyszał:

- Odprowadzić panią de Selongey do więzienia! Nikomu nie zezwalamy z nią rozmawiać.

Kiedy Fiora w otoczeniu strażników ruszyła w kierunku drzwi, zapadła cisza jeszcze głębsza, niż w chwili jej wejścia do komnaty. Cisza ta bez wątpienia

wynikała w dużej części z zaskoczenia tak dziwną decyzją: pojedynek decydujący o wyroku, w którym jeden człowiek miał stawić czoło dwóm przeciwnikom? Nawet jeśli ci nie byli zbyt zręczni we władaniu bronią, to było to dziwne pojmowanie równości szans, nie mówiąc o nieco pomniejszonej roli Boga w całej tej sprawie.

Jedynym pocieszeniem dla Fiory było to, że zanim opuściła salę, usłyszała, jak król rozkazuje, aby Tornabuoni i Oliwer le Daim byli strzeżeni dzień i noc w swych mieszkaniach aż do dnia walki. Słaba to jednak była pociecha, bo skoro ani Mortimer, ani Commynes nie mieli prawa walczyć dla niej, pozostał jej ledwie miesiąc życia...

Rozdział dwunasty

Ostatni dzień

Król jednakże okazał uwięzionej kobiecie pewne miłosierdzie. Nazajutrz dozorca zabrał tacę ze śniadaniem - którego Fiora nawet nie tknęła - a po chwili wrócił z radosną miną.

- Będiesz miała gości! - zawołał. - Miłych gości...

Otworzywszy szeroko drzwi, usunął się na bok, by wpuścić Leonardę niosącą na rękach małego Filipa. Okrzyk radości uwięzionej sprawił, że do oczu zacnego człowieka napłynęły łzy rozczulenia. Przez chwilę stał, wpatrując się w pełen uroku obrazek, który stanowiła Fiora tuląca synka.

- Mój maleńki! Moje kochanie! Mój skarbie! Obsypywała gorącymi pocałunkami twarzyczkę, rączki i krótkie brązowe loczki pokrywające okrągłą główkę Filipa i nadające mu wygląd aniołka... którym nie całkiem był, gdyż niezbyt przyzwyczajony do tak wielkiej wylewności zaczął protestować. Fiora wpadła w popłoch:

- Zrobiłam mu krzywdę?

- Nie - powiedziała Leonarda ze śmiechem - ale zaraz go udusisz. No już, postaw go na ziemi!... A ty, paniczku Filipie, przywitaj się ze swoją matką tak, jak cię nauczyłam!

Dziecko porządnie oparło się na nóżkach i wykonało coś w rodzaju niezgrabnego ukłonu, który zachwycił Fiorę.

- Dzień dobry, pani matko - powiedziało z powagą. - Jak się czujesz?

Jednak ponieważ Fiora przykucnęła, by być na jego wysokości, chłopczyk rzucił jej się w ramiona, wołając:

- Mamo, mamó!.. Tak bardzo za tobą tęskniłem!

- A przecież prawie mnie nie zna! - powiedziała Fiora nad głową syna.

- Zna cię lepiej, niż myślisz. Codziennie opowiadaliśmy mu o tobie i w swoich modlitwach zawsze prosi Boga, by zwrócił mu mamę...

- I tatę też! - poprawiło dziecko. - Jak myślisz, mamó, kiedy on wróci?

- Nie wiem, kochanie. Tata wyruszył w długą podróż, ale masz rację, prosząc Pana Boga, żeby wrócił...

- Nie rozczulajmy się! - powiedziała Leonarda. - A przede wszystkim zostaw na chwilę tego młodzieńca i uściskaj mnie. Nawet ci to jeszcze nie przyszło do głowy!

Obie kobiety uściskały się gorąco, tym bardziej że stara panna przyniosła dobrą wiadomość: mały Filip i ona otrzymali pozwolenie codziennego odwiedzania Fiory w więzieniu, a nawet wspólnego z nią jedzenia obiadu.

- Czy król chce mi uprzyjemnić ostatnie chwile? - westchnęła Fiora. - Doceniam tę uwagę...

- Chyba nie sądzisz, że zostaniesz stracona? Ze ci, którzy cię kochają, dopuszczają do tego?

- Ci, którzy mnie kochają, nie uzyskają pozwolenia, by mnie bronić, a nie wiem, kto podjąłby dla nieznajomej tak poważne ryzyko.

- A pan Filip, twój mąż? Odnalazłaś go?

- Tak i nie. Widziałam się z nim, to prawda, ale jest dla mnie stracony na zawsze...

Fiora bardzo zwięźle opowiedziała, co wydarzyło się w Brugii, jak w wyniku wyjątkowego zbiegu okoliczności spotkała Filipa tam, gdzie się go w ogóle nie spodziewała, a w końcu, co sobie powiedzieli i dlaczego postanowił pozostać w klasztorze.

- W klasztorze! On!... To bezsens! Czy już cię nie kocha?

- Kocha... przynajmniej tak mówi, ale nie jestem pewna, że to prawda. Oszukuje sam siebie albo twierdzi tak, by mnie oszczędzić. Widzisz, Leonardo, byłam jedynie epizodem w wielkim rycerskim marzeniu hrabiego de Selongeya. Epizodem, którego początkowo się wstydził, lecz który zaakceptował z miłości dla swego księcia. Kiedy ten umarł, a Burgundia przegrała wojnę, nic go już nie interesuje. Nie mówmy o tym więcej, dobrze, Leonardo? Chciałabym raczej, żebyś mi powiedziała, co się stało z Khatoun?

- Żebym to ja wiedziała! - westchnęła Leonarda. Młoda Tatarka zniknęła z Rabaudiere tego dnia, kiedy powróciła Leonarda. Dowiedziawszy się, że Fiora nie wraca, lecz udaje się do Flandrii w towarzystwie Florenta, zamknęła się w swoim pokoju i nie opuszczała go nawet na posiłki. Nazajutrz rano zauważono, że uciekła, stosując najbardziej klasyczną metodę: opuszczając się po związanych prześcieradłach.

- I nie zostawiła żadnej wiadomości, ani słowa?

- Nic! Petronela powiedziała mi, że w ostatnim okresie naszej długiej nieobecności spotykała się - potajemnie, ale na wsi wszyscy wiedzą wszystko - z młodym i przystojnym mężczyzną...

- Z Lucą Tornabuonim, moim dawnym wielbicielem, który po spisku Pazzich omal jej nie wydał florenckiemu motłochowi. Gdybym nie słyszała tego nędznika na własne uszy, nie uwierzyłabym w to...

- Och, dowiedziałam się wielu rzeczy mogących wyjaśnić ten zaskakujący fakt. Ta nieszczęsna Khatoun i Florent byli... powiedzmy: bardzo dobrymi przyjaciółmi. Poza tym sądzę, że myślała, iż nie zajmuje w twoim domu miejsca, do jakiego miała prawo, i zazdrościła po trochu wszystkim.

- Czyż nie powierzyłam jej mego syna? Jaki większy dowód poważania mogłam jej dać?

- Szacunku, szacunku! Ona pragnęła miłości... a przede wszystkim nie życzyła sobie żadnych obowiązków! Uwierz albo nie, ale Khatoun stworzona jest do leniwego życia w haremie, życia pełnego łakoci i pieszczot...

- Trudno mi uwierzyć, że znajdzie to u boku Luki! To skończony egoista. Gdybyśmy chociaż mogły się wywiedzieć, gdzie jest...

- Nie, Fioro! Nie licz na to, że będę jej szukać, nawet gdybym miała jak. Jest wystarczająco dorosła, by radzić sobie samodzielnie, a poza tym skrzywdziła cię!

- To drobiazg w porównaniu z tyloma latami oddania! Och, Leonardo! Martwię się o nią...

Leonarda nie powiedziała, że woli, by Fiora martwiła się o Khatoun, niż gdyby miała martwić się o siebie. Sprawa tego sądu bożego wcale jej się nie podobała. Jednakże nie opanował jej jeszcze lęk, gdyż przyszedł jej do głowy pewien pomysł: przesłanie listu do księżnej Joanny, do zamku Lignieres, z prośbą o interwencję. Księżniczka nie miała wprawdzie wielkiej władzy nad swoim groźnym ojcem, ale stara panna wiedziała, że pod wpływem jej zaiste niebiańskiego spojrzenia królowi zdarzało się czuć nieswojo. Tę anielską istotę można było poprosić o wszystko. Pod nieobecność Mortimera, podobno wysłanego przez króla z jakąś misją już poprzedniego dnia wieczorem, pod nieobecność Commynes'a wyekspediowanego w ten sam sposób, bez wątpienia po to, by odebrać im wszelką chęć stawania w szranki dla Fiory, Leonarda zamierzała powierzyć list Archiemu Ayrlie, Szkotowi, który uczy! Florenta jazdy konnej. Był to zacny chłopak, wielokrotnie wpadający na szklaneczkę wina do Domu w Barwinkach. Gdyby nie mógł osobiście pojechać do Lignieres, to znajdzie sposób, by wysłać tam Florenta. Leonarda nie martwiła się o możliwość spotkania z Archiem, gdyż widywała go często, kiedy wychodziła z Filipem do ogrodu, gdzie chłopczyk miał prawo spacerować.

Walka miała mieć miejsce we wtorek, 29 czerwca, w dniu świętych Piotra i Pawła. Doskonale znając kalendarz, Ludwik XI wybrał ten dzień, gdyż papież, następca świętego Piotra, zdawał się bardziej lub mniej zamieszany, poprzez osobę swego bratanka, w tę niejasną historię. Król nigdy nie tracił okazji, by zyskać przychylność niebios lub by wezwać je na pomoc. Leonarda, niemal tak pobożna, jak władca, dodała tych dwóch apostołów do długiej listy lokatorów raju, których prosiła codziennie o spokój i szczęście swego jagniątką...

Jednakże, w miarę jak mijały dni, Leonarda sypiała coraz gorzej. Napisała list, a Archie Ayrlie chętnie podjął się dostarczenia go. Musiała zachować

wszelkie środki ostrożności, by nikt jej nie zobaczył, kiedy przekazywała mu go w ogrodzie, jedynym miejscu, w którym cieszyła się pewną swobodą. Później nie widziała się ze Szkotem i nie miała żadnej możliwości sprawdzenia, czyjej wiadomość dotarła do adresatki.

Leonarda bowiem również podlegała ścisłemu nadzorowi i mogła opuszczać swoje mieszkanie tylko pod strażą łucznika i w towarzystwie małego Filipa. Zabroniono jej wychodzenia samej. I poza strażnikiem prowadzącym ją codziennie do więzienia Fiory lub do ogrodu na spacer z chłopcem, miała kontakt tylko z dwiema usługującymi jej kobietami. Ani razu nie widziała króla, choć często słyszała dochodzący z dziedzińca dźwięk trąbek myśliwskich. Ze swoich okien mogła dostrzec wchodzących i wychodzących, ale ponieważ nikogo z nich nie знаła, nic to nie wносиło do jej wiedzy. Tak więc, kiedy nie była z Fiorą, a dziecko spało, spędzała całe godziny, patrząc na znajdujący się naprzeciw surowy budynek i małe zakratowane okienko w pokoju uwięzionej, i modliła się, modliła, żeby jakiś szlachetny człowiek, rycerz godny tego miana, zgodził się położyć na szali własne życie, by młoda kobieta nie straciła swojego...

Fiora natomiast niepokoiła się znacznie mniej, pogrążywszy się w końcu w jakimś fatalizmie, zdejmującym z niej jakikolwiek strach przed śmiercią - taką samą, jaką umarli jej rodzice - na uniknięcie której pozostawały jej małe szanse. Nie miała nawet żalu do Ludwika XI o okrutną grę, którą wymyślił. Wiedziała, że król im jest starszy, tym bardziej obawia się śmierci. Wprawdzie w czasach wojny odwaga go nie opuszczała, jednak skrytobójstwo budziło w nim prawdziwe przerażenie. Być może dlatego, że w czasie swego osiemnastoletniego panowania - a nawet wcześniej, kiedy jeszcze był następcą tronu, zaciekle wrogim względem ojca, Karola VI - przenikliwa inteligencja umożliwiła mu uniknięcie wielu pułapek, zdrad i potrzasków. Tymczasem nieszczęsny list sugerował, że zostanie zabity. W gruncie rzeczy król wykazał się wielką dobrocią, proponując ten pojedynek; mógł potajemnie stracić winną lub wrzucić z połamanymi kośćmi do jakiegoś lochu, w którym by szczała...

Toteż Fiora starała się odsuwać od siebie myśli o tym złowrogim dniu i poświęcić się całkowicie synkowi. Niewiele z nim wcześniej przebywała i teraz poznawała go z rozkoszą, zachwycając się jego urodą i wyjątkową inteligencją.

Było to radosne dziecko, które zawsze widziało wokół siebie jedynie uśmiechnięte twarze i było obsypywane pieścizotami. Mimo ugruntowanego już charakteru promieniało wielką radością życia i kipiało czułością do matki.

Aby wytłumaczyć mu fakt, że Fiora nie wychodzi z nim nigdy do ogrodu, powiedziano mu, że niedawno była chora i musi dużo odpoczywać. Przyjął to wyjaśnienie bez dyskusji, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego matka nie mieszka z nim i Leonardą w zamku, tylko w „brzydkim pokoju”, gdzie, zgodnie z jego dziecięcą logiką, warunki do rekonwalescencji musiały być mniej sprzyjające. Nic na ten temat nie mówił, ale okazywał Fiorze jeszcze więcej miłości. On, tak ruchliwy, trwał całe godziny, siedząc na kolanach matki, przytulony go jej piersi, czekając na bajki i pocałunki...

- Mój Boże! - modliła się w myślach Leonarda. - Spraw, by po tej idiotycznej walce nasza Fiora odzyskała wolność. W przeciwnym razie... och, boję się nawet pomyśleć, co się stanie!

Minał czerwiec, ciepły i ukwiecony, z radosnymi procesjami Bożego Ciała, które pozbawiły płatków wszystkie okoliczne krzewy róż, i nocą świętojańską, kiedy wielkie ogniska zapłonęły na wszystkich placach i dziedzińcach zamków. Fiora słyszała dobiegające z Plessis śpiewy i radosne okrzyki, ale nie dostrzegła nawet odblasku ogromnego ogniska rozpalonego przez gwardię szkocką na pierwszym dziedzińcu, naprzeciw jej kwater. Jej pokój pozostał mroczny, jakby chciano dać jej odczuć, że stanowi przedsiónek grobu.

Kiedy myślała o królu, czuła raczej smutek niż gniew, gdyż przywiązała się do tego starzejącego się mężczyzny, pod którego wysokim czołem kryła się wyrafinowana umysłowość i wszechstronna inteligencja. I oto ten wyjątkowy człowiek pozwolił, by obawa przed zabójstwem wzięła górę nad przyjaźnią, niemal miłością, którą niegdyś darzył donnę Fiorę. Ta przyjaźń najpierw pomogła młodej kobiecie żyć, po czym rozbiła się o zwykły arkusz papieru, o kilka linijek pisma, w których król nie chciał dostrzec fałszerstwa. Co więcej, odrzucił dwóch rycerzy, którzy spontanicznie zgłosili się do obrony jej sprawy i aby zyskać pewność, że nie zakłócą jego makabrycznej uroczystości, wysłał ich daleko. Kiedy nachodziły ją takie myśli, Fiora klękała i modliła się...

Nadszedł ostatni dzień...

Kiedy Leonarda przyprowadziła małego Filipa, na próżno mówiła, że jakiś paproch wpadł jej do oka - było oczywiste, że płakała całą noc. W istocie bowiem wieści nie były pocieszające: ani Commynes, ani Mortimer nie powrócili, a Archie Ayrlie powiedział, że o ile mu wiadomo, nie zgłosił się żaden rycerz. Dodał, że wśród gwardzistów jest wielu pragnących służyć mieczem uwięzionej, ale należało obawiać się, że król ich nie dopuści do walki, jak nie dopuścił Mortimera.

Dzień był dla obu kobiet długi i trudny. Ze względu na dziecko starały się zachowywać jak zazwyczaj, uśmiechały się, bawiły z nim. Fiorze wychodziło

to lepiej niż Leonardzie, może dlatego, że tak naprawdę nie bała się. Cierpiała tylko dlatego, że miała opuścić tych, których kocha, że nie przytuli ostatni raz małej Lorenzy, która nie pozna swojej matki.

W chwili rozstania uściskała Leonardę z nieskończoną czułością.

- Ty, tak pobożna - szepnęła, czując dotyk łez na swoim policzku - powinnaś pokładać większą ufność w Bogu. To On jutro zadecyduje i jeśli On nie zechce, bym umarła, król ani nikt inny nic na to nie poradzi...

- To prawda, moje jagniątko, masz rację, a ja jestem stara i głupia. Ale będę się modlić, modlić tak żarliwie, że Pan będzie musiał mnie wysłuchać! Teraz w to wierzę i jeśli jutro wieczorem nie będę mogła cię przytulić tak, jak to czynię teraz, to znaczyć będzie, że Bóg nie istnieje. Ale w tej kwestii jestem spokojna...

Fiora mocno objęła synka i przytuliła go na chwilę do piersi, pokrywając lekkimi pocałunkami jedwabiste loki i gładkie czołko.

- Bądź grzeczny, kochanie! Jeśli nie zobaczymy się jutro, to będzie oznaczać, że wyjechałam w podróż... dla zdrowia!

- Pojedziesz spotkać się z tatą?

- Tak, skarbie, obiecuję ci to: pojedę spotkać się z tatą i może wtedy przywiozę go do ciebie...

Poczuła napływające łzy, a nie chciała, żeby synek je zobaczył. Oddała go Leonardzie i łagodnie popchnęła oboje w stronę drzwi, które Grzegorz pozostawił otwarte. Strażnik czekał na schodach.

Kiedy drzwi się zamknęły, Fiora stała jak sparaliżowana, słuchając przycichającego odgłosu kroków Leonardy, dziwnie teraz ociężałych, na kamiennych stopniach. Później rozległo się skrzypienie ciężkich wrót wychodzących na dziedziniec... Fiora była teraz sama, sama z sobą, wobec swej przeszłości, swoich błędów, swoich miłości - prawdziwych i udawanych.

Wszystko to jakiś straszliwy galimatias, pomyślała. Byłoby lepiej, gdyby nazajutrz po śmierci ojca została poddana ordaliom w postaci próby wody, której dla nich obu domagała się Hieronima, pewna, że wyjdzie z niej cało. Już od dawna jej ciało, uniesione żółtawym nurtem Arno, rozpląnęłoby się w błękitnym morzu. Filip by się nie urodził... podobnie jak Lorenza, o jej los jednak Fiora była mniej niespokojna niż o los syna. Lorenzę chroniła miłość Agnola i Agnelle, być może także potęga jej ojca... jeśli Lorenzo Medyceuszowi uda się uporać z wojną, do której zmuszał go papież. Filipowi zaś, jeśli jego ojciec nie opuści złudnego schronienia w klasztorze i nie zajmie się synem, pozostanie tylko stara już Leonarda i może zaci ludzie z

Ribaudiere. Jednak czy król zlituje się nad tym podwójnie osieroconym dzieckiem?

Kiedy przełożony małego klasztoru zamkniętego w murach Plessisles-Tours wszedł do jej celi, by ją wypowiadać, zastał Fiorę siedzącą na łóżku, z dłońmi spoczywającymi spokojnie na kolanach.

Spowiedź trwała długo. By zostać zrozumianą przez tego prostego człowieka, który dotąd pewnie osądzał jedynie grzechy strażników i służących, Fiora musiała mu opowiedzieć znaczną część swego krótkiego życia. Wyrażone słowami wszystko to wydawało się takie dziwne, tak nienormalne, że doskonale rozumiała zszokowaną minę mnicha...

- Czy jesteś pewna, moja córko, że niczego nie zmyślasz? - spytał przerażony, kiedy wspomniała o swych dziwnych relacjach z papieżem. - Przecież Ojciec Święty nie mógłby się tak zachowywać?

- Nie jestem zaskoczona twoją reakcją, ojcze. Ale nie jesteś Włochem, i na tym polega cała różnica. Próbuję tylko ułatwić ci zrozumienie, dlaczego musiałam popełnić tyle błędów, i proszę cię, byś mi je odpuścił tak szczerze, jak szczerze ja ich żałuję. Pomyśl, że jutro być może stanę przed obliczem Pana. On nie będzie potrzebował wyjaśnień...

Po wyjściu zakonnika Fiora, odzyskawszy animusz, zjadła z apetytem kaczkę w potrawce i pasztet cielęcy, które zacny Grzegorz podał jej wraz z sałatą i słodkimi ciastkami oraz dzbankiem chłodnego wina. Ucztę zamykał koszyczek czereśni, które młoda kobieta spałaszowała ze smakiem, starając się nie słyszeć pociągania nosem swego dozorczy i nie widzieć jego oczu, niemal tak zaczerwienionych, jak oczy Leonardy. Później położyła się do łóżka i zasnęła tak spokojnie, jakby nazajutrz miał być dzień, jak każdy inny.

Wstawszy o świcie, by zdążyć z długą i drobiazgową toaletą, Fiora przywdziała suknię, którą szczególnie lubiła: białą, z grubego jedwabiu, haftowanego w zielone gałązki i złociste ornamenty ze splecionych liści i kwiatów. Nie mogąc samodzielnie wykonać skomplikowanej fryzury, bo do tego potrzebna byłaby pomoc pokojówki, rozczesła starannie gęste czarne włosy, zaplotła je w dwa warkocze i spięła je na karku w ciężki węzeł, którego nie przecięłoby żadne ostrze. Był to jej sposób na przeciwstawienie się śmierci. Później wzięła biały woal, zarzuciła go na głowę i owinęła wokół długiej, szczupłej szyi, jak niegdyś, w czasie długich konnych eskapad. Później czekała, aż po nią przyjdą.

Fiora wiedziała, że wolno jej wziąć udział w mszy w małej kapliczce pod wezwaniem Matki Boskiej z Clery, ulubionej kapliczce króla, znajdującej się na zachód od pierwszego dziedzińca, obok donżonu. Luca Tornabuoni i le

Daim mieli wysłuchać mszy w kaplicy zamkowej, przyległej do apartamentów królewskich.

Fiora doceniała decyzję, która chroniła ją przed spotkaniem z tymi dwoma mężczyznami zawziętymi dążącymi do jej zguby. Przechodząc przez dziedziniec paradny, zauważyła przed częścią mieszkalną zamku trybunę przystrojoną barwami Francji. Wyznaczono spory plac ograniczony jedwabnymi linami łączącymi cztery wbite w ziemię lance. W walce użyte miały być miecze i sztylety, by podkreślić, że nie chodzi o turniej. W pięknym, porannym słońcu błękitne i złote tkaniny nadawały tym przygotowaniom uroczystą oprawę.

Najwyraźniej wydano rozkazy, by poza uzbrojoną eskortą Fiora nikogo nie spotkała. W kapliczce znajdował się tylko stary ksiądz, przed którym uklękła, by pobożnie uczestniczyć w nabożeństwie i przyjąć komunię świętą. Później tą samą drogą zaprowadzono ją do celi. Nie napotykała żywej duszy. Zamek, poza strażnikami czuwającymi na murach, zdawał się pogrążony w głębokim letargu.

Czekał na nią lekki posiłek złożony z chleba, miodu i mleka, który zjadła prawie w całości, by zyskać pewność, że nie dopadnie jej słabość. Pojedynek miał mieć miejsce późnym rankiem, na godzinę przed południem, nie pozostawało więc wiele czasu. Sprawdziła więc uczesanie i umyła ręce. Była teraz gotowa stawić czoło przeznaczeniu, jakiegokolwiek było... Czowała wewnętrzny spokój. Potrzebowała jeszcze tylko trochę odwagi, pomyślała więc o swojej matce, Marii de Brevailles, wchodzącej na szafot z uśmiechem na ustach. To prawda, że odchodziła z tym, którego kochała, i to na pewno ułatwiało sprawę. Ona musiała umierać sama, nie okazując słabości. Fiora pomyślała, że winna to jest nazwisku, które nosi, pamięci swych prawdziwych rodziców, jak i pamięci przybranego ojca.

Kiedy o wyznaczonej godzinie została podprowadzona do przygotowanego dla niej miejsca, wygląd dziedzińca otoczonego różowo-białymi budynkami zamku wydał jej się zupełnie inny niż wcześniej. Przygotowano dla niej znajdujący się na niewielkim podeście fotel, usytuowany po prawej stronie królewskiej trybuny, wypełnionej teraz mężczyznami w ciemnych strojach, otaczającymi tron Ludwika XI. Król znów miał na sobie łańcuch Orderu Świętego Michała, czarny, aksamitny strój i także kapelusz ozdobiony medaami, którego opuszczone z przodu rondo podkreślało linię jego nosa.

Fiora skłoniła się przed nim, po czym usiadła na swoim miejscu. Dopiero wówczas zauważyła kata. Cały w czerwieni, z długim mieczem na ramieniu, zapewne przybył tu w ślad za małą grupką opuszczającą więzienie, ale Fiora tego nie zauważyła.

Mimo że starała się być dzielna, poczuła, że blednie, kiedy stanął obok niej, z dłońmi opartymi na rękojeści miecza, którego czubek wbity był w ziemię. Zmusiła się więc do patrzenia prosto przed siebie na obszar wyznaczony jedwabnymi linami. Jeden z boków, od strony wejścia do zamku, był otwarty, ale z wyjątkiem tego przejścia pole walki otoczone było przez rząd gwardzistów szkockich, których wypolerowane zbroje lśniły w słońcu pod tunikami z herbem z trzema stylizowanymi kwiatami lilii. Niestety, w ograniczonym gronie doradców króla nie widać było Mortimera, podobnie jak Filipa de Comynnes'a. Poza tym nie było żadnych widzów, nawet krata między dwoma dziedzińcami Plessis była spuszczone. Przed przylegającą do ściany zamku trybuną stał Wielki Prewot, sędzia pojedynku, a przy nim czterej trębacze i, nieco dalej, czterej dobosze. Wszystkie instrumenty przybrano czarną krepą.

Tristan l'Hermite odwrócił się powoli w stronę króla i skłonił mu się z charakterystyczną dla starych żołnierzy sztywnością.

- Czy król będzie łaskaw rozkazać, by walczący wstąpili w szranki?

Ludwik XI potwierdził skinieniem głowy i ruchem dłoni. Chwilę później zabrzmiały bębny i Luca Tornabuoni oraz Oliwer le Daim wkroczyli na dziedziniec i przyklękali przed władcą. Obaj przywdziali skórzane tuniki i półbroje, odpowiednie do walki pieszo. Idący za nimi stajenny •niósł dwa miecze i dwa sztylety. Panczerze zostały im pożyczone, gdyż sami ich nie posiadali. Na małej tarczy mającej służyć Tornabuoniemu do obrony namalowano jego herb, a le Daim nie będąc szlachcicem, kazał na swojej umieścić daniela w srebrnym polu - herb mówiący*.

* **Herb mówiący zawiera w sobie nazwisko rodu: le Daim - fr. daniel (przyp. tłum.).**

Obaj byli przeraźliwie bladzi.

W tej chwili krata się podniosła, umożliwiając wkroczenie na dziedziniec małemu orszakowi towarzyszącemu księdzu niosącemu Przenajświętszy Sakrament, przed którym kolejno przyklękali obecni. Jednak kilka kroków za księżmi szła, modląc się, młoda kobieta. Jej wysoki czepiec spowity lazurowym woalem i suknia w takie same stylizowane lilie, jak tuniki Szkotów, kontrastowały z żałobnymi strojami otoczenia króla.

Fiora rozpoznała ją z bijącym sercem: była to druga córka króla, Joanna Francuska, księżna Orleanu. Jej przybycie najwyraźniej nie podobało się jej ojcu.

- Na Boga, moja córko, po cóż tu przyjechałaś? - zawołał, kiedy monstrancja została umieszczona na przenośnym, udrapowanym złotem ołtarzu rozstawionym przez dwóch mnichów.

Młoda księżniczka z pokorą przyklękła i mężnie uniosła ku ojcu swą nieurodziwą twarz i swe wspaniałe oczy, które miały taki kolor, jak piękne błękitne niebo tego poranka.

- Jeszcze nie wiem, mój ojczy, ale wydało mi się, że muszę przybyć do ciebie, jak tylko dowiedziałam się, że zamierzasz odwołać się do Boga, aby pomógł ci w wydaniu wyroku.

- Jak, do diaska, dowiedziałas się o tym w swoim zamku?

- Otrzymałam list, Sire - powiedziała Joanna, która nie umiała kłamać.

- Od kogo był ten list?

- Pozwól, żebym odłożyła odpowiedź do czasu zakończenia pojedynku...

- Jak sobie życzysz! Zresztą domyślam się tego. No cóż, skoro tu jesteś, zajmij miejsce obok mnie i przejdźmy do tego, czym mieliśmy się dziś zająć.

Jego mroczne spojrzenie spoczęło na dwóch, nadal klęczących mężczyznach.

- Czy podtrzymujecie oskarżenia przeciwko tu obecnej pani de Selongey?

Tylko Tornabuoni dosyć pewnym głosem odpowiedział „tak”. Jego towarzysz, który dzwonił zębami, mimo iż poranek był ciepły, zadowolił się skinieniem głowy, niezdolny wykrztusić ani słowa.

- Wypowiadaliście się, wysłuchaliście mszy i przyjęliście komunię świętą? A mimo to podtrzymujecie swoje oświadczenia?

Odpowiedzieli w ten sam sposób. W oczach króla pojawiły się błyskawice, ale pozwolił, by kąci jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Chyba wiemy, dlaczego okazujecie taką pewność siebie i odwagę, bardzo zresztą ryzykowną - powiedział drwiąco. - Myślicie, że skoro pan Mortimer i pan de Commynes zostali odrzuceni jako przedstawiciele tej, którą oskarżacie, nikt inny nie zechce narażać życia dla tak wątpliwej sprawy? A więc spójrzcie! A wy, trębacze, zadmijcie! Sądzę, że przybywa do nas jakiś rycerz!

Rzeczywiście, krata podniosła się ponownie i pojawiło się trzech jeźdźców: jeden w stroju podróżnym, dwóch innych w zbrojach... i serce Fiory zalała ogromna radość, bowiem pierwszym był wprawdzie Commynes, ale tym z dwóch pozostałych, który na tunice miał srebrne orły, był Filip de Selongey...

Trzej mężczyźni zsiadli z koni zaraz po przekroczeniu bramy i razem podeszli do trybuny, przed którą Luca Tornabuoni i Oliwer le Daim stali, patrząc na nich z wyraźnym przerażeniem, przekonani pewnie, że zasady pojedynku zostaną zmienione i że będą musieli zmierzyć się z dwoma

wojownikami. Podeszedłszy do króla, wszyscy trzej jednocześnie się skłonili i Commynes przemówił:

- Sire, pan Mortimer i ja wykonaliśmy postawione nam przez króla zaszczytne zadanie. Zechciej łaskawie pozwolić, Sire, że mu przedstawię hrabiego Filipa de Selongeya, kawalera wielce zaszczytnego orderu Złotego Runa, który stawia się przed tobą z własnej i nieprzymuszonej woli, by bronić sprawy i życia swojej niesłusznie oskarżonej małżonki. Zgadza się oczywiście na walkę do ostatniej kropli krwi.

Siedząc na swoim miejscu i patrząc na surowy profil Filipa, Fiora czuła, jak jej serce topnieje z miłości. Nigdy jeszcze nie wydawał jej się wspanialszy i bardziej dumny! Ludwik XI pochylił się ku niemu, oparłszy łokieć na kolanie.

- Z przyjemnością witamy cię tutaj, hrabio de Selongey. Uważaliśmy bowiem, że powinienesz dowiedzieć się o poważnym niebezpieczeństwie grożącym hrabinie... z powodu jej nieostrożności.

- Jeśli to, co mi powiedziano, jest prawdą, Sire, a nie mam żadnego powodu, by w to wątpić, nie widzę tu żadnej nieostrożności, lecz wykorzystaną niewinność. Z radością zatem, jeśli król pozwoli, będę walczyć - i to jednocześnie - z tymi dwoma mężczyznami, którzy ośmielili się ją oskarżyć z najniższych pobudek: z zazdrości i chciwości...

- Chwileczkę! Zanim wkroczysz w szranki, dobrze byłoby, żebyśmy wyjaśnili twój stosunek względem nas. Po raz pierwszy zostałeś skazany na śmierć za zastawienie na nas pułapki i próbę pozbawienia nas życia.

- To surowe słowa, Sire - zaprotestował Filip. - Znajdowaliśmy się w stanie wojny, a ty byłeś najzagorzalszym wrogiem mego pana, księcia Karola Burgundzkiego, niech Bóg ma w opiece jego duszę!

- Przyjmijmy, że tak było! Hrabina uzyskała nie tylko twoje ułaskawienie, ale i wolność, zwróconą ci bezwarunkowo. Za drugim razem, w Dijon, nasz gubernator wydał na ciebie wyrok śmierci za próbę zachęcenia ludu do buntu... Bądź łaskaw nam nie przerywać, bardzo proszę! - warknął, jako że Filip już otwierał usta. - Tym razem ocalałeś życie wyłącznie dzięki naszemu pragnieniu, by nie zmuszać do płaczu tak pięknych oczu, ale zostałeś uwięziony w naszym zamku w Pierre-Seize... skąd uciekłeś. Zgadza się?

Selongey skłonił się lekko, by pokazać, że się zgadza.

- A więc - podjął król - jesteś w naszych oczach zbiegłym więźniem i jako takiego mamy prawo cię ukarać, jeśli zdarzy się, że odniesiesz tu zwycięstwo. Mamy nadzieję, że nasi wysłannicy jasno przedstawili ci sytuację...

Na wyniosłej twarzy Filipa pojawił się słaby uśmiech.

- Wiem, co mnie czeka. Zwłaszcza pan de Commynes... którego nie miałem przyjemności spotkać, odkąd porzucił, nieco pospiesznie, służbę u księcia Karola, powiedział mi o tym tak wyraźnie, że już bardziej nie można. Dziś liczy się dla mnie tylko jedno: wyrwać stojącemu tu katu kobietę, która nosi moje nazwisko i dała mi syna...

- Syna, którego jakoś nieszczególnie spieszno ci zobaczyć? Nie tylko jesteś dziwnym mężem, panie hrabio, lecz jesteś także dziwnym ojcem...

- Ci, którzy zamierzali zachować wierność swej feudalnej przysiędze i pamięci zmarłego księcia, przeżywają ogromnie trudne czasy, Sirel Ja sam, zmęczony kulawymi kompromisami i zbyt łatwymi ustępstwami, zdecydowałem się na służbę Bogu! Tylko On wydawał mi się wystarczająco wielki...

- By zasłużyć na twój hołd? Choć nie jest to wcale uprzejme względem naszej osoby, dalecy jesteśmy od wypominania ci tak wielkiego pana, pana, którego my, królowie i książęta, zawsze będziemy tylko pokornymi sługami. Nie mamy jednak pewności, czy ten tak szlachetny wybór zacierza przysięgę złożoną przed ołtarzem pewnej pannie, która miała prawa oczekiwać od ciebie miłości i opieki.

- Nie zapomniałem o tym i dlatego właśnie będę walczyć dla niej...

- Z dwoma przeciwnikami jednocześnie, zdajesz sobie sprawę? Wiemy, że nie jest to bynajmniej zgodne z regułami rycerskimi, ale nie wątpiąc w twoje przybycie i znając twoje walory, pomyśleliśmy, że dzięki temu siły będą bardziej równe...

Filip spojrzał na swoich przeciwników, a w jego uśmiechu pojawiła się nieopisana pogarda.

- Kilka lat temu widziałem w Florencji pana Tornabuoniego walczącego na kopie i wydaje mi się, że powiedziałem mu wówczas, co sędzę o jego... talentach wojennych. Tego drugiego znam tylko stąd, że słyszałem, jak kłamię...

- Nieznośny zarozumiałcu! - wrzasnął florentczyk. - Pokażę ci, do czego jestem zdolny. Przypomnij sobie, że tylko wola mego kuzyna, Lorenza Medyceusza, przeszkodziła mi wówczas w obcięciu ci uszu!

- Wola ta objawiła się w bardzo odpowiednim momencie, co? Jeśli zaś chodzi o moje uszy, to nie mam najmniejszych obaw. Jestem gotowy, panowie.

Z rąk Mortimera Selongey wziął hełm, a z rąk Commynes'a miecz i tarczę. Skłoniwszy się królowi po raz ostatni, ukląkł na chwilę przed Przenajświętszym Sakramentem, by przyjąć błogosławieństwo księdza. Dwaj pozostali ruszyli za nim, nieszczęsny cyrulik na uginających się nogach, co

wywołało uśmiech Tristana l'Hermite. Wreszcie wszyscy trzej podeszli do Wielkiego Prewota, który miał nadzorować walkę, by otrzymać od niego dokładne instrukcje. W tym momencie rozległ się głos Ludwika XI:

- Jeszcze chwila! Wróćcie tutaj, panowie!

Kiedy ponownie stanęli przed nim, pozwolił sobie na przyjemność przyjrzenia im się kolejno, po czym zatrzymując surowe, tak trudne do wytrzymania spojrzenie, na Selongeyu, powiedział łagodnie:

- Nie było między nami przyjaźni, lecz jesteś zbyt znakomitego rodu i zbyt cenimy twoją odwagę, by narazić cię na dyshonor walki z mistrzem Oliwerem le Daim, który jest jedynie naszym cyrulikiem i z którego nie zdecydowaliśmy się uczynić rycerza. To nikczemny tchórz niegodny noszenia broni. Staniesz więc w szranki tylko z posłem Florencji, który pochodzi ze szlacheckiego rodu...

Ulga cyrulika była tak widoczna, że zgromadzenie przebiegł dyskretny śmiech. Ale Selongey się nie śmiał.

- Jeśli znieważył moją panią, zasługuje na karę, którą mu wymierzę, podcinając gardło. Wystarczy mi do tego sztylet, nie zbrukam mego miecza...

- Pięknie, pięknie! Na Boga, panie hrabio, rozumiemy twój gniew, ale nie pozbawiaj nas cyrulika! Jednakże - dodał z nagłą surowością - łajdactwa dowiedzione mistrzowi Oliwerowi kosztować go będą uwięzienie w naszym zamku w Loches na tak długo, jak uznamy za stosowne. Jeśli kiedyś zdecydujemy się przywrócić mu wolność, będzie musiał odpokutować krzywoprzysięstwo, którego dopuścił się przed Bogiem, odbywając pielgrzymkę do grobu świętego Jakuba w Composteli w Galicji. Zabierz go, Mortimer, niech czeka, aż Wielki Prewot będzie mógł się nim zająć!

- Z radością, Sirel - westchnął Tristan l'Hermite. - Czy król pozwoli, by walka się rozpoczęła?

Król wykonał gest, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Zabrano wrzeszczącego i wierzgającego cyrulika - krótko trwała jego radość. Filip podszedł do Fiory i trzymając miecz za koniec, wyciągnął go w jej kierunku, aby położyła na chwilę palce na rękojeści, jak chciała stara tradycja. Niewiele brakowało, by o niej zapomniano, bo wyglądało na to, że tego ranka tradycje nie są najważniejsze. Filipowi jednak zależało na tej jednej.

- Pani - powiedział bardzo głośno, by wszyscy go usłyszeli - czy zgadzasz się, bym cię reprezentował?

Dotknęła broni drżącą dłonią i przez łzy, których nie mogła powstrzymać, posłała mężowi spojrzenie promieniejące miłością.

- Tak... ale na miłość boską, uważaj na siebie, gdyż gdyby coś ci się stało, ja będę pragnąć śmierci...

Selongey uśmiechnął się przelotnie i dodał cicho:

- Błagam cię, byś nawet jeśli zobaczysz, że upadłem, nie rzucała się pomiędzy miecze, jak kiedyś zrobiłaś to w Nancy, bo nie chciałbym już nigdy więcej przeżyć takiej sceny...

Potem podszedł do przeciwnika, a z bębnowy wydobyło się powolne i tak posępne dudnienie, że Fiorze stężała krew w żyłach. Tornabuoni, wiedziała o tym, nie był przeciwnikiem, którego można lekceważyć. We Florencji, nie mając nic lepszego do roboty, ćwiczył się w fechtunku, sztuce, z którą Filip zapewne nie miał do czynienia od miesięcy. Z jej serca uniosła się ku błękitnemu niebu żarliwa i bezgłówna modlitwa.

- Nie dla mnie, Panie, lecz dla Ciebie, gdyż to Ciebie wybrał - spraw, by przeżył!

Tymczasem bębny umilkły, a Wielki Prewot zawołał:

- Niech rozpocznie się pojedynek, a Bóg niech go rozstrzygnie!

Walka rozpoczęła się z ogromną gwałtownością. Nie zadając sobie nawet trudu, by się sobie nawzajem przyjrzeć, Selongey i Tornabuoni rzucili się na siebie z zabójczą determinacją. Pod uderzeniami mieczy tarcze dzwoniły jak dzwony, ale szybko stało się oczywiste, że Filip ma przewagę wzrostu, a także siły. Uchyliwszy się zręcznie przed podstępny sztychem skierowanym w brzuch, rzucił się na swego przeciwnika i obsypał go istnym gradem ciosów. Luca cofał się, cofał, usiłując chronić głowę, niezdolny zadać jakiegokolwiek uderzenia. Uratowało go to, że dotknął liny ograniczającej plac i sędzia polecił Filipowi, by ustąpił mu nieco pola. Ten posłusznie odskoczył do tyłu. Luca wykorzystał to, by runąć na niego z wyciągniętym mieczem, z oczywistym zamiarem ponowienia nieudanego ciosu w brzuch, w tej chwili nieosłonięty. Było to tak nagłe, że Fiora nie mogła powstrzymać okrzyku, lecz Filip miał zbyt duże doświadczenie w różnorodnych formach walki, by pozwolić się zaskoczyć. Uchylił się przed ciosem z gibkością tancerza i rozpędzony florentczyk o mało nie przebił Tristana l'Hermite, który energicznie go odepchnął. Luca wymamrotał przeprosiny, po czym odwrócił się na pięcie i ponownie znalazł się twarzą w twarz z Filipem, lecz ten był już tuż przy nim. Porzuciwszy miecz, wymierzył przeciwnikowi cios pięścią, który powalił go na ziemię. Później runął na niego, dobywając sztyletu i ze spokojem przyłożył mu go do szyi.

- Mówiłem ci przecież, że włoski galant nie ma co się równać z burgundzkim rycerzem - powiedział z ironią. - Pomódl się!

- Łaski! Łaski! Tak, skłamałem, by król uwierzył, że ty i Fiora spiskowaliście razem przeciw niemu... Ale...

- Jeśli masz jeszcze dużo do powiedzenia, to się pospiesz, gdyż kończy mi się cierpliwość!

- Dziecko... istnieje... ale to Wspaniały jest jego ojcem! Łaski!

Filip uniósł sztylet. Powstrzymał go okrzyk króla... - Stój!

Nie zwalniając uścisku, w którym trzymał pokonanego przeciwnika, Filip odwrócił głowę w stronę trybuny.

- Walka miała się toczyć do ostatniej kropli krwi, Sire, przypominam. Życie tego człowieka należy do mnie.

- A więc przekaz go nam! To nędznik i Bóg wydał słuszny sąd, lecz to poseł, ponadto dosyć blisko związany z rodziną Medyceuszy. Nie chcielibyśmy urazić pana Lorenza, którego darzymy przyjaźnią.

Selongey wstał, lecz nie schował sztyletu do pochwy i nie spuszczał wzroku z pokonanego.

- Niech się stanie wola króla! Czy mogę spytać o jego zamiary?

- Odeślę go do Florencji pod solidną strażą i z listem przedstawiającym, co tu zaszło. Bylibyśmy bardzo zaskoczeni, gdyby pan Lorenzo nie okazał mu swego niezadowolenia. Straże! Zabrać go do jego pokoju, gdzie pozostanie aż do wyjazdu.

W tym czasie kat, zrozumiałwszy, że nic tu po nim i że jego obecność stała się zbyteczna, skłonił się przed Fiorą i z mieczem na ramieniu oddalił się w stronę Wieży Sprawiedliwości. Fiora zaś umierała z pragnienia, by podbiec do Filipa, lecz nie śmiała powstać bez pozwolenia króla. Odpowiedziała wdzięcznym skinieniem głowy na ukłon kata i czekała. Filip tymczasem podszedł tuż do królewskiej trybuny, lecz nie przyklęknął, jak wymagałby zwyczaj:

- Sire, życie i honor donny Fiory są uratowane, jak chciał Bóg. Ja zaś jestem teraz więźniem króla!

- Za takiego cię uważamy, ale zanim podejmiemy decyzję, odpowiedz na jedno pytanie! Gdybyśmy ci teraz zwrócili wolność, to co byś z nią zrobił?

- Powróciłbym tam, skąd przybyłem, Sire! - Och!...

Mimo iż skarga Fiory była cichutka, to król ją dosłyszał i gestem dłoni nakazał ciszę.

- Wróciłbyś do klasztoru?

- Tak, Sire. Straciłem ochotę służenia jakiemukolwiek panu poza Bogiem. Niech król mi wybaczy!

- Nie mogę mieć ci za złe tak szczytnego zamiaru, ale ta wolność była czysto hipotetyczna. W istocie daję ci wybór między dwiema ewentualnościami: albo wrócisz na swoje burgundzkie ziemie, które ci pozostawiono, ze swą małżonką

oraz synem i obiecasz, że będziesz tam pędził spokojny żywot, albo masz przed sobą długie i radosne lata w zamku Loches, a dokładnie w jednej z klutek w lochu! Zbliź się tu, donno Fioro!

Młoda kobieta podeszła powoli do męża, nie śmiejąc na niego spojrzeć.

- Sirel - powiedziała, podnosząc na władcę oczy pełne łez, które dzielnie starała się powstrzymać - upraszam króla, by nie zmuszał pana de Selongey do tak trudnego wyboru. Błagam, by pozwolił mu wrócić do klasztoru Matki Boskiej!

- A co stanie się z tobą, pani?

- To, co król sobie zażyczy, by się stało, lecz błagam go, by pozwolił mi żyć w spokoju. Jestem bezgranicznie zmęczona...

- Nic w tym dziwnego! W każdym razie zachowasz Rabaudiere, którą ofiarowuję definitywnie tobie i twoim potomkom. Ale... zobaczmy no, kto tu do nas idzie!

Była to księżniczka Joanna, która po zakończeniu pojedynku opuściła trybunę po tym, jak ojciec szepnął jej coś na ucho. Trzymała za rękę małego Filipa, a za nimi szła Leonarda.

Tak jak wszyscy, Filip odwrócił głowę w kierunku, w którym patrzył król. Zamarł na widok pełnej uroku grupki, którą tworzyła utykająca księżniczka i chłopczyk robiący wrażenie, jakby ją podtrzymywał. Joanna zatrzymała się.

- Czy zechcesz uściskać swego ojca? - spytała łagodnie. Dziecko spojrzało z zachwytem na wysokiego rycerza w zbroi, tak podobnego do obrazu, jaki miało w wyobraźni, i nie wahało się ani chwili. Wyciągnąwszy rączki, podbiegło do niego, a Filip ukląkł, by pochwycić syna w ramiona, nie przytulając go jednak zbyt mocno, gdyż kontakt ze stalą nie mógł być dla dziecka przyjemny. Zapał, z jakim go uściskał, wywołał uśmiech na twarzy Ludwika XI, który zdawał się nie dostrzegać dwóch łez spływających po policzkach niewzruszonego pana de Selongey.

- Myślę - westchnął - że sprawa została rozstrzygnięta! Powstawszy z trudem z tronu, zszedł po trzech stopniach prowadzących z trybuny na piaszczysty dziedziniec.

- Nie zażądamy od ciebie złożenia przysięgi na wierność - powiedział surowo do Filipa. - Ale wymagamy, byś przyrzekł, że nie będziesz się więcej starał nam szkodzić, a gdy nadejdzie czas, że nie będziesz uczył twoich synów nienawiści do Francji, przeciwnie - pozwolisz im jej służyć. Nie zapominaj, że Selongey leży w Burgundii i że Burgundia powróciła do naszej Korony, zgodnie z feudalnym prawem stanowiącym, że tak się stanie, jeśli księżę z dynastii Walezjuszy umrze, nie pozostawiając męskiego potomka.

Filip powstał i postawił syna na ziemi, a dziecko skorzystało z tego, by pobiec do matki. Przez chwilę przyglądał się temu dziwnemu człowieczkowi, którego przerastał o głowę, temu człowieczkowi, który miał tak mało z króla... z wyjątkiem takich chwil, jak ta, kiedy promieniował niewiarygodnym majestatem. Filip powoli przyklęknął i wyciągnął rękę.

- Sire, na mój honor i nazwisko, które noszę, przysięgam, że nigdy więcej nikt z Selongeyów nie podniesie broni przeciwko królowi Francji.

- Dziękujemy ci za to! No cóż, donno Fioro, twoja rodzina jest w komplecie. Powierzamy ci tego buntownika! Będziesz go strzec i nie wątpimy...

- Nie, Sire, litości! Nie chcę brać na siebie takiej odpowiedzialności!

- Zrobisz, co zechcesz! Życzymy wszystkim dobrego wieczoru. No i co, moja córko - dodał, zwracając się do księżnej Orleanu - czy jesteś z nas zadowolona?

- Tak, Sirel Tak naprawdę nigdy nie wątpiałam w twoją sprawiedliwość. Ale dlaczego naraziłeś donnę Fiorę na tak długie oczekiwanie, a także na strach o własne życie? Czy naprawdę musiałeś odwoływać się do Boga?

Rozmawiając, ona i Ludwik XI szli w kierunku królewskich apartamentów. Król uśmiechnął się i ścisząc głos, pochylił się, by być lepiej słyszany:

- Oczywiście, że nie! Szybko pojąłem, że ta nieszczęśnica stała się ofiarą knowań, lecz musiałem sprawić, by wszyscy myśleli, że jej życie jest zagrożone, bo tylko w ten sposób mogłem spowodować, że ten uparciuch, jej mąż, wyjdzie ze swej nory...

- Ale ona? Dlaczego jej nie poinformowałeś?

- Ponieważ jednak popełniła tyle głupstw, że zasługiwała na małą nauczkę. I zabraniam ci mówienia jej o czymkolwiek. Nie bardzo lubię wyjaśniać meandry moich myśli! A teraz, moja córko, siadajmy do stołu! Prawdę mówiąc, to wszystko bardzo zastrzyło mi apetyt!

Fiora z Filipem, synkiem i Leonardą wracała konno do Domu w Barwinkach, lecz małżonkowie nie zamienili jeszcze ani słowa. Selongey trzymał syna przed sobą w siodle i nie mógł się na niego napatrzeć. Fiora czuła, jak ogarnia ją smutek, gdyż mąż zupełnie nie zwracał na nią uwagi. On i chłopczyk zdawali się zamknęci we własnym świecie, w którym dla niej nie było miejsca...

Toteż kiedy dotarli do cienistej alei omszałych dębów prowadzącej do dworu, zbliżyła się do męża.

- Filipie! - powiedziała głosem, który nie zdrzął, za co była mu wdzięczna - zanim wejdiesz do tego domu, ponieważ król dał mi prawo decydowania o twoim losie, chcę ci powiedzieć...

- Co takiego?

- Chcę ci powiedzieć, że jesteś wolny! Jeśli chcesz wrócić do Nancy, nie musisz się z tego przede mną tłumaczyć!

- Jeśli dobrze rozumiem, nie masz ochoty zaproponować mi gościny?

- Zwariowałeś! Oczywiście, że tak! To moje największe marzenie!

- Ale zamierzasz sama cieszyć się tym domem, podobnie jak zamkiem w Selongey i tym cudownym małym człowieczkiem? W pewnym sensie przeganasz mnie? To prawda, że zasłużyłem na to i że masz wszelkie prawa, by nie chcieć żyć ze mną.

Zeskoczył z konia i powierzwszy dziecko Leonardzie, podał rękę Fiorze, by pomóc jej zejść na ziemię. Poczula jakby olśnienie - patrzył na nią tak, jak kiedyś, mając w orzechowych oczach tę nieco żartobliwą czułość, którą tak lubiła w nich widzieć, a przede wszystkim uśmiechał się do niej...

- Zawsze chciałam tylko być z tobą, Filipie! Puścił jej dłoń i przyciągnął ją do siebie.

- Wiesz, że jestem okropny?

- Wiem, ale ja też nie jestem wzorem cierpliwości...

- Już dawno to zauważyłem. Czy mimo to chcesz, byśmy starali się być parą i być razem... póki nas śmierć nie rozłączy?

Zamiast odpowiedzieć, przytuliła się do niego, nie zauważając nawet, że na powitanie biegną ku nim radośnie mieszkańcy Rabaudiere.

- Póki nas śmierć nie rozłączy - powtórzyła żarliwie. - Sądzisz, że to może nam się udać?

- Powiedziałem: zawsze możemy spróbować...

I przytuleni do siebie weszli do domu pachnącego świeżo ściętymi różami i ciastem, które Petronela dopiero co wyjęła z pieca.

Jednak nikomu nigdy nie udało się dowiedzieć, co się stało z Khatoun...